

MOWA JEST SREBREM,
A MILCZENIE ŻŁOTEM.
CZEGO NIGDY NIKOMU NIE ZDRADZISZ?

ERIC BERG

ZATOKA
CIENI



ERIC BERG

ZATOKA CIENI

Z języka niemieckiego przełożył
Łukasz Kuć



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
DIE SCHATTENBUCHT

Copyright © 2016 by Limes Verlag,
a division of Verlagsgruppe Random House GmbH, München, Germany.
Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2018 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marta Chmarzyńska
Korekta: Magdalena Bargłowska, Joanna Rodkiewicz

ISBN: 978-83-8110-601-6

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Motto

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Dla Christiana

Nigdy nie slyszalem o zbrodni, ktorej sam bym nie mogl popelnic.
JOHANN WOLFGANG VON GOETHE

In God We Trust
DEWIZA UMIESZCZANA NA AMERYKANSKICH MONETACH I BANKNOTACH

Prolog

Rozłączyłam się i przez chwilę stałam bez ruchu na środku pokoju. W ciągu ostatnich trzydziestu minut w moją duszę kropla po kropli sączyło się poczucie grozy i przerażenia, ale doszło ono do głosu dopiero teraz, kiedy skończyłam rozmowę.

Tylu zabitych. Nie naraz, lecz po kolei, jeden po drugim. Nie znałam żadnej z ofiar, więc w świecie przepelnionym makabrycznymi informacjami była to w sumie tylko jedna z wielu tragedii. Ale nie dla mnie.

Czułam, że kryje się w tej historii coś wyjątkowo potwornego, lecz nie umiałam tego opisać. Co takiego było w tej zbrodni, że tak mną wstrząsnęła? Czy tylko liczba ofiar? Pamiętam, że już wcześniej czytałam o tej sprawie, ale z jakiegoś powodu wypadła mi z głowy. A teraz, w ten cudowny, jasny wiosenny poranek, w czasie tej rozmowy telefonicznej, owa zbrodnia stała się częścią mojego życia.

Właśnie zamierzałam usiąść do pracy, lecz zmieniłam plany i postanowiłam się wybrać na spacer. Po tym telefonie nie mogłam tak po prostu zająć się rzeczami, które sobie zaplanowałam na ten dzień. Musiałam przemyśleć wiele spraw, inaczej nie mogłabym spokojnie pracować.

Morze i niebo mieniły się różnymi odcieniami błękitu, a na tym cudownym tle kołysało się kilkoro amatorów wodnych sportów. Na nadmorskiej promenadzie ktoś grał na harmonii, poznałam piosenki Edith Piaf i Adriana Celentana. Beztrosscy urlopowicze przechadzali się, mijając muzyka.

Nagle uświadomiłam sobie, co mnie w tej zbrodni tak przerażyło, i poczułam, że właśnie dlatego muszę o niej napisać.

Każde zabójstwo, o którym słyszymy, przejmuje nas grozą. Wyobrażamy sobie sprawcę – włamywacza, który przypadkiem zabija emeryta w jego altanie, przestępcę seksualnego, który czyha na kobiety i dzieci, brutalnego młodego mężczyznę, który napada na nas na dworcu. Boimy się, że ta przemoc wedrze się w nasze uporządkowane, zwyczajne życie.

A co, jeśli śmierć zakrada się do naszego domu niczym wilk w owczej skórze? Jeśli zabójca mieszka za rogiem i jest częścią naszego życia? Jeśli od czasu do czasu ściskamy jego dłoń, a nawet darzymy go szczerą sympatią?

Najstraszliwsze w zbrodni, o której się właśnie dowiedziałam, było to, że dotknęła zupełnie normalnych, przeciętnych ludzi. I że tak powoli – by nie powiedzieć: majestatycznie – zataczała coraz szerszy krąg. Przestępstwo to stopniowo zamieniło się w wir, który pochłaniał wszystko, co znalazło się w jego zasięgu, po cichu niosąc śmierć i zniszczenie – aż było za późno, aż jego siła stała się zbyt wielka, by się jej oprzeć.

Darss – właściwie Fischland-Darss-Zingst, ale w skrócie po prostu Darss. Miałam z tego półwyspu same dobre wspomnienia, a kiedy nieco ponad rok temu wróciłam tu po blisko dziesięciu latach nieobecności, odniosłam wrażenie, że nic się nie zmieniło. Po

drodze zatrzymywałam się od czasu do czasu, by popatrzeć na surferów, jeźdźców galopujących konno po plaży, samotnego poszukiwacza bursztynu kopiącego dół w piasku. Morze było wzburzone, na horyzoncie kłębiły się chmury, a opadająca zeń kurtyna deszczu sunęła z południa na północ, lecz nad spokojną taflą laguny, którą w okolicy Ahrenshoop oddziela od morza zaledwie kilometr lądu, zalegała łagodna, brzoskwiniowa poświata. Byłam zauroczona kontrastem między wodami laguny i morza. Tutaj błogi spokój, leniwie dryfujące żaglówki, stare przystanie, falujące trzciny, cisza, z drugiej zaś strony powyginane od wiatru sosny, urwiska, zalewane spienioną wodą mola.

Może to zabrzmiało naiwnie, ale pomyślałam, że to niemożliwe, by w takim miejscu popełniono zbrodnię, a już na pewno nie mógł jej, jak sądziłam, dokonać nikt z miejscowych. Mieszkańcy półwyspu to ludzie spokojni, zrównoważeni, skromni, lecz pewni siebie. Kradzież samochodu czy włamanie – owszem, to może się zdarzyć, podobnie jak pijani turyści łamiący malwy lub załatwiający się w przydomowych ogródkach, ale zabójstwo? Okoliczni mieszkańcy wydawali mi się raczej ofiarami niż przestępcami, gdyż w ślad za pierwszymi turystami i przywiezioną przez nich namiastką bogactwa na półwysep ściągnęli bogacze z całych Niemiec, którzy zaczęli kupować tu domy, co z kolei zwabiło złodziei. Nic zatem dziwnego, że pytanie o to, czy owa fala turystów i nowych mieszkańców przyniosła miejscowym więcej korzyści czy raczej kłopotów, stanowiło przedmiot niekończących się dyskusji w knajpach, na festynach i na chodnikach. W czasach, gdy nie ma wielkich skandali – w końcu dziś za skandal uważa się dużo mniej występków niż jeszcze trzydzieści lat temu – niewiele spraw było w stanie wywołać ożywienie w tutejszych wioskach.

Życie tutaj toczyło się zwykłym rytmem: najpierw ptaki ciągnęły z południa na północ, potem zakwitły ogrody, pojawiały się rybitwy, które zaczynały wic gniazda w urwiskach, i pierwsze żagle na wodzie, zrazu pojedyncze, a z czasem coraz liczniejsze, później plaże wypełniały się śmiechem dzieci, restauracje gośćmi, a drogi rodzinami odbywającymi rowerowe wycieczki. Mijały jednak tygodnie i w końcu światło zaczynało blednąć, ptaki wracały z północy na południe, plaża pustoszała, znad morza nadciągał chłodny wiatr... Naturalna kolej rzeczy...

Oczywiście jako pisarka i psycholożka powinnam była zdawać sobie sprawę, że nawet w tak spokojnej okolicy może się zdarzyć zbrodnia, lecz mimo to wydawało mi się, że do takich dramatów dochodzi raczej w obskurnych blokach wielkiego miasta czy ciemnych zakamarkach stacji metra.

Przez jakiś czas błąkałam się jeszcze po okolicy, rozmyślając, jak to się dzieje, że człowiek, po którym znajomi i przyjaciele nigdy by się tego nie spodziewali, nagle próbuje się zabić.

Od tego się bowiem wszystko zaczęło – przynajmniej dla mnie. Bo w rzeczywistości cała ta historia miała swój początek dużo wcześniej.

Wrzesień

Ta sprawa różniła się od innych. Oto zdrowa, zrównoważona kobieta siedzi przy kawie na balkonie swojego domu, spoglądając na połyskujące w popołudniowym świetle wody laguny, i nagle, zdałoby się zupełnie bez powodu, wstaje, wspina się na barierkę i rzuca w dół. Jakimś cudem wychodzi z upadku cała, lecz od tej pory nie odzywa się ani słowem.

Dla Iny taka sytuacja była czymś zupełnie nowym. Do tej pory za każdą próbą samobójczą, z którą miała do czynienia, kryła się jakaś historia. Czasem, aby wydobyć ją na światło dzienne, wystarczyło pacjenta lekko trącić, a natychmiast zaczynał się z niego wylewać potok słów, pełen wyrzutów wobec męża czy żony, rodziców, przyjaciół, życia. Inni dzielili się swoimi przeżyciami po kawałku, z wahaniem ważąc każde słowo, jakby zależało od niego życie, milknąc na długie minuty i połykając łzy. Jeszcze inni uważali psychoterapeutkę za swego nieprzyjaciela. Ci odpowiadali wrogo i sarkastycznie albo kazali Inie iść do diabła, by po chwili znów ją przywołać – i znowu zrugać. Wszyscy jednak w taki czy inny sposób, mniej lub bardziej wylewnie mówili o małych i wielkich dramatach, które sprawiły, że znaleźli się w rostockiej klinice. W miejscu, w którym jak nigdzie indziej spotykały się śmiertelne znużenie i głód życia.

Marlene Adamski była inna. Milczała jak dziecko, które doświadczyło przerażającej traumy – tyle że Marlene Adamski miała sześćdziesiąt dwa lata i do tej pory nic, ale to nic nie wskazywało na to, by miała jakiegokolwiek kłopoty, a tym bardziej by przeżyła jakąś wielką traumę.

Ina bezskutecznie szukała w dokumentacji medycznej czegoś, co wyjaśniłoby ów cień kryjący się w oczach tajemniczej pacjentki. Pani Adamski wspólnie z mężem prowadziła na półwyspie Darss dobrze prosperującą piekarnię, miała dom z czystą hipoteką, była w świetnej formie fizycznej, a w jej karcie próżno było szukać śladu jakichkolwiek problemów psychicznych. To ostatnie, ma się rozumieć, samo w sobie o niczym nie świadczyło, gdyż myśli samobójcze rzadko wynikają z oczywistych, łatwych do rozpoznania zaburzeń. Ich źródłem są raczej samotność, monotonia, stres czy niemożność wyrwania się z sytuacji, którą człowiek subiektywnie postrzega jako beznadziejną i bez wyjścia.

Lecz Ina nie znalazła również takich punktów zaczepienia. Jej pacjentka zbierała pieniądze dla syryjskich uchodźców, śpiewała w parafialnym chórze. Owszem – Adamscy nie mieli dzieci, jednak w trakcie dwutygodniowego pobytu w położonej na obrzeżach Rostocku klinice psychiatrycznej niedoszłą samobójczynię odwiedziło mnóstwo ludzi. Jej niezliczone przyjaciółki i kuzynki w trakcie rozmów z Iną zgodnie twierdziły, że w okolicy nie ma nikogo, kto bardziej od Marlene angażowałby się w życie lokalnej – i nie tylko –

społeczności. Pani Adamski była też dobrym duchem miejscowej piekarni – znała wszystkich klientów po imieniu i każdego serdecznie witała, z uśmiechem ściskając mu dłoń.

Jedyną zagadką pozostawało jej życie rodzinne, o którym Ina nie zdołała się dowiedzieć zbyt wiele. Widziała tylko, że Gerd, mąż Marlene, otacza żonę czułą opieką, i chociaż wydawał się człowiekiem, który w ostatniej kolejności szukałby winy w sobie, terapeutka miała wrażenie, że jego troska jest autentyczna.

Jednym słowem: nie było żadnego punktu zaczepienia, który pozwalałby zrozumieć, dlaczego pacjentka targnęła się na swoje życie. Ina stanęła przed prawdziwą zagadką. Fakt, że podopieczna z nią nie rozmawiała, uniemożliwił odkrycie kierujących niedoszlą samobójczynią pobudek, a ponieważ Marlene Adamski miała zostać wkrótce wypisana, terapeutka była gotowa zrezygnować z poszukiwań odpowiedzi na dręczące ją pytania i zająć się innymi pacjentami. W kolejce czekały już na nią ofiary przemocy, wypadków albo mobbingu, ludzie zniszczeni przez stres i wypalenie zawodowe, uzależnieni od narkotyków, pacjenci z guzami mózgu lub chorobami serca. A jednak milcząca kobieta z ciemnymi kręgami pod oczami nie dawała psycholożce spokoju.

Przecież właśnie dlatego pół roku wcześniej Ina zamieniła Schwerin na klinikę w Rostocku. Chciała mieć więcej czasu dla swych podopiecznych. Wcześniej, spotykając się z umieszczoną na jej oddziale niedoszlą samobójczynią, musiała się zadowolić zapewnieniami w stylu „Więcej tego nie zrobię” i po kilku minutach szła do następnego pacjenta. A rok później znów spotykała dawną podopieczną. Gorzej, gdy jej nie spotykała, bo przy drugiej próbie pacjentka miała więcej „szczęścia” niż za pierwszym razem. Ina nie wiedziała, ile było takich przypadków, lecz ta niewiedza bynajmniej nie zdejmowała z jej ramion przytłaczającego ciężaru. Tu, w Rostocku, miała przynajmniej poczucie, że robi dla swoich pacjentów wszystko, co w jej mocy, zwłaszcza że pracowała w klinice tylko przez dwa dni w tygodniu, w pozostałe zaś przyjmowała w prywatnym gabinecie w Ahrenshoop, dzięki czemu mogła się opiekować pacjentami dłużej, niż to zwykle bywa. Tylko w przypadku Marlene Adamski natrafiła na głąz.

Ina uważała, że milczenie żony piekarza stanowi bardziej świadomy wybór pacjentki aniżeli skutek szoku, i liczyła, że przy odrobinie cierpliwości zdoła przezwyciężyć opór niedoszłej samobójczyni. Marlene bowiem, choć się nie odzywała, była w pełni świadoma tego, co się wokół niej dzieje. Reagowała na ruch, dźwięki i ludzi, którzy wchodzili do jej pokoju. Zaciskała usta, gdy nie smakował jej szpitalny posiłek, i odwzajemniała uściski. Tylko uśmiechu Ina nie widywała na jej twarzy. Ujrzała go tylko raz, gdy próbując zyskać zaufanie pacjentki, opowiedziała jej o swojej miłości do morza, a szczególnie do Darss. Wtedy Marlene spojrzała na terapeutkę z rozrzewnieniem, jakby ta obudziła w niej wspomnienie dawnego szczęścia, a Ina poczuła, że mogłyby znaleźć wspólny język.

Na przeszkodzie stanął jednak Gerd Adamski.

– Damy sobie radę – powiedział piekarz, odebrawszy żonę po wypisie. Fizyczne rany Marlene Adamski co prawda się zagoiły, ale niedoszła samobójczyni nie stała jeszcze pewnie na nogach, toteż mąż troskliwie odprowadził ją do swojego audi. Chociaż mżyło, Ina wyszła z nimi na parking.

Pan Adamski zatrzasnął drzwi od strony pasażera i obchodząc auto, powiedział

cichym, zduszonym głosem:

– Marlene za ciężko pracowała. Piekarnia, chór, dom... Za dużo wzięła na swoje barki. Nie miała chwili dla siebie.

– Możliwe – odparła Ina. – Ale ludzie zwykle nie skaczą z balkonu tylko dlatego, że mają przepełniony kalendarz. To może być katalizator, ale nie przyczyna. Dlatego zalecałabym pańskiej żonie kontynuację psychoterapii. Mój gabinet w Ahrenshoop jest jedynym na całym półwyspie, ale jeśli woleliby państwo skorzystać z pomocy kogoś innego, zapisałam kilka adresów moich kolegów w Rostocku.

Gerd Adamski wyciągnął rękę na pożegnanie. Niekształtna i włochata dłoń po pięćdziesięciu latach zagniatania ciasta była bardzo silna, lecz jej mocny uścisk wcale nie okazał się nieprzyjemny.

– Dziękuję, pani doktor. Jestem naprawdę bardzo wdzięczny, że zajęła się pani Marlene, ale teraz już sobie poradzimy. Trochę uwagi i troski...

– Troska wystarczy w ogrodzie, by naprostować skrzywione drzewka – odrzekła Ina nieco zniecierpliwiona, lecz po chwili łagodnym tonem postanowiła stonować wymowę swych słów. – Oczywiście pańska troska jest bardzo ważna, ale muszę raz jeszcze podkreślić, że proces rekonwalescencji dopiero się zaczyna. To, że pańska żona nie mówi, jest najlepszym, aczkolwiek nie jedynym, tego dowodem.

– Z tym też sobie poradzimy – powiedział Gerd Adamski z niezachwianą pewnością siebie, po czym uprzedzając odpowiedź Iny, dodał: – Pani doktor, wiem, że chce pani dla Marlene jak najlepiej, ale naprawdę, damy sobie radę. Jest pani psychologiem i mówi mi o motywach, psychoterapii i tego typu rzeczach, ale my jesteśmy prostymi, ciężko pracującymi ludźmi. Piekarzami. Rozumie pani?

Powiedział to w taki sposób, jakby każdy piekarz musiał raz w życiu spróbować się zabić, a jeśli przeżył, był już do końca życia odporny na samobójcze myśli – zupełnie jak po przebyciu świnki. Oczywiście Ina nie po raz pierwszy spotkała się z niechęcią do psychologów i psychoterapii. Z własnego doświadczenia wiedziała, że z jednej strony przejawiają ją ludzie sukcesu, którzy uważają, że wezmą się w garść bez niczyjej pomocy, z drugiej zaś – ci, którzy sądzą, że terapia jest dobra dla mięczaków. Granica między tymi dwiema kategoriami była płynna, lecz Gerd Adamski bez dwóch zdań zaliczał się do tej drugiej grupy.

Chcąc nie chcąc, terapeutka pozwoliła zatem Marlene odejść i chociaż chwilami wciąż ją wspominała, z czasem całkowicie pochłonęli ją nowi pacjenci.

Potem jednak zdarzyło się coś dziwnego: w ciągu dwóch dni Ina odebrała kilka głuchych telefonów. Kiedy podnosiła słuchawkę, nikt się nie odzywał, ale nie było też słyhać głośnego oddechu ani dyszenia, a po kilku sekundach dzwoniący się rozłączał.

W końcu, kierowana przecuciem, spytała:

– Pani Adamski? Marlene?

Ponieważ tym razem połączenie nie zostało od razu przerwane, psycholożka postanowiła odwiedzić Marlene i przekonać ją, by ta zgodziła się na prywatną terapię. Chciała pomóc swojej dawnej pacjentce, a zarazem miała nadzieję, że spotkania z milczącą samobójczynią będą odskocznią od monotonnych zajęć w klinice i poszerzą jej zawodowe horyzonty.

Jak się miało wkrótce okazać, ta decyzja raz na zawsze zmieniła życie Iny.

Ina mieszkała na Darss od ponad roku, lecz aby trafić do domu Adamskich, musiała kilka razy pytać miejscowych o drogę. W końcu, raczej przypadkiem niż dzięki otrzymanym instrukcjom czy wskazaniom GPS-u, dotarła do maleńkiej osady o nazwie Wieck.

Gdy dojechała do końca wąskiej, obsadzonej krzewami asfaltowej szosy, wspaniały widok natychmiast wynagrodził jej trudy podróży. Po jednej stronie drogi pod ogromną kopułą nieba rozpościerała się dziewicza łąka. Kilka skarłowaciałych drzew, miliony falujących na wietrze traw i blade słońce za postrzępionymi chmurami. Niby nic takiego, ale widok dosłownie zapierał dech w piersi. Ina poczuła na twarzy chłodną bryzę i ogarnęła ją pokusa, by się dosłownie zanurzyć w tym cudownym krajobrazie. Po drugiej stronie szosy wąska ścieżka wiodła ku oddalonej o jakieś trzydzieści metrów laguny. Cienki woal mgły unosił się z wody i niespiesznie sunął w dal. Powietrze smakowało solą i pachniało świeżo rozkopaną ziemią.

Dom państwa Adamskich również stanowił prawdziwe чудо. Kryta strzechą bladoniebieska piętrowa chata otoczona była murkiem z polnych kamieni, a krzewy róż w ogródku sprawiały, że całość wyglądała jak na obrazku. W domu spokojnie mogłaby się pomieścić sześciuosobowa rodzina, lecz Ina wiedziała, że Gerd i Marlene Adamscy mieszkają sami. Dopiero później psychoterapeutka dowiedziała się, że kiedy w 1991 roku małżonkowie kupili tę chatę, była ona w dość opłakanym stanie, lecz nowi właściciele stopniowo zdołali ją odnowić, dodając pewne elementy, które nie do końca pasują do takiej budowli – na przykład balkon.

W 1991 roku Marlene miała mniej więcej tyle lat, co Ina obecnie, czyli zbliżała się do czterdziestki, i prawdopodobnie nie pożegnała się jeszcze z marzeniami o posiadaniu licznej rodziny. A może to wcale nie wielkość domu zdecydowała o jego zakupie, tylko jego malownicze położenie lub po prostu atrakcyjna cena?

Terapeutka zadzwoniła kilka razy do drzwi, lecz nikt nie odpowiedział. Poczuli się zawiedziona, gdyż zadała sobie sporo trudu, by się spotkać z Marlene, z drugiej jednak strony pomyślała, że może jej dawna podopieczna wróciła do pracy w piekarni, co stanowiłoby dobry znak.

Po chwili jednak Ina dostrzegła gospodynię – Marlene siedziała na tym samym balkonie, z którego kilka tygodni wcześniej skoczyła.

– Marlene? To ja, Ina Bartholdy.

– Czego pani chce?

To były pierwsze słowa, jakie terapeutka usłyszała z ust swej pacjentki. Głos Marlene brzmiał nieco głucho i szorstko i nie pasował do emanującej serdecznym, matczynym ciepłem postaci, którą Ina w głębi duszy uznawała za niemal archetypiczny wzorzec piekarszowej.

– Wiem, że przyjeżdżam bez zapowiedzi – odparła psycholożka wymijająco. – Byłam przypadkiem w okolicy i pomyślałam, że panią odwiedzę.

Ściśle rzecz biorąc, nie było to kłamstwo, gdyż Ina faktycznie miała tego dnia coś

jeszcze do załatwienia w pobliżu Wieck. Zamierzała właśnie poprosić Marlene, by ta ją wpuściła do środka, gdy gospodyni wstała i znikła w domu.

I to by było tyle, jeśli chodzi o psychoterapię, pomyślała Ina, lecz po chwili rozległo się buczenie elektrycznego zamka. Terapeutka weszła do środka.

W chacie było dość chłodno, a nade wszystko niewiarygodnie cicho. Wszystkie okna były zamknięte i przez grube mury do środka nie docierał nawet śpiew ptaków. Nie było też słychać tykania zegara.

– Marlene?

Ina zajrzała do salonu, a potem do kuchni i dopiero wtedy zrozumiała, że gospodyni czeka na nią na górze.

Krętymi schodami weszła na piętro i zobaczyła otwarte na oścież drzwi sypialni. Marlene, odwrócona plecami, siedziała na balkonie. Na okrągłym stoliku, tak jak tamtego feralnego dnia, znów stały kawa i ciasto, a spojrzenie niedoszłej samobójczyni błędziło po roziskrzonych wodach laguny, po których bezgłośnie sunęły żaglówki. Wrześniowe słońce rozświetlało skrytą za ciemnymi okularami twarz gospodyni.

Ina spokojnie rozejrzała się po sypialni, która, podobnie jak reszta domu, została urządzona nieco staromodnie, ale bardzo schludnie. Dębowe sprzęty – komoda z lustrem, pusty stojak na garnitur i drewniane łóżko, przy którym leżał mały dywanik – choć od dawna nieodnawiane, były bardzo zadbane. Całość utrzymano w beżowo-brązowej tonacji. Psycholożka szukała czegoś niezwykłego, jakiejś ekstrawaganckiej lampy, azjatyckiego zegara, oprawionego w ramki dziecinnego obrazka, lecz niczego takiego nie dostrzegła – ani tutaj, ani w sieni, ani w salonie, ani na schodach. Ściany wydawały się niemal gołe – tylko tu i ówdzie pojawiał się jakiś drukowany obrazek z kwiatami czy pejzażyk. Ina pomyślała, że w porównaniu z tym, jak wspaniale dom prezentuje się z zewnątrz, wnętrza wyglądają bardzo przeciętnie – ot, zwykła wiejska chata.

Terapeutka wyszła na balkon i oparłszy się obiema rękoma o balustradę, dyskretnie spojrzała w dół. *Czy można się zabić, skacząc z pierwszego piętra? Może próba samobójcza Marlene była tylko formą demonstracji, wołania o pomoc? Może pani Adamski należy do tej kategorii ludzi, którzy nagrywają stosowną wiadomość na pocztę głosowej czwórki przyjaciół, a potem zażywają pokąźną, acz nie śmiertelną dawkę środków nasennych, podświadomie licząc, że ktoś ich w ostatniej chwili znajdzie i uratuje?* Tego typu myśli często nawiedzały Inę, gdy przeglądała akta swojej milczącej pacjentki, lecz na miejscu okazało się, że sprawy wyglądają zupełnie inaczej. Skacząc z tego balkonu, z pewnością można było się zabić. Parter był wyjątkowo wysoki, grunt z tej strony gwałtownie opadał, a w dole ciągnął się murek. Upadek z siedmiu metrów na gołe kamienie mógł się skończyć dużo gorzej niż tylko zwichnięciem ramienia, wstrząsem mózgu i kilkoma guzami. Mimo to wciąż bez odpowiedzi pozostawało zasadnicze pytanie: Czy podjęta przez Marlene próba samobójcza była rozpaczliwym wołaniem o pomoc, czy też biedaczka faktycznie nie widziała innego wyjścia?

– Czasami zdarzają się chwile, kiedy nie mamy już sił i nie wiemy, co zrobić – odezwała się cicho Ina. – I wtedy poddajemy się impulsowi. Poruszamy lekko kierownicą i uderzamy czołowo w pędzącą z naprzeciwka ciężarówkę, skaczemy pod wjeżdżający na dworzec pociąg... Nie planowaliśmy tego. Jechaliśmy do pracy lub po zakupy, gdy

nagle...

Terapeutka umilkła i spojrzała na swoją dawną pacjentkę. Choć Marlene miała na twarzy okulary przeciwsłoneczne, widać było, że wpatruje się w Inę.

– Czy tak właśnie było z panią? – spytała psycholożka.

Czyżby pani Adamski obudziła się pewnego dnia i ni z tego, ni z owego uznała, że jej życie nie ma sensu? Że mąż, dom, kilkoro znajomych i piekarnia to za mało? Czyżby padła ofiarą chwilowego nastroju? Wahania hormonów?

Na twarzy Marlene tańczył refleks światła odbitego od wykopanego w ogrodzie małego stawu. Żółta plamka drgała na jej wysokim czole, zaczesanych do tyłu jasnych, lekko posiwiałych włosach, obwisłych policzkach, otoczonych zmarszczkami ustach i miękkiej, krągłej brodzie. Ina czekała na jedno słowo, które dałoby jej jakiś punkt zaczepienia. Choćby skinienie głową, drgnienie warg. Ale nic takiego nie nastąpiło. Jedyńm ruchomym elementem na twarzy gospodyni była plama światła.

Terapeutka wiedziała, że musi przełamać milczenie pacjentki. Tylko jak? Czują, że fakt, iż pani Adamski wpuściła ją do środka, musi coś znaczyć.

– W ostatnich dniach odbierałam głuche telefony. Podejrzewam, że to była pani. Mam rację?

Marlene, niemal nie poruszając ustami, rozchyliła lekko wargi i Ina odniosła wrażenie, że w wąskiej ciemnej szparce między nimi zaczyna się z trudem formować słowo.

Nie rozległ się jednak żaden dźwięk.

Terapeutka odczekała jeszcze chwilę, wsłuchując się w szum wiatru i radosne ćwierkanie ptaków.

– Dlaczego tak trudno się pani przede mną otworzyć?

Usta Marlene znowu się rozchyliły, jakby gotując się do wypowiedzenia pierwszego słowa. Ina pomyślała, że granica między milczeniem a mową jest dla niedoszłej samobójczynie niczym przyprawiająca o zawrót głowy przepaść – wystarczył krok, by ją pokonać, lecz Marlene nie była go w stanie zrobić. Może w jej oczach to, co czekało na nią po drugiej stronie, nie było warte wysiłku? A może było tak przerażające, że aby się wyrwać z milczenia, musiałyby się zdobyć na prawdziwy heroizm? Choć Ina praktycznie nie znała swojej pacjentki, czuła, że Marlene ma w sobie dość odwagi, by to zrobić. Świadczyły o tym jej oczy, które nigdy nie patrzyły na świat zaleknione – ani wtedy, gdy otworzyła je, odzyskawszy w klinice przytomność, ani potem, gdy terapeutka zaczęła jej zadawać trudne pytania.

Również historia życia pani Adamski świadczyła o tym, że kobiecie tej nie brak odwagi. Odwiedzające ją w szpitalu kuzynki opowiedziały Inie o tym, jak dziewiętnastoletnia Marlene wpłatała się w Dreźnie w romans z radzieckim żołnierzem. W tamtych czasach w NRD używano w odniesieniu do takich historii określenia „wplatać się”, a radziecki kapral nie uchodził za zbyt dobrą partię, zwłaszcza gdy dziewczyna wybierała się na studia nauczycielskie. Ponieważ przyszła studentka zupełnie jawnie prowadziła się z młodym żołnierzem, ludzie obrzucali ją wyzwiskami. Niektórzy otwierali nawet specjalnie okna, by

nazwać ją dziwką, po czym z trzaskiem je zamykali. W końcu któregoś dnia mężczyzna, dla którego poświęciła swe dobre imię i zaryzykowała przyszłość, znikł. Marlene nigdy więcej o nim nie słyszała. Rok później znowu się zakochała, ale i ten wybranek nie przypadł do gustu jej drobnomieszczańskim rodzicom. Mimo to dziewczyna, nie zważając na sprzeciw najbliższych – oraz urzędników ministerstwa oświaty – przerwała studia i wyszła za mąż za meklemburskiego piekarza.

– Wie pani, że wszystko, co od niej usłyszę, zostanie między nami – powiedziała Ina, próbując ośmielić pacjentkę.

Wargi Marlene rozchyliły się nieco szerzej i być może w końcu udałoby jej się przełamać wewnętrzny opór, gdyby w tym samym momencie nie rozległ się trzask zamykanych drzwi, a zaraz potem głos wołającego ją męża. Niedoszła samobójczyni natychmiast zamknęła się w sobie.

Kilka sekund później Gerd Adamski wszedł do sypialni i zmierzwiwszy Inę ponurym wzrokiem, wyraźnie dał jej do zrozumienia, co sądzi o tej niezapowiedzianej wizycie. Czując na sobie lodowate spojrzenie, terapeutka poczuła się jak bokser, który przed walką patrzy w oczy swemu przeciwnikowi.

– Dzień dobry, pani doktor, co za niespodzianka. – Głos piekarza brzmiał zaskakująco miękko. – Co panią do nas sprowadza?

– Dzień dobry, panie Adamski. Chciałam się tylko upewnić, że z pańską żoną wszystko w porządku.

– Jak pani widzi. Żona czuje się dużo lepiej.

– Cóż, w takim razie... Czy mogłabym z panem zamienić dwa słowa? Jeśli można, na osobności.

– Prawdę mówiąc, chciałem zaproponować to samo. Proszę tędy.

Skrywając swą irytację za maską przesadnej uprzejmości, gospodarz przepuścił Inę w drzwiach i wyciągnąwszy rękę, wskazał drogę na dół. Zmierzając w kierunku schodów, terapeutka spostrzegła otwarte drzwi do innego pokoju, które wcześniej umknęły jej uwadze. Zauważyła, że meble stojące w środku są nowiusieńkie i bardzo eleganckie, ale piętrzą się na nich talerze, torebki po chipsach i mnóstwo części elektronicznych. *Czyżby w domu był ktoś jeszcze?*, pomyślała.

– Proszę, pani doktor – ponaglił Inę gospodarz, a jego potężny brzuch znalazł się tak blisko niej, że niemal ją zepchnął ze schodów.

Terapeutka zeszła na dół i skierowała się do salonu, w którym jak zauważyła, panował względny porządek, choć tu i ówdzie zalegała warstwa kurzu. Gdy tylko zostali z gospodarzem sami, Gerd Adamski natychmiast zrzucił maskę grzeczności.

– Jeśli chodzi o pani niezapowiedzianą wizytę, to muszę powiedzieć, że wcale mi się to nie podoba – stwierdził.

– Czy gdybym się zapowiedziała, pozwoliliby mi pan porozmawiać z żoną?

– Powiem otwarcie: nie. I mam ku temu powody.

– Zechce mi je pan wyjawić?

– Nie muszę.

– Oczywiście. Chciałabym jednak zrozumieć pański punkt widzenia.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Panie Adamski, zakładam, że chce pan, by żona wróciła do pełni sił. A jeśli tak, to nie rozumiem, dlaczego nie zgadza się pan na to, abym ją odwiedzała. Przecież w niczym jej nie zaszkodzę.

– Za pozwoleniem, w tej kwestii mam odmienne zdanie. Zrobiliśmy duże postępy, bez pani pomocy.

– Na czym polegają te postępy? – spytała Ina, starając się zachować spokojny, rzeczowy ton.

– Rozmawialiśmy i Marlene obiecała mi, że nigdy więcej tego nie zrobi.

– Aha – westchnęła terapeutka.

Miała ochotę wyjaśnić swemu rozmówcy, że w takich przypadkach obietnica pacjenta jest warta tyle, co słowo dane sędziemu przez recydywistę, lecz uznała, że złośliwości i polemiczny ton tylko wzmogą niechęć piekarza.

– Panie Adamski, od dawna pracuję w zawodzie i przez lata zebrałam wiele doświadczeń, które pozwalają mi dostrzec rzeczy nie dla każdego widoczne.

– Za to ja znam swoją żonę lepiej niż ktokolwiek na świecie.

– Oczywiście. Proszę jednak zauważyć, że pańska żona już raz zrobiła coś, czego pan nie przewidział. Coś, czego pan nie mógł przewidzieć. To, co dręczy pańską żonę, tkwi tak głęboko, że nie da się tego dostrzec gołym okiem ani wydobyć w krótkiej rozmowie. Dlatego chciałabym pana prosić o podpisanie tego dokumentu. Dzięki temu mogłabym objąć pańską żonę terapią na koszt kasy chorych.

Gerd Adamski wziął dokument w obie dłonie i odsuwając go nieco od oczu, spokojnie przeczytał jego zawartość. Ina doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że piekarz nigdy go nie podpisze. On również o tym wiedział, lecz męska duma kazała mu odegrać to przedstawienie – nie tylko przed Iną, ale również przed samym sobą. Musiał pokazać, że wszystko starannie rozważył i że to do niego należy ostatecznie słowo. Że wie najlepiej, co dobre dla niego i – co w sumie na jedno wychodzi – dla jego żony. Ina nie miała wątpliwości, że to Gerd Adamski zarządza rodzinnym interesem, a taka rola wymaga przestrzegania ściśle określonych procedur, stąd cały ten teatr.

– Nie podpiszę tego. Pani ma swoje metody, a my mamy swoją.

– Na czym ta metoda polega? – spytała Ina.

Piekarz z ciężkim westchnieniem wstał z niskiej sofy.

– Nie musimy się pani tłumaczyć.

Ina chciała właśnie zapytać, kogo piekarz ma na myśli, mówiąc „my”, gdy w salonie zjawiała się Marlene. Nie patrząc ani na terapeutkę, ani na swego męża, sięgnęła po leżący na stole dokument, podpisała go i zanim ktokolwiek z obecnych zdążył otworzyć usta, wróciła na górę. Ina natychmiast chwyciła kartkę i zostawiwszy gospodarza w salonie, podążyła za swą pacjentką, lecz kiedy dotarła na piętro, drzwi sypialni były zamknięte.

Wizyta dobiegła końca, przynajmniej tego dnia.

Czternaście miesięcy wcześniej

Dziwna z nas kompania, pomyślała Marlene, stawiając na stole ciasto z wiśniami i spoglądając na zgromadzonych gości. Równie dziwny był powód, dla którego zbierali się raz w miesiącu – zawsze w domu Marlene i Gerda, ponieważ żona Daniela nie mogła się dowiedzieć o tych spotkaniach, mieszkanie Boda było za małe, a u Romy trzeba było uważać, żeby się przypadkiem do czegoś nie przykleić. Od dwóch lat regularnie naradzali się przy kawie i cieście, ale tego popołudnia wreszcie miała zapaść ostateczna decyzja, toteż wśród zgromadzonych dało się wyczuć nerwowość. Wyrażała się ona w nienaturalnym milczeniu, purpurowych twarzach, ukradkowych spojrzaniach, spoconych dłoniach.

– Jeszcze ciepłe – powiedziała Marlene do Daniela, przerywając przytłaczającą ciszę. – Specjalnie upiekłam bez masła i jaj, użyłam też mleka sojowego. Tak będzie dobrze, prawda?

Przed poprzednią naradą zapomniała, że Daniel jest weganinem i nie je masła, jaj ani mleka, których, ma się rozumieć, użyła do ciasta. Była na siebie zła i tym razem nie powtórzyła błędu. Z dumą ukroiła wyjątkowo duży kawałek i patrzyła, jak Daniel próbuje jej wypieku.

– I? – spytała.

– Znakomite. Naprawdę świetne, pani Adamski.

– Cieszę się, że panu smakuje. Myślę jednak, że znamy się już na tyle dobrze, by mówić sobie po imieniu. W końcu tworzymy coś w rodzaju szajki, a w szajce wszyscy mówią sobie po imieniu, prawda?

– Nie jesteśmy żadną szajką! – oburzył się mąż Marlene.

– Mój drogi, to był tylko niewinny żart.

Gerd Adamski mruknął coś pod nosem i włożył sobie do ust kawałek wegańskiego ciasta.

– Nie mam nic przeciwko temu – odrzekł Daniel. – Pod warunkiem że wszyscy przejdziemy na ty.

Zgromadzeni pokiwali z aprobatą głowami i Marlene uśmiechnęła się zadowolona. Lubiła Daniela, chociaż jadał tak dziwne rzeczy jak parówki sojowe czy sznycle z pszenicy. Podejrzewała, że biedak robi to ze względu na swoją żonę, godząc się na jej dziwactwa, by nie burzyć spokoju w rodzinie. Daniel był bowiem szalenie taktownym człowiekiem – i właśnie dlatego Marlene nie do końca mu ufała. Chociaż... to nie najlepsze określenie. Bez wahania puściłaby z nim do zoo swoje wnuki – gdyby takowe miała – lub powierzyła mu klucze do domu, by go doglądał pod jej nieobecność. No i całkowicie zdałaby się na niego, gdyby miał wybrać dla niej lekturę – był w końcu bibliotekarzem. W sandałach, drucianych okularach i ubraniach z ekologicznego sklepu swej żony wyglądał trochę żałośnie, a trochę pociesznie. I właśnie z tego powodu Marlene

mimo najlepszych chęci nie potrafiła sobie wyobrazić, że Daniel jest właściwą osobą do wykonania tego zadania.

– Czyli wszystko ustalone? – spytał Gerd, mlaszcząc, po czym z lekko skrzywionymi ustami odłożył widelec na talerz, odsunął od siebie ledwie tknięty kawałek ciasta i odchylił się na krześle, demonstrując okazały brzuch. – Zrobimy to pod warunkiem, że wszyscy się zgodzą. W przypadku takiej akcji inaczej się nie da. Jeśli choćby jedno z was powie „nie”, sprawa jest spalona. Głosujmy: kto jest za?

– Chwileczkę – przerwała mu Marlene. – Romy, znów żujesz gumę?

Młoda kobieta kiwnęła głową.

– Proszę, nie przy jedzeniu. Ile razy mam ci powtarzać? Wypluj ją.

– Już ją przykleiłam za zębami.

Marlene z przyganą, a zarazem dobrotliwie pokręciła głową.

– Pracujesz w piekarni, nie wypada żuć gumy, jedząc ciasto.

Romy wyjęła gumę z ust. Dziewczyna dopiero za trzecim razem zdała egzamin zawodowy i od niedawna pracowała w piekarni Adamskich, aczkolwiek ze względu na niski wzrost i tyczkowatą posturę trudno ją było uznać za ozdobę cechu piekarzy. Miała zaledwie metr pięćdziesiąt siedem i była tak szczupła, że gdyby nie fioletowe kosmyki, tu i ówdzie pojawiające się na jej głowie wśród czarnych loków, byłaby za kontuarem piekarni wręcz niewidoczna. Na domiar złego mocno się pociała i już po kilku minutach pracy wyglądała tak, jakby właśnie wyszła spod prysznic – a mimo to zawsze sprawiała wrażenie niedomytej.

– Możemy kontynuować? – spytał Gerd.

– Przepraszam, ale to było ważne – odpowiedziała Marlene.

– Proszę bardzo: głosujmy.

Zebrani kolejno podnieśli ręce – najpierw Gerd, potem Bodo, Romy i po chwili wahania Daniel.

W końcu wszystkie oczy zwróciły się na gospodynię.

– Och – wykrzyknęła Marlene, jakby zupełnie zapomniała, że też uczestniczy w głosowaniu.

Oczywiście była za, choć wolałaby załatwić tę sprawę inaczej. Zresztą chyba nie tylko ona, bo czuła, że inni myślą tak samo. Przecież nikt nie ma ochoty łamać prawa, jeśli to nie jest konieczne.

– W takim razie wszystko jasne – powiedział Gerd.

Marlene dolała gościom kawy i przez chwilę się zastanawiała, czy nie otworzyć szampana, ale uznała, że nie byłoby to na miejscu. Okazało się jednak, że Gerd ma w tej kwestii odmienne zdanie, gdyż spoglądając na żonę, zapytał:

– Marlene, może przyniesiesz butelkę wina?

Ponieważ nikt nie zaproponował, pani Adamski poszła do kuchni, podczas gdy pozostali zajęli się omawianiem ostatnich szczegółów. Do uszu Marlene docierały pojedyncze słowa: drzwi, kaptur, lina, taśma klejąca, audi, mercedes... Najtrudniejszą częścią całego planu było samo porwanie, ale to nie było jej smutkiem. Tym mieli się zająć Gerd, Bodo i Daniel.

Ponieważ w lodówce nie było wina, gospodyni zeszła do piwnicy. Butelki leżakowały

w regale zaraz za kotłownią, lecz pani Adamski po chwili wahania minęła ciężkie stalowe drzwi i zagłębiła się w nieużywany korytarz.

Dom został zbudowany na rozległym bunkrze z czasów drugiej wojny światowej, którego ściany wykonano z potężnego żelbetu. Podobno w trakcie nalotów przechowywano tu dzieła sztuki, chroniąc je przed alianckimi bombami. Ta część piwnicy stanowiła istny labirynt i Marlene nie lubiła się tutaj zapuszczać. Ostatni raz była tu... Dobry Boże, musiało minąć z dziesięć lat, odkąd wnuki jej kuzynki bawiły się tutaj w chowanego.

Żona piekarza otworzyła kolejne stalowe drzwi i weszła do rozległego, słabo oświetlonego pomieszczenia. Nie czuć tu było wilgoci ani stęchlizny, tylko chłód. Z sufitu zwisała naga żarówka. Oprawka się poluzowała i światło lekko mrugało. Marlene pomyślała, że trzeba wymienić żarówkę na mocniejszą i doprowadzić tu jakieś ogrzewanie.

Wkrótce będzie po wszystkim, westchnęła w duchu. Wreszcie! Nie mogła się doczekać dnia, kiedy ta historia dobiegnie końca – końca, który w tej chwili wydawał się równie odległy i nieuchwytny jak początek tej całej afery.

– Marleeeene – dobiegł z góry głos Gerda. – Chce nam się piic!

Pani Adamski wzięła butelkę i wróciła na górę. Rozstawiając kieliszki, patrzyła w twarze obecnych, zastanawiając się, co ich skłoniło do podniesienia ręki. Spoglądała na młodziutką ekspedientkę Romy, którą osobiście nauczyła zawodu i otoczyła iście matczyną miłością, Boda, który kumpłował się z połową mieszkańców półwyspu, oraz Daniela, który ponad wszystko kochał swoją rodzinę. No i w końcu na Gerda. Każde z nich miało jakiś powód. Musiało mieć, bo inaczej nie zdecydowałiby się na tak rozpaczliwy krok.

Co ja tu właściwie robię?, zastanawiał się kilka dni później Daniel, czatując wraz z Gerdem i Bodem w krzakach nieopodal domu Töllera. Był wczesny ranek, a w nocy padało, więc krople wody zwisały teraz ciężko z gałęzi rododendronu i przy byle poruszeniu spadały Danielowi za kołnierz, a następnie spływały lodowato w dół pleców, mieszając się w końcu z ciepłym potem.

Nie dam rady, pomyślał bibliotekarz, lecz mimo to w duchu raz po raz powtarzał sobie, co ma zrobić. Wiedział, że wszystko musi się odbyć szybko i sprawnie, tak żeby Töller nie miał szansy się obronić czy choćby wezwać pomocy. Chociaż... nawet gdyby zdołał krzyknąć, na nic by się to zdało. Jego dom leżał na uboczu, nad urwiskiem. Do szosy było prawie sto metrów, do tego szumiało morze, krzyczały mewy. Wąska ścieżka prowadząca obok domu mogła stanowić pewne ryzyko, ale po deszczu była całkowicie rozmiękła i o tak wczesnej porze raczej nie należało się na niej spodziewać żadnych spacerowiczów.

Mimo to, leżąc w zaroślach pod domem Töllera, Daniel czuł, jak wali mu serce.

– Przepraszam, ale nie dam rady – powiedział w końcu.

– Co? – Z gardeł dwóch jego współników zgodnie dobył się zduszony krzyk.

– Musi być jakiś inny sposób.

– Zgodziłeś się – szepnął stanowczo Gerd.

– Wtedy nie wiedziałem, jakie to będzie trudne – odparł Daniel. W jego głosie pojawiła

się jakaś niepewna, płaczliwa nuta, co go mocno zirytowało.

– A co myślałeś? Że wyciągniemy czarodziejską różdżkę, powiemy abrakadabra i zamienimy go w słup soli? Zrobisz to, co ćwiczyliśmy, chłopcze. Koniec dyskusji.

Daniel nie cierpiał, kiedy Gerd mówił do niego „chłopcze”. Bibliotekarz miał trzydzieści sześć lat, a Gerd traktował go tak, jakby właśnie zaczął w piekarni Adamskich naukę zawodu.

– Nie – odparł Daniel. – Ja...

– Posłuchaj, nie możesz nam tego zrobić. Zaufaliśmy ci. Poza tym wszystko masz przećwiczone.

– Wiem, przepraszam, ale...

– Do diabła! Nie mamy czasu na takie bzdury. Weź się z łaski swojej w garść, chłopcze. Mój Boże, przecież nawet Romy albo Marlene mają w sobie więcej odwagi.

Bibliotekarz nie miał w zwyczaju odpowiadać opryskliwie, ale ponieważ Gerd był typem człowieka, z którym Daniel w innych okolicznościach nigdy w życiu nie usiadłby przy jednym stole, postanowił zrobić wyjątek. Zanim jednak zdążył otworzyć usta, wtrącił się trzeci z porywaczy, który był dużo sympatyczniejszy od piekarza i do tego kilka lat młodszy od Daniela, dzięki czemu w jego głosie nie pobrzmiwała ta nieznośna protekcyjnalna nuta.

– Jeśli się teraz wycofasz, wszystko przepadnie – powiedział Bodo. – Taka okazja się nie powtórzy. Rozumiesz?

Daniel próbował się opanować, ale bez powodzenia, i zamiast wziąć się w garść, wybuchnął płaczem.

– Cholera! – zaklął cicho Gerd. – Jeszcze zaczniesz zawodzić.

Bodo położył dłoń na ramieniu Daniela i w tym samym momencie drzwi, w które wpatrywali się od trzydziestu minut, nagle się otworzyły i zobaczyli Töllera. Mężczyzna stanął w progu, klepnął w kieszeń marynarki i wrócił do domu.

– Dasz radę? – spytał Bodo.

Ocierając łzy, bibliotekarz pokręcił głową.

– W takim razie musimy zrezygnować – powiedział Bodo, zwracając się do Gerda.

– Do diabła! – zaklął piekarz. – Gdybym was nie słuchał, wziąłbym dziadkowe parabellum, przystawił je Tölleroi pod nos. Potem bym go zapakował do wozu i gotowe. Ale nie! Szanowni państwo nie chcieli słyszeć o broni. Porywacze! Łatwiej byłoby zorganizować porwanie z buddyjskim mnichem i ostatnim wioskowym głupkiem.

– Ciii – syknął Bodo. – Wychodzi.

Dobra, zamknij oczy i zrób to!, powiedział sobie w duchu Daniel. *Już ja wam pokażę! Dam radę. Teraz albo nigdy. Już!*

Bibliotekarz zaciągnął głęboko na głowę kaptur, wyskoczył z zarośli i popędził po trawniku w stronę odwróconego plecami Töllera. Ten był już wprawdzie po sześćdziesiątce, lecz ze względu na jego posturę porywacze uznali, że najłatwiej będzie go obezwładnić, atakując z zaskoczenia, od tyłu.

Daniel miał za zadanie zarzucić Tölleroi na głowę worek na śmieci, aby ofiara nie widziała, kto ją zaatakował.

Bibliotekarz wykonał swoją część planu, jednak w tej samej sekundzie zorientował się,

że coś poszło niezgodnie z wyćwiczoną choreografią: Gerd nie chwycił Töllera za rękę, a Bodo nie zakleił ofierze ust. Daniel wyskoczył z zarośli tak niespodziewanie, że jego towarzysze zostali daleko w tyle i cały plan się posypał.

Poranną ciszę rozdarł krzyk Töllera – czy też raczej głośne westchnięcie – a gdy Gerd wreszcie go obalił na ziemię, dało się słyszeć cichy trzask. Bodo próbował zakleić usta Töllera, lecz spóźniony przylepił kawałek taśmy do worka, który natychmiast się zsunął i w ogrodzie rozległy się kolejne, lekko zduszone krzyki.

Gerd i Bodo robili, co w ich mocy, by opanować sytuację. Przycisnęli masywne ciało sześćdziesięciolatka do ziemi i próbowali mu spętać ręce. Znow coś trzasnęło.

Daniel stał jak wryty i tylko patrzył. Nie był w stanie się poruszyć.

– Cholera – zaklął Gerd szeptem, tak aby Töller nie rozpoznał jego głosu.

Bodo szybko zdjął kurtkę i owinął ją wokół głowy napadniętego, tłumiąc nieco jego krzyki, a potem skinął nerwowo na Daniela. Ten nie rozumiał, czego Bodo od niego chce, i musiało minąć jeszcze kilka cennych sekund, nim pojął, że ma ściągnąć wiatrówkę. Niestety był tak spanikowany, że przyciął suwakiem koszulę i nie był w stanie zdjąć kurtki.

Mocując się z zamkiem, bibliotekarz nagle spostrzegł, że również Gerd macha w powietrzu ręką, spoglądając na niego piorunującym wzrokiem.

Czego znow chcesz? Daj mi spokój. Nie chciałem w tym uczestniczyć, ale tak długo mi suszyliście głowę, że...

W końcu jednak Daniel zrozumiał. Gerd pokazywał na piętrzącą się pod ścianą domu stertę porąbanego drewna. Nie zastanawiając się, co też piekarz zamierza, Daniel podał mu jedną ze szczap, Gerd zaś uderzył nią w głowę Töllera.

Zapadła cisza.

W końcu.

Lecz cisza ta miała w sobie coś przerażającego.

– Czy on... Czy on... – bibliotekarz nie był w stanie dokończyć zdania.

Bodo, który najwyraźniej znał się na takich sprawach, szybko sprawdził puls Töllera.

– Żyje – powiedział, po czym spojrzał na Gerda. – Zwariowałaś? Mogłeś go zabić!

Piekarz z trudem wstał z ziemi. Był mniej więcej w tym samym wieku i tej samej postury co leżący u jego stóp mężczyzna.

– To wina tego cholernego głupka! – Spiorunował Daniela wzrokiem. – Wyskoczył bez słowa. Niby po co przez tyle dni wszystko ćwiczyliśmy, co? Skończony kretyn. Zaczekaj, niech no cię tylko...

– Dość tego, to nic nie da! Musimy go stąd zabrać i opatryć. Na pewno ma wstrząs mózgu.

Daniel był Bodowi niewymownie wdzięczny za to, że ten załagodził sytuację. Widząc purpurową twarz Gerda, bibliotekarz niemal narobił w spodnie. Z drugiej strony ulżyło mu, że już po wszystkim. Może nie poszło idealnie zgodnie z planem, ale koniec końców najważniejsze, że obezwładnili Töllera. To był najtrudniejszy punkt całej operacji. Od tej pory Daniel nie miał już wiele do roboty i mógł odetchnąć z ulgą. Jednak już w następnej chwili przeżył szok, bo kiedy Bodo ostrożnie zdjął worek z głowy Töllera, ich oczom ukazała się zakrwawiona twarz.

Bibliotekarz odruchowo zrobił krok w tył.

– O Boże! Tylko nie to! – Gwałtownie ukrył twarz w dłoniach, strącając sobie z nosa okulary.

Gerd jęknął.

– Co znowu?! Człowieku, ty jesteś... Cholera, nie chce mi się gadać. Masz rację, Bodo, to na nic.

Daniel nigdy nie mógł patrzeć na krew, gdyż natychmiast robiło mu się niedobrze, ale świadomość, że ta zakrwawiona twarz to po części jego dzieło, sprawiła, że poczuł się jeszcze gorzej.

Te sprzeczne uczucia były niczym uderzenia metronomu zmuszającego serce do gwałtownego bicia, toteż Daniel nie spostrzegł tego, że Bodo prowizorycznie opatrzył nieprzytomnego, ani nawet tego, że wspólnie z Gerdem we trójkę z trudem ułożyli Töllera na tylnej kanapie mercedesa. Bibliotekarz działał zupełnie bezwiednie, niczym lunatyk.

Podróż dłużyła się niemiłosiernie. Gerd, który zwykle prowadził bardzo dynamicznie, tego ranka jechał wyjątkowo spokojnie, tak aby nie zwrócić niczyjej uwagi. Zgodnie z planem nie odzywali się, aby Töller, który powoli wracał do siebie, nie mógł później zidentyfikować ich głosów. Z drugiej strony milczenie sprawiało, że podróż przebiegała w nieco upiornej atmosferze. Warkot silnika, stukanie kierunkowskazu, cichy szum klimatyzacji i od czasu do czasu ciche jęki rannego. Jechali soczyście zielonymi alejami, mijając pola, nad którymi krążyły ptaki, oraz kościelne wieże odcinające się na tle czystego błękitu nieba. Gerd przepuścił grupę rowerzystów z dziećmi, machając do nich przyjaźnie.

Daniel wziął się nieco w garść. Owinięty i skrupowany, Töller nie wyglądał już tak groźnie. Nie bronił się ani nie próbował uciekać. Ponieważ Bodo związał nogi porwanego w taki sposób, by ten mógł stawiać drobne kroczki, nie musieli go nieść, co zważywszy na jego posturę, znacznie ułatwiało sprawę. Na stromych kamiennych schodach, które w jednej trzeciej wysokości zakręcały, Töller się potknął, ale na szczęście zdołał odzyskać równowagę.

Prostokątne, mierzące mniej więcej cztery na pięć metrów pomieszczenie, w którym go zamknęli, było niemal zupełnie puste. Na podłodze leżał jedynie świeżo obleczonego materac, obok którego po jednej stronie stał wielki tekturowy kubek z wodą mineralną, a po drugiej – wiadro na nieczystości. Ruchy Töllera ograniczał ciężki, mniej więcej półtorametrowy łańcuch, z jednej strony przytwierdzony do osadzonego w ścianie stalowego kółka, z drugiej zaś zakończony obejmą na nodze więźnia. Gerd kupił ten łańcuch na pchlim targu w Rostocku i osobiście przymocował go do piwnicznej ściany.

Trzej porywacze przerwali milczenie dopiero, gdy opuścili piwnicę i weszli do salonu.

– No to najtrudniejsze za nami. Mamy go – powiedział Gerd. – Jeszcze tylko szybko wstawię mercedesa do garażu. Wszystko się dobrze skończyło, chociaż...

Piekarz urwał w pół słowa, lecz jego dwaj współnicy doskonale wiedzieli, do kogo odnosi się owo „chociaż”.

– Nie możemy go tam tak po prostu zostawić – zaproponował Bodo. – Facet ledwie się rusza. Nie da rady nawet sam się napić. Myślę...

– Na razie zaczekamy, aż ochłonie, a potem damy mu trochę więcej swobody – zdecydował Gerd. – Ty się w to, chłopcze, nie mieszaj, to moja działka. Ty masz inne zadanie i proponuję, żebyś jeszcze dziś zabrał się do roboty.

Podczas gdy Gerd i Bodo dyskutowali, Daniel spoglądał przed duże okno salonu na ogród. W dali, przez gęste gałęzie drzew i krzewów migotały wody laguny. W rzędzie brakowało jednego drzewa – brzozy, po której został tylko wystający kilka centymetrów nad ziemię pień. Na kawałku tej ściętej brzoźki przez kilka dni ćwiczyli porwanie Töllera.

– Nieszczęsne drzewo umarło na darmo – wyznał bibliotekarz. – Wszystko się potoczyło inaczej. Ta piękna, biedna brzoza umarła na próżno.

Gerd i Bodo wymienili znaczące spojrzenia, lecz Daniel nie miał pojęcia, co sobie pomyśleli. Być może uważali go za mięczaka, dziwadło w sandałach i lnianej koszuli, filozofa, który współczuje ściętemu drzewu. W gruncie rzeczy było mu obojętne, co o nim sądzą. W sumie nie miał z tymi analfabetami nic wspólnego. Jedyne książki, jakie posiadał Bodo, to *Cyfrowy świat jutra* i *Web 10.0*, przywalone stertą czasopism komputerowych. Z Gerdem było jeszcze gorzej, bo dla niego literatura była jak opos: wiedział, że coś takiego istnieje, ale ani jej nie widział na oczy, ani nie miał pojęcia, do czego służy.

Daniel wyszedł i ruszył pieszo do domu. Miał dwa kilometry, z czego drugą połowę przebiegł. Ilekroć miał się spotkać z Gerdem, Marlene i pozostałymi, mówił Jette, że idzie pobiegać.

Jego dom stał na końcu nowej, położonej na uboczu, spokojnej uliczki. Ilekroć go widział, czuł, że robi mu się ciepło na sercu. Kryty strzechą dach mienił się w porannym świetle, jakby pomalowano go ochrą, górne, łukowate okno było uchylone, malwy w ogródku cudownie kwitły. Na tle niskich chmur i zielonych łąk nowiusieńka wiejska chata wyglądała jak z pocztówki i gdy turyści zatrzymywali się, by ją sfotografować, Daniela przepełniała prawdziwa duma.

Po powrocie do domu zawsze wciągał głęboko powietrze. W środku delikatnie pachniało żywicą, jak latem w iglastym lesie. Od czasu do czasu cicho trzaskało świeże drewno. Jeśli chodzi o wystrój, to w chacie dominowały wiklinowe plecionki i jaskrawe sznurkowe chodniki – wszystko wybrane osobiście przez Jette. Wszędzie też stały kwiaty z ich własnego ogrodu, a na ścianach wisiały obrazki – również przedstawiające kwiaty. Było czysto, spokojnie i cicho. Na regale ustawiono wykonane sześć lat wcześniej ślubne zdjęcie Daniela i Jette. Bibliotekarz przez chwilę zatrzymał na nim wzrok. Pobrali się późno, gdy mieli już dzieci, a do tego wzięli jedynie ślub cywilny, gdyż Jette nie była specjalnie wierząca. On jednak chodził do kościoła i modlił się – głównie ze względu na dzieci.

Nie do wiary, pomyślał. Właśnie porwałem człowieka. Dokonałem przestępstwa.

– Cześć – rzucił krótko, widząc żonę.

Jette była zajęta smażeniem naleśników. W południe zamykała sklep na dwie godziny i przygotowywała obiad dla męża i dwójki dzieci. Przykładała do tego wielką wagę, więc i Daniel, jako kierownik miejskiej biblioteki, robił sobie przerwę, by zjeść wspólnie z rodziną.

Kiedy wszedł, jego córeczka siedziała na swoim różowym krzeselku nachylona nad stołem. Jette nauczyła ją już rozmaitych robótek ręcznych i Felicia z zapalem oddawała się pracy. Chociaż miała dopiero siedem lat, ozdabiała wszystko, co tylko wpadło jej w ręce, i szybko stała się małą artystką. W domu żartowali już, że pewnego dnia to Felicia będzie

projektować ubrania, które Jette sprzedaje w swoim sklepiku.

Mała jak zwykle zerwała się z miejsca, by uściskać ojca, a on wywinął nią młynka, na którego tak bardzo czekała. Daniel cieszył się tymi cudownymi chwilami, wiedząc, że już za kilka lat jego córeczce przestaną się podobać warkoczyki, śliczne piegi staną się jej utrapieniem, a różowy kolor zacznie przepęłniać ją wstrętem. Wtedy Felicia przestanie też czekać na tatę.

Daniel przez chwilę ścisnął mocno córeczkę w ramionach, delektując się każdą sekundą bliskości, po czym mała z dumą pokazała mu swoje ostatnie dzieło – haftowaną stokrotkę. Podciągnęła skarpetkę i zgrabnie niczym modelka wygięła nóżkę, a on z zachwytem klasnął i oboje wybuchli śmiechem. Przez moment był najszczęśliwszym tatą na świecie.

Zaraz jednak cień przesłonił mu ten cudowny świat. Zrozumiał, że nie ma odwrotu, gdyż tego ranka zrobili coś, czego nie da się cofnąć.

Wrzesień

I na uśmiechała się przez całą drogę z Wieck do Zingst, gdzie miała do załatwienia jeszcze jedną sprawę. Nuciała coś pod nosem, jak to czasem czynimy w piękny majowy dzień, gdy po miesiącach chłodu znów czujemy na skórze ciepłe promienie słońca. W rzeczywistości jednak lato się właśnie kończyło. Co prawda pogoda dopisywała i niektórzy sobie wmawiali, że jeszcze przez kilka tygodni będzie ciepło, lecz topniejący z dnia na dzień tłum turystów, coraz bardziej opustoszałe plaże i ścieżki oraz coraz czerwieńsze zachody słońca wyraźnie już zapowiadały to, co miało wkrótce nastąpić. Na myśl o jesiennych chłodach Ina poczuła dreszcz, lecz tego dnia nic nie było w stanie popsuć jej dobrego nastroju.

Przed Prerow wyprzedził ją jakiś oldtimer – jeden z tych przypominających rakiety kabrioletów – prowadzony przez mężczyznę z rozwianym szalem i skórzanymi rękawiczkami, któremu jak to zwykle bywa, towarzyszyła pasażerka w chuście à la Grace Kelly. Na kufrze widniała tabliczka: „Złot zabytkowych aut w Zingst”, a pod spodem aktualna data – impreza miała się odbyć w tę sobotę.

Dokładnie jak rok temu, pomyślała z uśmiechem Ina. Z tą różnicą, że wtedy minął ją stary motocykl z koszem. Ponieważ nie miała nic lepszego do roboty, spontanicznie ruszyła za nim i pojechała na złot. To była jedna z najlepszych decyzji w jej życiu – a na pewno od bardzo, bardzo dawna.

Wtedy bowiem poznała Bobby’ego. *Nie do wiary, jak ten czas leci*, pomyślała. *Nigdy bym nie powiedziała, że minęło już dwanaście miesięcy*.

Im bliżej była Zingst, tym więcej otaczało ją horchów, aston martinów, bugatti, a nawet trabantów. W swoim renault z 2010 roku czuła się jak intruz, dlatego i tym razem zaparkowała z dala od łąki, na której zebrały się motoryzacyjne dinozaury. Oczywiście było kilka garbusów, również cabrio, lecz dostrzegła tylko jeden bladobłękitny egzemplarz z białym składanym dachem. Dzięki temu szybko zlokalizowała Bobby’ego, który klęcząc, w skupieniu wycierał dekle od felg, choć te były tak czyste, że można by z nich spokojnie jeść. Nie zauważył Iny, która przez kilka chwil stała, przeglądając się w lśniącej masce, aż w końcu chrząknęła i powiedziała:

– Kiedy byłam nastolatką, marzyłam o tym, by przemierzyć garbusem całą Route 66, od Chicago do Los Angeles.

Dokładnie rok wcześniej wypowiedziała te same słowa, a gdy Bobby podniósł głowę i uśmiechnął się, pokazując plamkę oleju i dołeczki w policzkach, z miejsca się w nim zakochała.

Ku wielkiej radości Iny jej ukochany zrozumiał aluzję i również zrobił dokładnie to, co tamtego dnia: wstał i wyciągnął do niej dłoń. Dobiegał trzydziestki, więc był o dziesięć lat

młodszy od Iny, i miał wysportowaną, choć niezbyt atletyczną sylwetkę oraz sięgające ramion popielate włosy. Ponieważ jak na mężczyznę był niezbyt wysoki, a Ina jak na kobietę dość postawna, patrzyli sobie prosto w oczy.

– Route 66? I co, udało ci się?

– Niestety nie.

– A co byś powiedziała na przejażdżkę meklemburskimi alejami?

– Hmm... Teraz? Ale pan... to znaczy... nie chcesz zostać na zlocie?

– Człowiek żyje, kiedy oddycha, samochód, kiedy jeździ.

– Filozof.

– Ciekawe, ktoś już mi to kiedyś powiedział. Filozof-mechanik. Wtedy pracowałem jeszcze w warsztacie. No, chodź. Ten żuczek nie gryzie.

Parsknęli śmiechem i pocałowali się, kończąc to małe przedstawienie. Ina nigdy nie powiedziała Bobby'emu, że tamtego dnia zatrzymała się przy jego aucie, bo marząc o podróży drogą numer 66, zawsze miała przed oczami bladoniebieskiego garbusa cabrio z białym dachem. Z początku zataiła ten szczegół, żeby nie pomyślał, że bardziej niż na niego zwróciła uwagę na auto – co zresztą nie było prawdą – a potem już o tym nie myślała.

Często za to myślała o tym, że gdyby nie jej dziewczęce marzenia, nigdy by nie poznała tego cudownego mężczyzny.

Widząc, jak Bobby sadowi się za kierownicą, spojrzała zdumiona.

– Nie musimy robić wszystkiego dokładnie tak jak rok temu. To był taki żart.

– Dlaczego nie? Chodź, przejedziemy się.

Prawdę mówiąc, Ina wolała podziwiać garbusa, niż nim jeździć. Z zewnątrz auto lśniło w promieniach słońca niczym górskie jezioro, lecz w środku wyglądało tak, jakby od dwudziestu lat stało nieużywane w garażu. Na szczęście była to tylko zabawka na lato i na co dzień Bobby jeździł praktycznym polo.

Chcąc włączyć radio, Ina ostrożnie dotknęła pokrętki. Obawiała się, że może się doń przykleić, ale w życiu nie przyszłoby jej do głowy, że gałka zwyczajnie odpadnie.

– Ojej – jęknęła, patrząc na kawałek plastiku, który został jej w dłoni.

– Nie martw się, połóż tutaj. Jeśli chodzi o muzykę, to mam coś lepszego – powiedział Bobby, wyjmując z kieszeni dzinsów smartfona i podłączając go do gniazdka na desce rozdzielczej.

Po chwili rozległ się cudowny głos Elli Fitzgerald. Bobby zawsze powtarzał, że do przejażdżki garbusem najlepiej pasuje muzyka z lat pięćdziesiątych lub sześćdziesiątych.

Kiedy zjeżdżali z łąki, Ina czuła na sobie wzrok innych obecnych na zlocie kobiet. Znała to specyficzne spojrzenie. Między nią a Bobbym była wyraźna różnica wieku – widoczna tym bardziej, że on wyglądał kilka lat młodziej, niż wskazywała metryka, ona zaś, ze swym upodobaniem do klasycznej elegancji, wydawała się kilka lat starsza. Inie nie przeszkadzały te spojrzenia, ale je dostrzegała i była pewna, że Bobby również je zauważał.

Pojechali nad lagunę, a stamtąd wąskimi drogami i cudownymi alejami w głąb Meklemburgii. Dzień był słoneczny, ale ponieważ jechali z odkrytym dachem, Inie wkrótce zrobiło się chłodno, toteż Bobby podał jej swój sweter z kapturem. Sam był

ubrany w szorty i podkoszulek, ale najwyraźniej nie było mu zimno. Jego długie blond włosy falowały na wietrze tak samo jak czarne włosy Iny.

Przez chwilę milczeli, wsłuchani w wiatr i głos wielkiej Elli.

– Chodzi o pracę, prawda? – spytał w końcu Bobby.

Ina westchnęła w duchu, gdyż miała nadzieję, że jej przyjaciel niczego nie zauważył. Starła się ściśle oddzielać pracę od życia prywatnego, co w jej profesji jest szczególnie ważne, ponieważ trudno żyć, dźwigając na barkach brzemień cudzego cierpienia.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. Powiedz lepiej, o czym myślisz.

– Jest pewna kobieta – odpowiedziała Ina i zaraz się zawahała. Nie lubiła rozmawiać z Bobbym o swoich pacjentach. Kiedy się z nim spotykała, nie chciała być psychologiem, tylko po prostu kobietą.

– Aha, jest pewna kobieta... Rozumiem, to wszystko wyjaśnia – zażartował Bobby.

Ina walnęła go w ramię.

– Nie bądź bezczelny. Po prostu nie zwykłam rozmawiać o takich sprawach.

– Ja, zanim cię poznałem, nie zwykłem dwa razy w tygodniu sprzątać swojej kuchni, ale jakoś przywykłem. No więc? Co takiego szczególnego jest w tej kobiecie, że zaprosiła ją na naszą przejażdżkę?

Ina zebrała się w sobie i opowiedziała Bobby'emu o Marlene Adamski, oczywiście nie podając jej nazwiska ani adresu.

– To dla mnie trudna sprawa. W swoim gabinecie mogę się zajmować pacjentami przez dłuższy czas, ale w klinice towarzyszę im tylko przez kilka dni czy tygodni. Można powiedzieć, że przeprowadzam ludzi z powrotem na drugą stronę, z kliniki do normalnego życia. Jeśli trzeba, oddaję ich potem w ręce swoich kolegów, ale do tej pory miałam szczęście i szybko sama dochodziłam do sedna problemu.

– A w przypadku tej kobiety jest inaczej.

– Właśnie. Znajomi, którzy ją odwiedzali w szpitalu, zgodnie zapewniali, że byli w szoku, kiedy się dowiedzieli, że próbowała sobie odebrać życie. Nie miała żadnych powodów, by to zrobić. A przecież kiedy człowiek ma depresję, prędzej czy później ktoś to zauważy. Poza tym była zbyt aktywna jak na kogoś z depresją. Gdybyś wiedział, jak ta kobieta angażowała się w przeróżne akcje... Prawdziwa matka Teresa.

– Nie możesz jej przycisnąć?

– Jesteś cudowny... – Ina uśmiechnęła się i położyła dłoń na nagim kolanie Bobby'ego. – Jak sobie to wyobrażasz? Ludzie przychodzą do mnie porozmawiać, nie na przesłuchanie.

– A gdybyś jej dała kwestionariusz? Zaznacz, dlaczego chciałaś się zabić: a) nie mam kablówki, b) moje życie sprowadza się do tequili, c) mąż nie chce się ze mną kochać, d) nie układa nam się w łóżku, e)...

– Daj spokój, Bobby. Nie żartuj sobie – przerwała mu Ina, mimowolnie się uśmiechając. Jego poczucie humoru było zaraźliwe i nie potrafiła mu się długo opierać. Zresztą wcale nie chciała.

– Oczywiście można zaznaczyć kilka odpowiedzi – kontynuował Bobby jakby nigdy nic. – Moim zdaniem brak seksu i kablówki to prawdziwe piekło. A kiedy jeszcze się

skończy alkohol...

– Przestań – krzyknęła Ina, zanosząc się śmiechem.

– Hej, jestem facetem psycholożki, wiem, o czym mówię. Jesteś po prostu zazdrosna, bo sama nie wpadłaś na pomysł z kwestionariuszem.

Ina oparła głowę na ramieniu Bobby’ego. *Facet psycholożki, ładnie powiedziane*, pomyślała. Nie pobrali się, nawet o tym nie rozmawiali. Dla niego instytucja małżeństwa nie miała żadnego znaczenia, a ona nie chciała naciskać. Być może pewną rolę odgrywała również różnica wieku. Ina niechętnie się do tego przyznawała, ale sama jeszcze nie do końca się z tym faktem oswoiła. Bobby był pełen młodszej energii, czasem wręcz rozbrykany. Za kilka miesięcy miał skończyć trzydzieści lat – a ona czterdzieści. Może to tylko liczby, a może nie. Tak czy siak godzina spędzona w jego towarzystwie, w kabriolecie czy gdziekolwiek indziej, dawała jej siłę na cały tydzień. *Nie najgorszy fundament dla związku*, stwierdziła w duchu.

Dwa dni później, w drodze do domu Adamskich, przypomniała sobie żartobliwy pomysł z kwestionariuszem. Oczywiście coś takiego nie wchodziło w grę. Kablowka i tequila, myślałby kto! Mimo to dobrze było spojrzeć na sprawę z dystansem i myśląc o propozycji Bobby’ego, Ina przez całą drogę mimowolnie się uśmiechała. Gdy jednak dotarła na miejsce, ponownie uświadomiła sobie, jak trudne ją czeka zadanie.

Nacisnęła dzwonek przy drzwiach i po chwili zza domu dobiegł głos Marlene:

– Tutaj, w ogrodzie.

Gospodyni spoczywała na leżaku w pozycji półsiedzącej, wpatrując się tępo w pniak pozostały po wyciętej brzozie. Kiedy Ina podeszła bliżej, pacjentka spojrzała na nią, lecz terapeutka nie dostrzegła na jej twarzy żadnej reakcji. Zupełnie jakby Marlene zobaczyła zabłąkanego kosa. Już po chwili jej uwagę znowu pochłonął pieniek.

Ta kobieta była prawdziwą zagadką – do tego stopnia, że Ina nie miała nawet pojęcia, czy jest tu mile widziana, czy wręcz przeciwnie.

Terapeutka bez słowa wzięła jedno z ogrodowych krzeseł i usiadła pomiędzy Marlene a przedmiotem jej zainteresowania.

– Myślę, że powinniśmy dzisiaj porozmawiać o czymś, co sprawi pani przyjemność. Proszę zaproponować temat.

Gospodyni spojrzała ze zdziwieniem na swą rozmówczynię, co Ina uznała za mały sukces.

– Proszę – dodała zachęcająco psycholożka.

Marlene milczała.

– Wypieki, buddyzm, Erich Honecker, wzdęcia – podpowiedziała Ina.

Pacjentka uśmiechnęła się leciutko. Kolejny sukces. W końcu Ina sama zaproponowała temat rozmowy:

– Ma pani piękny domek.

– Podoba się pani? Włożyliśmy w niego mnóstwo pracy.

– Leży nieco na uboczu.

– Tak, tutejszy grunt nie nadaje się pod budowę. To, że udało się zbudować tę chatę, zawdzięczamy nazistom. Nasz piękny domek, jak go pani nazwała, stoi mianowicie na bunkrze. Dość ponura wizja, prawda?

Ina pomyślała, że jej podopieczna najwyraźniej straciła wrażliwość na obecne w świecie dobro i skupia się całkowicie na negatywach.

– Co pani powie na krótki spacer? Chodźmy nad wodę – zaproponowała terapeutka, wyciągając rękę.

Marlene ujęła dłoń Iny i wstała. Z domu Adamskich prowadziła nad lagunę stroma, kręta i na wpół zarośnięta ścieżka, ale po minucie panie dotarły do celu. Niewielka zatoczka miała mniej więcej pięćdziesiąt metrów szerokości i była usiana kępami trzciny, między którymi brykało wodne ptactwo. Wąską, piaszczystą plażę pokrywały świeże i wyschłe wodorosty, rozsiewając słonawy zapach. Za ledwie krok od wody, która drobnymi falami liżała brzeg, stały dwa drewniane leżaki. Najwyraźniej od dawna nikt z nich nie korzystał.

– Należą do państwa? – spytała Ina, na co Marlene skinęła głową.

Prowizorycznie przetarły siedziska chusteczkami higienicznymi i usiadły. Zrobiły coś wspólnie, co w przypadku zamkniętych w sobie pacjentów jest szczególnie ważne, gdyż tworzy poczucie wspólnoty.

Przez minutę siedziały w milczeniu, obserwując perkoza, który nieco dalej czyścił sobie piórka.

W końcu Ina powtórzyła:

– Wypieki, buddyzm, Erich Honecker, wzdęcia...

Marlene znów się uśmiechnęła, lecz nie odpowiedziała.

– Tak tu spokojnie – ciągnęła terapeutka. – Wyobrażam sobie, że jesienią, pod kocem, ze szklaneczką grogu, musi tu być bardzo przyjemnie. Zwłaszcza kiedy słońce znika w wodach laguny...

– Słońce zachodzi po drugiej stronie.

Słońce zachodzi po drugiej stronie. Nie było to jakieś wiekopomne zdanie, na pewno nie bardziej niż *Tutaj, w ogrodzie*, ale Ina wiedziała, że w przypadku tej pacjentki trzeba się cieszyć z każdego, najdrobniejszego sukcesu.

Uśmiechnęły się. Psycholożka doskonale wiedziała, gdzie zachodzi słońce, a pani Adamski szybko przejrzała podstęp.

– Kiedyś często tu przychodziliśmy – odezwała się wreszcie Marlene. – Właściwie codziennie, jeśli tylko pozwalała pogoda. Laguna, półwysep, morze, to był nasz mały świat, nasz azyl... Żyliśmy jak w jakiejś bańce. Mój mąż i ja nie mieliśmy dzieci, ale dobrze było nam razem. Byliśmy sobie bardzo bliscy. Wtedy nie rozmawialiśmy o podróżach, innych miejscach. Takie marzenia były nam obce. Dopiero później zaczęłam...

Ina przez chwilę poczuła się tak, jakby Marlene na jej oczach składała do grobu swą wielką miłość. A potem, pośród ciszy, która nagle zapadła, w terapeutce zrodziło się przypuszczenie, że miejsce tej miłości mogło zająć inne marzenie.

– Teraz rzadko tu przychodzimy – dodała po chwili Marlene. – Wszystko się skończyło...

– Wszystko?

Pani Adamski spojrzała na terapeutkę, co ta uznała za potwierdzenie.

– Nasze życie długo kręciło się wokół piekarni. O niczym innym nie rozmawialiśmy. Widzi pani, z początku musieliśmy walczyć o przetrwanie, a kiedy już stanęliśmy nieco na nogi, dalej walczyliśmy, z przyzwyczajenia.

– Rozmawiała pani o tym z mężem?

– Cóż, mogłabym się usprawiedliwić, stwierdzić, że z Gerdem nie da się rozmawiać o uczuciach. Bo to prawda. Ale szczerze mówiąc, nawet nie próbowałam. Nie zrobiłam nic, bo to wszystko stało się tak powoli. Ulotniło się, wyparowało i w pewnym momencie okazało się, że w wiadrze została już tylko połowa wody. Kiedy to zauważyłam, powiedziałam sobie: to nic takiego, została jeszcze połowa. W końcu dobiliśmy do sześćdziesiątki i uznałam, że dalej tak być nie może, że musi być coś więcej, jakieś wielkie wzruszenia, elegancka kolacja w Ritzu albo w Adlonie, przygoda, safari, cokolwiek...

Nagle urwała, a po kilku sekundach westchnęła:

– Cóż...

Znów zapadło milczenie, a potem pani Adamski stwierdziła, że chce wracać do domu.

Idąc za swą podopieczną, Ina próbowała uporządkować myśli. To, co Marlene powiedziała, nie było niczym niezwykłym. Pacjenci często mówią podobne rzeczy. Miliony ludzi odczuwają głęboką pustkę. Niektórzy z nich nie podejmują nawet próby jej zapełnienia, tylko oddają się bezsensownym czynnościom – godzinami sprzątają mieszkanie albo wpatrują się w ekran telewizora. Pani Adamski rzuciła się w wir działalności społecznej, co było dużo sensowniejszym zajęciem, prawdopodobnie snuła też plany na bliską już emeryturę.

Jednego wszakże Ina nie rozumiała: przecież nic nie stało na przeszkodzie, by Marlene mogła te wszystkie marzenia zrealizować.

Gdy wyłoniły się spośród zarośli i ruszyły w stronę domu, psycholożka spostrzegła, że w jednym z okien na piętrze poruszyła się firanka. Ktoś je stamtąd obserwował. Może Gerd Adamski, który z jakiegoś powodu traktował terapeutkę żony z nieskrywaną niechęcią.

– Czy pani mąż wrócił już z pracy?

– Nie, wraca dopiero o trzeciej.

– Więc ma pani gości?

– Nie, jestem w domu sama.

– W takim razie musiało mi się przywidzieć. Myślałam...

– Do widzenia, pani Bartholdy.

– Och, prawdę mówiąc, mam jeszcze trochę czasu.

– Ale ja nie mam.

Inie zdarzali się od czasu do czasu pacjenci, którzy nieco się różnili od pozostałych. Oczywiście każdy przypadek jest inny, a każdy pacjent na swój sposób wyjątkowy, i to był jeden z powodów, dla których postanowiła studiować psychologię. Wiedziała, że człowiek to najbardziej skomplikowana i najtrudniejsza do zgłębienia istota na Ziemi. Ludzie

bowiem w każdym położeniu i w każdej sytuacji odczuwają, działają i reagują w najrozmaitszy sposób. Jedni szukają po ciosie pocieszenia u przyjaciół, inni zakopują się w łóżku albo sięgają po butelkę lub broń, zwracają się ku Bogu albo ku ludziom, skaczą z balkonu, zostają duszpasterzami albo sutenerami. Jedni w obliczu tragedii upadają, innych każde cierpienie wzmacnia. W matematyce jeden plus jeden zawsze daje dwa, w psychologii zaś rezultat może być za każdym razem inny. I to jest w niej najbardziej fascynujące.

Zdarzali się jednak pacjenci, którzy stawiali przed Iną więcej pytań niż inni jej podopieczni. Terapeutka instynktownie wyczuwała, że kryje się w nich jakaś głębsza warstwa, którą w uproszczeniu można by określić mianem „tajemnicy”. Ina nazywała ich „poszukiwaczami Świętego Graala”, gdyż szukali w psychologii wybawienia, a zarazem jakiś zagadkowy wewnętrzny opór nie pozwalał im tego wybawienia znaleźć. Wołali o pomoc, a zarazem zakrywali usta dłonią, by nikt ich nie usłyszał. Potrzebowali terapeuty, ale w głębi duszy czuli przed nim strach, dlatego nie byli do końca szczerzy.

W tamtym czasie Ina miała pod opieką dwoje takich „poszukiwaczy”. Jednym z nich była Marlene, drugim Christopher. Chłopak miał piętnaście lat i musiał sobie poradzić z ciężkim ciosem. Rok wcześniej jego matka zaginęła bez śladu, a policja nadal nie była pewna, czy stało się to w wyniku przestępstwa, czy też kobieta zniknęła z własnej woli. Oficjalnie śledztwo prowadzono w różnych kierunkach.

Kiedy po powrocie od Marlene Ina otworzyła drzwi poczekalni, przeżyła zdumienie, bo oprócz umówionego pacjenta zastała w niej swoją córkę. Stefanie była rówieśnicą Christophera i najwyraźniej świetnie się dogadywali.

- Stefanie! Co ty tutaj robisz?
- Piękne powitanie! Miło, że się tak ucieszyłaś na mój widok. Minęło sześć tygodni.
- Oczywiście, że się cieszę, ale... Nie masz dziś szkoły?
- Nie. Możemy pogadać?
- Czy twój ojciec wie, że tu jesteś?
- Spytałam, czy możemy pogadać.
- Ale... mam teraz sesję z Christopherem, którego jak widzę, zdążyłaś już poznać.
- W takim razie zaczekam, aż skończycie.
- Ale my wychodzimy na rowery. Christopher, czy miałbyś coś przeciwko, gdybym przed wyjściem przez chwilę porozmawiała ze Stefanie?
- Nie ma sprawy.

Kiedy tylko Ina zamknęła drzwi, dziewczyna przewróciła oczami i powiedziała:

- Nie wierzę, wychodzisz z pacjentami na rower? Ich miejsce jest na kozetce.
- Terapia behawioralna przebiega trochę inaczej.
- Moim zdaniem to chore. A właściwie... co mu dolega?
- Wiesz, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Wróćmy raczej do ciebie. Co się dzieje?
- Rzuciłam szkołę i chcę spędzić kilka tygodni nad morzem.
- Co zrobiłaś...?

Stefanie opadła na sofę i zarzuciła włosami, które niczym aureola rozsypały się na oparciu wokół jej głowy. Ina zauważyła, że jej córka nieco przybrała na wadze – właściwie

trochę bardziej niż „nieco”. Przede wszystkim zrobiła się szersza w biodrach i udach, a obcisłe dzinsy dodatkowo to podkreślały.

– Chcę zostać asystentką weterynarza, a do tego nie potrzeba matury.

– Bzdura. Poza tym sześć tygodni temu chciałaś zostać graficzką komputerową. Zaprojektowałaś nawet nadruki na dzinsy, które właśnie masz na sobie. Moim zdaniem wyglądają świetnie, bardzo oryginalnie. Masz talent, wiesz?

– Mamo, nie komplikuj. Nie chcę już chodzić do tej głupiej szkoły. Poza tym nie masz nic do gadania. Już dawno nie masz pojęcia, co się u nas dzieje. Nie dość, że zostawiłaś tatę, to jeszcze musiałaś się wyprowadzić ze Schwerinu.

Ina kilka lat wcześniej rozwiodła się z ojcem Stefanie, czego ta nigdy nie zaakceptowała, choć jej rodzice rozstali się z zgodzie. Dziewczyna od początku uparła się, że zamieszka z ojcem.

– Po pierwsze to dla ciebie bardzo wygodne, że się przeniosłam na wybrzeże, bo inaczej nie mogłabyś tu spędzać wakacji. A po drugie to ty powiedziałaś, że nie chcesz mnie widzieć częściej niż raz w miesiącu. Bardzo mnie wtedy zraniłaś.

– No to w takim razie teraz jestem tutaj i możemy się widywać częściej. Nie rób scen!

– Chodzi o twoją przyszłość.

– Właśnie. O moją przyszłość. I spędzę następny tydzień tutaj. A teraz jedź na tę swoją wycieczkę. Dostanę w tej dziurze coś oprócz śledzi? Umieram z głodu.

Po rozmowie ze Stefanie Inie trudno było się skupić na Christopherze. Chłopak zaproponował, by pojechali nad wodę. Zaoferował Inie rower swej matki, lecz terapeutka, ma się rozumieć, odmówiła, ponieważ pod żadnym pozorem nie chciała zajmować miejsca zaginionej matki Christophera. Chłopak mógłby to niewłaściwie odczytać, dlatego wybrała rower jego ojca.

Nie pojechali daleko – zaledwie kilka kilometrów, na Hohe Düne. Wbrew swojej nazwie¹ wydma miała zaledwie trzynaście metrów wysokości, lecz rozpościerał się z niej wspaniały widok. Z drewnianej platformy widać było białe wydmy, trzciny, naturalne kanały i morze – aż do wyspy Hiddensee. Na wieży widokowej byli jeszcze dwaj wielbiciel ptaków z lornetkami, lecz nie przeszkadzali Inie i Christopherowi w rozmowie.

– Niedługo żurawie będą tędy wracać na południe – powiedział chłopak. – Może jutro, a może za tydzień lub dwa, nigdy nie wiadomo. Po prostu pewnego dnia nagle się zjawiają. Obserwowaliśmy je każdej jesieni, odkąd byłem malutki. Czasem przyjeżdżaliśmy tutaj dwa, trzy razy w tygodniu.

Christopher umilkł, a Ina miała wrażenie, że czyta w jego myślach. W tym roku nie przyjechał tu z matką. I być może już nigdy z nią tutaj nie przyjedzie.

– Widzi pani tego ptaka? – zawołał chłopak, wskazując na kępę dzikiego owsa, gdzie małe pisklę odważnie skakało z wiechy na wiechę. – To trzciniak.

– Łał! Nawet go nie zauważyłam, a tym bardziej nie mam pojęcia, jak się nazywa. Interesujesz się ornitologią?

– Tutaj każdy zna się na ptakach.

– W twoim wieku?

– Prawi mi pani komplementy, żeby mnie zachęcić do mówienia?

Ina uznała, że chłopak jest jak na swój wiek wyjątkowo dojrzały.

– Nie każdy komplement mówi się z wyrachowania – odpowiedziała spokojnie, po czym zmieniła temat: – Przesłuchałeś płytę, którą ci dałam?

– Tak, jest świetna.

– I co? Spróbowałaś?

– Jasne.

Ina zaproponowała Christopherowi ćwiczenia relaksacyjne, podczas których pacjent może się przenieść myślami w jakieś bezpieczne miejsce. Sam decyduje, co to za miejsce, jak ono wygląda, jaka w nim panuje temperatura, jakie wypełniają je zapachy i dźwięki. Dzięki temu może stawić czoła dręczącym go koszmarom. W ostatnim roku Christopher bardzo się opuścił w nauce – w sumie nic dziwnego, skoro na każdym kroku słyszał plotki o swojej matce. Jedni mówili, że uciekła z jakimś facetem, inni, że z powodu ogromnych długów przeniosła się do Tajlandii, a jeszcze inni twierdzili, że w jej zniknięcie zamieszany jest ojciec chłopaka. Dla Christophera było to ogromne obciążenie. Młodsza od niego o siedem lat siostra najwyraźniej radziła sobie z tym dużo lepiej, co – jakkolwiek dziwnie to zabrzmiało – dodatkowo gnębiło chłopaka.

– To dobrze. Przedwczoraj miałaś urodziny, prawda? Jak było?

– Do dupy. Wszyscy znajomi uznali, że muszą mnie jakoś pocieszyć, więc nasłuchałem się tekstów w stylu: *Tvoja mama na pewno wróci* albo: *Głowa do góry, Chris, zobaczysz, że wszystko się jeszcze ułoży*. Naprawdę nie mogli się zamknąć? Przez cały rok o tym nie rozmawiamy, gramy w piłkę albo w squasha... Zresztą nieważne! Przyjechałem tutaj i próbowałem wypatrzeć walenia. Ale zanim pani zada pytanie w stylu: *I co? Udało ci się?*... Nie chcę rozmawiać o swoich urodzinach.

– W porządku. Więc o czym chcesz rozmawiać?

– Nie mam pojęcia. Niech pani coś wymyśli. Może o tym, dlaczego ostatnio wytrąciłem siostrze z ręki lody? Ojciec na pewno pani o tym mówił, prawda? Felicji nie wolno jeść lodów, jasne? Od lat jesteśmy weganami. Wie pani, co to znaczy?

– Tak.

– No więc lody nie są wegańskie. Nie ma wyjątków. Tak nam mówiła mama. Nie ma wyjątków – powtórzył Christopher. – Ojciec jest za miękki. Niczego nie traktuje poważnie. Przeklęty zdrajca.

Ina przypomniała sobie, że podczas jej ostatniej wizyty w domu Christophera na kuchennym stole stały ciasteczka. Ojciec chłopaka zjadł jedno, dlatego Ina doszła teraz do wniosku, że weganką musiała być matka Christophera, bo przecież ośmio- czy dziewięcioletnie dziecko samo nie wpadłoby na pomysł, że nie należy jeść lodów, kakao czy majonezu. Niektóre dzieci wyrzekały się ich łatwiej, innym przychodziło to z większym trudem, natomiast niezmiernie rzadko się zdarzało, żeby stawały się żywieniowymi stróżami swoich rodziców, jak to miało miejsce w przypadku Christophera. To by oznaczało, że chłopak nadmiernie identyfikował się z tym, co wpoila mu zaginiona matka, gdyż prawdopodobnie w ten sposób czuł jej bliskość. Jednak stanowczość, z jaką stał na straży wpojonych przez nią zwyczajów, nasuwała również nieco inne podejrzenia.

– Christopher, twoja mama nie zniknęła dlatego, że ktoś z waszej rodziny przestał być weganinem.

Chłopak zacisnął szczęki.

– Więc pani też mnie uważa za zdrajcę, tak?

– Po pierwsze, nie nazwałabym tego zdradą, a po drugie, to nie ma znaczenia, kto co zjadł. Twoja mama nie zniknęła z tego powodu.

Christopher w głębi duszy wiedział, że Ina ma rację, lecz zaakceptowanie jej słów przyszło mu z ogromnym trudem.

– Więc dlaczego, co? Pani nic nie wie. Krąży pani po omacku, a kiedy natrafi na coś twardego, zaraz krzyczy: *Znalazłam*. Po to pani tyle lat studiowała? Ojciec nie powinien był do pani w ogóle dzwonić. Zrobił to, bo jest zwykłym niedołęgą.

– Jest niedołęgą, bo kocha swojego syna i chce mu pomóc?

– Nie. Bo pozwolił, żeby mama... – Christopher urwał w pół słowa.

– Żeby twoja mama zniknęła – dokończyła za niego terapeutka. – Uważasz, że to jego wina? Nigdy o tym nie wspomniałeś.

– Ona nie zniknęła, tylko nie żyje.

Słowa chłopaka sprawiły, że Ina przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Być może masz rację – stwierdziła w końcu.

– Nie być może, tylko na pewno.

– Czy... Masz takie przeczucie czy to coś więcej?

Chłopak nie odpowiedział, tylko bez słowa zszedł z wieży, Ina zaś podążyła za nim. Na dole Christopher grzecznie zaczekał, aż terapeutka wsiądzie na rower, i ruszył z powrotem.

Po kilkuset metrach niespodziewanie zahamował i spojrzał na Inę.

– Niczego nie zjadłem. Niech sobie to pani dokładnie zapisze w tym swoim kajeciku.

Terapeutka miała ochotę odpowiedzieć, że to nie ma znaczenia, co zapisuje w swoim notesie, bo i tak nikt oprócz niej do niego nie zajrzy, ale uznała, że nie ma sensu o tym mówić. Christopherowi zależało na tym, by wszyscy – łącznie z nim samym – uznawali go za idealnego syna.

– Dobrze, tak zapiszę – odpowiedziała Ina.

Chłopak przez kilka sekund patrzył na nią badawczo, po czym najwyraźniej wziął jej słowa za dobrą monetę. Właśnie zamierzał ruszyć dalej, gdy psycholożka spytała:

– Kiedy mówisz, że twoja mama nie żyje, sugerujesz, że została zamordowana. W ten sposób pośrednio oskarżasz swojego ojca. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Chłopak nic nie odrzekł, lecz instynkt znów podpowiedział Inie, że Christopher coś ukrywa. Tylko co? I dlaczego?

– Wiesz, że policja sprawdziła twojego ojca i przeszukała wasz dom, ale nie znalazła niczego podejrzanego, prawda? Więc co cię skłania do twierdzenia, że...

– Po czyjej pani jest stronie? – przerwał jej chłopak.

Ina przez chwilę się zawahała.

– Po niczyjej. Nie jestem adwokatem, tylko psychologiem. Moi pacjenci są...

– Nieważne – znów przerwał jej Christopher i ruszył przed siebie.

Czternaście miesięcy wcześniej

Kiedy Marlene otworzyła okno i poczuła na twarzy chłodną bryzę, głęboko wciągnęła świeże powietrze. Zapach laguny, owa mieszanina soli i trzciny, od czterdziestu lat stanowił nieodłączną część jej życia. Wychowała się w mieście, dlatego gdy z powodu Gerda przeprowadziła się na Darss, bała się, że nigdy się tutaj nie zadomowi. A potem, już pierwszego ranka po przyjeździe na półwysep, obudziła się, poczuła ten zapach i zrozumiała, że chce tutaj zostać na zawsze. Czasami była tak zajęta albo zmęczona, że przez długie tygodnie nie chodziła nad morze, lecz mimo to wciąż czuła jego obecność. A kiedy było jej źle, szła na spacer, stała na brzegu, zamykała oczy i wsłuchiwała się w krzyk mew, pluskanie wody, szum wiatru. Potem otwierała oczy i troski znikwały.

Może powinnam tam pójść?, pomyślała. Chociaż na chwilę?

Wzdrygnęła się, słysząc trzask. Romy zabiła wielką muchę i splukała ją w zlewie, po czym wróciła do pracy. Starannie kroїła kiwi w równiutkie plasterki. To Marlene, ucząc dziewczynę zawodu, wpoїła jej, że należy się w pełni koncentrować na tym, co się robi. Wcześniej Romy była zupełnie bezużyteczna.

Mając piętnaście lat, przyszła do nich ze świadectwem szkolnym, na którym najczęściej powtarzało się słowo „dostateczny”, przy czym Marlene była pewna, że wielu nauczycieli wystawiło dziewczynie taką ocenę z litości. Romy posiadała najgorsze świadectwo ze wszystkich kandydatek, nie umiała liczyć, a do tego miała dwie lewe ręce i problemy z ortografią. Gerd stanowczo zaproponował: „Nie, tylko nie ona. Wykluczone”. Jednak Marlene zauważyła, że to biedne dziecko – bo Romy faktycznie była jeszcze dzieckiem – potrzebuje kogoś, kto mu poda pomocną dłoń. Na rodziców Romy nie mogła liczyć, bo ci mieszkali gdzieś nad jeziorem Müritz i rozmawiali z córką tylko wtedy, gdy czegoś od niej potrzebowali.

Pani Adamski wzięła na siebie brzemię wychowania dziewczynki i przyjęła Romy na naukę zawodu, aczkolwiek długo jej nie dopuszczała do kasy. Zaryzykowała dopiero, gdy Gerd kupił nowy model, który pokazywał, ile należy wydać reszty. Poza tym jednak „Mała”, jak często ją nazywała Marlene, okazała się dobrą pracownicą. Nie chorowała, nie obijała się, była miła dla klientów i nie plotkowała. Oczywiście, pracowała wolniej od innych, a jej fioletowe kosmyki i nieodłączna guma do żucia nie wzbudzały zachwyty starszych klientów, lecz z czasem nawet Gerd zauważył, że wielką zaletą młodej pracownicy jest sumienność i niezawodność.

– Gotowe – powiedziała Romy. Na jej twarzy, jak zawsze po skończonej pracy, pojawił się taki uśmiech, jaki zapewne rozjaśniłby twarz Syzyfa, gdyby w końcu udało mu się wtoczyć kamień na górę. – Kto dzisiaj do niego idzie?

Marlene przez moment zastanawiała się, co Romy ma na myśli, gdyż zaprzątnięta myślami zapominała, co się wokół niej dzieje, w jakich okolicznościach poznała Daniela

i Boda, dla kogo „Mała” przygotowała kiwi i dla kogo gotuje się jedzenie na kuchni. Zapomniała, że w jej piwnicy jest więzień.

– Rozstrzygniemy to tak jak wczoraj – westchnęła Marlene.

Zagrały w „kamień, nożyce, papier”. Oczywiście był to pomysł Romy.

– Mój papier owija twój kamień! – zawołała dziewczyna.

Rozegrały trzy rundy, jak w amatorskim boksie, i tak jak poprzedniego dnia wygrała Romy. Do tej gry miała prawdziwy talent. Marlene w zadumie patrzyła, jak jej „Mała” przygotowuje tacę z posiłkiem oraz nalewa sok pomarańczowy i wodę.

– Nie, nie do szklanek – powiedziała pani Adamski. – Do papierowych kubków.

– Przepraszam, zapomniałam.

– Nie szkodzi. To na wszelki wypadek, żeby nie... – urwała Marlene, gdyż wypadło jej z głowy, o jakim to „wypadku” wspominał Gerd.

Romy przelała zawartość szklanek do papierowych kubków i szybko starła uronioną przypadkiem kropelkę.

– Gotowe – powiedziała, raz jeszcze sprawdzając, czy o niczym nie zapomniała. Właśnie wzięła tacę w ręce, gdy otworzyły się drzwi i do środka wszedł pan Adamski.

– Co słyhać u moich miłych pań? Piekarnia dziwnie bez was wygląda. Jakby czegoś w niej brakowało.

Jacyż różni bywają ludzie, pomyślała Marlene. Kiedy w ciągu dwóch ostatnich dni wychodziła z domu, po powrocie natychmiast pytała, czy wszystko w porządku – i każdy wiedział, co ma na myśli. Jej mąż natomiast nigdy o to nie pytał. Zamknął Töllera w piwnicy, przykuł łańcuchem do ściany i tyle. Od tej pory więźniem miały się zajmować kobiety.

– Och, już kolacja? – zdziwił się Gerd.

– To nie dla nas – odparła Marlene.

Gospodarz sceptycznie spojrzał na tacę.

– Sałatka pomidorowa, gulasz z kluskami, kiwi... Marlene! Przecież to nie hotel.

– Nie widzę powodu, by serwować kiepskie jedzenie.

Pani Adamski zauważyła, że ani ona, ani jej mąż nigdy nie wymienili nazwiska Töllera. Mówiąc o nim, jakby go omijali.

– Witaminy są bardzo ważne, zwłaszcza jak się nie wychodzi na słońce – wyjaśniła Marlene, na wszelki wypadek przemilczając fakt, że do sałatki dodała oleju lnianego, który jest bogaty w kwasy omega-3, a kluski zrobiła własnoręcznie, co zajęło jej całą godzinę.

– Jak sobie chcesz – mruknął Gerd. – W końcu to tylko parę dni.

– Na szczęście. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie będzie po wszystkim.

W ostatnim czasie Marlene trudniej przychodziło schodzenie kamiennymi schodami do piwnicy niż wspinanie się nimi z powrotem na górę. Już samo wkładanie kaptura, w którym wyglądała jak członek Ku Klux Klanu, sprawiało, że ścisnął jej się żołądek. Kaptur, biały obszerny płaszcz, rękawiczki i śniegowce, by więzień nie mógł dostrzec nawet skrawka jej ciała – z wyjątkiem oczu. Aby Töller nie mógł im się dokładniej przyjrzeć, w piwnicy świeciła się jedynie słaba żarówka.

Ileokroć Marlene otwierała drzwi lochu, czuła ukłucie w sercu. Przykuty do ściany więzień wyglądał żałośnie. Miał wolną tylko jedną rękę, by móc samodzielnie jeść, pić

i załatwiać potrzeby do wiadra, a spętane nogi pozwalały mu na niewielki zakres ruchu – mógł wstać i zrobić kilka kroków, w promieniu najwyżej dwóch metrów od ściany. Aż dziw, że mógł w ogóle zasnąć. A musiał spać, bo na jawie dręczył go śmiertelny strach. Marlene próbowała go uspokoić, pokazując kartony, na których przyklejono wycięte z gazet litery, ułożone w dwa komunikaty: „NIc CI nIe groZi” i „Nie sTaniE CI się nic złEGo”. Na próżno. Napisy wyglądały złowrogo – niczym komunikat terrorystów. Marlene najchętniej pocieszyłaby pana Töllera słowami i uwolniła go z więzów, ale nie mogła pozwolić, by usłyszał jej głos, ani ryzykować, że ją zaatakuje i zerwie jej z głowy kaptur.

Gdy weszła do środka, więzień leżał na materacu, a kiedy podsunęła mu tacę, tak aby mógł po nią sięgnąć, natychmiast się poruszył. Próbował wstać. Masywne ciało, które nawet w normalnych okolicznościach było sporym obciążeniem, teraz stanowiło prawdziwy problem. Töller nie był w stanie dźwignąć się na kolana. Raz po raz zasapany upadał z jękiem na materac i próbował się przeturlać na swoim gruszkowatym brzuchu. Chociaż jego wysiłki wyglądały komicznie, niczym żywcem wyjęte z filmów o Flipie i Flapie, Marlene nie było do śmiechu. Kusiło ją, by go wziąć pod ramię, ale miała w pamięci stanowczą przestrożę męża: *Nie zbliżaj się do niego. Jeśli się dowie, kto go porwał, będzie po sprawie i wszyscy trafimy za kratki.*

Gerd miał rację. Poza tym Marlene myślała sobie, że odrobina cierpienia nie zaszkodzi Töllerowi. Kiedy sobie przypominała, co ona i inni musieli przez niego wycierpieć... Mimo to ulżyło jej, gdy zobaczyła, że guz na jego czole się zmniejszył, a cios zadany przez Gerda nie wyrządził poważniejszych szkód.

Więzień wreszcie usiadł, spojrzał na tacę i zupełnie nie zwracając uwagi na sałatkę pomidorową, sięgnąwszy po łyżkę, natychmiast zanurzył ją w gulaszu z drobno pokrojonymi kluskami. Musiał być potwornie głodny, bo ostatni raz jadł sześć godzin wcześniej, a w domu z pewnością przekąsział coś między posiłkami. Marlene postanowiła, że następnym razem przyniesie mu wafelek czekoladowy, by miał co przegryźć między posiłkami.

Tymczasem jednak z zadowoleniem stwierdziła, że panu Töllerowi najwyraźniej smakują przygotowane przez nią potrawy, gdyż pochłaniał je w sposób, który – nawet biorąc pod uwagę fakt, iż miał ograniczoną swobodę ruchów – pozostawiał wiele do życzenia, jeśli chodzi o maniery. Więzień przełykał kluski bez gryzienia i nie domykając ust, nie używał serwetek, a na koniec bezceremonialnie wrzucił starannie przyprawioną przez Marlene sałatkę pomidorową do resztek gulaszu.

Próbując go jakoś usprawiedliwić, pani Adamski pomyślała, że może zbyt wiele od niego wymaga i od kogoś w jego położeniu nie należy oczekiwać, by przestrzegał zasad *savoir-vivre*'u.

Mimo to te kilka minut, w trakcie których Marlene przyglądała się, jak pan Töller je, było dla niej prawdziwą udręką. W tym czasie przez jej głowę przebiegały przedziwne, zupełnie jej obce myśli, a przed oczami wirowały rozmaite obrazy: łańcuch, młazszczący mężczyzna, rozcięcie na jego czole, jadłospis na jutro. Te obrazy i myśli były niczym tuzin odbijających się od jej czaszki gumowych piłeczek.

Kiedy Töller skończył jeść, pani Adamski zaczęła, aż więzień położy się z powrotem na materacu, i dopiero wtedy sięgnęła po tacę oraz wymieniła wiadro na nieczystości.

Właśnie miała wychodzić, gdy usłyszała za plecami pytanie:

– Dlaczego to robicie?

Töller mówił ochryplym głosem, gdyż poprzedniego dnia długo wzywał pomocy, nie wiedząc, że masywne żelbetowe ściany i grube stalowe drzwi skutecznie tłumią nawet najgłośniejsze krzyki, tak że na górze w ogóle nie było go słychać. W końcu chyba jednak zrozumiał, że nie ma sensu się męczyć, bo przestał wzywać pomocy.

– Dlaczego to robicie?

Marlene nie była pewna, co więzień ma na myśli: dlaczego go porwali czy dlaczego tak dobrze go karmią. A może nie umiał sobie wyjaśnić tej pozornej sprzeczności: z jednej strony przykuli go do ściany, z drugiej zaś serwują mu wyśmienite jedzenie? Albo nie potrafił pojąć, że spotkało go coś tak niezwykłego i zarazem przerażającego?

Tak czy siak, Marlene nie mogła odpowiedzieć na to pytanie, jako że wszelka rozmowa z więźniem była absolutnie wykluczona. Mogła jedynie odpowiadać, kiwając bądź kręcąc głową. Ewentualnie – właśnie na to wpadła – przygotować dodatkowe kartony z odpowiedziami „tak” i „nie” oraz komunikatem: „milczeć”.

– Chcecie okupu? – spytał Töller, a ponieważ nie doczekał się odpowiedzi, dodał: – Co ja wam zrobiłem?

Marlene zatrzymała się w progu plecami do więźnia.

Co zrobiłeś? Masz jeszcze czelność pytać?, pomyślała, lecz zdołała zdusić w sobie gniew. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku, nawet cichego westchnienia, ani nie odwróciła się, by spojrzeć na Töllera. Dopiero kiedy zamknęła za sobą drzwi, jej ręce zaczęły tak mocno drżeć, że papierowe kubki spadły na posadzkę. Odstawiła tacę na podłogę i wzięła się za ich zbieranie, lecz wtedy całe jej ciało zaczęło tak dygotać, że osunęła się na kolana i głośno załkała.

Przebywanie w cudzym domu pod nieobecność właściciela to osobliwe doświadczenie, które zwykle jest udziałem jedynie włamywaczy. I Bodo w pewnym sensie był włamywaczem, aczkolwiek dość osobliwym, bo ani nie musiał się zmagać z zamkiem – miał przecież klucze Töllera – ani nie szukał biżuterii, gotówki, futer czy drogich sprzętów. Nade wszystko zaś od złodzieja odróżniało go to, że nie musiał się spieszyć, gdyż wiedział, że nikt nie będzie go niepokoił. Töller mieszkał sam, nie miał dzieci, jego rodzice zmarli wiele lat temu, z bratem praktycznie nie utrzymywał kontaktu, a jeśli chodzi o kobiety, to kontaktował się z nimi wyłącznie telefonicznie, korzystając ze specjalnych, wysoko płatnych numerów. Nie licząc albańskiej sprzątaczkę i kilku przyjaciół – a właściwie znajomych z branży – nikt nie odwiedzał go w domu. W gruncie rzeczy Töller był samotnikiem.

Bodo wiedział to wszystko z czterech źródeł. Po pierwsze: on i Gerd przez jakiś czas obserwowali dom swej przyszłej ofiary, by sprawdzić, kto i kiedy w nim bywa. Obserwacja niewiele wniosła, ale przynajmniej się dowiedzieli, o jakiej porze najłatwiej będzie dokonać porwania. Po drugie: Bodo już kilka tygodni wcześniej zhakował komputer Töllera – łącznie z pocztą elektroniczną i kalendarzem. Bodo nie był jakimś wybitnym

hakerem, ale zadanie to okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał, gdyż Töller skąpił na antywirusy. Wbrew pozorom taka lekkomyślność zdarza się dość powszechnie wśród użytkowników komputerów. Po trzecie: po porwaniu Bodo mógł przejrzeć smartfon ofiary, z którego wydobyl dodatkowe informacje. No i wreszcie po czwarte: zdobywszy klucze Töllera, Bodo mógł wejść do jego domu i przeszukać korespondencję i dokumenty.

Töller musiał być człowiekiem wprost pedantycznym, gdyż w jego gabinecie jedną ze ścian zajmował regał ze starannie opisanymi segregatorami, wśród których Bodo dostrzegł dwa bliźniaczo zatytułowane: „Rozwód I” i „Rozwód II”. Wynikało z nich, że swej pierwszej żonie Töller nadal musiał płacić pokaźne alimenty, podczas gdy z drugą – o dwadzieścia osiem lat młodszą od niego Wietnamką – zawarł intercyzę i gdy ta zakochała się w młodszym mężczyźnie i postanowiła się rozwieść, były mąż wypłacił jej jedynie ustalone w umowie małżeńskiej dziesięć tysięcy euro. Czyli grosze, biorąc pod uwagę zasoby finansowe Töllera.

Boda, ma się rozumieć, najbardziej interesowała właśnie ta ostatnia kwestia, to jest majątek porwanego, lecz zanim zabrał się do tego co najważniejsze, uważnie przejrzął wszystkie segregatory i pamięci przenośne, by nieco zorientować się w życiu człowieka, którego przez kilka najbliższych dni miał zastępować, odpowiadając na maile, pisząc listy i załatwiając interesy. Warunkiem koniecznym powodzenia całej akcji było bowiem to, by nikt nie zauważył nieobecności Töllera. Na szczęście fakt, że ten był samotnikiem, nieco ułatwiał sprawę.

Bodo zaczął od tego, że odwołał wizytę sprzątaczkii. Z analizy połączeń w smartfonie wynikało, że ta komunikuje się ze swoim szefem esemesami, więc wysłał jej wiadomość, że wypadł mu – to jest Töllerowi – nagły wyjazd w interesach i przez kilka dni nie będzie go w domu.

Potem, już nieco uspokojony, Bodo uznał, że pora się rozeznać w interesach Töllera, i zaczął przeglądać szuflady biurka w poszukiwaniu haseł i PIN-ów. Przy okazji natrafił na stertę magazynów porno, ukrytą pod katalogiem firmy dostarczającej materiały biurowe – zapewne na wypadek, gdyby sprzątaczkia postanowiła też przetrzeć biurko od środka. W pierwszej chwili Bodo chciał zasunąć tę szufladę, ale coś go tknęło i postanowił dokładniej przejrzeć jej zawartość. I rzeczywiście – pomiędzy sztucznymi biustami i świńskimi tekstami znalazł to, czego szukał: hasła i PIN-y do rozmaitych kont i aplikacji.

Smartfon piknął, informując, że przyszła odpowiedź od Egzonjety, sprzątaczkii Töllera.

Co z kotem?

Z kotem?

Bodo rozejrzał się po gabinecie, a następnie przeszukał pozostałe pomieszczenia.

– Kici, kici. Gdzie jesteś, kiciu?

W jednej z kuchennych szafek odkrył kartony z najtańszą karmą dla kotów, a obok niskie drzwi. Uznał, że prowadzą one do spiżarni, lecz gdy je otworzył, uderzył go zapach proszku do prania i – wreszcie – kociej kuwety. Klapa widoczna w drzwiach w przeciwległej ścianie pralni upewniała Boda, że jest na właściwym tropie, a gdy zajrzał za pralkę, zobaczył stojący na podłodze kosz, z którego spoglądał na niego znużony kot – niemal zupełnie biały, z kilkoma szarymi plamkami.

– Tutaj jesteś, Futrzaku – powiedział Bodo, po czym stwierdził, że to całkiem niezłe

imię dla kota.

Mężczyzna pochylił się nad koszem, a gdy zwierzak wyciągnął ku niemu nos, zdjął rękawiczkę i ostrożnie dał kociakowi dłoń do obwąchania. Ten po chwili ziewnął, wstał, przeciągnął się i otarł o kolana nieznajomego.

– Tak, Futrzaku, ja też cię lubię – powiedział Bodo, czule głaszcząc nowego przyjaciela.

Koty przez długi czas były Bodowi zupełnie obojętne, lecz potem w jego życie wkroczyła pewna kociara i od tej pory wszystko się zmieniło. Sprawy, które wcześniej zupełnie go nie interesowały, nagle okazały się szalenie ciekawe, a te, wokół których wcześniej kręciło się jego życie, wróciły na swoje właściwe miejsce. Nie licząc szkolnych miłości, Nelli była jedyną kobietą w jego życiu. Poznali się w dyskotecce, kiedy on miał osiemnaście lat, a ona dwadzieścia. Była od niego niewątpliwie dojrzała i mądrzejsza, aczkolwiek Bodo nigdy tego otwarcie nie przyznał. Spędzili ze sobą osiem lat, nawzajem się przez ten czas kształtując i zrastając się w jedno. Osiem lat, w trakcie których Nelli skończyła studia pedagogiczne, a on – bez studiów – zgłębiał tajemnice Internetu i możliwości, jakie daje to niezwykle medium. Osiem lat, w ciągu których wspólnie zwiedzili ładny kawałek świata. Tak naprawdę nigdy się poważnie nie pokłócili – tylko czasem zdarzały się jakieś drobne utarczki – i żadne z nich nigdy nie oglądało się za innymi kobietami czy mężczyznami. Być może jednym z filarów tego udanego związku było to, że nie mieszkali razem. Bodo nauczył Nelli jazdy na motocyklu i kitesurfingu, a ona jego życzliwości do ludzi i miłości do zwierząt.

Osiem lat, dwa miesiące i jeden dzień po tym, jak się poznali, u Nelli zdiagnozowano zaawansowanego raka trzustki, a po ośmiu latach, czterech miesiącach i dwudziestu dziewięciu dniach ich związek dobiegł końca – przy szpitalnym łóżku. Nelli zrezygnowała z chemioterapii, ponieważ szanse na wyleczenie wynosiły mniej niż pięć procent. Bodo błagał ją, by mimo wszystko spróbowała, ale odpowiedziała, że woli przeżyć dwa miesiące w szczęściu niż dwanaście w udreće. I Bodo zadbał o to, by przeżyła te dwa cudowne miesiące. Wspólnie spisali listę rzeczy, których Nelli chciała doświadczyć przed śmiercią, i systematycznie realizowali ten plan, punkt po punkcie. Nelli pogłaskała kangura, pływała z delfinami, przeczytała całego Prousta, zwiedziła świątynię hinduistyczną w Hamm, była na premierze opery z Anną Netrebko, zjadła sushi w piekielnie drogim japońskim lokalu i przeleciała balonem nad swoim rodzinnym domem na Uznam. Bodo nie zdążył spełnić tylko jednego życzenia swej ukochanej – nie zabrał jej na farmę dla dzikich zwierząt w Afryce, bo stan zdrowia Nelli nie pozwolił już na tak daleką podróż.

Dzień, w którym musiał się z nią pożegnać, był najgorszym dniem w jego życiu.

Kot miauknął na znak, że w misce nie ma jedzenia. Bodo nasypał mu karmy i patrząc, jak zwierzak je, postanowił, że następnym razem przyniesie mu coś lepszego.

– Chodź, w domu jest przyjemniej – powiedział, gdy kot skończył posiłek. Futrzak po dziwnie długim wahaniu ruszył za nowym znajomym, po czym śmignął do salonu, gdzie triumfalnie zaległ na oparciu fotela i zaczął mruzczyć.

Jakim trzeba być człowiekiem, żeby zamykać własnego kota w pralni, między pralką automatyczną a rurą odpływu?, pomyślał Bodo, lecz zaraz uświadomił sobie, że akurat w przypadku Töllera wszystkiego się można spodziewać.

Potem wrócił do gabinetu, który w najbliższych dniach miał się stać jego drugim domem, i – poniekąd w imieniu Futrzaka – wysłał esemes do albańskiej sprzątaczkii:
Wszystko w porządku. Już kogoś znalazłem.

Wrzesień

Następne spotkanie na życzenie pani Adamski odbyło się poza jej domem. Zwykle Ina cieszyła się, kiedy pacjenci sami wybierali miejsce, gdzie miała się odbywać sesja terapeutyczna, ponieważ w wybranym przez siebie otoczeniu często stawiali się bardziej otwarci. Tym razem jednak podejrzewała, że Marlene zmieniła miejsce nie do końca z własnej woli.

Pani Adamski zaproponowała, by spotkały się w kościele w Prerow, gdzie tego dnia miała się odbyć próba chóru, w którym Marlene przez wiele lat śpiewała i do którego formalnie wciąż należała.

– Możemy wejść na górę – powiedziała, gdy przekroczyły próg świątyni. – Rozmawiałam z pastorem, który nawiasem mówiąc, jest też dyrygentem.

Ina uznała, że próba chóru to idealne miejsce na sesję terapeutyczną, gdyż jednym z ważniejszych jej zadań było ponowne zintegrowanie pacjentki z otoczeniem, wobec którego Marlene mogła obecnie w najlepszym wypadku odczuwać nieufność, a w najgorszym – obawę przed odrzuceniem. Wielu niedoszłych samobójców stara się bowiem unikać znajomych i przyjaciół, co w konsekwencji prowadzi do izolacji. W tym sensie wybór dokonany przez panią Adamski napawał optymizmem, a być może stanowił też mniej lub bardziej uświadomioną próbę wskazania przyczyn, które skłoniły ją do podjęcia próby samobójczej.

Ina i Marlene miały całą empore tylko dla siebie, gdyż członkowie chóru zebrali się na dole, przed ołtarzem. Kantata Bacha wypełniła świątynię ciepłem i nadzieją.

Co Bóg mój chce, niech stanie się

Najlepsza wola Jego,

Obfitą pomoc wszystkim śle,

Co mocno wierzą w Niego.

Nasz wierny Bóg uwalnia z trwóg,

A karze tylko miernie.

Kto dzień po dniu zaufa Mu,

Pan temu sprzyja wiernie.²

Słońce wpadało do środka, zalewając kościół jasnym blaskiem. Ina zauważyła, że spojrzenie Marlene kieruje się ku miejscu, w którym skupiały się jego promienie, czyli ku ołtarzowi.

– Wierzy pani, że każdy z nas ma Anioła Stróża? – spytała pani Adamski. Było to pierwsze pytanie, jakie zadała Inie.

– Muszę przyznać, że nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Wierzę w pocieszenie, a jeśli płynie ono z wiary w anioły, to mogę się tylko cieszyć.

– Coś takiego! Pani doktor unika odpowiedzi. Nie chce mnie pani urazić?

– No dobrze, rzeczywiście nie chciałam pani urazić, ale skoro koniecznie chce pani znać prawdę, to nie, nie wierzę w anioły. Ale pani wierzy.

– Owszem. Chociaż pastor chciał mi to wybić z głowy. Mówi, że Biblia nie wypowiada się w tej kwestii jednoznacznie i że powinnam się raczej trzymać Pana Boga, zamiast znajdować sobie bożków w postaci aniołów – odrzekła Marlene, wzruszając ramionami.

– Wygląda na to, że tutejszy pastor jest dość surowy.

– Prawdę mówiąc, wcale nie. To szalenie sympatyczny człowiek, sama się pani przekona, kiedy tylko go pozna. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chętnie panią przedstawię.

Na twarzy psycholożki pojawił się uśmiech.

– Oczywiście, chętnie go poznam.

O jedno, Panie, prosić chcę:

Ku prośbie racz się skłonić!

Gdy szatan mnie usidlić chce,

Ty sam mnie racz obronić!

Posilaj, broń, od złego chroń

I wspieraj mnie, mój Boże!

Za rękę bierz i serca strzeż,

Ach błagam Cię w pokorze!

Do końca próby Ina i Marlene zostały na emporze, od czasu do czasu zamieniając ze sobą kilka słów. Pani Adamski opowiedziała między innymi, jakim głosem śpiewa i jakie utwory najbardziej lubi, lecz Ina zwróciła uwagę przede wszystkim na to, że żona piekarza w swych wypowiedziach wciąż powraca do osoby pastora.

– Nie licząc mojego męża, pastor zna mnie chyba najlepiej – powiedziała Marlene, po czym się nerwowo zaśmiała. – Ależ to zabrzmiało. Chciałam tylko powiedzieć, że wspólnie zrealizowaliśmy w naszej parafii wiele różnych projektów.

Po próbie Ina i Marlene zeszły na dół, gdzie pani Adamski pierwszy raz od czasu, gdy próbowała się zabić, spotkała się z pozostałymi członkami chóru. Nie było to dla niej łatwe. Same ich spojrzenia... Dwadzieścia par oczu, które niczym reflektory kierowały się na Marlene. Nie było w nich niechęci – raczej kryło się w nich współczucie, czasem ciekawość, uprzejme zainteresowanie, a nawet serdeczność. Te same uczucia przepełniały też słowa, którymi członkowie chóru powitali Marlene. Wszyscy starali się, by nie popełnić jakiejś gafy, lecz właśnie to usilne staranie sprawiło, że w trakcie spotkania dało się wyczuć wyraźne napięcie. Nikt z obecnych nie wiedział, jak się zachować wobec samobójczej próby podjętej przez przyjaciółkę, znajomą, żonę miejscowego piekarza, toteż wszyscy zachowywali się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Najdosadniej wyraziło się to nastawienie w dość bezceremonialnym pytaniu jednego z chórzystów:

– I co, Marlene, wyzdrowiałaś?

Ina przekłuła ten balon, przedstawiając się i mówiąc bez ogródek, kim jest i co tutaj robi. Wspomniała nawet, że odbyły właśnie z panią Adamski sesję terapeutyczną. Oczywiście z początku wywołało to zdumienie wśród zgromadzonych, którzy ni stąd, ni zowąd stali się nieświadomymi uczestnikami psychoterapii, i to w kościele. Jednak na

dłuższą metę dla Marlene lepiej było grać w otwarte karty. Choć nikt jej tego wprost nie powiedział, swoim czynem mocno nadszarpnęła swoje relacje z bliskimi sobie ludźmi. Próbując odebrać sobie życie, wykluczyła się z życia innych mieszkańców wioski i aby ci mogli ją teraz przyjąć z powrotem do swej wspólnoty, musieli mieć poczucie, że coś takiego już nigdy się nie powtórzy. W przeciwnym wypadku pani Adamski została by banitką z kainowym znamieniem na czole i nikt z sąsiadów nie pozwoliłby jej się do siebie zbliżyć.

Na szczęście miejscowy proboszcz faktycznie okazał się sympatycznym człowiekiem. Przypominał Inie wróbelka – był drobny, kruchy i wesoły, a do tego tak rozmowny, że dosłownie nie zamykały mu się usta. Kiedy członkowie chóru jeden po drugim opuścili kościół, przed ołtarzem zostali tylko Ina, Marlene i pastor.

– Bardzo nam pani brakowało, Marlene. Mam nadzieję, że wkrótce odzyska pani dawny wigor i znów rzuci się w wir życia parafialnego.

– Zobaczymy. Czy uchoďtecy już przyjechali?

– Tak, kilkoro, do Ribnitz-Damgarten – odrzekł pastor, po czym zwracając się do Iny, dodał: – Marlene ma podejść do tych ludzi. Z niektórymi się wręcz zaprzyjaźniła. – Nagle duszpasterz z zachwytu aż klasnął i znów zwrócił się do Marlene. – Pamięta pani te dwie Syryjki? Jak one się nazywały? – Pastor znów spojrzał na Inę. – Matka i córka, mieszkały w małym ośrodku dla uchodźców. Jako jedyne z siedmioosobowej rodziny przeżyły wojnę i ucieczkę do Europy. Trudno się było z nimi porozumieć, bo nie znają żadnego języka, ale jeden uścisk dłoni Marlene, kilka gestów i kawałek domowego ciasta wystarczyły, by wprowadzić serdeczną atmosferę. Marlene, jak one się nazywają? As... Al...

– Afnan i Chadisza – odparła zdawkowo pani Adamski, spoglądając na zegarek. – Ojej, całkiem zapomniałam, że jestem umówiona u fryzjera. Niestety muszę już iść.

Ina zdążyła się już przyzwyczać do nagłych pożegnań ze swoją pacjentką, toteż nie próbowała jej zatrzymywać, zwłaszcza że sesja dobiegła końca.

– Chce pani, bym ją odwiozła?

– Dziękuję, nie trzeba. To zaraz za rogiem. Proszę sobie nie przeszkadzać w rozmowie. Do zobaczenia następnym razem – odparła Marlene, po czym wyszła.

Zachowanie pani Adamski wydało się Inie dziwne, nawet bardzo. Poprzednim razem terapeutka odniosła wrażenie, że żona piekarza nagle chce jej się pozbyć z domu – zaraz po tym, jak Ina zapytała, czy Marlene ma gościa. Tym razem pacjentka co prawda sama przyprowadziła psycholożkę do kościoła i przedstawiła członkom chóru, lecz znów prawie że w popłochu uciekła.

– Może nie powinienem był wspominać o uchodźcach – powiedział pastor. – Kiedy te kobiety zostały zabrane do innego ośrodka, widziałem, że pani Adamski się zasmuciła. Nie miałem jednak pojęcia, że tak bardzo to przeżyła.

– Kiedy to było?

– Jakieś dziewięć, dziesięć miesięcy temu. Wszystko stało się niespodziewanie i bardzo szybko. Marlene nie zdążyła się z nimi pożegnać.

Ina pomyślała, że nawet jeśli wyjazd Afnan i Chadiszy stanowił drażliwy temat, to przecież pani Adamski pośrednio sama go poruszyła – w końcu to ona zapytała

o uchodźców.

– Czy w ciągu ostatnich miesięcy zauważył pan inne zmiany w zachowaniu Marlene? – spytała terapeutka.

Pastor zaczął metodycznie wertować wspomnienia, jakby te stały równiutko niczym woluminy w wielkiej bibliotece jego pamięci, i stopniowo wydobył na światło dzienne kolejne znaleziska.

– Cóż, pani Adamski w ostatnim czasie wykazywała jeszcze większe zaangażowanie niż do tej pory. Chór, uchodźcy, wsparcie dla organizacji dokarmiającej potrzebujących... Zajmowała się tym już wcześniej, ale teraz przeszła samą siebie. Powiem pani, że jeśli chodzi o działalność społeczną, to Marlene była niezmiernie zaangażowana. Wkładała w to tyle serca i sił. Nie miała czasu na to, by odczuwać samotność czy pustkę, dlatego kiedy się dowiedziałem, że skoczyła z balkonu, poczułem się, jakby mnie trafił grom z jasnego nieba. Była ostatnią osobą, po której bym się czegoś takiego spodziewał. No dobrze, może jej nagłe zainteresowanie teologią powinno było dać mi do myślenia, ale...

– Teologią? Mówi pastor o aniołach? – spytała Ina.

– Och, myśl o tym, że aniołowie czuwają nad ludźmi, fascynuje Marlene od lat. Miałem raczej na myśli to, że w głębi duszy wolałaby być katoliczką. Raz nawet wprost mi to wyznała.

– Powiedziała dlaczego?

– Oczywiście zapytałem ją o to, ale nie uzyskałem jasnej odpowiedzi. Powiedziała, że nie odpowiada jej protestancka wizja nieba zamieszkanego poniekąd wyłącznie przez Boga. Chciałaby wierzyć w niebo wypełnione dziesiątkami, setkami aniołów i świętych, ale ja nie mogę jej zaoferować ani kultu świętych, ani Matki Boskiej. To ostatnie z pewnością byłoby sporym ułatwieniem, bo Maryja wydaje się dużo mniej wymagająca niż jej syn i jego nauka – zażartował protestancki duszpasterz. – Ona szczerze rozlewa swe łaski na wszystkich ludzi, podczas gdy Jezus wymaga odrobiny zaangażowania. Ale mówiąc poważnie, czy to są wystarczające powody, by zmienić wyznanie? A pani Adamski poważnie się nad tym zastanawiała, choć koniec końców nie zdecydowała się na ten krok.

Ina zatopiła się w myślach. Marlene w miesiącach poprzedzających próbę samobójczą stała się bardziej religijna. Co wywołało ten jej nagły zwrot ku wierze? I dlaczego tak bardzo pociągał ją katolicyzm?

Terapeutka odniosła wrażenie, jakby jej pacjentka chciała zostawić jakiś trop. Tylko po co?

I dokąd on prowadził?

Śledzącego ją fiata coupé Ina zauważyła dopiero następnego dnia, kiedy po zakupach wracała z Rostocku na Darss – sprawiła sobie nową sukienkę, a Stefanie dodatkowo namówiła ją na buty na wysokim obcasie. Spoglądając w lusterko wsteczne, psycholożka nagle zauważyła ten sam nisko zawieszony sportowy wóz, który poprzedniego dnia jechał za nią aż do kościoła. Zapamiętała go tak dobrze, ponieważ zastanawiała się, dlaczego kierowca jej nie wyprzedza, chociaż wlokła się w ślamazarnym tempie, a z naprzeciwnika

nic nie jechało. Niestety wyposażone we wszelkie możliwe bajery auto utrzymywało stałą odległość, zbyt dużą, by zidentyfikować kierowcę, a refleksy światła na przedniej szybie oraz zarys siedzeń i zagłówków nie pozwalały nawet dostrzec, czy w wozie jest ktoś jeszcze.

– Po co ci ta sukienka? Poświęciłaś kilka godzin na to, żeby ją wybrać, więc domyślam się, że to dla *niego*. Ty i ten twój cudowny *Bobby*. – Stefanie wypowiedziała imię przyjaciela swej matki tak, jakby mówiła o jakimś obciachowym piosenkarzu.

– Bingo! Wieczorem wychodzę na grilla, a ta sukienka będzie doskonale pasować. Jest skromna, ale mimo to coś w sobie ma.

– Skromna? Kosztowała trzysta euro! Zbiskupiałaś?

– Słucham?

– Zachowujesz się jak ten biskup, który ostatnio kazał sobie zamontować w łazience złote krany. – Stefanie przewróciła oczami.

Ina prawie odpowiedziała tym samym.

– Ty i te twoje wyrażenia... Kiedy z tobą rozmawiam, czuję czasem, że jestem potwornie stara.

– Cóż, może coś w tym jest... Słuchaj, zerkasz czasem przed siebie czy tylko gapisz się we wsteczne lustro?

– Przepraszam, ja... Masz rację.

Ina próbowała zapomnieć o sportowym wozie za swoimi plecami i skupić się na prowadzeniu auta i rozmowie z córką.

– Okej, mam iść z tobą na tego grilla czy jak? – spytała Stefanie.

– Byłoby miło. Kiedyś musicie się w końcu poznać.

– Tata nie ma przyjaciółki, z którą próbowałyby mnie na siłę poznać.

– Tata nie ma czasu na przyjaciółki. Właściwie nie ma czasu na nic, dlatego się rozstaliśmy. Poza tym obawia się, jak byś się zachowała, i prawdę mówiąc, doskonale go rozumiem.

Stefanie się skrzywiła.

– Skoro już mam iść na tego grilla, to mogę kogoś zaprosić?

– Jasne. Kogo? – spytała Ina z zaciekawieniem.

– Chrisa.

– Chrisa?

– No, Christophera.

Psycholożka zdjęła nogę z gazu i zjechała na pobocze.

– Masz na myśli *tego* Christophera?

– O co ci znowu chodzi? Ostatnio, siedząc w twojej poczekalni, wymieniliśmy się numerami, a potem raz czy dwa poszliśmy w Ribnitz-Damgarten na lody i tak dalej.

– Najbardziej ciekawi mnie to „i tak dalej”.

– Co masz przeciwko niemu?

– To mój pacjent – odpowiedziała Ina, z trudem zachowując spokój.

Stefanie wzruszyła ramionami.

– Twój, nie mój. Jest fajny. Poza tym przecież jeszcze się nie pobieramy.

Ina nie wiedziała, co sądzić o tej znajomości. Christopher wydawał jej się miłym

chłopcem, a gdyby znalazł sobie dziewczynę, mógłby dzięki temu łatwiej odzyskać równowagę. Tylko że tutaj nie chodziło o jakąś dziewczynę, ale o jej córkę! Chłopak był wciąż bardzo niestabilny, kiepsko się uczył, często wagarował, czasami przejawiał skłonność do agresji werbalnej, a jego relacje z ojcem były, delikatnie mówiąc, bardzo napięte. Do tego jeszcze ta sprawa z niewegańskimi lodami, które wytrącił siostrze z ręki.

Ina obawiała się, jak Christopher potraktuje jej córkę. Co się stanie, jeśli w jakiejś sprawie Stefanie będzie mieć inne zdanie niż on? Albo kiedy znudzi jej się ta znajomość?

– Musisz wiedzieć, że jego wciąż bardzo łatwo zranić. Mówię to z własnego doświadczenia.

– Przecież nie jest jakimś wariatem. Jego matka zniknęła, to mogło się zdarzyć każdemu. Ty też zniknęłaś, przynajmniej w pewnym sensie. Moim zdaniem on jest całkiem normalny. – Stefanie na chwilę umilkła. – Nawet na pewno. Jest swag.

– Zakładam, że to coś pozytywnego.

– To znaczy, że świetnie wygląda. Ma świetne włosy, no i nie ma pryszczki.

– Rozumiem, że twoim zdaniem są to cechy, na których można zbudować udany związek – odparła Ina z uśmiechem.

– Poza tym ma świetny pokój, ze ścianą z podświetlanych luksferów. Sam ją zbudował. Jeszcze nie jest gotowa, ale niedługo ją skończy. Wkładał w nią całe kieszonkowe, przez kilka miesięcy. Odłot, co? Chris jest na tym punkcie totalnie zafiksowany. Mów sobie, co chcesz, ale będę się z nim dalej spotykać.

Otrząsnąwszy się z szoku, Ina spojrzała w lusterko i ruszyła dalej.

– Jak chcesz. Na to nic nie mogę poradzić. Ale dziś wieczorem nie możesz go przyprowadzić. Na pewno nie zaproszę pacjenta na rodzinnego grilla. Nie zamierzam mieszać pracy z życiem prywatnym.

– Przecież chodzicie razem na rowery...

– Robimy to w ramach sesji terapeutycznej, tylko we dwoje. Zrozum, proszę, nie mogę utrzymywać z Christopherem prywatnych kontaktów.

– Będziesz musiała, bo prędzej czy później przyprowadzę go do domu – odparła stanowczo Stefanie.

– Twój dom jest w Schwerinie, co wiele razy jasno dawałaś mi do zrozumienia. I wrócisz tam, jeśli tylko postawisz mnie w niezręcznej sytuacji. Chcę, żebyś została, ale musisz przestrzegać kilku reguł. A przy okazji... Musimy porozmawiać o twojej edukacji.

Stefanie rzuciła matce zdumione spojrzenie.

– O co ci chodzi?

– Podobno chcesz zostać asystentką weterynarza...

– No... tak, ale... to dopiero pod koniec lata.

– A kiedy w twoim kalendarzu kończy się lato?

– W październiku.

Rozmowa o Christopherze i przyszłości Stefanie sprawiły, że Ina zupełnie zapomniała o fiacie, a kiedy w końcu zerknęła w lusterko, po sportowym wozie nie było śladu. Czyżby ją wyprzedził, kiedy się zatrzymała? A może skręcił w boczną drogę?

A może tylko sobie wmówiła, że ją śledzi?

Dom Bobby'ego leżał na takim samym odludziu jak chata Adamskich, tyle że był dużo mniejszy. Formalnie stanowił część małego osiedla domków letniskowych przy kąpielisku Zingst, na wschodnim krańcu półwyspu. We wrześniu turyści wynajmowali ledwie połowę z siedmiu bungalowów. Właściciel kompleksu, a zarazem znajomy Bobby'ego, mieszkał daleko stąd, dzięki czemu przyjaciel Iny mógł za stosunkowo niską cenę przez cały rok wynajmować chatkę. W zamian pilnował interesu, wręczał gościom klucze i dokonywał drobnych napraw.

– Co to ma być? Toż to kwintesencja drobnomieszczaństwa – skrzywiła się Stefanie, gdy dotarły na miejsce.

Kiedy jednak Ina otworzyła ogrodową bramę i ich oczom ukazał się otoczony dwumetrowymi bambusowymi palikami azyl Bobby'ego, jej córka aż wykrzyknęła z zachwyty:

– Łał!

Za pierwszym razem Ina również przeżyła szok. Zresztą w pewnym sensie przeżywała go za każdym razem, ilekroć tu przyjeżdżała. Zanim jeszcze dało się za palikami cokolwiek dostrzec, do uszu docierał kojący plusk wody, która spływając z wielkiego głazu, rozlewała się w ogrodowy staw, po czym strumykiem płynęła do drugiego oczka. Poza tym pośrodku ogrodu stała stara fontanna, z której tryskało kilkadziesiąt drobnych strużek wody. Przytulną, niemal medytacyjną atmosferę nieco zakłócały niezliczone figury indyjskich bóstw, wykute w kamieniu lub odlane z metalu. Rzeźby były wielkości człowieka i przedstawiały wielorękie postaci o twarzach słoni, wykrzywione w ekstatycznych pozach. Stały między słonecznikami i kępami hibiskusa i chryzantem, otoczone powojnikami lub nasturcjami.

– On jest buddystą? – spytała Stefanie.

– Chciałaś chyba powiedzieć: hinduistą. Nie, to tylko dekoracja. Chociaż moim zdaniem całkiem gustowna.

– Nie mówiłaś, że poderwałaś go w przedszkolu – mruknęła Stefanie, gdy wreszcie dostrzegła gospodarza.

Ina spodziewała się takiej reakcji, dlatego odrzekła tylko:

– Wyświadcz mi przysługę i bądź dla niego miła, dobrze?

– Dobrze, już dobrze.

Bobby siedział przy komputerze ze słuchawkami na uszach i był całkowicie pogrążony w pracy, toteż nie zauważył przyjazdu gości. Ina zdążyła już do tego przywyknąć. Zwykle w takiej sytuacji powoli wchodziła w pole widzenia swego przyjaciela, by go nie wystraszyć, ale tym razem jej córka była szybsza i po prostu zerwała mu z głowy słuchawki.

– Cześć, jestem Stefanie. Czego pan słucha?

Ina zrezygnowanym gestem przeprosiła Bobby'ego za bezceremonialne zachowanie swej córki.

– Co to? – spytała Stefanie z odrazą w głosie.

Bobby z uśmiechem wyciągnął do niej dłoń na powitanie i odparł:

– Kiedy muszę się skupić, słucham arii operowych. Tylko arii, żadnych symfonii, sonat czy koncertów. Najchętniej Mozarta, Verdiego, Pucciniego i Donde... Dona...

– Donizettiego – przyszła mu z pomocą Ina.

– Właśnie – powiedział Bobby z uśmiechem. – Jak widzisz, z teorią jestem na bakier, liczy się sama muzyka. Słucham jej tylko przy pracy. Właściwie w kółko tych samych arii, tak głośno, jak tylko się da.

– Słucha pan arii? To jakieś wariactwo. Poznał pan moją matkę na terapii?

– Nie, my...

– Nad czym pan pracuje?

– Projektuję gry komputerowe dla dzieci. Ale teraz mam wolne. Będą ryby z grilla, co wy na to?

– Pytasz, czy jesteśmy już głodne? – odpowiedziała Ina. – Cóż, jest czwarta, a my...

– Nie, pytam, czy idziecie ze mną. Bo trzeba je najpierw złowić.

– No nie – jęknęła Stefanie, lecz dyskretnie szturchnięta przez matkę w żebro zaraz się opanowała.

Bobby zawsze miał w zanadrzu jakąś niespodziankę i Ina nigdy nie wiedziała, jak będzie wyglądać ich spotkanie. Zdarzało się, że mieli iść popływać, a lądowali w romantycznym hoteliku za polską granicą, albo umawiali się na kolację, a szli na jakiś późny seans do kina, gdzie przytuleni spędzali cudowne dwie godziny. Ina uwielbiała tę nieprzewidywalność Bobby'ego, co swoją drogą było dość dziwne, bo kiedy analizowała swoje poprzednie związki, stwierdzała, że każdy z jej partnerów idealnie pasował do danego okresu jej życia.

Pierwszy studiował psychologię, tak jak ona. Mieli nie tylko tych samych przyjaciół, ale też żadne z nich nie śmierdziało groszem, a do tego wyznawali te same poglądy polityczne, byli nierozważni i wszystkiego chcieli spróbować. U boku drugiego, prawnika, weszła w fazę stabilizacji – oboje stawiali pierwsze kroki w zawodzie, gromadzili krąg klientów, kupili mieszkania. Wreszcie z ostatnim, ojcem Stefanie, który był właścicielem kilku salonów optycznych, łączyły ją podobny styl życia i gusta – w kwestii mody, sposobu spędzania urlopu, mebli, restauracji i innych tego typu spraw, które wydają się ważne ludziom tuż po trzydziestce.

Dla Bobby'ego wszystko to nie miało najmniejszego znaczenia. Nie przywiązywał wagi do zawodu, stylu, wieku, pieniędzy czy hobby. Przypominał trochę pierwszego chłopaka Iny – był spontaniczny, niekonwencjonalny i bystry. Ona co prawda nie była już tą samą Iną co przed piętnastu laty, lecz mimo to dała się porwać młodzieńczemu entuzjazmowi Bobby'ego. Do tej pory nie znała tego oblicza miłości – wolnej od przyziemnych spraw, czystej i całkowicie skupionej na tej drugiej osobie.

Niestety większość ludzi z jej otoczenia patrzyła na to inaczej. Dla nich Bobby był tylko chłopakiem do łóżka, zwłaszcza że nie miał wyższego wykształcenia. Sportowa sylwetka, rozpięta do połowy koszula i długie włosy sprawiały, że stanowił ucielesnienie młodego kochanka. Niektórzy podejrzewali go nawet, że wykorzystuje Inę finansowo lub szuka w niej zastępczej matki, co nie przynosiło chwały ani jemu, ani jej. Dlatego Bobby i Ina stopniowo zaczęli się izolować od innych ludzi, a pojawienie się Stefanie tylko wzmoгло w nich to poczucie wyobcowania.

Bobby złowił dwa sandacze i kilka mniejszych ryb, które po powrocie do ogrodu wrzucił na grilla, podczas gdy Ina i Stefanie zajęły się w kuchni przygotowaniem sałatki.

– Jesteście ze sobą tak serio? – spytała Stefanie.

– Powiem tak: mam klucze do jego domu.

– Nawet się nie pocałowaliście na powitanie. Zawsze myślałam, że tacy faceci najlepsi są właśnie w całowaniu. Chociaż nie, lepiej od całowania wychodzi im...

– Stefanie, proszę.

– No dobrze, już dobrze.

– Już to mówiłaś, i co z tego? Jesteś dla niego niemiła, a gdybym go pocałowała, byłabyś jeszcze bardziej zgryźliwa. Dlatego się powstrzymałam. Żeby ci dodatkowo nie utrudniać.

– Jeśli naprawdę nie chcesz utrudniać, znajdź sobie jakiegoś porządnego faceta. Przecież on mieszka w domku z ogródkiem i chodzi wędkować. To jakiś dramat. Drobnomieszczaństwo do entej potęgi.

– Nie to co twój ojciec, prawda?

Stefanie się skrzywiła, lecz jej matka jeszcze nie skończyła kazania.

– Wcześniej powiedziałaś, że to jakiś wariat, który słucha arii, projektując gry dla dzieci. A jeszcze wcześniej zasugerowałaś, że to zwykły lowelas. Może się wreszcie zdecydujesz, co?

Dziewczyna prowokacyjnie spojrzała matce prosto w oczy.

– Okej: to drobnomieszczański lowelas, który ma nierówno pod sufitem.

– Mógłby jeździć w rajdach, pilotować myśliwce albo być menadżerem najbardziej odlotowego zespołu na świecie, a i tak nazwałabyś go kołtunem. Postanowiłaś sobie, że go nie polubisz, i ja to doskonale rozumiem. Ale moglibyśmy przynajmniej dziś wieczór spędzić razem kilka miłych godzin? Proszę!

Zasiedli do kolacji w czasie, gdy słońce zaczęło się chować za horyzontem. Kamienne posągi hinduistycznych bóstw mieniły się na czerwono i pomarańczowo, woda cicho szemrała, a łagodna wieczorna bryza, która na chwilę przyniosła resztki kończącego się lata, rozwiewała unoszący się z grilla dym. W tle grała azjatycka, medytacyjna muzyka. W powietrzu unosił się duch Indii.

Wbrew swoim zwyczajom Ina dość szybko, bo w ciągu zaledwie godziny, wypila trzy kieliszki francuskiego sauvignon blanc. Niestety Stefanie prawie się nie odzywała, chociaż Bobby kilka razy próbował ją wciągnąć w rozmowę. Cudowny wieczorny nastrój, wprowadzony przez śpiewające świerszcze, kolorowe światła i szemranie fontanny, zakłócało wiszące w powietrzu napięcie.

Ina wyrzucała sobie, że niepotrzebnie zabrała Stefanie.

– Co słyhać u tej pacjentki? Tej, o której mi opowiadałaś? – spytał Bobby, by nieco rozchmurzyć przyjaciółkę. – Zrobiłaś jej ankietę?

Ina parsknęła śmiechem.

– Musisz wiedzieć, Stefanie, że Bobby wymyślił specjalny kwestionariusz pozwalający wydusić z milczących pacjentów motywy, które skłoniły ich do podjęcia próby samobójczej. Wśród odpowiedzi są brak kablówki, brak tequili, brak seksu... To był oczywiście żart.

– Ha, ha – odparła Stefanie z ponurą miną, zajęta stukaniem w ekran swojego smartfona.

Ina postanowiła, że na chwilę da córce spokój.

– Niestety, niewiele udało mi się osiągnąć – poważnie odpowiedziała na pytanie Bobby’ego. – Psychoterapia przypomina trochę wejście do ciemnego domu. Najpierw trzeba się zorientować, co gdzie jest. Nie mam pojęcia, czy następny krok doprowadzi mnie do włącznika światła, czy raczej zagłębię się w jeszcze ciemniejszy korytarz. Czy moja dłoń za chwilę natrafi na jakiś mebel czy na ludzką istotę, która również jest w tym domu i o której nic nie wiem. Nie mam nawet pojęcia, czego się spodziewać.

– Brzmi okropnie.

– Nie zawsze jest aż tak trudno, ale ta pacjentka jest wyjątkowo tajemnicza. Sądzę, że to jej nagłe ożywienie religijne łączy się jakoś z próbą samobójczą. Bo wyobraź sobie, że chciała niedawno konwertować na katolicyzm. Zastanawiam się dlaczego.

– Prawdę mówiąc, inaczej wyobrażałem sobie twoją pracę. Zawsze myślałem, że wy, psychologowie, macie na wszystko gotową odpowiedź, a to co mówisz, brzmi wprost fascynująco. Przypomina pracę detektywa.

Ina się uśmiechnęła.

– Patrząc z boku, można by pomyśleć, że moje codzienne zajęcia nie wyglądają szczególnie pasjonująco. Słucham i zadaję pytania, robię notatki i próbuję zrozumieć pacjenta. Wiele z tych czynności to rutyna, jak w wielu innych profesjach. Mimo to czasem zdarza się coś niezwykłego. Jakiś rok temu miałam pacjentkę, która po wypadku samochodowym doznała częściowej amnezji, przy czym stało się to nie w wyniku kraksy, tylko na skutek traumatycznego zdarzenia, które miało miejsce wcześniej i które jej podświadomość wyparła z pamięci. Czy w takiej sytuacji należy szukać odpowiedzi, czy lepiej zrezygnować? A co, jeśli w wyniku terapii pacjentka odzyska wspomnienia, które okażą się gorsze od amnezji? Niełatwo podjąć decyzję, która może ze sobą nieść nieoczekiwane, być może wręcz przerażające skutki.

– Tak – odrzekł Bobby z namysłem. – Człowiek jest taki... nieprzewidywalny.

– Owszem – powiedziała Ina. – Jednak muszę zauważyć, że większość egzemplarzy tego osobliwego gatunku, który nazywamy człowiekiem, potrafi sobie doskonale radzić ze swoimi lękami i złymi doświadczeniami. A przynajmniej umie je skierować na jakiś boczny tor i o nich zapomnieć.

– A ja myślałem, że dzisiaj ludzie walą do psychoterapeutów drzwiami i oknami.

– Bo to poniekąd prawda, popyt na nasze usługi jest coraz większy. Lęki, depresje, doświadczenie przemocy, przeładowanie informacyjne w naszym stechnicyzowanym, globalnym świecie... Ale z drugiej strony nie przesadzajmy. Pracownik działu obsługi klienta firmy rozliczającej karty kredytowe, który całymi dniami zajmuje się różnymi błędami, próbami oszustw czy zagubionymi kartami, szybko może dojść do wniosku, że lepiej w ogóle nie mieć karty kredytowej, zwłaszcza wystawionej przez jego pracodawcę. A przecież większość klientów nie ma ze swoją kartą żadnych problemów. Tak samo jest ze mną. Przytłaczająca większość ludzi nigdy w życiu nie trafi do gabinetu psychoterapeuty, więc idąc ulicą, nie muszę w każdej napotkanej osobie upatrywać ewentualnego pacjenta.

Bobby parsknął śmiechem.

– Chcesz powiedzieć, że do ciebie zgłaszają się tylko ci z reklamacjami?

– W pewnym sensie tak – odpowiedziała Ina, również się uśmiechając. – Siedzę w dziale reklamacji, sekcja mózg.

– Rozumiem, że towar nie podlega wymianie.

– Niestety. W grę wchodzi tylko naprawa.

– Dlatego mówi się, że komuś „coś się poluzowało”?

Ina skinęła głową.

– W Kolonii mówią o kimś takim „jeck”, bardzo mi się podoba to określenie.

– Meszuga.

– Crazy.

– Kuku na muniu.

– Nie po kolei w głowie.

– Nierówno pod sufitem.

– Po prostu wariat.

Przez jakiś czas ze śmiechem przerzucali się różnymi określeniami odnoszącymi się do ludzkiej psyche. Ta chwila bez troski była dla Iny niczym ożywcza kąpiel, zastrzyk energii. Cudownie było choć raz bez wyrzutów sumienia pośmiać się ze swej pracy.

Tylko Stefanie zachowała śmiertelną powagę i im bardziej Ina i Bobby się zaśmiewali, tym mocniej zaciskała wargi.

– Jestem zmęczona. Może mi ktoś pokazać moje łóżko? Domyślam się, że wy śpicie w jednym pokoju.

– Słusznie się domyślasz.

Ina wskazała córce pokój gościnny, ani słowem nie odnosząc się do jej krnąbrnego zachowania. Nie chciała, by ten i tak już niezbyt udany wieczór skończył się katastrofą.

Pół godziny później mocno przytuliła się do Bobby’ego w łóżku i przeprosiła za zachowanie Stefanie.

– Mogło być tak cudownie.

– Było cudownie. Jak zawsze, kiedy tutaj przyjeżdżasz. Dzięki tobie w moim życiu znów jest jasno i ciepło.

Pocałowali się.

– A było mrocznie i zimno?

– Przecież wiesz...

Ina domyśliła się, że Bobby mówi o swojej matce, która mieszkała niedaleko stąd, w domu opieki. Niestety mimo troskliwości opiekunów coraz bardziej słabła na ciele i duchu. Bobby był jedynakiem i odwiedzał ją trzy razy w tygodniu. Kobieta czasem z trudem go rozpoznawała, innym razem bez przerwy płakała, a jeszcze innego dnia była cała w skowronkach. Ina do tej pory jej nie odwiedziła, ponieważ Bobby uważał, że jego matka niezbyt dobrze zareagowałaby na przyjaciółkę syna. Nie sprecyzował, co ma dokładnie na myśli, a Ina nie dopytywała.

– Może powinniśmy zastosować w przypadku Stefanie tę samą metodę, co w stosunku do twojej matki – zaproponowała z nutką smutku i rezygnacji.

– Daj spokój, głowa do góry. Zobaczysz, że mnie polubi, już ja się o to postaram.

– Chciałabym mieć tyle optymizmu co ty.

Stefanie z pewnością nie była pierwszą ani ostatnią nastolatką, która nie akceptowała nowego partnera swej matki. Jako psycholog Ina doskonale wiedziała, co się dzieje w głowie jej córki, ale jako matka była pełna wątpliwości i odrobinę zła. Stefanie pod wpływem chwilowego kaprysu rzuciła szkołę, nagle stanęła przed jej drzwiami, nawiązała bliską znajomość z jej pacjentem, a teraz jeszcze jątrzyła i kładła się cieniem na jej relacji z Bobbym. Mimo to w głębi duszy Ina cieszyła się, że może spędzić więcej czasu ze Stefanie. Czuła, że najbliższe tygodnie, może miesiące, to ostatnia okazja, by odnowić matczyną relację z córką – ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Przytulona mocno do Bobby'ego, powoli odpływała w krainę snu. Zwykle nie piła tak dużo i być może pod wpływem alkoholu dziesiątki obrazów i myśli zaczęły krążyć w jej głowie, goniąc się nawzajem, wpadając na siebie i walcząc o palmę pierwszeństwa. Dom opieki, różnica wieku, wędkowanie, ciemny dom, balkon, zaginiona matka, asystentka weterynarza, kościół, trop, katolicyzm, spowiedź, odpuszczenie grzechów...

– Poczucie winy – powiedział nagle Bobby na chwilę przed tym, nim Ina ostatecznie zapadła w sen.

– Co powiedziałaś? – spytała zaspana.

– Twoja pacjentka... Jej religijne ożywienie może wynikać z ogromnego poczucia winy.

Kiedy w środku nocy Ina zbudziła się z niespokojnego snu, w pierwszej chwili w jej głowie rozbrzmiewały te same słowa co przed zaśnięciem: trop, spowiedź, wina...

I wtedy nagle ją olśniło: *Tak! To musi być to! Bobby ma rację! Katolicy mogą się spowiadać, podczas gdy protestanci muszą samotnie dźwigać brzemień winy na swoich barkach.*

Po chwili jednak Ina zamarła.

Czyżby w powietrzu unosił się swąd spalenizny? Może Bobby nie dogasił grilla?

Wstała z łóżka, by się upewnić, że ten zapach nie jest tylko złudzeniem, lecz gdy weszła do salonu, przeżyła szok. Pół frontowej ściany, łącznie z drzwiami, stało w płomieniach, a dym wdzierał się przez szpary do domu.

– O mój Boże!

Dusząc się od dymu, Ina wpadła do pokoju Stefanie. Jej córka spała na krawędzi łóżka z otwartymi ustami, zasłaniając przedramieniem oczy – dokładnie tak, jak w czasach, gdy była małym dzieckiem.

– Stefanie! Pali się! Stefanie! Obudź się! – Ina potrząsnęła córką, lecz ta nawet nie drgnęła.

Dziewczyna była za ciężka, by matka mogła ją sama wynieść z domu, toteż kaszłąc, Ina wpadła do kuchni, gdzie owinęła sobie usta i nos mokrą ścierką, a następnie zmoczyła jeszcze dwie – dla Bobby'ego i Stefanie. Potem pobiegła z powrotem do pokoju Bobby'ego, który w najlepsze spał w swoim łóżku.

Terapeutka sięgnęła po stojącą na stoliku nocnym butelkę wody i wylała ją

przyjacielowi na głowę, a potem uderzyła go kilka razy w twarz i zaczęła nim potrząsać.

– Co zno...? – Bobby urwał w pół słowa, ponieważ zaczął gwałtownie kaszleć.

– Bobby! – krzyknęła Ina zza mokrej ścierki. – Obudziłeś się, Bobby! Musimy uciekać.

Pali się!

Bobby, wciąż jeszcze zaspany, z trudem zwał się z łóżka. Obudził się dopiero na widok płomieni, które opanowały już niemal cały dom.

Gryzący dym w gardle i płucach sprawiał, że nie mogli mówić. Obojgiem wstrząsał potworny kaszel. Na szczęście szyby w oknach były jeszcze całe, dzięki czemu gęste kłęby z trudem wdzierały się do domu. Mimo to trujące gazy jakimś cudem znajdowały drogę do środka.

Bobby wskazał na drzwi pralni, w której znajdowało się tylne wyjście. Ręką pokazał Inie, żeby otworzyła drzwi, a sam szybko ruszył do pokoju Stefanie.

Ina w pierwszej chwili chciała iść z nim, by być blisko córki, ale uznała, że ktoś musi otworzyć tylne wyjście, dlatego minęła pokój gościnny, w którym spała Stefanie. Widok leżącej na krawędzi łóżka córki sprawił, że niemal oszalała z rozpacz.

Tylne wyjście. Musisz otworzyć drzwi, powtarzała sobie w myślach, próbując wziąć się w garść.

Gdy dotarła do wyjścia, nacisnęła klamkę, lecz drzwi były zamknięte, a w zamku nie było klucza.

Gdzie on się podział?

Nie znalazła go ani na półeczce przy drzwiach, ani w stojącej na niej misce, ani w górnej szufladzie.

– Klucz... zniknął – wychrypiała resztką sił, w panice szarpiąc klamkę. Czuła, że każda wypowiedziana z trudem sylaba pali ją w gardle żywym ogniem.

I wtedy fala gorącego powietrza opadła na jej twarz niczym ciężka poduszka.

Czternaście miesięcy wcześniej

Biała piwonia, koktajl z pomarańczy, bananów i mango, dwie miseczki müsli, dżem malinowy, grzanki i dzbanek arabiki. Daniel przygotował to wszystko na kuchennym stole, kilkakrotnie poprawiając ustawienie, aż w końcu uznał, że wszystko jest tak, jak należy. Potem zapalił woskową świecę i z uśmiechem popatrzył na swoje dzieło. Rodzina mogła zasiąść do niedzielnego śniadania. Ósma cztery. Grzanki były jeszcze ciepłe.

Niedzielny rano był dla Daniela i jego żony czymś szczególnym. Zawsze budzili się trochę wcześniej i się kochali. Potem Jette zostawała jeszcze przez godzinkę w łóżku, a on brał tymczasem prysznic i przygotowywał śniadanie. Dzieci, zgodnie z umową, schodziły dopiero około dziewiątej, tak że ich rodzice mieli jeszcze co najmniej pół godziny tylko dla siebie. Nie zawsze się to udawało, ale zazwyczaj wszystko przebiegało zgodnie z planem. Jette uważała, że nawet kiedy ludzie mają już dzieci, powinni pielęgnować swoją relację i znajdować czas wyłącznie dla siebie.

Żona Daniela, ziewając, przyczłapała do kuchni. Jej krótkie rudawe włosy sterczały na wszystkie strony. Jette nie przepadała za seksowną bielizną, zwłaszcza że nie produkowano jej z naturalnych materiałów, dlatego miała na sobie biały bawełniany podkoszulek i spodenki w owocowy deseń. Mimo to wyglądała prześlicznie.

Stojąc za kuchennym stołem, przeciągnęła swoje szczupłe, gibkie ciało, wzbudzając w Danielu falę pożądania.

– Dzień dobry, Zajączku – powiedziała. – Och, mój Skarb jak zwykle wszystko cudownie przygotował.

Daniel nie przepadał za tego rodzaju zdrobnieniami i pieszczotliwymi określeniami, ale je tolerował. Zajączek, Myszka, Miś, Wróbelek – całe zoo.

– Najpierw poproszę kawę. Hmm, pachnie wspaniale. Cudownie, że o niej pamiętasz. Widziałeś już dzieci?

– Oczywiście, nadobna pani. Felicia odnawia domek dla lalek, a Christopher próbuje w łazience nowy żel do włosów, podobno najlepszy na rynku. Dzisiaj już cztery razy mył głowę i to chyba jeszcze nie koniec, więc mamy czas. W końcu.

Jedli i pili, rozkoszując się miłą atmosferą. Jette poczęstowała męża swoim tostem z galaretką z rokitnika, a on, odgryzłszy kęs, zrewanżował się kromką z dżemem malinowym. Od czasu do czasu wymieniali ponad stołem czułe spojrzenia.

– Idziesz dziś pobiegać, Misiu? – spytała Jette.

Daniel przełknął i dolał sobie kawy.

– Tak, zaraz po śniadaniu. Dzisiaj chyba zrobię dłuższą rundkę, najpierw przez las, a potem wzdłuż brzegu. Wrócę koło południa.

– Jak ty to robisz, że w tym lesie nigdy cię nie gryzą komary? Nie masz ani jednego bąbla. Ja nie mogę tam wejść nawet na chwilę, bo zaraz wyglądam, jakbym miała

różyczkę.

Ups! Daniel uświadomił sobie, że nie pomyślał o tym drobiazgu. Musiał bardziej uważać, by się nie zaplątać w swych opowieściach. Inaczej jego żona o wszystkim się dowie.

- Widocznie mam lepszy spray na komary.
- Czysta chemia – odparła Jette.
- Mnie pomaga.

Jette jakby przez chwilę rozważała, czy wszcząć dysputę na temat korzyści i zagrożeń płynących z używania środków chemicznych, ale ostatecznie z tego zrezygnowała.

- Pomyślałam, że może dzisiaj wybiorę się z tobą, co ty na to?
- Słucham? – Daniel omal nie wypuścił filiżanki z dłoni.
- Mówię o joggingu, Misiu. Chciałabym też spróbować.
- Ale ty... uprawiasz jogę... i pilates.

– No i? Jeśli zawsze piję kawę, to czy nie mogę raz w życiu spróbować herbaty z imbirem? Christopher i Felicia mogliby z nami pojechać na rowerach. Zrobimy sobie cudowną rodzinną wycieczkę. Weźmiemy kilka kanapek i urządzimy piknik. Pogoda jest wprost wymarzona.

Jette wstała i otworzyła drzwi na taras. Ciepłe powietrze stało nieporuszone nawet najdelikatniejszym powiewem, na niebie widać było jedynie kilka chmurek.

- Ale... ty... – jąkał się Daniel. – Możemy to zrobić, kiedy wrócę.
- Po co masz dwa razy wychodzić? No, nie opieraj się tak, Zajączku. Będzie fajnie.

W rzeczywistości to, co Daniel miał w planach na ten poranek, wcale nie było fajne. Czekąco go kolejne spotkanie u Adamskich.

– Wiesz co, Jette... Jogging to... Potrzebuję trochę czasu tylko dla siebie. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz...

Jette stała w drzwiach, za którymi widać było kwitnący ogród, lecz na jej twarzy malował się bezbrzeżny zawód.

- Cóż... W takim razie...

Daniel poczuł, jak mu się ściska serce. Kiedy ostatni raz odmówił żonie, gdy go o coś prosiła? Kiedy mówiła, że ma ochotę popływać, zaraz pakował do toreb ręczniki. Kiedy chciała odwiedzić swoich rodziców, oddawał jej auto, a sam wstawał godzinę wcześniej i jechał do pracy rowerem lub autobusem. Kiedy proponowała, by posadzili w ogrodzie nową odmianę byliny, od razu planował wyjazd do sklepu ogrodniczego. A kiedy swego czasu powiedziała, że chciałyby otworzyć sklep z produktami ekologicznymi, tak długo wszystko wspólnie omawiali i planowali, aż w końcu dopięła swego. Nie potrafił sobie przypomnieć, by kiedykolwiek sprawił jej zawód.

Dlatego widząc na jej twarzy rozczarowanie, przytulił ją mocno i rzekł:

- Kochanie, ja... nie miałem na myśli nic złego. Ja tylko...
- Już dobrze – przerwała mu Jette. – Idź pobiegać, a ja się zajmę pilatesem.

Przesuniemy wycieczkę na popołudnie, zgoda?

- Zgoda. Już się nie mogę doczekać.

Jette delikatnie wyswobodziła się z objęć męża, wzięła stojącą na kuchennym blacie puszkę z kawą i chowając ją z powrotem do szafki, nagle zamarła.

– Co to jest? – spytała.

– To? Czekolada – odparł Daniel obojętnym tonem.

– Mleczna – sprecyzowała Jette, a w jej głosie pojawił się metaliczny ton. – A obok niej?

– Żelki – odpowiedział potulnie jej mąż, chociaż był nieco zirytowany tymi retorycznymi pytaniami.

– Ze zwykłego supermarketu, na żelatynie. To taka ładna nazwa ekstraktu z krowich kości. Przecież o tym rozmawialiśmy. Ustaliliśmy, że odżywiamy się wegańsko, wyłącznie.

– No tak – przytaknął Daniel ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Ale Felicia spojrzała na mnie tymi swoimi wielkimi oczami i powiedziała, że ma ochotę na żelki. Co miałem zrobić? A Christopher orzekł, że ma dość ciemnej czekolady.

Jette wrzuciła napoczęte opakowania do kosza na śmieci.

– Zostawię to bez komentarza.

Kilka minut później Daniel wyszedł z domu i szybko zapomniał o małej utarczce z Jette. Czasami lubił spiskować z dziećmi przeciwko ich matce. Wielkie nieba, czy batonik czekoladowy raz na jakiś czas to taka zbrodnia?

Pierwsze kilkaset metrów przebiegł, lecz kiedy tylko zostawił za sobą ostatnie zabudowania Prerow i rodzinny dom znikł mu z pola widzenia, zwolnił i zaczął iść. Okrążył las z lewej strony i ruszył drogą prowadzącą do Wieck.

Im bliżej był celu, tym bardziej myślał o zamkniętym w piwnicy mężczyźnie, którego skutecznie pozbywał się ze swej głowy, przebywając w domu. Czuł, że robi mu się niedobrze. Nie lubił chodzić do Adamskich. Najchętniej usunąłby się na bok i zostawił wszystko w rękach Gerda. Taki kloc jak on najlepiej nadaje się na strażnika i kata. Ale Daniel nie mógł mu tego powiedzieć i musiał robić to, co do niego należy, zwłaszcza że podczas porwania zawiódł na całej linii.

Kiedy błąd od mdłości dotarł do domu Adamskich, Romy właśnie wysiadła z jakiegoś SUV-a – a wraz z nią nieznamy mężczyzna. Facet miał najwyżej dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata, regularne rysy twarzy, elegancką fryzurę i cerę południowca, a obcisła koszulka eksponowała umięśniony tors. Jednym słowem, jak to się mówi, prawdziwe ciacho. Do tego był chyba miłośnikiem sztuk walki, bo w sposób typowy dla tego typu ludzi z trzaskiem wyłamywał sobie palce u dłoni.

Po chwili, kręcąc na placu wskazującym lewej ręki łańcuszkiem od kluczyków auta, nieznamy ruszył w stronę Daniela.

– Cześć, jestem Giovanni, nowy chłopak Romy – powiedział, wyciągając prawą dłoń na powitanie. – Będę w waszej paczce.

Gerd dosłownie się wściekł. Fakt, że Romy ni z tego, ni z owego bez jego wiedzy wtajemniczyła we wszystko swojego włoskiego kochasia – którego skądinąd znała zaledwie od kilku dni – doprowadził piekarza niemal do białej gorączki. Daniel rzadko zgadzał się z Gerdem, ale tym razem w pełni podzielał jego oburzenie. Przy wszystkich

różnicach w charakterze i stylu bycia, jakie dzieliły go od Gerda i Boda, Daniel uważał, że w gruncie rzeczy są dobrymi i uczciwymi ludźmi, którym obca jest wszelka przemoc, podczas gdy ten cały Giovanni stanowił dla niego jedną wielką niewiadomą. Facet wyglądał na twardziela, a poza tym mógł w pewnym momencie zechcieć zbić na swej wiedzy kapitał. Daniel nie cierpiał takich cwaniaków, którzy ze wszystkiego potrafią wyciągnąć dla siebie jakąś korzyść.

Od początku czuł się nieswojo na myśl o tym, że jest wśród nich Romy. Ta dziewczyna potrzebowała minuty, żeby przeczytać tytuł książki! To chyba mówi wszystko, prawda? Równie dobrze można by wysłać na front pensjonariuszy domu wariatów. Jednak Marlene nie pozwalała powiedzieć złego słowa na swoją podopieczną, która była trochę jak gołębica w parku – niezbyt inteligentne i bezużyteczne, a mimo to zawsze umiejące znaleźć kogoś, kto je dokarmi.

Z drugiej strony – co mieli zrobić? Za późno było na lamenty. Romy o wszystkim powiedziała Giovanniemu i wypadało się tylko cieszyć, że facet nie poszedł od razu na policję.

Gerd przez dziesięć minut rugał dziewczynę, podczas gdy jej włoski chłopak czekał cierpliwie przed domem. Kiedy piekarz umilkł, ta głupia gęś odpowiedziała tylko:

– Możecie mu zaufać, naprawdę. Spałam z nim, więc go znam.

Daniel po prostu oniemiał, a Gerd z rezygnacją spojrział na żonę.

– Ty z nią porozmawiaj, Marlene. Mnie brak słów. Czegoś takiego w życiu nie słyszałem.

Marlene po raz kolejny udowodniła, że jest niezrównaną mediatorką. Miała dość rozsądku, by stwierdzić, że kiedy płonie toster, nie ma sensu krzyczeć na producenta, tylko trzeba gasić ogień, toteż z miejsca stwierdziła:

– W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Musimy się pogodzić z tym, że Giovanni jest jednym z nas. Romy, idź proszę i go przyprowadź.

Gerd z jakiegoś powodu – może dlatego, że nikt go nie poparł – poczuł się urażony i słuchając Giovanniego, był wyraźnie nadąsany.

Okazało się, że włoski kochanek Romy urodził się w Hesji, choć jego rodzice pochodzą z Sycylii. Chłopak powiedział, że od roku pracuje na Darss jako kelner w pizzerii swoich dwóch kuzynów i to właśnie tam pięć dni wcześniej, we wtorek, poznał Romy. Umówili się na środę na randkę, od czwartku byli parą, a w piątek rano, w jego łóżku, Romy o wszystkim mu powiedziała. Jako hobby chłopak wymienił piłkę nożną, kick-boxing i wyścigi Formuły 1, choć – jak zaznaczył – ostatnio ogląda je wyłącznie w telewizji.

Słuchając tego wszystkiego, Daniel w duchu kilka razy przewrócił oczami, ale nie dał po sobie nic poznać.

– Zrobiliście zajebistą robotę. – Włoch pochwalił swych nowych współników. – To znaczy... mam na myśli porwanie i w ogóle. Wchodzę w to, na sto procent. Ale słyszałem, że w tej chwili jest jakiś przestój, tak? Jaki właściwie macie problem?

– Jaki znów problem? – spytał Daniel.

– Forsa, stary. Dlaczego jeszcze nie macie forsy?

Daniel wzruszył ramionami i przełknął ślinę. Kiedy spotykał takich karków na ulicy,

szybko odwracał wzrok, żeby go przypadkiem nie zaczepili. Ich słownictwo, sposób bycia, napakowane mięśnie – wszystko to sprawiało, że czuł się nieswojo. W relacjach z Gerdem i Bodem zachowywał się jak równy z równym, a czasem nawet czuł wobec nich wyższość. Jednak wyższość, którą czuł kilka minut wcześniej w stosunku do Giovanniego, zniknęła, gdy tylko spojrział w ciemne oczy Włocha. Wtedy poczuł się jak mała myszka.

– Pieniądze to zadanie Boda – wymamrotał bibliotekarz.

– *Va bene*, od tej pory ja się tym zajmę. Gdzie jest... ten... no, jak mu tam... Bodo?

– Może najpierw usiądź, Giovanni – poprosiła Marlene. – Napijesz się kawy?

– Jeśli jest świeża i dobra...

– Nie tylko Włosi potrafią parzyć dobrą kawę – odparła pani Adamski, uśmiechając się do gościa, Giovanni zaś odpowiedział tym samym i kiwnął głową.

Zaparzona przez Marlene kawa i pyszne ciasto z malinami szybko rozładowały napiętą atmosferę. Giovanni jadł jak chłop w żniwa – w dwie minuty pochłonął dwa kawałki ciasta – ale jedząc, przynajmniej cierpliwie słuchał. Marlene na wszelki wypadek dokładnie wyłuszczyła mu cały plan. Kto wie, co Romy mu nagadała? Pewnie sama nawet w połowie nie rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi.

– Więc ile to jeszcze potrwa? – spytał w końcu Giovanni.

– Przyjeliśmy, że wszystko zajmie najwyżej tydzień, a kilka dni już minęło – odrzekła Marlene, która, nie licząc oczywiście Romy, jako jedyna rozmawiała z Giovannim. – Do tej pory wszystko idzie zgodnie z planem i nie ma powodów do paniki. Niedługo dostaniemy pieniądze i każdy otrzyma swoją działkę. Bodo jest absolutnie godny zaufania.

– Kiedy stawka jest tak wysoka, nikt nie jest godny zaufania. A co potem, kiedy już dostaniemy pieniądze?

– Nie rozumiem... Wypuścimy pana Töllera w nocy na jakimś odludnym parkingu i każdy pójdzie w swoją stronę. On nie ma pojęcia, kto go porwał, więc nie musimy się o nic martwić.

Giovanni spojrział po zgromadzonych, każdemu przez sekundę zaglądając głęboko w oczy.

– Po takim numerze, jaki właśnie robimy, największym problemem nie jest ofiara, tylko współnicy.

Wrzesień

I na czuła, że pęka jej głowa, i gdyby mogła, wypiłaby wiadro wody. Chociaż nie byłaby w stanie zliczyć, ile razy brała prysznic, czuła, że nadal cuchnie jak komin. Na szczęście wilgotna ścierka, którą zakryła sobie usta i nos, uchroniła ją przed najgorszym. Stefanie i Bobby musieli spędzić dwa dni z maskami tlenowymi na twarzy i wciąż jeszcze leżeli w szpitalu. Jednak myśląc o tym, co mogło się zdarzyć podczas takiego pożaru, czuła, że i tak mieli mnóstwo szczęścia.

– Gdybyś nie wyniósł Stefanie... – powiedziała, siedząc na skraju łóżka i gładząc Bobby'ego po czole i włosach. – Gdyby cię tam nie było, to... Mój Boże, kiedy sobie przypominam, jak nie mogłam otworzyć tych drzwi... Sierota, zupełnie zapomniałam, że klucz wisi na haczyku na ścianie.

– Wpadłaś w panikę, to się zdarza – próbował pocieszyć ją Bobby.

– Mimo wszystko...

– To ty zauważyłaś, że się pali. Gdyby nie ty, nie rozmawialibyśmy teraz... Ale powiedz, co ze Stefanie. Lepiej się czuje?

– Dostaje tyle budyniu, ile dusza zapagnie, kupiłam jej nowego smartfona i leży w pojedynczym pokoju z wielkim telewizorem, mając do wyboru osiemdziesiąt dziewięć kanałów. Nie ma powodów do narzekania.

Bobby próbował się uśmiechnąć, lecz mimo to wyglądał żałośnie. Jego skóra i wargi były sine, a powieki raz po raz opadały na kilka sekund.

– Powinieneś odpocząć. Chciałam cię tylko zobaczyć – powiedziała Ina, wstając, lecz Bobby pokręcił głową.

– Co z domem? Wiesz coś?

– Byłam tam. Jeszcze stoi, ale z zewnątrz wygląda jak zwęglone ciastko. Dym i woda zrobiły swoje i nie da się w nim mieszkać. W środku trzeba będzie wszystko wymienić. Właściciel już o wszystkim wie.

Słowa Iny wyraźnie przygnębiły Bobby'ego, co w sumie było dość zrozumiałe. Mimo to zrobiło jej się przykro, gdy zobaczyła go w takim nastroju.

– Załatwię sprawy w firmie ubezpieczeniowej. Oczywiście możesz zamieszkać u mnie, aż...

Rozległo się pukanie i do sali wszedł wyjątkowo wysoki mężczyzna. Musiał mieć dobre dwa metry wzrostu.

– Cześć, Bronny – powiedział przybysz. – Jak się czujesz?

– Cześć, Witte. Dzięki, już lepiej.

Mężczyźni byli mniej więcej w tym samym wieku i zwracali się do siebie po nazwisku. Po zdawkowym powitaniu nastąpiła krótka pogawędka na temat stanu zdrowia Bobby'ego

i na tym grzeczności się zakończyły.

– Nadkomisarz Witte – przedstawił się gość, zwracając się do Iny, po czym wcisnął dłoń w kieszenie spodni, skąd nie wyjął ich aż do końca rozmowy. – Bronny i ja chodziliśmy do jednej klasy, a potem razem wstąpiliśmy do ochotniczej straży pożarnej. A pani to...

– Ina Bartholdy.

– Ach, więc to pani...

Ina nie miała pewności, czy słowa policjanta odnoszą się do jej roli jako świadka pożaru czy raczej nowej partnerki Bobby'ego. Bobby nie opowiadał jej zbyt wiele o swoich znajomych, a jeszcze rzadziej zabierał ją na spotkania z nimi.

– Nie wiedziałam, że byłeś strażakiem – powiedziała Ina.

– Wypisał się jakiś rok temu – odrzekł nadkomisarz Witte, spoglądając na przyjaciółkę Bobby'ego z uśmiechem, po czym na kilka sekund zapadła cisza.

– Po co przyszedłeś? – spytał Bobby, a jego ściągnięte brwi i zniecierpliwienie w głosie zdradzały, że nie darzy swego dawnego kolegi szczególną sympatią.

– Zapomniałeś? W twoim domu był pożar, a dowody wskazują, że doszło do podpalenia. Twoi koledzy... twoi dawni koledzy są pewni, że ktoś oblał frontowe drzwi benzyną. Prymitywna robota. To raczej wyklucza cię z kręgu potencjalnych podpalaczy.

– Och, wielkie dzięki.

– Mimo to omal nie zginąłeś. Co prawda śmiercią, o jakiej marzy większość ludzi, we własnym łóżku, we śnie, ale jednak pięćdziesiąt lat za wcześnie. Dlatego chciałbym, żebyście oboje się dobrze zastanowili i powiedzieli, czy jest ktoś, kto mógłby chcieć spalić ten dom albo zabić któregoś z was. W ogrodzie znaleźliśmy porzucony kanister z benzyną.

– To pewnie sprawka jakiegoś piromana. Miał ochotę popatrzeć na ogień. Czasami słyszy się o takich przypadkach – powiedział Bobby, lecz Ina była innego zdania.

– Jeśli wolno mi się wtrącić... Piromani co prawda biorą pod uwagę ryzyko, że ktoś może ucierpieć, ale nie próbują nikogo zabić. A wokół domu Bobby'ego stoją puste domki letniskowe, które wydają się lepszym celem dla piromana.

– Sprawca prawdopodobnie nie wiedział, że jesteśmy w domu – zaproponował Bobby.

– Twoje polo i garbus stały na podjeździe, a ja obok zaparkowałam swój wóz. Zważywszy na to, że miejsce jest odludne, a pora była dość późna, musiało chyba być oczywiste, że ktoś jest w domu.

– Słuszna uwaga – poparł Inę policjant.

– Daj spokój, Witte. Myślisz, że ktoś chciał mnie zabić? – zaprotestował Bobby. – Może jakiś dziesięciolatek wziął z garażu rodziców kanister z benzyną, żeby się zemścić na autorze gry, bo nie może przejść na następną poziom?

– Twój dom nie został wybrany przypadkiem – odparł Witte. – Gdyby właściciel chciał skasować odszkodowanie z ubezpieczalni, łatwiej byłoby mu spalić pusty domek, do tego oszczędziłby swego najemcę. Więc może to faktycznie dzieło jakiegoś szaleńca? Nie pierwszy raz psycholog pomyliłby się w swoich ocenach, prawda, pani Bartholdy?

– Hej, jak ty się do niej odzywasz? Może trochę grzeczniej, z łaski swojej, co?

– Prowadzę dochodzenie w sprawie usiłowania zabójstwa, Bronny, nie przyszedłem na pogaduszki.

– Wiesz co? Masz szczęście, że nie mogę wstać. Mam jednak dość powietrza, by ci powiedzieć, że jesteś...

– Proszę, panowie – wtrąciła się Ina, przerywając tę słowną utarczkę. – To do niczego nie prowadzi. Przecież jesteśmy po tej samej stronie.

Terapeutka mimowolnie pomyślała o Marlene. Nawet jeśli podjęta przez piekarszową próba samobójcza nie miała żadnego związku z podpaleniem domu Bobby'ego, to obie sprawy łączyła wspólna cecha: oto w ciągu kilku tygodni dwoje powszechnie lubianych mieszkańców Darss cudem uniknęło śmierci.

A ona, Ina, znała obie niedoszłe ofiary.

– A co, jeśli to ja byłam celem? – powiedziała.

– Cieszę się, że to pani poruszyła tę kwestię – odrzekł Witte. – Moim zdaniem to oczywiste, że jakiś ciężko zaburzony szaleniec wziął panią na celownik.

– Chwileczkę. Sugeruje pan, że moi pacjenci mnie nienawidzą?

– Miałem wrażenie, że pani sama to przed chwilą zasugerowała.

– Bynajmniej. Miałam raczej na myśli samochód, który śledził mnie kilka dni temu. Tak mi się przynajmniej wydawało. Czarny fiat coupé. Chociaż muszę przyznać, że jadąc do domu Bobby'ego, już go nie widziałam.

– Zapisała pani numer rejestracyjny?

– Nie, ja... Nie pomyślałam, że to ważne, poza tym wóz przez całą drogę zachowywał spory dystans.

– Samochód sam tego nie zrobił. Samochody nie podpalają domów ani nikogo nie śledzą. Czy ktoś z pani pacjentów jeździ takim autem?

Ina aż sapnęła.

– Pytanie o markę posiadanego samochodu zwykle nie jest częścią terapii.

– Pamięta pani płęć kierowcy, jego wiek, sylwetkę?

– Widziałam tylko niewyraźny kontur. Jak wspomniałam, wóz był za daleko.

– To by znaczyło, że kierowca nie chciał, by pani go rozpoznała. A to znowu sugeruje, że może go pani znać.

Ina chcąc nie chcąc musiała przyznać, że wniosek wyciągnięty przez policjanta nie jest pozbawiony sensu. Ale kto z jej pacjentów mógł ją śledzić? Po raz pierwszy zauważyła fiata po sesji, którą odbyły z Marlene w kościele. Pomyślała o Gerdzie Adamskim, ale szybko uznała, że właściwie nie ma podstaw go podejrzewać. Miałyby wysłać policję do domu niedoszłej samobójczynie tylko dlatego, że ma niejasne podejrzenia względem jej męża? Poza tym Adamscy nie mieli fiata, tylko audi, a Ina sama już nie była pewna, czy faktycznie ktoś ją śledził.

– Taak – powiedział przeciągle Witte. – W takim razie musimy rozważyć jeszcze jedną możliwość. Taką mianowicie, że celem podpalacza byliście oboje, ty, Bronny, i pani, pani Bartholdy.

– Oboje? – powtórzyła Ina, wymieniając poirytowane spojrzenia z Bobbym, który najwyraźniej czuł w tej chwili to samo co ona.

Terapeutka doskonale rozumiała, do czego zmierza Witte. Bobby próbował to ukrywać, ale Ina wiedziała, że jej przyjaciel odciął się od swoich znajomych – przynajmniej tych, którzy chcieli, by się z nią rozstał, i rzucali w tym celu głupie teksty.

Jedni wprost powiedzieli, że chcą się spotykać tylko z nim, inni zaś myśleli tak samo, lecz nie mówili tego głośno, tylko zwyczajnie unikali kontaktów z dawnym przyjacielem.

Bobby usiadł na łóżku.

– Przysięgam, Witte, jeśli powiesz jeszcze jedno słowo, zabiję cię. Jeśli nie dzisiaj, to jutro.

Kiedy kilka chwil później Ina weszła do szpitalnego pokoju swej córki, Stefanie i Christopher leżeli obok siebie na łóżku i oglądali w telewizji wideoklipy. Nie byli w siebie wtuleni – Stefanie leżała pod kołdrą, a Christopher na wierzchu – ale ich policzki się wyraźnie stykały. Chrupali lukrecje, pili colę i chichotali. Kiedy chłopak spostrzegł Inę, w te pędy zerwał się z łóżka.

– Dzień dobry, pani Bartholdy – powiedział drżącym głosem. – Cieszę się, że znowu pani... dobrze się czuje.

– Dziękuję.

– Chciałem tylko na chwilę odwiedzić Stefanie. Chyba nie ma pani nic przeciwko temu, prawda? Stefanie powiedziała pani, że my... czasami się spotykamy.

Jako pacjent Christopher nie okazywał swej terapeutce szczególnego respektu, ale kiedy coś mu nie odpowiadało, nigdy nie był niemiły, tylko raczej bezpośredni. Dlatego mimo dość ponurego usposobienia chłopaka, które z pewnością miało związek ze zniknięciem matki, Ina dobrze się z nim dogadywała. Gorzej radziła sobie z tym pełnym szacunku, grzecznym nastolatkiem, którego widywała w szpitalu jako chłopaka swej córki. Czuła się dziwnie w tej sytuacji, gdyż do tej pory trzymała pacjentów z dala od swojego życia prywatnego i swoich bliskich. W Schwerinie nigdy nie miała takich problemów, ale tutaj, na tym niewielkim, gęsto zaludnionym skrawku lądu, ich pojawienie się było wyłącznie kwestią czasu. Na Darss nie dało się rozdzielić spraw zawodowych od prywatnych.

Ponieważ terapeutka przez dłuższą chwilę nie odpowiadała na pytanie chłopaka, wyręczyła ją Stefanie, która demonstracyjnie stwierdziła:

– Oczywiście, że nie ma nic przeciwko temu.

Ina zdała sobie sprawę, że gdyby spróbowała się sprzeciwić, jej słowa brzmiałyby drobnomieszczkańsko – nie tylko w uszach Stefanie i Christophera, ale i również jej własnych, toteż odpowiedziała w końcu:

– Nie, nie mam nic przeciwko temu. Ale porozmawiam o tym z twoim ojcem.

– Och, mam, nie bądź taka! – wykrzyknęła Stefanie.

– Zrozum, nie będę z nim rozmawiać jako twoja matka, tylko jako terapeutka jego syna. Muszę to zrobić.

– I tak jesteś okropna!

– Cóż, nie jestem pierwszą ani ostatnią matką, która słyszy to z ust swojej córki.

Cudowny domek Daniela Trebutha był pogrążony w smutku. Nawet ktoś, kto nie znałby historii tej rodziny, zbliżając się do chaty, natychmiast wyczułby spowijającą to miejsce melancholię. Kwiaty smętnie zwieszały głowy, liście krzewów zwisały z gałęzi blade i pozbawione życia, trawnik nie był koszony co najmniej od roku, a wśród krzaków, których nieprzycinane gałęzie sterczały na wszystkie strony, leżała niemiłosiernie brudna piłka. Meble tarasowe przez całą ostatnią zimę stały chyba nieprzykryte, a i w tym roku najwyraźniej czekał je ten sam los. Zamknięte okiennice nie wpuszczały do środka promieni wspaniałego wrześnieowego słońca.

Przed drzwiami wałało się co najmniej pięćdziesiąt niedopałków, a kiedy ojciec Christophera otworzył drzwi, Ina nie miała już wątpliwości, kto w tym domu pali papierosy.

– Proszę, niech pani wejdzie.

Daniel Trebuth miał zmierzwione kasztanowe włosy i brudne szkła druczianych okularów, a w jego oczach odbijał się zrujnowany świat, w którym obecnie przyszło mu żyć. Właśnie grał z córeczką w jakąś grę planszową.

– Cześć, Felicio. Pamiętasz mnie? – spytała Ina.

– Tak. Ty rozmawiasz z Christopherem.

– Zgadza się. Co u ciebie słychać?

– W porządku. Zobacz.

Dziewczynka naciągnęła sobie na rączkę skarpetkę, na której wyhaftowano twarz i rude włosy, i zaczęła z nią rozmawiać, podczas gdy ojciec stał za plecami małej i cicho płakał, tak aby tego nie zauważyła.

– Piękna – powiedziała Ina. – Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli przez chwilę porozmawiam z twoim tatą w kuchni?

Dziewczynka energicznie potrząsnęła główką, tak że jej warkoczyki pofrunęły w lewo i w prawo.

– Tylko nie oszukuj – powiedział Daniel Trebuth zduszonym od płaczu głosem, po czym z trudem uśmiechnął się do córeczki.

Kuchnię, będącą chyba jedynym w tym domu pomieszczeniem, które Daniel Trebuth utrzymywał w czystości, urządzono po kobiecemu, z upodobaniem do detali. Oprócz białych rustykalnych mebli wzrok przyciągała ręcznie malowana apteczka, a przez otwarte tarasowe drzwi do środka wpadało świeże morskie powietrze.

Gospodarz wskazał Inie krzesło, postawił przed nią na stole maślane ciasteczka i nalał kawy do gustownych filiżanek, które najpewniej pochodziły z prababcinego kredensu lub pchłego targu.

– Arabika. Jette piła tylko taką mieszankę.

– Bardzo smaczna. Panie Trebuth, jestem tutaj, ponieważ...

– Wiem, Christopher opowiedział mi o wszystkim dziś rano. Chociaż „opowiedział” to nie jest właściwe słowo. Raczej wykrzyczał.

– Czy jego relacje z panem nadal są tak napięte?

– Owszem, i będą, dopóki ludzie opowiadają te wszystkie bzdury o jego matce. On uważa, że te plotki to moja wina.

– Być może obwinia też pana o zniknięcie matki. Ma pan jakieś nowe wieści?

– Nie, skąd? Pani też myśli, że zabiłem swoją żonę?

Słyszając to pytanie, Ina omal nie spadła z krzesła.

– Gdybym tak myślała, raczej bym tu nie przyjechała.

Daniel Trebuth zdjął okulary i gwałtownie potarł oczy. W jednej chwili na jego twarzy pojawił się pełen tragizmu grymas, a policzki zaczęły drżeć, wstrząsane gwałtownym łkaniem. Ina ze wszystkich sił próbowała go pocieszyć, ale nie była w stanie zdjąć z jego ramion brzemienia, które przyszło mu dźwigać. W jego przypadku – tak jak w przypadku jego syna – nie mogła nawet zdefiniować problemu, gdyż wciąż nie było wiadomo, jak się ta cała historia skończy. Wiedziała, że ci, których bliscy umarli, mogą przeżyć żałobę, ci zaś, których opuszczono, mają szansę na nowy początek, ale nie miała pojęcia, jak sobie poradzić z niepewnością. Jak żyć w sytuacji, gdy każdy dzień może przynieść tragiczną wiadomość albo wielką radość, gdy w drzwiach stanie skruszona żona i matka.

– Jest pan dobrym ojcem. Troszczy się pan o Felicię, wysłał Christophera na terapię. Ale co z panem? Jak pan się czuje?

– Ja nie potrzebuję terapii – odparł gwałtownie Daniel Trebuth.

– Cóż, co prawda mam w tej kwestii inne zdanie, ale nie chcę się panu narzucać. Może jednak powinien pan spróbować jakiejś formy autoterapii? Na przykład mógłby pan razem z dziećmi zadbać o ogród. Może zechce pan tu czy tam coś zmienić, również w domu. To byłby znak dla całej rodziny, że życie toczy się dalej.

Gospodarz sprzątnął ze stołu filiżanki i dzbanek z kawą.

– Aha, jeśli chodzi o pani córkę... Nie przeszkadza mi, że się spotyka z Christopherem. Wysłałem go do pani, bo mieszka pani w pobliżu, i widzę, że dobrze sobie radzi z moim synem. Reszta mnie nie obchodzi. A teraz przepraszam, nie chcę, żeby Felicia zostawała tak długo sama.

Czternaście miesięcy wcześniej

Na wiejskim cmentarzu nie było żywego ducha. Ludzie zazwyczaj odwiedzają groby bliskich w weekendy i w ciągu dnia, dlatego Bodo przyjeżdżał tu w poniedziałki, wczesnym rankiem. Chciał pobyć sam na sam z Nelli, a właściwie ze wspomnieniami o niej, i za nic nie chciał spotkać jej rodziców. Wystarczyło mu, że musiał patrzeć na to, co zrobili z jej grobem.

Nagrobek sam w sobie był całkiem ładny: prosty, z jasnoszarej płyty. Spodobałby się Nelli. Tym, co przeszkadzało Bodowi, były niezliczone laleczki, szmaciane zwierzątka i plastikowe wiatraczki – zupełnie jakby Nelli umarła, mając siedem lat. W każdy poniedziałek Bodo znajdował na grobie świeże „ozdoby”, którymi zastępowano stare, zniszczone przez wodę. Chociaż czasem kusiło go, by wyrzucić ten cały kiczowaty chłam, nigdy tego nie zrobił. Nelli nie żyła, a zmarłym jest wszystko jedno.

Bodo był ateistą i nie wierzył w życie pozagrobowe. Dla niego Nelli rozplynęła się w nicości, znikła, na zawsze. Nie spoglądała na niego z góry i nie mogła odpowiedzieć na jego pytania, rozwiać wątpliwości, zgodzić się z nim ani mu się sprzeciwić. A mimo to, stojąc nad jej grobem, często z nią rozmawiał. Wiedział, że tak naprawdę rozmawia sam ze sobą, lecz nie potrafił przestać.

Świadomość, że życie już nigdy nie będzie takie samo, wywoływała w nim nieustanny ból, który sprawiał, że czasem odchodził od zmysłów. Mimo to próbował nie żyć wyłącznie przeszłością. W ostatnim czasie postanowił to i owo zmienić i podjął kilka decyzji, które zapewne nie spodobałyby się Nelli. Na przykład przestał nosić kowbojki, które wprost uwielbiała. Rzadko też zapraszał do siebie przyjaciół, podczas gdy Nelli bez przerwy organizowała w swoim lub jego mieszkanku przyjęcia. I wreszcie: porwał człowieka. Nelli nigdy by tego nie zaakceptowała. A mimo to w pewnym sensie to właśnie ona sprawiła, że zdecydował się na ten krok.

Po zapłaceniu podatku spadkowego zostało mu trzydzieści tysięcy euro. Rodzice Nelli zażądali zwrotu tych pieniędzy i zaraz po pogrzebie Bodo był skłonny je oddać – jego życie legło w gruzach, więc co mu po pieniądzach? Zaczął pić, przestał chodzić do pracy, przesiadywał godzinami przed telewizorem lub ekranem komputera albo po prostu leżał nieprzytomny. Miał w nosie spadek. Lecz rodzice Nelli potraktowali go parszywie – oskarżyli go o to, że był z ich córką wyłącznie dla pieniędzy. Zresztą z jakiegoś powodu nigdy go nie lubili. Może dlatego, że nie miał matury, a może dlatego, że był mechanikiem samochodowym? W pewnych kręgach taka praca uchodzi za coś wręcz haniebnego.

Tak czy siak doszło do kłótni o spadek i rodzice Nelli zakwestionowali jej testament. Upłynęły dwa lata, nim sąd rozstrzygnął sprawę na korzyść Boda – dwa lata, w trakcie których jego stosunek do tych trzydziestu tysięcy uległ diametralnej zmianie. Te pieniądze były wszystkim, co mu zostało po Nelli – oprócz, oczywiście, wspomnień i paru zdjęć. Resztę zagarnęli jej rodzice – zabrali meble z jej mieszkania, biżuterię, ubrania, a nawet

dwa koty, Anioła i Ducha. No i nie pozwolili mu postawić nagrobka.

Bodowi nigdy nie przyszłoby do głowy sięgnąć po te pieniądze. Po pierwsze, zarabiał wystarczająco, by się utrzymać, a po drugie, nie mógłby wydać pieniędzy Nelli na nowe zimowe opony, komplet wypoczynkowy czy wielkoekranową plazmę. Niektórzy przyjaciele kpili z niego, że jest jak emeryt, który traktuje swoje konto oszczędnościowe niczym relikwie. On jednak nie odpowiadał na zaczepki. Myślał sobie, że może pewnego dnia kupi za te trzydzieści tysięcy coś, co po pierwsze spodobałoby się też Nelli, a po drugie – miałyby trwać wartość. Na przykład dziki sad. Nelli uwielbiała stare sady. Albo żaglówkę, którą nazwałby jej imieniem.

Kiedyś na festynie strażackim, na którym Gerd Adamski zasponsorował bufet, piekarz zwrócił mu uwagę, że pieniądze ulokowane na zwykłym koncie tracą na wartości. Pół procent rocznie oprocentowania przy jednoprocentowej inflacji powoduje, że suma z czasem realnie maleje. Bodo postanowił to sprawdzić i okazało się, że piekarz miał rację. Od tej pory myśl o tym, że pieniądze Nelli mogłyby zostać pożarte przez coś tak abstrakcyjnego jak inflacja, nie dawała Bodowi spokoju. Zastanawiał się, czy aby nie nadeszła przypadkiem pora, by kupić sad lub żaglówkę, lecz Gerd Adamski poradził mu coś innego. Powiedział, że zna kogoś, kto...

Dzień, w którym Bodo dowiedział się, że wyniku bankructwa pewnego banku w Hongkongu stracił całe trzydzieści tysięcy, był najgorszym od czasu, gdy umarła Nelli. Bodo miał wrażenie, jakby opuściła go po raz drugi.

Miał oszczędności, więc finansowo ta strata niespecjalnie go dotknęła. Problem w tym, że stracił pieniądze Nelli. Nie mógł ich odzyskać, tak po prostu przelewając na to konto inne środki.

Alwin Töller nie miał w sobie nawet tyle przyzwoitości, by go osobiście poinformować o tym, co się stało – nie zrobił tego nawet telefonicznie. Ten tchórz rozesłał jedynie listy, bezdusznie rozwiewając nadzieje ludzi, którzy mu zaufali. Nie zdobył się na ani jedno słowo przeprosin czy wyjaśnienia, jak to możliwe, że instytucja, która – jak zapewniał – była „równie pewna jak Deutsche Bank”, z dnia na dzień przestała istnieć.

Oczywiście Bodo natychmiast wkroczył na ścieżkę prawną, lecz proces skończył się jedynie ponurym odkryciem, że niemiecki wymiar sprawiedliwości jest jak troskliwa, ale przepracowana matka gromadki dzieci, która przypadkiem odkrywa wybryk jednego z nich, podczas gdy za jej plecami dwójka innych dopuszcza się gorszych występków – takich, które nigdy nie wyjdą na jaw. Ktoś mógłby powiedzieć, że to nic strasznego, bo wymiar sprawiedliwości w innych krajach przypomina pijaczkę, która obojętnie patrzy, jak nowy gach tłucze jej dzieci. Tylko że dla Boda było to marne pocieszenie, gdyż uważał, że punktem odniesienia powinna być własna matka, a nie ta, która mieszka kilka przecznicy dalej.

Co jednak ma począć człowiek, któremu nie chce pomóc własna matka? Kocha ją dalej, lecz radzić musi sobie sam.

Bodo spojrzął na zegarek. Minęła dziewiąta. Położył dłonie na płycie nagrobka i trwał tak przez chwilę w milczeniu, po czym rzekł:

– Do zobaczenia za tydzień.

Potem wstał i pojechał z powrotem na Darss, do domu Alwina Töllera.

Bodo każdego dnia spędzał przy biurku Töllera kilka godzin, mozolnie załatwiając bieżące sprawy – przede wszystkim musiał odpowiadać na wszystkie maile przysyłane przez aktualnych i potencjalnych klientów doradcy inwestycyjnego. Zaraz po porwaniu wysłał do wszystkich inwestorów informację, że w najbliższym czasie Töller nie będzie mógł odbierać telefonów, ale można się z nim kontaktować mailowo. Podając się za doradcę, napisał, że wyjeżdża do Azji, by poczynić nowe inwestycje, lecz inne sprawy z tego powodu nie ucierpią, że będzie na bieżąco odpowiadał na wszystkie zapytania, że zawsze jest do dyspozycji swoich klientów i tym podobne bzdury. Również klientom nagrywającym się na pocztę głosową Bodo – to znaczy Töller – odpowiadał wyłącznie drogą mailową.

Do tej pory jakoś sobie z tym wszystkim radził. Problemem nie była liczba maili, które Bodo musiał wysyłać, tylko styl i dobór odpowiednich słów. Musiał używać nieznanego sobie języka – typowej nowomowy doradców inwestycyjnych, w której wszystko się wyolbrzymia. Do tego musiał stosować fachowe pojęcia, które mozolnie wyszukiwał w internetowym słowniku giełdowym. Chociaż nieobecność Töllera miała trwać nie dłużej niż kilka dni, Bodo robił wszystko, by nie wyszła ona na jaw. W tym celu musiał rozstrzygać kwestie, o których nie miał dotąd zielonego pojęcia: Kupić akcje Lufthansy czy raczej się wstrzymać? Czy warto inwestować w litewskie obligacje państwowe? Czy opłaca się kupić złoto lub srebro? Wyszukiwał w Internecie informacje, składał je do kupy i szybko odpowiadał. Jak dotąd nie miał wrażenia, żeby był w tym gorszy od Alwina Töllera, który bądź co bądź uchodził za wybitnego eksperta.

Używając należącego do Töllera laptopa, Bodo wchodził na rozmaite platformy bankowe i inwestycyjne, za pośrednictwem których doradca prowadził swoje interesy. Dzięki znalezionym hasłom uzyskał dostęp do wszystkich kont, co pozwoliło mu kupować i sprzedawać akcje, obligacje, dewizy i wszelkiego rodzaju produkty finansowe, również takie, o których istnieniu jeszcze pół roku wcześniej nie miał pojęcia.

Z punktu widzenia Boda i jego współników zasadnicze pytanie brzmiało: jak zamienić zawartość kont inwestycyjnych w żywą gotówkę. Albo, mówiąc żargonem finansistów: jak wygenerować pieniądź. Niestety w tej kwestii Bodo napotkał nieoczekiwaną przeszkodę.

Nie chodziło o wielkość środków ulokowanych w rozmaitych instrumentach inwestycyjnych. Tysiące, dziesiątki, setki tysięcy, a może miliony euro, dolarów i jenów płynęły w tę i z powrotem, w zależności od aktualnego kursu. Większość transakcji odbywała się automatycznie, ponieważ Töller wydał odpowiednie dyspozycje kupna i sprzedaży. Tylko od czasu do czasu pojawiało się jakieś przypomnienie, żądanie potwierdzenia czy zalecenie. Na przykład spadek ceny ryżu, który z pewnością wywołałby radość połowy ludzkości, uruchomił na jednym z kont głośny alarm.

Oczywiście najłatwiej byłoby po prostu sprzedać pakiet akcji czy obligacji i przelać pieniądze na rachunek rozliczeniowy. Znając odpowiednie hasło, Bodo mógłby stamtąd przetransferować środki na jedno z prywatnych kont Töllera. A ponieważ znalazł również PIN do platynowej karty doradcy inwestycyjnego, zdołałby w ciągu tygodnia wypłacić z różnych bankomatów odpowiednią kwotę – w przypadku platynowej karty tygodniowy

limit wypłat sięgał nawet dwustu tysięcy euro.

DWIEŚCIE TYSIĘCY. Za kilka dni koszmar dobiegłby końca i mogliby zgodnie z planem wypuścić Töllera, który nie miał zielonego pojęcia, kto go porwał. Ponieważ dostaliby gotówkę, policja nie miałaby żadnego tropu – pod warunkiem, rzecz jasna, że żadne z nich nie byłoby tak głupie, by wpłacić pieniądze na krajowe konto, gdyż śledczy z pewnością w pierwszej kolejności sprawdziliby niezadowolonych klientów ofiary. Z tego też powodu – to znaczy aby nie podsunąć policji żadnego tropu – Bodo dokonywał wszystkich operacji, korzystając z komputera należącego do Töllera i jego łącza internetowego. Oczywiście będąc w domu doradcy, przez cały czas nosił rękawiczki, a gdyby technicy kryminalistyczni znaleźli przypadkiem jakiś włos Boda, byłoby to łatwo wyjaśnić, ponieważ był tu, gdy podpisywał umowę inwestycyjną. Co prawda od tamtej pory minęło sporo czasu, ale taki włos mógł się przecież zawieruszyć gdzieś pod dywanem. Poza tym Töller miał dużo więcej rozczarowanych klientów, więc Bodo byłby tylko jednym z setki podejrzanych, spośród których paru zapewne również zgubiło w tym domu włos.

Pomyśleliśmy o wszystkim, tylko nie o tym, jęknął w duchu Bodo i wyjąwszy swoją komórkę, wybrał domowy numer Adamskich.

– Cześć, Marlene. Jest pewien problem, i to poważny.

Skończywszy rozmowę, podrapał za uchem siedzącego mu na kolanach Futrzaka.

– No, mój mały, mamy dwie godziny na zabawę.

Marlene spacerowała po domu Töllera jak po muzeum. Właściwie nie było tu niczego ciekawego do oglądania, lecz to właśnie najbardziej ją zdumiewało. Płatki kukurydziane w szafce, zaznaczony w gazecie film z Tilem Schweigerem, orchidee na parapecie – wszystko było takie zwyczajne. Mimo to przyglądała się tym drobiazgom, jakby to były jakieś wyjątkowe eksponaty, coś, czego nigdy dotąd nie widziała. Weźmy choćby kolekcję płyt: Herbert Grönemeyer, Reinhard Mey, Udo Jürgens. Ona też lubiła „Ponad chmurami” czy „Greckie wino”. Albo filmy: „Doktor Żywago”, wszystkie trzy części „Sissi”, cała seria z Doris Day i Rockiem Hudsonem – wszystko zupełnie w jej guście. A przecież Alwin Töller nie był kimś przeciętnym. Był wytrawnym przestępcą, oszustem i złodziejem. Dlatego inaczej wyobrażała sobie jego dom – na pewno nie było w nim miejsca na orchidee, Uda Jürgensa ani Doris Day.

Jeśli Töller jest podobny do mnie, to może ja jestem trochę podoba do niego?, pomyślała i w jej sercu znów zagościła wątpliwość, czy postąpili słusznie. Chociaż bardzo się starała do tego nie dopuścić, od chwili porwania Töllera z każdym dniem robił się coraz chudszy.

Jak przez mgłę przypominała sobie swoje pierwsze spotkanie z doradcą inwestycyjnym: pewnego dnia późnym popołudniem zobaczyła go, gdy siedział z Gerdem na sofie w salonie. Marlene spieszyła się wtedy na występ chóru, więc poprzestali na szybkim uścisku dłoni, uśmiechu. To wszystko. Wzięła go za agenta ubezpieczeniowego, bo tak właśnie wyglądał, a leżące na stole oprawne w skórę teczki zdawały się to

potwierdzać. Ucieszyła się, że mają do czynienia ze starym wyjadaczem, a nie młodym wilczkiem, który na siłę wpycha klientom niepotrzebne polisy.

Wyszła z domu i zaraz o nim zapomniała – do czasu gdy kilka tygodni później przyszedł do ich piekarni. Kupił duńską drożdżówkę, tartę orzechową i rogalik z migdałami i pochłoniął to wszystko przy ustawionym w rogu stoliku. Marlene osobiście podała mu kawę i zamieniła z nim kilka słów. Był nieco otyły, ale wydawał się sympatyczny, wesoły, niegroźny.

Czy to by coś zmieniło, gdyby i tym razem zaraz o nim nie zapomniała, tylko napomknęła o nieoczekiwanym spotkaniu Gerdowi? Zadawała sobie to pytanie chyba tysiąc razy. Ich prywatnymi finansami od zawsze zajmował się Gerd. Marlene prowadziła co prawda firmową księgowość, ale nie wtrącała się w sprawy związane z ubezpieczeniami i inwestycjami. Nie miała powodu, by o to pytać.

A potem przyszedł dzień, w którym doradca inwestycyjny Alwin Töller z anonimowego klienta stał się kimś, kto zaważył na jej losie. Tego dnia Gerd wyznał jej, że stracił wszystkie ich pieniądze – wszystko, co zdążyli zgromadzić w ciągu czterdziestu lat małżeństwa i dwudziestu pięciu lat pracy w piekarni. Dwieście jedenaście tysięcy euro.

Ze stresu przez kilka tygodni wymiotowała – co parę godzin, również w nocy. Prawie przestała jeść. Modliła się do swojego Anioła Stróża. I myślała tylko o jednym: stracili wszystko. Wszystko, wszystko, wszystko.

Tak naprawdę nie chodziło jej o pieniądze – do nich nigdy nie przywiązywała szczególnej wagi. Jasne, nikt nie chciałby stracić wszystkich oszczędności. Dla wielu ludzi stanowią one oparcie, dają poczucie bezpieczeństwa. Ale nie dla Marlene. Mieli z Gerdem dom z czystą hipoteką i piekarnię, poza tym przez wszystkie te lata wpłacali składki na prywatny fundusz emerytalny, niewiele, ale zawsze to coś. Gdyby przeszli za dwa, trzy lata na emeryturę, w sumie dostawaliby jakieś tysiąc czterysta euro miesięcznie, więc i bez oszczędności mogliby żyć całkiem nieźle.

– Całkiem nieźle – mruknęła Marlene, przechadzając się po domu Töllera.

Pracowała, odkąd skończyła siedemnaście lat. Od ćwierć wieku nie wyjechała na dłuższy urlop – najwyżej na trzy dni w Rudawy, do Berlina lub do Szwarcwaldy. Marzyła o czterotygodniowym rejsie, eleganckich kolacjach w wagonie restauracyjnym Orient Expressu, turnusie w Marienbadzie. Nie potrzebowała drogiej biżuterii, sukien od Diora ani wielkiego auta. Była prostą kobietą, bez upodobania do luksusowych drobiazgów. Marzyła o tym, by przeżyć cudowne, niezapomniane chwile. Nie mieli z Gerdem dzieci ani wnucząt, dlatego pewną sumę odłożyła dla Romy. Za resztę chciała spędzić wspaniałe dni i godziny, spacerując po Polach Elizejskich czy pływając gondolą po weneckich kanałach.

Na to zamierzała przeznaczyć te dwieście tysięcy. Zamierzała, bo pieniądze zniknęły.

A może jednak nie?

Podczas gdy Gerd z pomocą adwokata próbował ratować to, co jeszcze było do uratowania, Marlene zainteresowała się bliżej tą kwestią i okazało się, że ich pieniądze wcale nie zniknęły. Nikt ich nie spalił, nie spuścił w klozecie. Są, tylko gdzie indziej. Interes nie wypalił, ceny pszenicy wzrosły, choć miały spaść, i azjatycki bank, którego byli udziałowcami, zwyczajnie splajtował. Na tym nieudanym interesie i bankructwie banku zarobili jednak inni ludzie. Gdzieś na świecie rekiny giełdowe i multimilionerzy napchali

sobie kieszenie jej pieniędzmi.

Ta myśl doprowadzała Marlene niemal do obłądu. Wolałaby nie wiedzieć, jaka jest prawda. Bo teraz bez przerwy prześladowały ją okropne obrazy i myśli. Dzień i noc wyobrażała sobie, jak rosyjski oligarcha kupuje swojej kochance torebkę Louisa Vuittona – za pieniądze, które Marlene zamierzała wydać na turnus w Marienbadzie. Albo jak londyński makler zamawia cały tuzin garniturów Armaniego – za pieniądze przeznaczone na podróż Orient Expressem. Jej marzenia rozsypały się niczym domek z kart, a ich miejsce zajęły designerskie sofy, kolczyki i drogie wina zamawiane przez innych ludzi.

Zatopiona w myślach wzięła do ręki jeden z filmów i otworzyła pudełko, lecz w środku zamiast „Kleopatry”, z Liz Taylor w roli tytułowej, znalazła płytę zatytułowaną „Miss Big Big Boob 7”. Nadruk nie pozostawiał wątpliwości, jaki to gatunek sztuki filmowej. Marlene natychmiast odstawiła pudełko na miejsce, a jej wzrok padł na ścianę z fotografiami. Największe ze zdjęć przedstawiało Töllera i paru innych mężczyzn w garniturach we foyer eleganckiego hotelu. Stukali się kieliszkami z winem. Również na mniejszych fotografiach w centrum zawsze znajdował się Töller: podczas wędkowania na pełnym morzu, w swojej nowej limuzynie, na polu golfowym. Zdjęcia zrobiono całkiem niedawno.

Właśnie na to liczyła, wybierając się do jego domu. Ich ofiara znów stała się w jej oczach tym, kim była w rzeczywistości: bezdusznym finansistą. Kiedy ona się pogrążyła w rozpacz, on pławił się w luksusie i cieszył życiem.

O co ten bezwstydnny oszust ją ostatnio spytał w piwnicy? *Co ja wam zrobiłem?*

– Oszukałeś mojego męża – powiedziała Marlene, wpatrując się w fotografię, na której Töller z dumą prezentował złowionego miecznika. – Zapewniałeś go, że nie ma żadnego ryzyka, że zarobimy. Nie wspomniałeś, że na tych przeklętych certyfikatach można wszystko stracić. Owszem, Gerd zrobił głupio. Nie sprawdził tego, co mówisz, nie przeczytał tego, co napisano drobnym druczkiem. Ale jeśli byłabym taka głupia, żeby iść w nocy przez park, i napadłby na mnie Kuba Rozpruwacz, to kto jest winny: on czy ja? Różnica jest taka, że mordercy czasem trafiają za kratki, a wy, menadżerowie i finansisci, zawsze się wykręcicie sianem. A przecież też odbieracie ludziom życie, tyle że bezkrwawo.

– Marlene, gdzie jesteś? – usłyszała głos Gerda. – Bodo chce nam coś dać.

Kiedy Marlene zwiedzała dom, jej mąż poinformował Boda, że mają nowego wspólnika, a potem próbował go przekonać, by informatyk pod żadnym pozorem nie pozwolił Giovanniemu wziąć spraw w swoje ręce. Gerd nie znosił sytuacji, gdy to ktoś inny jest szefem, więc na pewno wściekał się na myśl, że jakiś kark z kluczami na łańcuszku miałby przejąć kontrolę nad „jego” porwaniem. Dlatego Adamscy przyjechali trochę wcześniej, niż ustalono.

– Zobacz, Marlene. Bodo ma dla nas sześć tysięcy euro – powiedział piekarz z takim entuzjazmem, jakby miał już w rękach całe dwieście jedenaście tysięcy.

– Więcej się dzisiaj nie dało – wyjaśnił Bodo przepraszającym tonem. – Problem polega na tym, że...

– Nie przejmuj się, chłopcze. To na dobry początek. Wychodzi cztery tysiące dla mnie i Marlene, tysiąc dwieście dla Daniela, pięćset dla Ciebie i trzysta dla Romy. Proporcjonalnie do strat, które poniosło każde z nas.

– Myślę, że każdy powinien dostać po tysiąc pięćset – zaprotestował Bodo. – W końcu wszyscy ponosimy jednakowe ryzyko.

– Podstawą rozliczenia nie jest ryzyko, tylko wysokość poniesionej straty.

– Tak zapisano w Biblii czy możemy to przedyskutować?

– W przypadku bankructwa tak właśnie oblicza się kwoty przysługujące poszczególnym wierzycielom.

Bodo wziął głęboki wdech.

– My tu mówimy o porwaniu, nie o tym, co zapisano w kodeksie.

– Ale to ma sens! – Piekarz był głuchy na argumenty współnika i uznawszy dyskusję za zakończoną, z entuzjazmem spojrzął na żonę. – Mówiłem ci, Marlene? Mówiłem? Uda się. Bodo wypłaca pieniądze z bankomatu, więc policja nie będzie miała żadnego punktu zaczepienia. Super, nie? Bo nie zostawiłeś żadnych śladów, prawda?

– Nie, byłem ostrożny. Założyłem czapkę z daszkiem, więc kamera nie zarejestrowała mojej twarzy.

– I bardzo dobrze – odrzekł Gerd. – Ostrożności nigdy za wiele. To podstawa. I pamiętaj, że musisz zmieniać bankomaty. Raz pojechać do Rostocku, raz na Rugię czy do Wismaru. Trzeba zmylić tropy.

– Przecież wiem, nie jestem głupi.

– No dobra, niepotrzebnie się powtarzam.

– Właśnie. Ale niestety pojawił się pewien problem, dlatego was wezwałem – powiedział Bodo, wskazując na komputer.

– Dobra, pokaż – odparł Gerd ze sztuczną pewnością siebie, gdyż znał się na komputerach tak samo jak na astrofizyce.

– Zobacz. Na prywatnym koncie Töllera jest dwadzieścia pięć tysięcy euro, właściwie teraz już tylko dziewiętnaście. Żeby zdobyć więcej pieniędzy, muszę upłynnić środki z lokat, a potem je przeksięgować.

– Więc to zrób. Znasz hasła, prawda?

– Znam, ale... Możliwe, że z tego powodu ucierpią inni klienci Töllera. Jeśli zlikwiduję lokaty, to pieniądze, które wypłacę, formalnie będą pochodzić z kont inwestorów, prawda?

– No i? – zdziwił się Gerd.

Bodo spróbował wyjaśnić to nieco inaczej.

– Chodzi o to, że musimy się najpierw upewnić, że nie ucierpi przez nas nikt postronny. Za tymi lokatami kryją się konkretni ludzie. Widzisz? Karin Müller, Friedrich Sommer, Vera Steingruber...

– Vera Steingruber co sobota kupuje u nas ciasto – wtrąciła się Marlene.

Gerd skrzywił tylko usta i pozwolił Bodowi kontynuować.

– To setki nazwisk. Ci wszyscy ludzie powierzyli Töllerowi swoje pieniądze, a wraz z nimi nadzieje, marzenia, część swego życia.

– Wezwałeś mnie, żeby mnie raczyć takimi sentymentalnymi tekstami? – warknął Gerd. – Po co mi o tym wszystkim mówisz?

– Nie możemy tak po prostu ukraść pieniędzy tych ludzi.

– Przecież niczego nie kradniemy. Nie wyciągamy im pieniędzy z kieszeni. Pieniądze

są tutaj. – Gerd stuknął palcem w ekran laptopa. – To nie są prawdziwe pieniądze, tylko... jak to się mówi? Wer... wi...

– Wirtualne – pomógł mu Bodo. – Jasne, można na to patrzeć w ten sposób, że to tylko liczba na ekranie komputera, która krąży w jakiejś niewidzialnej sferze i nie jest niczyją własnością. Dopiero kiedy idziemy do bankomatu, dostajemy do ręki realne pieniądze.

– No właśnie. Więc kiedy sprzedasz akcje należące do Karin Müller, przeksięgujesz środki i wypłacisz je kartą kredytową, Töller będzie musiał jej zwrócić pieniądze.

– Będzie musiał? Na pewno? A jeśli nie? Co, jeśli klienci z naszej winy poniosą stratę?

– Nie, to niemożliwe – zaproponował Gerd i przez chwilę szukał chyba jakichś argumentów, lecz w końcu tylko powtórzył: – To niemożliwe.

Bodo przez kilka sekund milczał, po czym westchnął i rzekł:

– Faktycznie, argument nie do odparcia.

– Słucham?

– Skąd wiesz, że to niemożliwe?

– Znam się na tym.

– Tak jak na inwestycjach?

– Chłopcze, nie pozwalaj sobie, dobrze?! – odparł Gerd podniesionym głosem.

– Nawet jeśli ostatecznie firma Töllera pokryje straty – powiedział Bodo, nie zważając na gniew piekarza – może się okazać, że zabraknie jej środków na spłatę aktualnych inwestorów. A tego, czy Töller odpowiada za straty własnym majątkiem, nie wiemy. Jeśli prowadzi działalność jako spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, może...

– Wiesz co, Bodo? Przestać chrzanić – przerwał mu Gerd. – Żyję na tym świecie dłużej od ciebie.

– I co z tego? Może wiesz, jak przygotować zaczyn, ale finanse to dla nas wszystkich czarna magia, więc dlaczego zachowujesz się jak ekspert od prawa i księgowości? Dlaczego nie przyznasz, że nie masz o tym zielonego pojęcia?

Twarz Gerda zrobiła się purpurowa.

– Robiłem interesy, kiedy ciebie nie było jeszcze na świecie.

– Błagam, daruj sobie! Wiesz, że jesteś nieznośnym mądrałą? Do tej pory myślałem, że takie rzeczy zdarzają się tylko w książkach i filmach, ale nie! Ty naprawdę stoisz przede mną i gadasz takie głupoty, że aż się człowiekowi robi niedobrze. Nie wiem, robisz to, bo myślisz, że inaczej ludzie cię nie będą szanować? W takim razie zdradzę ci pewien sekret: zachowując się w ten sposób, nie zyskasz sobie szacunku. Wręcz przeciwnie!

Marlene już wcześniej wiedziała, że jej mąż nie umie rzeczowo dyskutować. Wiedzieli o tym również jego kumple z miejscowej knajpy, ale oczywiście nikt mu tego nigdy nie powiedział wprost. Bo niby po co? Knajpiane towarzystwo rządzi się własnymi prawami. Ośli upór należy w takim miejscu do dobrego tonu. Lecz Bodo, choć z natury był przyjacielski i ugodowy, nie dawał sobie wchodzić na głowę, zwłaszcza Gerdowi, i w sytuacji gdy napięcie stało się nie do zniesienia, powiedział mu kilka słów prawdy.

Piekarz przez kilka sekund nie wiedział, jak zareagować na tę tyradę. Owszem, zdarzało się, że ludzie mu się sprzeciwiali, lecz zwykle pacyfikował swych oponentów stwierdzeniem, że są młodzi i nic nie wiedzą o życiu. Tyle że do tej pory nikt – a przynajmniej Marlene nic o tym nie wiedziała – nie powiedział mu prosto w oczy, że jest

tępakiem.

Po czymś takim wszystko się mogło zdarzyć – Gerd mógł się powiesić albo rzucić Bodowi do gardła. Albo dla świętego spokoju zamilknąć i się wycofać. Zanim jednak podjął decyzję, awanturę przerwał dzwonek do drzwi.

– To pewnie Giovanni – powiedziała Marlene. – Dzwoniłam do niego.

Kiedy Bodo poszedł otworzyć, Gerd rzucił do swojej żony:

– Bodo to wyjątkowy palant. Znam takich cwaniaków. Uważa się za kogoś lepszego, bo zna parę angielskich słów.

– Nie przypominam sobie, żeby jakiegoś użył – odparła Marlene.

– Po czyjej jesteś stronie, jego czy mojej?

– Myślałam, że wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

– Ja też tak myślałem, ale Bodo jest głuchy na wszelkie sugestie.

– To tak jak ty.

Gerdowi dosłownie zabrakło języka w gębie, ale na szczęście nie musiał odpowiadać, bo do gabinetu wszedł Giovanni. Bodo wyjaśnił Włochowi, czym się zajmuje, o co chodzi z tymi wszystkimi lokatami, jak zamierzają zdobyć pieniądze i na jakie napotkali problemy. Marlene była niemal pewna, że chłopak Romy zrozumiał z tego wszystkiego może jedną dziesiątą, zwłaszcza że tym razem Bodo naszpikował swój wykład angielskimi słowami. Może chciał w ten sposób pokazać kelnerowi, gdzie jego miejsce, i dać mu do zrozumienia, że nie ma zamiaru wypełniać jego poleceń.

Giovanni słuchał cierpliwie – przynajmniej jak na niego. Nim Bodo skończył, łańcuszek od kluczyków owinął się co najmniej sto razy w tę i z powrotem na palcu wskazującym prawej ręki Włocha. A kiedy wykład dobiegł końca, Giovanni po przyjacielsku objął Boda ramieniem, zaprowadził do fotela i łagodnie, acz stanowczo usadził przy biurku.

Potem bardzo powoli, robiąc długie pauzy między poszczególnymi słowami, powiedział:

– Teraz... prześięgujesz... pieniądze... inwestorów... na konto... tego... frajera. A potem... weźmiemy... tę... zasraną... kartę... kredytową... i pojedziemy... do bankomatu. *Fine del problema. Capisci?*

W gabinecie na kilka sekund zapadła absolutna cisza. Wszyscy zamarli – z wyjątkiem kota, który uciął sobie drzemkę na fotelu obok biurka i właśnie się obudziwszy, wskoczył Bodowi na kolana. Informatyk zaczął go głaskać, lecz Giovanni złapał Futrzaka za kark i niczym ręcznik rzucił na drugi koniec pokoju, gdzie ten wylądował na czterech łapach u stóp pani Adamski.

Marlene miała ochotę pocieszyć białego kociaka, ale całą jej uwagę pochłonęła trwająca właśnie próba sił między Giovannim a Bodem. Co prawda adwersarze byli mniej więcej w tym samym wieku, a Bodo był wysportowany, lecz mimo to umięśniony i pewny siebie Włoch wydawał się mieć nad nim przewagę.

– Właśnie mówiłem Gerdowi, że... – zaczął Bodo, lecz Giovanni natychmiast mu przerwał.

– *No, no, amico mio.* Żadnych dyskusji, rób, co mówię.

– Nie zrobię niczego, dopóki tego nie przegłosujemy – odparł Bodo.

Wrzesień

Ina nie potrafiła się uwolnić od myśli, że Marlene dała jej w kościele zawołowaną wskazówkę, może nawet kilka. Fakt, że wspomniała o aniołach, że poznała swą terapeutkę z pastorem, że tak nagle przerwała rozmowę na wspomnienie dwóch Syryjek – wszystko to dawało Inie do myślenia. Psycholożka miała wrażenie, jakby pani Adamski zaproponowała jej zabawę w podchody, przy czym Ina nie miała pojęcia, dokąd prowadzi trop ani co znajdzie u celu. Nie miała też żadnej gwarancji, że Marlene w pewnym momencie nie zrezygnuje z „zabawy”. Albo nie podsuwa po prostu fałszywych tropów.

Mimo to terapeutka miała nieodpartą ochotę przyjąć wyzwanie. Jak w każdej profesji, również podczas psychoterapii zdarzają się mniej lub bardziej frapujące problemy do rozwiązania i mniej lub bardziej interesujący pacjenci, spośród których najciekawszą grupę stanowią tak zwani „poszukiwacze Świętego Graala” – czyli ludzie, którzy szukają ratunku, a zarazem z jakichś powodów podświadomie odrzucają oferowaną im pomoc. Poza tym Marlene była bardzo sympatyczną kobietą i Ina aż się wzdragała na myśl, że mogłaby ją zostawić na pastwę samobójczych myśli. Czuła się zobligowana do działania.

Nie bez znaczenia była również sprawa z owym tajemniczym fiatem, który śledził – lub nie – ją i Marlene. Czy ten wóz miał jakiś związek z jej pacjentką?

W ten sposób Ina stanęła przed nie lada wyzwaniem: z jednej strony musiała pójść tym tropem, a z drugiej nie mogła się stać zbyt podejrzliwa. Z takim też nastawieniem odwiedziła pastora w jego biurze i przedstawiła mu swoją prośbę:

– Czy mogłabym się jakoś skontaktować z tymi dwiema syryjskimi kobietami? Jeśli dobrze zrozumiałam, były Marlene bardzo bliskie.

– O tak, spotykały się kilka razy w tygodniu – odrzekł pastor. – Nie wiem tylko, jak one mogłyby pani pomóc. Jak wspomniałem, trudno się z nimi porozumieć, właściwie cały dialog odbywa się na migi. Afnan i Chadisza zawsze częstowały panią Adamski herbatą, a ona przynosiła domowe ciasto. O ile mi wiadomo, Marlene trochę uczyła je niemieckiego. Potrafią już powiedzieć „dziękuję”, „proszę”, „dzień dobry” i tak dalej. W zamian nauczyły panią Adamski kilku słów po arabsku.

– Mimo to chcę spróbować wszystkiego, co mogłoby pomóc mojej pacjentce. Mam wrażenie, że Afnan i Chadisza są kimś w rodzaju przyjaciółek Marlene. Może dowiem się czegoś, co pozwoli mi ją zrozumieć.

– Cóż, mogę spróbować je zlokalizować, ale to chwilę potrwa. Niestety uchodźcy bez przerwy są przenoszeni z miejsca na miejsce. Z północy na południe, z zachodu na wschód, zupełnie bez ładu i składu. Spróbuję zasięgnąć informacji u stosownych władz.

– Bardzo dziękuję, to by mi ogromnie pomogło.

Zadowolona z wyniku rozmowy, Ina pożegnała się i ruszyła do wyjścia, gdy jednak położyła rękę na klamce, pastor nagle powiedział:

– Po naszym ostatnim spotkaniu zastanawiałem się trochę, co oprócz nagłego przeniesienia jej syryjskich przyjaciółek mogło tak bardzo wstrząsnąć panią Adamski, ale przyszła mi do głowy tylko ta sprawa z Romy Haase.

– Romy Haase?

– Marlene nie wspominała o niej?

– Jak dotąd nie. Proszę mi o niej opowiedzieć.

– Dziewczyna najpierw uczyła się u Adamskich zawodu, a potem pracowała w ich piekarni. Wydaje mi się, że nie będzie przesadą, jeśli powiem, że Marlene traktowała ją niemal jak córkę. A później... cóż, banalna historia. Romy z dnia na dzień zniknęła, mniej więcej rok temu. Odniosłem wrażenie, że pani Adamski przyjęła to całkiem spokojnie, dlatego zupełnie o tej sprawie zapomniałem.

– Co to znaczy zniknęła?

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, co się właściwie stało. Pani Adamski nigdy ze mną o tym nie rozmawiała. Zauważyłem to dopiero po jakimś czasie, kiedy się zorientowałem, że dawno nie widziałem Romy w piekarni. Sandra Kümmel, jej koleżanka, a może nawet przyjaciółka, powiedziała, że któregoś dnia po prostu zniknęła.

Kiedy Ina weszła do położonej w centrum Prerow piekarni Adamskich, uświadomiła sobie, że tak właśnie sobie ją wyobrażała: przytulny lokalik z mnóstwem plecionych koszy, pięknymi drewnianymi regałami, miejscowymi wypiekami, fantazyjnymi tortami i sprzedawczyniami w staroświeckich fartuchach. Na dwóch biedermeierowskich stolikach wystawiono własnej roboty praliny oraz typowe dla tego regionu wypieki. Cały sklep był wypełniony zapachem świeżego chleba z lekką nutą anyżu i cynamonu.

Ina wiedziała, że Marlene nie wróciła jeszcze do pracy, a ponieważ było kilka minut po wpół do piątej, liczyła, że nie spotka też w piekarni jej męża.

Terapeutka zamówiła kawałek ciasta jagodowego z kruszonką oraz cappuccino i stanęła przy jednym ze stolików. Uznawszy, że przez ladę niewygodnie by się rozmawiało, zaczekała na odpowiedni moment i kiedy w piekarni zrobiło się luźniej, jakby nigdy nic spytała przez cały sklep:

– Przepraszam, czy jest dziś Romy? Romy Haase?

Za ladą kręciły się trzy ekspedientki, z których dwie od razu spojrzały na trzecią. Napis na kunsztownie wykaligrafowanej plakietce głosił, że dziewczyna nazywa się Sandra Kümmel. Przyjaciółka Romy była krótkowłosą, pulchną blondynką z upodobaniem do oryginalnych kolczyków.

– Romy dawno stąd wyjechała. Jest pani jej krewną?

– Nie, ale chciałabym z nią porozmawiać.

– Ja też – odparła Sandra Kümmel z nutą skrywanego zawodu, po czym wyszła z za lady, podeszła do stolika Iny i nieco ciszej dodała: – Pewnego dnia po prostu zniknęła.

– Och! Byłyście przyjaciółkami?

– Jestem od niej rok starsza i przed każdym egzaminem się z nią uczyłam. Wkuwała wszystko po tysiąc razy. Tak samo z prawem jazdy. Pozwoliłam jej ćwiczyć moim samochodem parkowanie i zawracanie na trzy, bo znów by oblała. Prawie umarłam, kiedy omal nie uderzyła w porsche. Więc chyba tak, można powiedzieć, że byliśmy przyjaciółkami.

– Najwyraźniej.

– Beze mnie nie zdałaby i musiałaby podchodzić do egzaminu czwarty raz. No i bez szefowej, ma się rozumieć. Romy sporo nam zawdzięcza.

Ekspedientka wskazała na wiszące wśród dyplomów mistrzowskich zdjęcie, na którym widać było wszystkich pracowników piekarni. W pierwszym rzędzie, pośrodku, stała młoda kobieta, z dumą prezentując swój dyplom. Była dość niska i bardzo szczupła. Wśród czarnych włosów tu i ówdzie widać było liliowe kosmyki.

– A potem tak po prostu się zmyła, bez słowa. Z dnia na dzień.

– Może coś jej się stało?

– Nie, szefowa pokazała mi list. Romy rzuciła pracę. Tak się przecież nie robi, zresztą prawo na to też nie pozwala, ale szefowa nie robiła z tego afery. – Sandra Kümmel wrzuciła ramionami. – Nigdy nie dała powiedzieć na Romy złego słowa. Tamtego dnia, kiedy coś bąknęłam, strasznie mnie zrugowała. Wcześniej nigdy tego nie robiła. Zna pani panią Adamski?

– Tak, ale proszę się nie obawiać. Nie dowie się o naszej rozmowie. Domyśla się pani, dlaczego Romy tak nagle zrezygnowała z pracy?

Ekspedientka zrobiła taką minę, jakby cały rok czekała na to, by wypowiedzieć imię winowajcy.

– To wszystko przez Giovanniego. Poznała go w dyskotecę, byłam przy tym. Wyglądał zajebiście... to znaczy... był bardzo przystojny. Tyle że grał wielkiego macho. Wiadomo, Sycylińczyk. Powiedziałam jej, żeby się trzymała od niego z daleka, ale nie, zabujała się i cokolwiek powiedział czy zrobił, było super. Romy jest trochę... jak by to powiedzieć... uległa. Parę tygodni później rzuciła wszystko. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby teraz się bawiła we włoską żoneczkę. No wie pani: domek w Palermo, kuchnia, troje *bambini* i tak dalej. Pewnie się wstydzi, dlatego się nie odzywa. Albo on nie pozwala jej się kontaktować ze znajomymi. Dzwoniłam do niej, ale nie odbiera.

– Czy Giovanni ma jakieś nazwisko?

– Pewnie tak, ale nie pamiętam. Na pewno włoskie. Pracował w pizzerii w Ribnitz-Damgarten, Quattro coś tam. Właściwie dlaczego pani o to pyta? – Sandra Kümmel w końcu zrobiła się podejrzliwa.

– Dostałam pani nazwisko od pastora – odpowiedziała wymijająco Ina. – Powiedział, że może pani będzie wiedzieć coś więcej.

– Aha. – Ta odpowiedź najwyraźniej wystarczyła ekspedientce, lecz Ina, by uniknąć dalszych pytań dziewczyny, pożegnała się i wyszła z piekarni.

Wsiadając do samochodu, w ostatniej chwili spostrzegła znikającego za rogiem fiata coupé.

– Cześć, Bobby! – sapnęła Ina do komórki.

Była zdyszana, gdyż wyszła właśnie z supermarketu i dźwigała do auta torby pełne zakupów. Chciała zrobić Bobby’emu niespodziankę i przygotować pyszną kolację, by uczcić jego wyjście ze szpitala. A ponieważ Stefanie również już wróciła do pełni sił, psycholożka uznała, że kameralna kolacja to dobry sposób, by przyzwycząić dziewczynę do „nowego” przyjaciela matki. Przy okazji musiała powiedzieć córce, że Bobby – przynajmniej na jakiś czas – zamieszka z nimi, bo jego dom wymaga kapitalnego remontu.

– Skończyłeś się już pakować?

– Prawdę mówiąc... dopiero zaczynam. Musiałem jeszcze podrzucić Stefanie... Był u niej chłopak i uparli się, że mam ich odwiedzić do jego domu, więc pojechałem do Prerow. Stefanie obiecała mi, że wróci najpóźniej o siódmej wieczorem. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe.

Ina westchnęła.

– Nie, w porządku. Uznałam, że postaram się na to spojrzeć pozytywnie, i tłumaczę sobie, że mamy ze Stefanie podobny problem: każda z nas musi się oswoić z facetem tej drugiej.

– Hm, cóż... prawdę mówiąc, dlatego do ciebie dzwonię. Właściwie powinienem i chciałbym ci to powiedzieć osobiście, ale może przez telefon będzie łatwiej. – Bobby nabrał głęboko powietrza. – Myślę, że przez jakiś czas nie powinniśmy się widywać. Dopóki...

– Och.

Ina zatrzymała się pośrodku parkingu i odstawiła torby.

– Ino – westchnął Bobby. – Przepraszam. W szpitalu miałem dużo czasu na rozmyślanie i... Po prostu myślę, że... że... Nigdy tego nie robiłem i dopiero teraz widzę, jakie to trudne...

– Nie tylko dla ciebie – odrzekła Ina łamiącym się głosem.

– Proszę cię, Ino... W tej chwili tyle się dzieje. To znaczy... ten pożar, Stefanie...

– Proszę cię, już nic nie mów – szepnęła Ina, zaciskając powieki.

Kiedy po chwili otworzyła oczy, zobaczyła brudną szybę małego zardzewiałego auta, a za nią wściekle gestykulującą kobietę, której blokowała miejsce parkingowe. Ina przesunęła się na bok, lecz kobieta znów zatrąbiła, a jej twarz zrobiła się jeszcze bardziej purpurowa. Ina zapomniała o torbach.

– Ino? – odezwał się Bobby. – Wszystko w porządku?

– Pytasz, czy wszystko w porządku?

– Wiesz, co mam na myśli.

– Proszę cię, skończmy tę rozmowę.

– Ino, ja...

– Powodzenia, Bobby. Życzę ci szczęścia.

Najchętniej rąbnęłaby komórką o ziemię, lecz w ostatniej chwili się opanowała i wrzuciła ją do torby z warzywami.

Diablica z zardzewiałego auta opuściła szybę.

– Schlałeś się czy co? Zabieraj te cholerne torby, bo ci po nich przejadę.

Ina, nie spoglądając na kobietę, ruszyła w stronę swojego samochodu.

– Zaraz po nich przejadę – powtórzyła kobieta, a po chwili rozległ się dźwięk pękającej folii.

Ina przez kilka godzin siedziała otępiała na sofie, raz po raz zadając sobie te same pytania: Dlaczego? Dlaczego właśnie teraz, kiedy wszystko tak dobrze się układało? Dlaczego w ogóle? Dlaczego tak nagle? Przecież nic tego nie zapowiadało. Nie mieli żadnego kryzysu.

Oczywiście tłumaczyła sobie, że ten związek i tak nie miał szans, że lepiej, że stało się to teraz, a nie później, że była dla niego za stara, że więcej ich dzieliło, niż łączyło i tak dalej, i tak dalej. Wiedziała jednak, że próbuje małym plasterkiem zalepić ogromną ranę. Czuła się jak człowiek, który stoi w porcie i patrząc z tęsknotą i żalem za odpływającym parowcem, pociesza się myślą, że na morzu panuje sztorm i statek może pójść na dno.

Nie musiała być dyplomowanym psychologiem, by wiedzieć, że to wszystko jedynie żalosne próby radzenia sobie z poczuciem porzucenia. Wystarczyło bowiem, że wsłuchiwała się w głos swego serca, a natychmiast czuła, że strasznie tęskni za Bobbym – i wiedziała, że za kilka tygodni będzie tęsknić równie boleśnie. Mimo to nie potrafiła się na niego gniewać. Po pierwsze dlatego, że go za bardzo kochała – mimo bólu, który jej zadał. A po drugie dlatego, że wcześniej w podobny sposób sama zakończyła trzy swoje związki. Do tej pory to ona była tą, która mówiła: „To koniec”.

Czy to dlatego czuła tak straszny ból?

Stefanie wróciła o wpół do ósmej, pół godziny później, niż obiecała.

– Dlaczego tak siedzisz? – spytała zdziwiona, widząc matkę na sofie. – Myślałam, że przygotowujesz kolację.

– Zaczynj jeszcze raz – odparła Ina.

– No dobrze: przepraszam za spóźnienie. Podwiózł mnie ojciec Chrisa, inaczej wróciłabym jeszcze później.

No nie, jeszcze i to, pomyślała Ina. Nie bez powodu nikt z pacjentów ani ich bliskich nie znał jej adresu. Ina dość się nasłuchiwała od swoich kolegów o tym, jak to w weekendy – a czasem i w środku nocy – pacjenci stają w ich progach. W jej przypadku coś takiego nie wchodziło w grę. Jak każdy człowiek potrzebowała czasu dla siebie i nie chciała żyć ze stałym poczuciem, że pełni coś w rodzaju terapeutycznego dyżuru.

Ale teraz nie to było najgorsze.

– Rozmawiałaś z Bobbym? – spytała córkę.

– Hm?

– Kiedy wiózł was do Prerow... czy powiedziałaś mu może coś... No wiesz, że go nie lubisz czy tym stylu...

Stefanie rzuciła swoje klucze od domu na sofę.

– Już ci naskarżył? Tak myślałam. Ten facet to mięczak. Zamiast się ze mną ścierać...

– Co... mu... powiedziałaś?

– Że wszystko komplikuje.

Ina zerwała się z sofy.

– On wszystko komplikuje? On? Zanim się zjawiłaś, nie było żadnych komplikacji. Było nam ze sobą dobrze. Spędzaliśmy razem czas, dzieliliśmy się swoimi problemami. Ani razu się nie pokłóciliśmy. Ale ostatnio wszystko kręci się wokół ciebie. Wokół twojej szkoły, twojej znajomości z Christopherem, twojego stosunku do Bobby’ego...

Ina opadła z powrotem na sofę.

– Zerwał ze mną – powiedziała i nagle puściły tamy. Ukryła twarz w dłoniach, zaczęła gwałtownie szlochać i opadła na bok, wtulając głowę w poduszkę.

Przez minutę, trwającą całą wieczność minutę, Ina była zupełnie sama. Na całym świecie była tylko ona – i Bobby, którego nieodwracalnie straciła.

A potem poczuła na swej głowie dłoń Stefanie.

– Przepraszam, mamó. Ja naprawdę nie chciałam... No dobrze, może trochę chciałam mu dopiec, bo... jest taki młody i wydaje mi się, że do siebie nie pasujecie. Ale nie myślałam, że... To znaczy... Mamó, jestem taka głupia. Pozwalasz mi się spotykać z Christopherem, chociaż jest twoim pacjentem, a ja ci nie pozwalałam na odrobinę szczęścia. Wiesz co, zadzwonię do Bobby’ego i go przeproszę, dobrze? Wszystko się ułoży. Dasz mi jego numer?

Ina powoli usiadła, otarła łzy i wydmuchała nos. Taka właśnie była jej córka – tak naprawdę cudowne dziecko, które z jakiegoś powodu uznało, że będzie udawać rozpieszczonego bachora.

– Nie – powiedziała cicho Ina, ściskając dłoń Stefanie. – Jeśli zostawił mnie tylko dlatego, że mu nagadałaś głupot, to na mnie nie zasługuje.

Dziewczyna długo patrzyła w milczeniu na matkę.

– Jesteś pewna?

– Absolutnie.

– Mamó, nie chcę, żeby to było przeze mnie, rozumiesz? Wiem, że ci się zwaliłam na głowę i że nie jest ci ze mną łatwo.

Ina objęła córkę.

– Cieszę się, że tu jesteś, naprawdę. To fakt, że są między nami zgrzyty, ale... kocham cię i cieszę się, że mam cię przy sobie. No, a teraz, zanim odegramy cikliwą scenę z rodzinnego melodramatu, spróbuję przygotować coś pysznego z tych resztek, które uratowałam spod kół tamtej wściekłej osy.

To powiedziawszy, Ina zabrała się do pracy. Myła warzywa i nastawiła ryż, lecz myślami była gdzie indziej. Zupełnie jakby odmawiała mantrę. Tą mantrą było imię Bobby’ego.

Ina długo zastanawiała się nad tym, czy nie przekazać Christophera pod opiekę jednemu ze swoich kolegów. Zdawała sobie sprawę, że w tym wypadku nie da się oddzielić życia prywatnego od pracy. Chociaż podczas sesji terapeutycznej nie występowała jako matka Stefanie, to i tak fakt ten kładł się cieniem na jej relacji z młodym pacjentem. Jej córka była w tej chwili częścią życia tego biednego chłopaka, a przecież to właśnie ono stanowiło

przedmiot psychoterapii. Z drugiej strony Christopher zaczął się w ostatnim czasie otwierać przed Iną i chociaż postępy nie były zbyt szybkie, coraz lepiej radził sobie z tym, co go spotkało. Gdyby teraz przekazała go pod opiekę innego terapeuty, jej następcą musiałby prawdopodobnie zaczynać wszystko od początku. I to przeważyło, aczkolwiek ostateczną decyzję musiał podjąć sam pacjent.

Kiedy przyjechała po Christophera, by go zabrać na sesję – tym razem umówili się, że pójdą na spacer – chłopak z dumą pokazał jej swój test z angielskiego. Dostał dziesięć punktów.

– Super! Pierwsza dobra ocena od kilku miesięcy! – pochwaliła go terapeutka.

– Tak naprawdę to zasługa Stefanie. Pomogła mi w nauce.

Ina była zdumiona: jej córka rzuciła szkołę, a teraz pomaga w nauce innym. To definitywnie przekonało psycholożkę, że tych dwoje dzieciaków może sobie nawzajem pomóc. Christopher przez cały rok myślał wyłącznie o zaginionej matce, a teraz w jego życie wkroczyła inna ważna osoba: Stefanie. Z drugiej strony Stefanie znalazła sobie inteligentnego chłopaka, który stanowił poniekąd jej lustrzane odbicie. A dostrzeżenie siebie w drugim człowieku potrafi czasem zdziałać cuda.

Ina wyruszyła z Christopherem na południe od Prerow. W tutejszych lasach czuć było już jesień, która wisiała w powietrzu, roztaczając swoje zapachy. Dokoła rosły grzyby, dojrzewały kasztany, na liściach pojawiały się żółtawe obwódki. Kiedy jednak przechodzili przez przecinkę albo polanę, czuli ponad głowami ciepło bijące od jasnego, całkiem jeszcze letniego słońca – dopóki nie dotarli do następnego zagajnika i nie zanurzyli się w chłodnym cieniu i ziemistym zapachu.

– Dzisiaj mamy pierwszą sesję, odkąd spotykasz się ze Stefanie – powiedziała Ina. – Jak się z tym czujesz?

– Trochę inaczej.

– To znaczy? Możesz to opisać?

– Przedtem było mi wszystko jedno, co pani sobie o mnie pomyśli. Teraz już nie.

– Naprawdę? Szczerze mówiąc, nie miałam wrażenia, żeby było ci obojętne, co o tobie sądzę. Pamiętasz, jak ostatnim razem powiedziałaś, że nadal ściśle przestrzegasz wegetariańskich zasad?

– To było co innego. Chodziło o to, że...

– Tak?

– O moją mamę.

– Ale ona nas nie słyszy. Cokolwiek mi powiesz, nigdy się tego nie dowie.

Christopher nie odpowiedział, więc po kilku sekundach milczenia Ina podjęła ten temat z innej strony.

– Jeśli chodzi o twojego ojca, nie wahasz się robić mu rozmaitych wyrzutów, a o mamie nigdy nie wypowiadasz się krytycznie.

– Bo nie mam powodu. Mama jest po prostu świetna. Zawsze wie, czego chce. Otworzyła ten sklep z odzieżą ekologiczną, chociaż ojciec miał wątpliwości, tak samo jak w sprawie domu. Na pewno nie mogła dłużej wytrzymać z tym nieudacznikiem.

– Jeśli cię dobrze zrozumiałam i jeśli jest tak, jak mówisz, to by znaczyło, że zostawiła Felicję i ciebie i wybrała nowe życie. W ten sposób zrezygnowała też ze sklepu i domu.

– Ale już niedługo zabierze nas do siebie.

– Dlaczego nie zabrała was od razu?

Christopher nie odpowiedział, a Ina nie naciskała. Nie chodziło jej o to, by wykazać chłopakowi absurdalność jego argumentacji, tylko by sprowokować go do myślenia i wywabić ze skorupy, w której w zupełnie naturalny sposób się skrył. Christopher postanowił uczynić ze swojej matki świętą – chociaż zgodnie z jego teorią porzuciła własną rodzinę. Jeśli zdarzało mu się w nią zwątpić, to tylko w głębi duszy i tylko przez chwilę. Wypowiedzenie tych wątpliwości wiązałoby się z ryzykiem, że matka je usłyszy. Bo na przykład patrzy na niego z nieba.

Czyżby zatem Christopher uważał, że jego matka nie żyje? Za tą tezą przemawiałby choćby fakt, że ją tak bardzo ubóstwiał. Gdyby bowiem umarła, nie byłaby winowajczynią, tylko ofiarą. Dlaczego zatem chłopak tak stanowczo odrzucał tę ewentualność? To wszystko nie trzymało się kupy.

– O czym pani myśli? – spytał chłopak mniej więcej po minucie milczenia.

Pytania zadawane przez pacjentów nie były niczym niezwykłym. Na początku terapii Ina ich do tego wręcz zachęcała. Pozwalała też, by odpowiadali pytaniem na jej pytanie: Dlaczego pani o to pyta? A co pani o tym sądzi? Z jej doświadczenia wynikało, że takie podejście rodzi zaufanie i poczucie bezpieczeństwa, które stanowią fundament dobrej relacji między terapeutą a pacjentem. Do tej pory jednak Christopher rzadko korzystał z możliwości zadawania pytań.

– O ciotce Gertrudzie – odpowiedziała Ina zgodnie z prawdą.

Christopher parsknął śmiechem.

– A ja myślałem, że o terapii.

– Bo to dotyczy terapii. Tak naprawdę Gertruda nie jest moją ciotką. To taki termin, coś w rodzaju szyfru.

– Teraz mnie pani zaciekawiła.

– Wyobraź sobie zdjęcie wielkiej rodziny, na którym widać czterdzieści osób. Kiedy wyjmujemy je po kilku latach, najpierw szukamy samego siebie, a potem swoich najbliższych.

– Rozumiem.

– Dopiero później, o ile w ogóle, zadajemy sobie pytanie: A gdzie jest ciotka Gertruda? Musi gdzieś tutaj być. Ale nigdzie jej nie ma. Ktoś postronny, kto nie zna ciotki Gertrudy, nie dostrzeże jej nieobecności.

– To logiczne, ale... Nie rozumiem...

– Moja praca wymaga ode mnie tego, żebym dostrzegała nieobecność ciotki Gertrudy, chociaż jej wcale nie znam.

Ina przez chwilę zastanawiała się, czy chłopak zrozumiał, do czego zmierza jego terapeutka i że ta metafora odnosi się wprost do niego.

Doskonale wiedziała, że to, co pacjenci mówią jej podczas terapii, zawsze stanowi tylko część całości. Na przykład Christopher w czasie wszystkich sesji obszernie opowiadał o swojej matce: jak go zachęcała do uprawiania sportu, jak mu kibicowała podczas zawodów, pomagała w odrabianiu lekcji, od czasu do czasu w sekrecie wetknęła do jego kieszeni jakieś pieniądze, gdy mu się skończyło kieszonkowe. Jego opowieści

dotyczyły całego dzieciństwa i prezentowały matczyno-synowską relację w jasnych barwach. Tym, czego w nich brakowało – ową „ciotką Gertrudą” – było kilkanaście ostatnich dni przed zniknięciem matki. Byłoby czymś zupełnie zrozumiałym, gdyby chłopak przemilczał pierwsze dni po jej zniknięciu, ewentualnie ostatnie spotkanie czy ostatnią rozmowę telefoniczną. Tymczasem jego opowieści kończyły się mniej więcej dwa tygodnie przed tym feralnym dniem.

Znów na chwilę umilkli. Ina pozwalała podczas terapii na takie momenty ciszy, gdy pozornie nic się nie dzieje, a pod powierzchnią dosłownie kipi.

– Nie, tylko nie w lewo! – powiedział Christopher, kiedy dotarli do miejsca, gdzie łąka się rozwidlała. Jego głos brzmiał ostro, tak jak wtedy, kiedy mówimy: „Nie dotykać!”. Chłopak szybko to spostrzegł i nieco spokojniej dodał: – Pójdźmy lepiej w prawo.

Ina odniosła wrażenie, że wskazana przez Christophera droga szerokim łukiem omija Prerow, a to oznaczało, że zostało im jeszcze jakieś pół godziny.

– Dokąd prowadzi ta druga droga?

– Nie wiem.

Pozdrowienia od ciotki Gertrudy, pomyślała Ina. Pora wybrać się do niej z wizytą.

Tego samego dnia wczesnym wieczorem wróciła na to rozwidlenie i skręciła w lewo. I tak chciała się wybrać na spacer, ponieważ nie miała ochoty spędzać samotnie wieczoru – a byłaby na to skazana, gdyż Stefanie umówiła się z Christopherem. Ina obawiała się trochę tej samotności – bez Bobby’ego, bez telefonu od niego. Dlatego postanowiła skorzystać z okazji i zaspokoić swoją ciekawość. Ciekawość, która ze względu na relację łączącą Christophera z jej córką nie miała już charakteru czysto zawodowego.

Z początku nie zauważyła niczego szczególnego, tym bardziej że nie miała zielonego pojęcia, czego właściwie szuka. Po dwudziestu minutach wędrówki miała ochotę zawrócić – las okazał się zwykłym lasem, a droga zwyczajną drogą, więc albo się pomyliła, albo klucz do tej tajemnicy posiadał wyłącznie Christopher. Może była to po prostu ulubiona trasa spacerów jego matki? Ale skoro zabrał Inę na platformę widokową na wydmach, skąd rokrocznie oglądał z matką odpoczywające żurawie, to dlaczego tutaj, na tej drodze, miałby uciekać od wspomnień?

Warto spróbować, pomyślała terapeutka i postanowiła, że pójdzie jeszcze kawałek, do następnego zakrętu. A gdy tam dotarła, rozpostarł się przed nią wspaniały widok na lagunę. Jakies sto metrów dalej stał dom państwa Adamskich.

Czternaście miesięcy wcześniej

Byla cudowna sobota, ale Daniel myślał tylko o tym, że jest bankrutem. Poprzedniego dnia dostał list z banku – przykre wieści z reguły lądowały w jego skrzynce w piątki, tak że przez cały weekend musiał się denerwować, nim w poniedziałek mógł wreszcie wyjaśnić nieporozumienie. Tym razem nie było czego wyjaśniać. Od dawna nie spłacał rat kredytu. Kropka. Bankierzy generalnie są pozbawieni poczucia humoru, ale jeśli chodzi o terminowe spłacanie rat, zupełnie się nie znają na żartach. A dlaczego nie mógł ich spłacać? Ponieważ Jette tak po prostu przelała cztery tysiące euro z rachunku rozliczeniowego na firmowe konto swojego sklepu. A to była reszta ich oszczędności, rezerwa na czarną godzinę.

– W takim razie przelej jeszcze coś z tych dziewięćdziesięciu tysięcy z konta oszczędnościowego – powiedziała Jette bez troski, gdy poruszył temat niezgodnionego z nim przelewu, i w spokoju dopiła kawę.

– Nie o to chodzi – odrzekł Daniel wymijająco. – Problem w tym, że w sklepie niewiele się sprzedaje, a mimo to wciąż zamawiasz nowy towar.

– Przepraszam, a co niby miałabym sprzedawać, gdybym niczego nie miała na półkach?

– Ale zamawiasz tego za dużo.

– Klienci muszą mieć wybór, inaczej od razu mogę zamknąć interes.

– Prawdę mówiąc, to właśnie chciałem zaproponować. – Daniel z trudem powściągał swój język.

– Co takiego? Ty... chcesz mi odebrać moje największe marzenie? – krzyknęła z gniewem Jette. – Tylko dlatego, że mam chwilowe trudności? Gdzie twoje zaufanie? Gdzie nasza miłość? Czy to wszystko nic już dla ciebie nie znaczy?

Odstawiła swoją ulubioną filiżankę trochę zbyt gwałtownie na stół, tak że ta aż podskoczyła. Tego już było dla Jette za wiele. Położyła głowę na blacie i zaczęła płakać.

Daniel stał bezradnie obok niej. Wybuch gniewu Jette był dla niego kompletnym zaskoczeniem. Jego żona była urodzoną optymistką i rzadko reagowała tak emocjonalnie. Oczywiście nie miała pojęcia, dlaczego tak się zdenerwował o te cztery tysiące euro. A on nie mógł jej tego wyjaśnić.

– Idę pobiegać.

– Tak, idź pobiegać. Wciąż tylko to bieganie, bieganie, bieganie. Ale najpierw coś ci powiem: nie zamknę sklepu, wybij to sobie z głowy.

– Porozmawiamy o tym przy innej okazji. Na razie.

Okłamywał ją od lat. A dokładniej – od czasu gdy stracił zainwestowane przez Töllera pieniądze. Co miesiąc skutecznie rozmaite kombinacje ze starym wyciągiem z konta oszczędnościowego – zmieniał datę, a potem go kserował, składał kopię tak, żeby wyglądała jak oryginał, i kładł ją na stosie listów. Na wierzchu, tak aby widziała ją Jette.

Pamiętał nawet o tym, by stopniowo zwiększać sumę o odsetki. Obłąd – odsetki od pieniędzy, których dawno nie było. Gdyby Jette się dowiedziała, że powierzył je nieuczciwemu doradcy inwestycyjnemu, a potem je stracił i jeszcze zataił przed nią ten fakt, chybaby oszalała. A wtedy Bóg raczej wiedzieć, co by się mogło stać.

Wiedział, że zostało mu już niewiele czasu. Jeśli nie spłaci jeszcze jednej raty, przed końcem roku będą musieli się wyprowadzić, a jego dzieci stracą swój ukochany dom. Bank go przejmie i zlicytuje, a młodą rodzinę wyrzuci na bruk. Najgorsze zaś było to, że Daniel doskonale wiedział, iż to jest jego jedyny dom, bo na inny nie będzie go stać.

Daniel nie był już w stanie dłużej znosić towarzystwa swoich współników: chełpliwego Gerda, sycylijskiego mięśniaka, jego głupiej dziewczuchy, a ostatnio nawet Marlene, która gotowała dla Töllera, jakby ten siedział w jakiejś łoży dla VIP-ów, a nie przykuty łańcuchem w betonowej piwnicy. Bibliotekarz nie mógł się doczekać chwili, kiedy powie im wszystkim „adieu”, lecz widmo bankructwa sprawiło, że zdecydował się raz jeszcze zapukać do drzwi Adamskich. Zresztą i tak zwołano pilne spotkanie.

Stanowili przedziwną grupę ludzi, których połączyło to samo nieszczęście. Poznali się, przygotowując pozew zbiorowy przeciwko Alwinowi Töllerowi, i postanowili założyć coś w rodzaju grupy wzajemnego wsparcia. Z początku spotykali się, aby nie dźwigać swego brzemienia samotnie – bo kiedy człowiek ma wielki problem, zwykle zostaje z nim sam. Zwłaszcza gdy sam ponosi winę za to, co mu się przytrafiło, i zwłaszcza gdy chodzi o pieniądze. Każde z nich straciło majątek, ponieważ zaufało Alwinowi Töllerowi. Po fakcie można dodać: zaufało naiwnie, wręcz głupio.

Daniel chciał po prostu dostać kilka procent więcej od swoich dziewięćdziesięciu tysięcy euro, a kiedy pieniądze zniknęły, nie miał odwagi powiedzieć o tym ani Jette, ani nikomu innemu, a już zwłaszcza swoim rodzicom, którzy przekazali mu tę kwotę na poczet spadku. Rozumiała go tylko ta grupka obcych mu osób, którzy dzielili ten sam los. Jego towarzysze niedoli byli jedynymi, którzy go nie wyśmiewali ani nie oceniali, i dlatego szukał ich towarzystwa.

Na początku było ich dziesięcioro, lecz z każdą kolejną instancją zostawało ich coraz mniej, aż w końcu została tylko ta garstka. Kiedy proces zakończył się fiaskiem, zaczęli się zastanawiać, co jeszcze mogliby zrobić. Myśleli o tym, by napisać petycję do komisji Bundestagu, szukać sprawiedliwości przed sądami europejskimi, wszcząć przeciwko Töllerowi kampanię w mediach. W końcu zrodził się szalony plan porwania nieuczciwego doradcy. Daniel nie pamiętał już, kto poddał ten pomysł. Któregoś dnia taka propozycja trafiła na stół Adamskich niczym anonimowa paczka, a oni zaczęli się wokół niej czaić, od czasu do czasu na nią spoglądać i natychmiast ze wstydem odwracać oczy. Potrzebowali długich miesięcy, by przezwyciężyć ten wstyd. By oswoić się z tabu. By zaakceptować przestępstwo jako środek do celu.

A teraz, gdy byli już tak blisko, jedno z nich postanowiło się niespodziewanie wyłamać. Jak na ironię tym, który nagle zaczął sprawiać kłopoty, był Bodo – człowiek, którego Daniel trawił najbardziej ze wszystkich współników.

Marlene podała każdemu z sześciorga zebranych po kawałku ciasta czekoladowego. Co prawda było zbyt ciężkie jak na upalny letni dzień, ale ponieważ musieli podjąć ważną decyzję, pomyślała, że nie zaszkodzi zaserwować coś na uspokojenie nerwów. Poza tym do ciasta czekoladowego nie potrzeba ani jaj, ani masła, więc nie musiała piec dla Daniela niczego ekstra.

Po pierwszym łyku kawy odezwał się Gerd:

– Więc kto jest za tym, żeby Bodo dobrał się do kont inwestorów? Proszę ręką w górę.

– Stary, co to ma być? Jakiś klub miłośników gołębi pocztowych? – spytał zgryźliwie Giovanni.

– Bodo zażądał głosowania, więc głosujemy. Wszystko zgodnie z zasadami.

– Kurde, jak wyście w ogóle dali radę tego faceta porwać? To dla mnie wprost niepojęte. Działacie jak komisja w Bundestagu: ćlamiecie ciasto, siorbiecie kawę, od czasu do czasu łapka w górę.

Marlene rozumiała, co Giovanni ma na myśli. Czasem też sobie zadawała podobne pytanie: *Co my właściwie robimy? Siedzimy jak na urodzinach, ale zamiast rozmawiać o urlopie, confirmacji wnuków czy nowej żonie wuja Herberta, planujemy przestępstwo.* Z początku czuła się trochę dziwnie, ale z czasem się z tym oswoiła.

– Weź jeszcze kawałek – zachęciła Włocha.

Giovanni sięgnął po ciasto i ugryzł kawałek.

– Pieprzyć to – powiedział, plując czekoladowymi okruchami na talerzyk Gerda. – Skoro się upieracie, proszę bardzo: jestem za.

Romy i Gerd również podnieśli dłonie.

Tym samym było trzy do trzech i gdyby nikt więcej nie podniósł ręki, pomysł by nie przeszedł. Bodo był zdecydowanie przeciwny, lecz Daniel i Marlene jeszcze się wahali, zerkając na siebie kątem oka. Marlene poczuła się jak podczas partyjki pokera. Kto pierwszy podniesie rękę, okaże się łajdakiem gotowym zaryzykować, że klienci Alwina Töllera poniosą straty, podczas gdy drugie z nich będzie mogło ze spokojnym sumieniem zagłosować przeciw, a mimo to dostanie swoje pieniądze.

– Dla mnie to ostatnia deska ratunku – powiedział Daniel i podniósł rękę. Był tak blady, jakby lada chwila miał zwymiotować.

– Cztery – podsumował wynik głosowania Gerd. – Co z Tobą, Marlene?

Sprawa była rozstrzygnięta, w związku z czym żona piekarza mogła spokojnie głosować przeciw, lecz nagle uznała, że to by nie było w porządku. Oczywiście nie chciała okraść nikogo oprócz Alwina Töllera, ale z drugiej strony...

– Z początku mówiliśmy, że zostanie u nas trzy, cztery dni – powiedziała, spoglądając na Boda. – Tymczasem siedzi tam na dole już tydzień. Wiesz, że to jest uciążliwe, prawda? To znaczy... chodzi o to, że nie jesteśmy zawodowymi porywaczami. Codziennie muszę wynosić wiadro z nieczystościami, patrzeć, jak tam siedzi, znosić jego zawodzenia, cierpliwie wysłuchiwać pytań...

Żałośnie siorbnęła odrobinę kawy, która z jakiegoś powodu nagle jej przestała smakować.

– Przepraszam, Bodo, ale musimy to jak najszybciej zakończyć. Nie możemy tego tak dalej ciągnąć.

Czuła się okropnie, podnosząc rękę, ale gdy Gerd powiedział: „Pięc do jednego”, poczuła ulgę. *Jutro, najpóźniej pojutrze, będzie po wszystkim*, pomyślała i odetchnąwszy głęboko, spytała:

– Zaparzyć świeżej kawy?

– Ja dziękuję – odrzekł Giovanni, ziewając, po czym przeciągnął się tak mocno, że aż zdrząły mu mięśnie. – Wszystko omówiliśmy, a chcemy z Romy skoczyć jeszcze na plażę. Pogoda jest zajebista.

Bodo, który do tej pory nie odezwał się ani słowem, wstał.

– Nie rozumiem was. Postanowiliście okraść niewinnych ludzi. Dociera to do was? Ci ludzie są tacy sami jak my! Oszukano nas, a teraz sami okradamy innych.

– Posłuchaj, Bodo. Nikomu z nas ta decyzja nie przyszła łatwo – odparł Gerd.

– Po pierwsze, to nieprawda, a nawet gdyby to była prawda, to i tak podjęliście błędną decyzję. W każdym razie ja tego nie zrobię.

W salonie rozległ się głośny jęk, jedno z krzeseł z hukiem przewróciło się na podłogę.

To Giovanni zerwał się z miejsca i w mgnieniu oka stanął przed Bodem.

– Stary, chciałeś głosowania.

– Bo myślałem, że kiedy sobie uświadomicie konsekwencje...

– Zagłosowaliśmy, więc teraz z łaski swojej zrobisz, co do ciebie należy – przerwał mu Giovanni. – Pięc do jednego, wynik jest chyba jasny. Nikt cię nie poparł.

Bodo skinął głową.

– Owszem. Ale tylko ja mam dostęp do kont Töllera. Możesz mnie stłuc, bo widzę, że masz na to ochotę, ale to ci nic nie da. Wszystkie kody są w moje głowie, więc beze mnie jesteście jak dzieci we mgle. Taka jest prawda, *ragazzo*, więc lepiej się z tym pogódź. Beze mnie nie dostaniecie ani centa.

Klatka piersiowa Giovanniego urosła o kilka centymetrów i wydawało się, że Włoch za chwilę rzuci się na Boda, dlatego Marlene szybko stanęła między adwersarzami.

– Bodo, to nieuczciwe. Głosowanie to głosowanie. Wyjaśniłam ci, dlaczego chcę jak najszybciej doprowadzić tę sprawę do końca.

Bodo popatrzył na żonę Gerda ze współczuciem.

– Wszyscy tego chcemy, Marlene. Ale nie w taki sposób. Skoro nie możemy dłużej przetrzymać Töllera, musimy go wypuścić i przerwać akcję.

Znów rozległ się jęk – tym razem nie tylko zawodu, ale i gniewu. Tylko Giovanni zacisnął usta i wyładował swą wściekłość w inny sposób: machnął w powietrzu zaciśniętą pięścią, jakby chciał kogoś znokautować, i warknął:

– Wykluczone. Jesteśmy za blisko celu.

– Nie powiedziałem, że się poddam. Potrzebuję tylko więcej czasu. Jest jeszcze jedno konto na jednej z angielskich wysp na kanale La Manche. Niestety przez Internet nic nie zdołałam. Gdybym znał hasło, mógłbym zadzwonić do banku i...

Giovanni wyprostował się, podrapał się między nogami i spytał:

– Potrzebujesz wyciągnąć z niego hasło?

– Tak.

– W porządku. – Włoch wskazał palcem na Boda. – Dostaniesz ten pieprzony kod.

Czekając na powrót Giovanniego – Włoch powiedział, że zajmie mu to jakąś godzinę – Marlene i Romy przystąpiły do przygotowania kolacji dla Alwina Töllera. Pani Adamski zajęła się obieraniem ziemniaków, Romy zaś usuwaniem z ogórków gniazd nasiennych i siekaniem czosnku, przy czym na jeden ząbek potrzebowała dobrych pięciu minut. Ponieważ była sobota, a Marlene uważała, że na sobotnią kolację należy przyrządzić coś szczególnego, zrobiła duszoną rybę w sosie śmietanowo-koperkowym. Specjalnie w tym celu pojechała rano do dość odległego marketu po filety z dorsza.

W pewnym momencie pracę przerwał im Daniel, który wsunął głowę do kuchni i poprosił:

– Romy, mogłabyś zadzwonić do swojego chłopaka i spytać, gdzie jest? Powiedziałem w domu, że idę pobić, a minęły już dwie godziny. Przecież nie jestem Supermanem.

– Ale on nie lubi, kiedy do niego dzwonię.

– A ja nie lubię, kiedy moja żona myśli, że ją okłamuję.

– Przecież to robisz – odparła Romy, lecz czując łokieć Marlene pod swoim żeblem, dodała: – Dobrze, napiszę do niego na WhatsApp.

– Bardzo dziękuję – odrzekł Daniel z ironią głosem. – A tak w ogóle, to dokąd on pojechał?

– Musi coś przywieźć.

– Co?

– Nie wiem.

– To chyba twoje życiowe motto, prawda? – rzucił zgryźliwie Daniel i zanim Marlene zdążyła go przywołać do porządku, wrócił do salonu, gdzie Gerd i Bodo czekali na powrót Giovanniego.

– Nie słuchaj go, Romy – powiedziała pani Adamski do swojej ulubienicy. – Jest zdenerwowany, jak my wszyscy. To dla nas trudne dni.

Przez chwilę Marlene obserwowała, jak palce dziewczyny śmigają po ekranie smartfona. *Ciekawe, że wiadomość napisała w kilka sekund, a na przygotowanie sałatki z ogórków potrafi poświęcić całą godzinę*, pomyślała, a gdy dziewczyna skończyła, zachęciła ją matczynym tonem:

– No, opowiadaj. Nie miałyśmy nawet okazji o nim porozmawiać. To wszystko między wami dzieje się tak szybko.

– Może i tak, ale on jest taki super – pisnęła Romy. – Jak to się mówi? Łap okazję w kroku.

– W biegu – poprawiła Marlene, lecz Romy chyba nawet tego nie usłyszała, bo już w najlepsze paplała o swoim chłopaku.

– Jest taki silny. Przy nim czuję się superbezpieczna. Zawsze mnie trzyma za rękę, kiedy gdzieś razem idziemy. Szkoda, że nie widziałaś, jak wzrokiem odstrasza innych chłopaków, żeby mnie nie podrywali.

– Tak – westchnęła Marlene. – Wyobrażam sobie.

Romy zachichotała.

– Zajebicie, prawda? To prawdziwy facet, a nie takie chuchro jak Daniel, co to się boi

własnej żony.

– Romy, proszę cię. Daniel to nasz wspólnik i nie chcę, żeby usłyszał, jak źle o nim mówimy.

– Przepraszam – odrzekła dziewczyna ze skrucłą w głosie i Marlene natychmiast jej wybaczyła. – Chciałam tylko powiedzieć, że wolę ognistych mężczyzn.

I dominujących, dodała w duchu pani Adamski.

– Gdybyście przypadkiem mieli się kiedyś rozstać... Myślisz, że on potrafi dochować tajemnicy?

– Bez obaw, o wszystkim pomyślałam – odparła Romy. – Dam mu pięć tysięcy euro, połowę mojej działki. W ten sposób też będzie winny.

Pięć tysięcy euro, powtórzyła Marlene w duchu. *Nie do wiary, jak to niewiele w porównaniu z wysiłkiem i ryzykiem, jakie się wiąże z porwaniem człowieka. Ileż to razy słyszy się, że jakiś staruszek został napadnięty dla dwudziestu euro. Ale czy większa kwota usprawiedliwia taki czyn? Dwa tysiące euro? Dwadzieścia tysięcy? Jaka suma jest dość duża, by ludzie uznali, że warto dla niej zostać przestępcą? Milion? Dziesięć milionów?*

Od pewnego czasu Marlene zadawała sobie mnóstwo podobnych pytań – tyle że na żadne z nich nie znajdowała odpowiedzi.

– I tak nie wiem, co miałabym zrobić z tymi pieniędzmi. – Romy wzruszyła ramionami. – No dobra, jest taka superlodówka z mnóstwem bajerów. Nie ma tylko odkurzacza. – Dziewczyna zaśmiała się z własnego żartu, ale ponieważ Marlene nawet nie wykrzywiła ust, kontynuowała: – Wielkie bydle, chyba ze dwa metry wysokości, czerwona, w stylu retro. Z maszyną do lodu, czy jak to się tam nazywa. Poza tym jest inteligentna, można ją podłączyć do Internetu i wtedy ona nam mówi, że mleko skwaśniało i takie tam rzeczy... No i można w niej robić domowe lody. Tylko że kosztuje aż dwa tysiące.

Marlene wyobraziła sobie, jak czerwona superlodówka stoi w ciasnej kuchni Romy między starym piekarnikiem a oksydowanym zlewozmywakiem.

– Sama nie wiem – dodała Romy trochę już mniej podekscytowanym tonem. – W sumie nie potrzebuję kostek lodu, a lodów mam po uszy u nas w piekarni, więc jej pewnie jednak nie kupię i wpłacę resztę pieniędzy z powrotem na konto. Albo pojedziemy w rodzinne strony rodziców Giovanniego, na Sardinie.

– Sycylię – poprawiła mimochodem Marlene i zaraz znowu się zamyśliła.

Cztery lata wcześniej, na osiemnaste urodziny, Romy dostała od babki dziesięć tysięcy euro, ale przez jakiś czas w ogóle nie ruszała tych pieniędzy. Marlene nawet kilka razy spytała, czy dziewczyna nie ma ochoty wydać ich na coś przyjemnego, na przykład urlop, albo pożytecznego – choćby prawo jazdy i małe autko. Lecz Romy odpowiadała tylko wzruszeniem ramion.

– Jeśli... – zaczęła pani Adamski, ale się zawahała. Nie była pewna, czy wypada o to zapytać. – Nie zrozum mnie, proszę, źle, ale skoro właściwie nie potrzebujesz tych pieniędzy, to dlaczego się do nas przyłączyłaś? To znaczy... No wiesz, to, co robimy, jest trochę dziwne...

Romy i tym razem wzruszyła ramionami.

– Dałam facetowi pieniądze, więc musi je zwrócić. To chyba logiczne, prawda?

Czy logiczne, tego Marlene nie wiedziała, pomyślała za to, że Romy zachowała się bardzo grzecznie, nie wspominając o tym, że to Gerd namówił ją, by zainwestowała pieniądze u Töllera. Dał jej wtedy do zrozumienia, że trzeba by mieć nie po kolei w głowie, żeby przepuścić taką okazję. Siedem procent! Oczywiście decyzję ostatecznie podjęła Romy, tak jak ostatnie słowo przed operacją należy do pacjenta, a to, że trzech lekarzy usilnie do niej przekonywało, nie ma większego znaczenia. Jeśli coś poszło nie tak, liczyło się tylko to, czy pacjent wyraził zgodę. Romy, która znała się na inwestycjach kapitałowych mniej więcej tak jak na funkcjonowaniu śledziona, wzruszyła ramionami i podpisała wszystko, co podsunął jej Töller.

Jasne, dziesięć tysięcy euro to niewiele w porównaniu z dwustoma tysiącami Marlene i Gerda, ale to było wszystko, co Romy miała, i z tego punktu widzenia jej strata była równie dotkliwa. Jednak dziewczyna nigdy nie wyrzucała tego swemu szefowi – w przeciwieństwie do Daniela, który od czasu do czasu pozwalał sobie na małe uszczypliwości pod adresem piekarza.

Dla Gerda obie postawy – i docinki Daniela, i milczenie Romy – były równie bolesne. Oczywiście nie okazywał tego i gdyby ktoś wprost rzucił mu takie oskarżenie w twarz, broniłby się zaciekle i nigdy nie przyznałby się do winy. Marlene znała jednak męża wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że ten prowadzi wojnę z Töllерem nie z powodu pieniędzy. Pieniądze były tylko pretekstem, symbolem tego, o co naprawdę chodziło. Gerd nie zdecydował się na to porwanie również ze względu na marzenia Marlene. Nie zależało mu na kolacjach w Orient Expressie i luksusowych rejsach. Prawdopodobnie zgodziłby się na nie z wielką niechęcią, bo zawsze unikał towarzystwa bogatych i wykształconych ludzi, wśród których nie mógł być samcem alfa, za którego się zawsze uważał.

Pani Adamski przez długi czas nie znała prawdziwych motywów, które powodowały jej mężem, lecz w końcu dotarło do niej, że Gerdowi chodzi wyłącznie o swoją urażoną dumę. Ta zaś ucierpiała dwojako. Po pierwsze: pozwolił sobie zamydląć oczy, co do tej pory nigdy mu się nie zdarzyło, w każdym razie nie tak ewidentnie. Właśnie on, człowiek, który chełpił się swoim sprytem i umiejętnością przejrzenia każdego podstępny, wpadł w sidła oszusta. To jednak nie wszystko! Wiedząc, że za jego radą również Bodo i Romy ulokowali pieniądze u Töllera, Gerd czuł, że stracił twarz. Kiedyś, ilekroć zdarzało mu się popełnić błąd, po prostu nie przyjmował tego do wiadomości. Odwracał kota ogonem tak skutecznie, iż po pewnym czasie sam zaczynał wierzyć, że zrobił wszystko, jak należy, tylko został niewłaściwie zrozumiany. W tym jednak wypadku jego strategia legła w gruzach. Mąż Marlene nie tylko sam powierzył swój majątek oszustowi, ale namówił również do tego innych – i ten błąd był tak oczywisty, że w żaden sposób nie mógł mu zaprzeczyć. To właśnie było dla Gerda najgorsze.

Marlene trochę z tego powodu pogardzała mężem. Nie chciała tego, wmawiała sobie, że tego rodzaju motyw jest równie dobry jak każdy inny – i czasem nawet jej się to udawało. Jednak to okropne uczucie raz po raz wracało – równie nieubłagane jak załamanie pogody, które przychodzi po okresie upałów.

Giovanni wrócił z jakimś dziwnym urządzeniem, które wyglądało jak duży stary telefon komórkowy. Daniel nigdy dotąd czegoś takiego nie widział.

– I niby tym wyciągniesz z niego hasło? – spytał sceptycznie.

– To modulator głosu – wyjaśnił Włoch. – Kiedy to trzymasz przy ustach, twój głos brzmi zupełnie inaczej.

Daniel dokładniej przyjrzał się urządzeniu. Nazywało się „Monster” – całkiem słusznie, bo głos, który się z niego wydobywał, brzmiał dość przerażająco.

– Grubas miał swoją szansę – powiedział Giovanni. – Koniec z kartonikami i uspokajającymi napisami. Musimy go nastraszyć, dlatego pójdziemy wszyscy.

– I co to da? – spytał Gerd, znów wyraźnie zirytowany faktem, że nikt go nie pyta o zdanie.

– Musimy działać psychologicznie. Zobaczysz.

Gerd z trudem akceptował pomysły młodego kickboksera i gdy ten pojechał po sprzęt, próbował go wykołegować. Siedząc w salonie, piekarz zaczął podburzać Boda, by ten nie pozwolił Włochowi sobą pomiatać. Od czasu do czasu Gerd szukał pomocy u Daniela, zachęcając go, by i on „może coś wreszcie powiedział”, lecz bibliotekarz milczał. Był wściekły na Boda, ale wiedział, że gdy ten raz podjął decyzję, nic nie zdoła jej zmienić.

Niech więc Włoch pokaże, co potrafi. Czemu nie?

Gdy zeszli do piwnicy i cała szóstka włożyła kaptury, Daniel w końcu zrozumiał, co Giovanni miał na myśli, mówiąc o tym, że muszą działać psychologicznie. Do tej pory do Töllera przychodziła jedna osoba, a teraz, gdy stanęli w kręgu w swych powłóczyстых szatach, nawet Danielowi przeszły ciarki po plecach – a przecież wiedział, że nic mu nie grozi.

Weszli do środka niczym członkowie trybunału inkwizycyjnego: Giovanni, Gerd, Daniel, Bodo, Marlene i Romy. Töller od razu zrozumiał, że coś się zmieniło i porywacze nie będą dłużej tolerować jego milczenia. Błady i przerażony skulił się pod ścianą.

– Proszę... proszę, nie... Zapłacę wam. Dwadzieścia tysięcy. No dobrze, trzydzieści... sto tysięcy. Skontaktujcie się z moim bankiem, niech przygotują wymianę.

Chciałbyś, pomyślał Daniel. Wiedział, że większość porywaczy wpada podczas przekazania okupu. Nawet słynny Dagobert, który na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku szantażował wielką sieć handlową, strasząc zamachami bombowymi, i przez dwa lata wodził niemiecką policję za nos, w końcu trafił za kratki. Przecież cała genialność ich planu polegała na tym, że nie było w nim miejsca na przekazanie okupu.

– Dobrze wiesz, czego chcemy – powiedział Giovanni.

Więzień przełknął ślinę.

– Nie... tylko nie to. Żadnych haseł. Dobrze, niech będzie dwieście tysięcy.

Giovanni podszedł powoli do Töllera.

– Nie, proszę, nie... Proszę... Proszę...

Chociaż Gerd chciał w ostatniej chwili powstrzymać Włocha, ten znalazł się w zasięgu rąk Töllera. Daniel doskonale rozumiał, dlaczego Giovanni podjął takie ryzyko. W ten sposób dał Töllerowi do zrozumienia, że się go nie boi. Bo chociaż ich więzień był słaby i bezbronny, to ten mały skrawek celi stanowił jego twierdzę pośrodku terytorium należącego do wroga. Do tej pory żadne z nich nie podeszło do niego bliżej niż na dwa

kroki, co dawało mu jakieś takie poczucie bezpieczeństwa. Poczucie, które Giovanni mu właśnie odebrał.

A potem Włoch przekroczył ostatnią granicę: błyskawicznie chwycił prawą dłoń Töllera i wygiął mu kciuk, tak że ofiara z przeraźliwym krzykiem osunęła się na kolana.

Atak nastąpił tak niespodziewanie, że Marlene i Daniel aż jęknęli i odwrócili oczy.

Krzyk Töllera świadczył o tym, że Giovanni nie zwolnił uchwytu. Zasłaniając oczy dłonią jak na jakimś horrorze, Daniel powoli znów spojrzął na oprawcę i jego ofiarę, Marlene zaś chwyciła za klamkę i zacisnęła na niej dłoń tak kurczowo, jakby nagle rozwarła się pod nią otchłań. Na szczęście Töller wpatrywał się w podłogę i nie zauważył szoku, którego doznało dwoje członków trybunału.

– Hitch... aaa!... Hitchcock – wystękał Töller. – Puść... proszę... Hasło brzmi: „Hitchcock”.

Giovanni zrobił kilka kroków wstecz i trzymając modulator przy ustach, spytał:

– Jak to się pisze?

Tym razem Daniel już nawet nie przewrócił oczami, tylko stuknął Włocha w ramię i dał jemu i pozostałym znak, by opuścili celę.

Pierwsza wyszła Marlene. Oparła czoło o ścianę i zamknęła oczy, a gdy Gerd zaczął ją delikatnie gładzić po plecach, nawet nie drgnęła.

– Nie musiałeś być tak brutalny – powiedział Bodo do Włocha i ciężko oddychając, ściągnął kaptur. – Umówiliśmy się, że będziemy go dobrze traktować.

– Umówiliśmy się też, że wyciągniesz kasę, więc nie bądź mazgaj. Poza tym nic mu się nie stało. Ręka poboli go przez godzinę, a potem nie będzie śladu. Niczego mu nie złamałem, niczego nie zwichnąłem. Za to mamy hasło. Co ty na to, Gerd? Udało się, tak jak mówiłem.

Piekarz nie odpowiedział. Sukces Giovanniego sprawił, że Włoch ostatecznie odebrał Gerdowi stery.

– Zapamiętaliście hasło? – spytał kickbokser. – To było coś po angielsku, z „cock”. To coś wulgarne, nie?

– To nazwisko słynnego angielskiego reżysera – wyjaśnił Daniel, starając się ze wszystkich sił, by jego głos nie brzmiał arogancko.

– No i super. To co, na dzisiaj koniec czy jest coś jeszcze? Za godzinę muszę być w restauracji.

Danielowi zrobiło się niedobrze na myśl, że ręka, która przed chwilą zadała ból drugiemu człowiekowi, niedługo będzie serwować pizzę. Jednak w ciągu następnego kwadransa, w miarę jak jego puls powoli wracał do normy, zaczęło też do niego docierać, że właśnie dokonali przełomu.

– Załatwione – szeptał pod nosem niczym mantrę, jadąc do biblioteki.

Czuł, jak wzbiera w nim fala ulgi i szczęścia.

Wrzesień

Bobby zranił Inę, chociaż zrobił to w taki sposób, że nie potrafiła się na niego gniewać. Nie mogła – zwłaszcza jako psycholog – oczekiwać szczerości, a potem się na nią skarżyć. W ciągu dnia jakoś udawało jej się zapomnieć o byłym przyjacielu. Miała mnóstwo pracy, a kiedy natrafiała w swoim kalendarzu na wolną godzinę, natychmiast ją zapełniała – czy to sprzątaniami, czy zakupami, studiami albo lekturą.

Tym sposobem w ciągu kilku dni stała się dumną właścicielką kilku par nowych butów, prenumeratorką czasopisma naukowego i członkinią organizacji ekologicznej, zainteresowała się życiem Pabla Picassa i Marii Antoniny, no i zrobiła wedle znalezionej w Internecie przepisu oryginalny cassoulet, co zajęło jej ponad pięć godzin.

Gorzej było, gdy przychodziła noc. Chociaż szukała pomocy w olejku lawendowym, herbatce chmielowej, a nawet nocnym programie RTL II, źle sypiała. Dlatego – choć telefon o tej porze nie zwiastował niczego dobrego – ucieszyła się, kiedy po północy zadzwoniła jej komórka. Stefanie spała już słodko i bezpiecznie w swoim pokoju, więc między drugim a trzecim sygnałem Ina przyłapała się na myśli, że może to Bobby.

– Dobry wieczór, mówi Christopher.

Terapeutka natychmiast się rozbudziła.

– Christopher?!

– Czy mogłaby pani szybko do nas przyjechać?

– Co się stało?

– Mój ojciec... On... chyba oszalał.

– Co mu jest? Co robi?

– Czymś się strasznie denerwuje, nie do końca go zrozumiałem.

– Uderzył cię?

– Niechby tylko spróbował...

– Christopher! Powiedz wreszcie, co się dzieje.

– Zamknąłem się z Felicią w łazience. Strasznie się boi, ale... Nie, nic nam nie zrobił. Rozbił tylko kilka rzeczy. Nigdy nie widziałem go w takim stanie.

– Ale was nie skrzywdził?

– Nie.

– Dobrze, już jadę. Zostańcie w łazience. W żadnym wypadku nie otwieraj drzwi, dopóki nie przyjadę. Jeśli twój ojciec spróbuje je wyważyć, natychmiast dzwoń na policję, rozumiesz? Sto dwanaście. I proszę cię, nie próbuj zgrywać bohatera, jasne?

– Jasne.

– Będę za kwadrans.

Trzy minuty później Ina siedziała już w samochodzie. Nie zadzwoniła na policję

z jednego powodu: w ten sposób wprawiłaby w ruch całą maszynę, nad którą nie byłaby w stanie zapanować. Policjanci mogli zawiadomić Jugendamt, a wtedy wszystko mogło się zdarzyć. Awanturujący się samotny ojciec... Dzieci były już wyrwane z rodzinnych domów z dużo błahszych powodów – przynajmniej na jakiś czas. Gdyby Christopherowi i Felicii coś groziło, Ina nie wahałaby się ani chwili, ale w tym momencie to nie było chyba jeszcze konieczne. W każdym razie najpierw chciała zobaczyć na własne oczy, jak wygląda sytuacja – wtedy zdecyduje, czy zawiadomić Jugendamt.

Kiedy dotarła do Prerow i stanęła przed drzwiami Trebuthów, w domu panował spokój. W kilku oknach migotało słabe światło, ale u sąsiadów było zupełnie ciemno. Na czarnym niebie mrgały miliony gwiazd, od morza wiała bryza. Trudno sobie wyobrazić cudowniejszą noc.

Psycholożka nacisnęła przycisk dzwonka i po chwili drzwi się otworzyły.

– Dobry wieczór, panie Trebuth.

– Pani Bartholdy...

W głosie mężczyzny słychać było znużenie i smutek. Był zupełnie spokojny i choć wydawał się zaskoczony widokiem terapeutki, natychmiast się cofnął, zapraszając ją do środka. Ina co prawda nie bała się Daniela Trebutha, ale też nie czuła się komfortowo. Regał ze zdjęciami jego żony był przewrócony i kompletnie pogruchotany, tak że jego szczątki walały się po podłodze. Podobny los spotkał kilka wiszących na ścianie obrazów, a przewrócona lampa rzucała słabe światło, które w jasno rozświetlonym salonie przywodziło na myśl ostatnie podrygi owada. Najważniejsze jednak, że drzwi łazienki były nienaruszone i nic nie wskazywało na to, żeby Daniel Trebuth próbował otworzyć je siłą. Ucierpiała za to palma pokojowa, której pióropusz był potwornie zmaltretowany.

Ina spojrzała surowo na gospodarza, ale odezwała się łagodnym tonem:

– Czy zdaje pan sobie sprawę, co czują pana dzieci?

– Wiem... wiem... – westchnął mężczyzna i potarł dłonią oczy. – Od piętnastu minut stoję pod drzwiami łazienki i je przepraszam, ale nie chcą mi otworzyć.

– Dziwi się pan?

– Nie... Ma pani rację. To... nigdy mi się to nie zdarzyło. I już się nie zdarzy. Nie mam pojęcia, co się stało, jakby coś we mnie wstąpiło. Biedne dzieci.

Ina omiotła wzrokiem panujący w salonie chaos: pogruchotane ramki zdjęć, fotografie z wakacji, obrazy. Uznała, że gniew Daniela Trebutha skierowany był przeciwko jego żonie, a ponieważ jej nie było – wyładował się na rzeczach, które ją przypominały. Na szczęście – bo w tym wypadku należało to uznać za szczęśliwe zrządzenie losu – nie powiązał z nią dzieci. Teraz to były już tylko jego dzieci, dlatego je oszczędził.

– Proponuję, żeby pan tu posprzątał i doprowadził dom do porządku, a ja tymczasem porozmawiam z Felicią i Christopherem.

Daniel Trebuth niczym pokorny sługa bezzwłocznie zabrał się do pracy. Powiedział Inie wszystko, co chciała, a teraz posłusznie zrobił to, co kazała. Przez chwilę przeszło jej przez myśl, że gdyby dla poprawy ukrwienia mózgu poleciła mu stanąć na rękach, bez wahania wykonałby i to polecenie. Ta uległość Daniela Trebutha wydała się terapeutce dość podejrzana, choć z drugiej strony nie mogła mu przecież mieć za złe, że robi to, co mu kazała.

Podeszła do drzwi łazienki i kiedy tylko się odezwała, Christopher wpuścił ją do środka. Sądząc po buzi Felicii, dziewczynka musiała strasznie płakać, lecz jej brat zachowywał się jak prawdziwy mężczyzna.

– Postąpiłeś bardzo odważnie i mądrze – pochwaliła go Ina.

Słyszając te słowa, Christopher jakby o kilka centymetrów urósł, podczas gdy Felicia rzuciła się terapeutce na szyję i nie chciała jej puścić, choć przecież ledwie ją znała. Przyciskając policzek do policzka małej, Ina zaczęła jej uspokajająco szeptać do ucha, raz po raz powtarzając:

– Już po wszystkim, kochanie. Już dobrze.

Potem spojrzała na Christophera i rzekła:

– Wasz ojciec się uspokoił. Bardzo żałuje tego, co zrobił, i chciałby wam to powiedzieć osobiście. Jesteście na to gotowi czy potrzebujecie jeszcze trochę czasu?

– Nie, wszystko jest okej – odpowiedział chłopak.

Ina zaczęła na odpowiedź Felicii i dziewczynka po chwili smutno kiwnęła główką.

– Jeśli nie chcesz, nie musisz tego robić – powiedziała terapeutka.

– Chcę – odpowiedziała mała cienkim, kruchym jak porcelana głosem.

– Na pewno?

– Tak.

Kiedy wyszli z łazienki, salon był już w dużej części uprzątnięty. Daniel Trebuth zebrał kawałki szkła, poprawił obrazy i wywróconą donicę. Zdjęcie jego żony znów stało na swoim miejscu na regale, tyle że w pękniętej ramce. Poprawił też lampę, choć jej nie wyłączył, w związku z czym nadal irytująco mrugała.

Kiedy Daniel Trebuth zrobił krok w kierunku Felicii, mała cofnęła się odruchowo i chwyciła za rękę brata. Ina zauważyła, że reakcja przestraszonej dziewczynki wyraźnie zabolęła jej ojca. Daniel Trebuth był wprost przerażony. Prawdopodobnie dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę z tego, co zrobił, i zrozumiał, że nie da się tego naprawić kilkoma pięknymi słowami, wybuchł gwałtownym płaczem i poprzez łzy zaczął przeproszać dzieci. Na szczęście widok słabego i bezradnego taty sprawił, że Felicia odzyskała doń zaufanie i już po minucie cała rodzina się pojednała. Christopher był co prawda zdystansowany, ale również przyjął przeprosiny ojca.

– Chcecie spać w domu czy gdzie indziej? – spytała Ina, spoglądając na dzieci.

Słyszając to, Daniel Trebuth znów wpadł w przerażenie, lecz terapeutka musiała zadać to pytanie, by pokazać dzieciom, że mają wybór, i w ten sposób przywrócić im poczucie bezpieczeństwa.

– Niech zdecyduje Felicia – odpowiedział Christopher. – Zrobię to co ona.

Dziewczynka postanowiła zostać w domu.

Następnie Ina poprosiła Daniela Trebutha o chwilę rozmowy na osobności. Gdy wyszli przed dom, zauważyła, że przed drzwiami wciąż walają się niedopałki, wielokrotnie w ostatnich tygodniach rozmazane przez deszcze i suszone przez słońce, a potem znów rozmazane. Były brązowe, oślizgłe i pomarszczone niczym ślimaki. Nowych niedopałków nie było widać, bo gospodarz zaczął się oddawać swemu nałogowi w domu, o czym dobitnie świadczył unoszący się w środku zapach.

– Panie Trebuth, proszę mi odpowiedzieć tylko na jedno pytanie: dlaczego?

Rozumiem, że od roku żyje pan w wielkim stresie, ale co wywołało tę furię?

Ojciec Christophera westchnął ciężko.

– W ostatnim czasie było już tego wszystkiego za dużo. Każdego dnia walczę i... Czasami czuję, że to wszystko przez Jette... Na pewno uważa pani, że to okropne.

– Bynajmniej. Uczucia nie są ani dobre, ani złe... Po prostu są, dlatego musimy wiedzieć, jak sobie z nimi radzić. I dlatego chciałabym, żeby jeszcze dziś poszedł pan z dziećmi do poradni rodzinnej, i to z samego rana. Niech pan weźmie zwolnienie lekarskie albo dzień urlopu, jak pan chce, i proszę tam pójść. Tu jest adres. Jutro po południu tam zadzwonię i sprawdzę, czy zrobił pan to, co powiedziałam. Dlatego jeszcze raz proszę, by poszedł pan tam z samego rana.

Tej nocy Ina przespała najwyżej dwie godziny, a i to niespokojnie. Już o wpół do szóstej wstała z łóżka, zjadła łyżkę müssli, a potem w ciągu godziny wypila siedem filiżanek kawy. Kiedy o siódmej Stefanie przyszła do kuchni, matka opowiedziała jej, co się wydarzyło.

– I nie zadzwoniłaś na policję ani do Jugendamtu? – spytała Stefanie z oburzeniem.

– Nie doszło do przemocy. Ojciec Christophera przewrócił lampę i zniszczył kilka ramek, ale to nie powód, by mu odbierać dzieci. To powinna być ostateczność. Nie można tak nagle wrywać dzieci z rodzinnego domu. Właściwie w tym przypadku nie ma ku temu podstaw prawnych.

– Christopher nienawidzi ojca.

– To fatalnie, ale gdyby władze miały za każdym razem zamykać rodziców na życzenie ich dzieci, to już co najmniej dziesięć nocy spędziłabym w celi. Prawda, córeczko?

– Daj spokój, ty i tata wcale nie byliście aż tacy źli.

– Dziękuję. Wiem, że w ten niezrównany sposób wypowiadasz pod moim adresem wielki komplement, ale wracając do tematu... Nie sądzę, żeby Felicii albo Christopherowi coś groziło.

Stefanie grzebała łyżeczką w swoim jogurcie.

– Może i masz rację. Ale ojciec Christophera jest okropny. To kompletny nudziarz, niedojda i do tego wiecznie ma doła. Poza tym nosi skarpety do sandałów, wyobrażasz sobie?

– Wątpię, żeby zakładanie skarpet do sandałów stanowiło w oczach sędziego wystarczający powód do odebrania dzieci.

– Czasami w jego oczach jest coś dziwnego...

– W sensie: ponurego? Cóż, prawdopodobnie na jego miejscu każdy z nas czułby się przygnębiony.

– Nie, to raczej coś przerażającego. Nie umiem tego wyjaśnić.

– Pamiętaj, że nasze postrzeganie jest z natury uwarunkowane czynnikami zewnętrznymi, które zniekształkają obraz rzeczywistości. Wiesz, że jego żona zniknęła, i dopuszczasz możliwość, że on mógł mieć z tym coś wspólnego.

– Nie, skąd! On ma alibi.

To było dla Iny coś nowego.

– Kto ci to powiedział?
– Chris. On ostatni widział swoją matkę. Wyszła z domu, żeby sobie zrobić *moving*.
Tak przynajmniej powiedziała.
– Co zrobić?
– Spacer, od *move*. Łapiesz?
– *Moving*, jasne. I co dalej?
– Było południe. A potem nagle bum, zniknęła. Ojciec Chrisa aż do późnego popołudnia był w bibliotece, więc to nie mógł być on. O ile w ogóle doszło do jakiegoś przestępstwa.
Ina przez chwilę zastanawiała się, dlaczego Christopher nie powiedział jej o tym, że on ostatni widział matkę.
Kolejna ciotka Gertruda.

Rozmowa ze Stefanie zbiła Inę z tropu. Terapeutka wiedziała, że obiektywnie rzecz biorąc, podjęła właściwą decyzję. Nie stwierdziła znamion przemocy domowej i wymogła na ojcu Christophera, by razem z dziećmi zwrócił się o pomoc do poradni rodzinnej. A jednak... Nie chciała czekać do popołudnia i postanowiła czym prędzej się upewnić, że Daniel Trebuth spełnił jej polecenie. Wsiadła do auta i pojechała do jego domu – razem ze Stefanie, która uparła się, że będzie towarzyszyć matce, i za nic nie dała sobie tego wyperswadować. Ina postanowiła, że jeśli do dziesiątej nic się nie wydarzy, złoży Trebuthowi ponowną wizytę i zmusi go do działania. Uznała, że jest to winna jego dzieciom, ale też zdawała sobie sprawę, że w ten sposób łamie pierwsze i najbardziej fundamentalne przykazanie terapeuty: zachowaj dystans. Gdyby jej superwizorka w klinice albo promotor jej pracy doktorskiej dowiedzieli się, że właśnie nachodzi swojego pacjenta... Chociaż z drugiej strony Daniel Trebuth wcale nie był jej pacjentem, a to jego nachodziła, nie Christophera.

– Fajnie! – odezwała się Stefanie. – Z tobą przynajmniej się człowiek nie nudzi. Nie sądziłam, że masz taką odlotową pracę.
– Ja też nie.
– Może powinnam studiować psychologię. A przy okazji... dzisiaj po południu mam rozmowę w sprawie praktyk.
– U psychologa czy weterynarza?
– Ani jedno, ani drugie. W rostockim zoo, jako opiekunka zwierząt. Chcę się zajmować małpami. Są słodkie, a zarazem sexy.
– Orangutany są sexy?
– Nie, te mniejsze. Aż się je chce przytulić.
– Kilka dni temu chciałaś pomagać w kastrowaniu szczeniaków i czesać świnki morskie.
– Mamo! Czy ty zawsze musisz wszystko komplikować?

Ina nie odpowiedziała, bo zauważyła, że coś się w końcu ruszyło. O wpół do dziesiątej Daniel Trebuth wyszedł z domu, wsiadł do samochodu i ruszył przed siebie – sam, bez

dzieci.

– Dlaczego nie zabrał Chrisa? – spytała Stefanie.

– Nie wiem, może chce najpierw wpaść na chwilę do biblioteki i powiedzieć, że dziś go nie będzie.

Ina odczekała chwilę i ruszyła za Danielem, pozwalając, by między nich wcisnęło się inne auto. Ponieważ ojciec Christophera jeździł jaskrawozielonym fordem, mogła go bez trudu śledzić.

Podróż trwała kilka minut – z Prerow do Wieck, a potem dalej, drogą wiodącą wzdłuż laguny. Ina знаła tę trasę, bo już dwa razy ją przemierzyła. Kiedy Daniel Trebuth skrzył w wąską drogę prowadzącą do domu Adamskich, psycholożka zatrzymała się poirytowana na poboczu.

W pierwszej chwili nie połączyła faktów, a gdy już wszystko sobie poukładała, stwierdziła, że to doprawdy zadziwiający zbieg okoliczności. *A może to wcale nie jest zbieg okoliczności?*, stwierdziła po chwili.

– Mamo, zgubimy go! – krzyknęła Stefanie, wyrывая matkę z zadumy. – Co się stało? Zobaczyłaś ducha?

– Tak jakby.

Mniej więcej minutę później Ina skrzyła w wąską uliczkę i zaparkowała jakieś pięćdziesiąt metrów od domu Marlene.

– Zostaniesz w samochodzie – poleciła córce.

– A co ja jestem? Pies?

– Owszem. Przez najbliższy kwadrans.

Terapeutka powoli ruszyła w kierunku domu, przed którym parkował wóz Daniela Trebutha. Audi, którym Gerd Adamski przyjechał po żonę do kliniki, nie było nigdzie widać, za to za uchylonymi drzwiami garażu Ina dostrzegła czarnego fiata coupé.

Trudno jej było tak napędce poskładać to wszystko w jedną całość: Daniel Trebuth, Marlene Adamski, fiat...

Gorączkowo rozważała, co w tej sytuacji zrobić:

Odjechać i zachować na razie to odkrycie dla siebie?

Odjechać i później poruszyć tę kwestię w rozmowie z Marlene?

Zaczekać na Daniela Trebutha?

Zadzwoić do drzwi?

Wiedziała, że nie może wiecznie stać przed tym domem i musi podjąć jakąś decyzję.

W końcu postanowiła wziąć byka za rogi i nacisnęła dzwonek. Czasami otwarta konfrontacja jest jedynym sposobem na to, by wyjaśnić zagmatwaną sytuację, a w tej historii niejasności było co niemiara.

Nie doczekawszy się żadnej reakcji, Ina zadzwoniła ponownie – i tym razem bez rezultatu.

Cofnęła się kilka kroków i spojrzała na dom. Przez chwilę miała wrażenie, że ciemne okna wpatrują się w nią niczym ślepią, a zaraz potem zrozumiała, że popełniła błąd. Niepotrzebnie pozwoliła, by ci, którzy byli w środku, ją zobaczyli.

Nie miała jednak czasu się tym specjalnie zamartwiać, gdyż nagle za jej plecami rozległ się krzyk Stefanie:

– Chris! Hej, Chris!

Ina przerażona odwróciła się w stronę córki, która oczywiście jej nie posłuchała i stała teraz na środku drogi, gwałtownie machając ręką. Terapeutka spojrzała w stronę lasu i w miejscu, z którego niedawno sama patrzyła na lagunę i dom Adamskich, spostrzegła rowerzystę. Faktycznie przypominał Christophera, aczkolwiek to nie mógł być on, bo zamiast podjechać do Stefanie, zawrócił i znikł między drzewami.

Ina, niewiele myśląc, zawróciła auto, zabrała córkę i wróciła z nią do domu.

Kiedy następnego ranka przy śniadaniu rozłożyła lokalną gazetę, na pierwszej stronie uderzył ją tytuł: „Potworne morderstwo na Darss”.

Czternaście miesięcy wcześniej

– Cholerny cwaniak, no! Co za cholerny cwaniak! – wykrzyknął Bodo. W jego głosie rozczarowanie mieszało się ze wściekłością, ale też podziwem dla Alwina Töllera. – Do diabła, on ma nerwy jak postronki. Bawi się z nami jak z dziećmi.

Bodo mówił do samego siebie. Zadzwoił z gabinetu Töllera na jedną z brytyjskich wysp na kanale La Manche, by złożyć zlecenie przelewu na niemiecki rachunek, lecz kiedy podał hasło – Hitchcock – usłyszał, że jest ono błędne.

Ze słuchawką w ręku zerwał się z miejsca, serce podeszło mu aż do gardła.

– Och, przepraszam, Hitchcock to hasło do innego konta – odpowiedział szybko po angielsku. – Muszę sprawdzić w dokumentach i za chwilę zadzwonię.

– Oczywiście, *sir*. Życzę miłego dnia.

W ostatniej chwili udało mu się uniknąć katastrofy.

Ale czy aby na pewno? A może angielski bankier chciał, by Bodo tak właśnie myślał? Może „Hitchcock” było hasłem alarmowym? Czy bank zablokuje teraz konto? A może, co gorsza, zawiadomi firmę ochroniarską, z której za chwilę zadzwonią, by przeprowadzić kontrolną rozmowę telefoniczną albo od razu wysłać do domu Töllera patrol? Czy istnieją w ogóle tego rodzaju procedury bezpieczeństwa? A jeśli tak, to czy działają również ponad granicami kraju?

Ryzyko było zbyt wielkie, więc Bodo w pośpiechu spakował laptopy, pamięci przenośne, drugie śniadanie, colę – po prostu wszystko. Potem dwa razy obszedł pozostałe pomieszczenia, by się upewnić, że o niczym nie zapomniał.

– Futrzak! – Przypomniał sobie. Kociaka nie było w koszu, więc musiał się kręcić gdzieś wokół domu.

Bodo nie mógł go zostawić bez jedzenia. W domu nie było suchej karmy, a wilgotna przy tych temperaturach już po jednym dniu nie nadawałaby się do jedzenia.

Ostrożnie, by nie zauważył go jakiś przypadkowy przechodzień albo listonosz, wyjrzał do ogrodu i po cichu zawołał kocura.

Następny kwadrans informatyk spędził na przywoływaniu zwierzaka. W tym czasie musiał się trzy razy skryć za cisem, a za czwartym razem przeraził się, że właśnie spełniły się jego najgorsze obawy, gdyż dwóch mężczyzn z owczarkiem podeszło do drzwi frontowych i nacisnęło dzwonek.

– Cholera! – zaklął po cichu Bodo.

Uznał, że w tej sytuacji będą musieli jak najszybciej uwolnić Töllera na jakiejś łące lub w lesie i jakby nigdy nic pozwolić mu wrócić do dawnego życia. Ich plan spalił na panewce. Nie licząc kilku tysięcy euro, niczego nie wskórali. Najważniejsze jednak, że przynajmniej nie zostali zdemaskowani.

Bodo zaczął się już zastanawiać, w jaki sposób niepostrzeżenie wydostać się z ogrodu, gdy nagle poczuł, jak o jego nogę ociera się Futrzak. Schylił się, by go pogłaskać, a gdy

znów podniósł głowę, zauważył, że mężczyźni odwrócili się i sobie poszli.

Odczekał jeszcze kilka minut, by mieć pewność, że tamci nie wrócą, a potem wszedł do domu i zajrzał do skrzynki pocztowej. W środku znalazł ulotkę pobliskiego schroniska dla zwierząt z prośbą o wsparcie.

Z ulgą westchnął, ale niemal natychmiast znów wstrzymał oddech. A co, jeśli ta ulotka to próba uśpienia jego czujności? Czuł, że za chwilę oszaleje. Miał wrażenie, że jest jak nocny wędrowiec, który idąc przez ciemny las, za każdym krzakiem wietrzy złoczyńcę albo potwora. We wszystkim się doszukiwał podstępny, jak paranoik. Bo przecież gdyby ci mężczyźni faktycznie byli z firmy ochroniarskiej, to czy w ciągu pół godziny zjawiliby się w domu klienta z fałszywą ulotką schroniska dla zwierząt? Jakie było prawdopodobieństwo, że to skrobanie za krzakiem to nie mysz, tylko postać z horroru?

Z pakunkami pod jedną pachą i Futrzakiem pod drugą ruszył w kierunku swojego pola, a gdy już do niego dotarł – ze względów bezpieczeństwa parkował w pewnej odległości od domu Töllera – umieścił paczki i kocura na tylnym siedzeniu, po czym usiadł za kierownicą i ruszył przed siebie. I wtedy znów zobaczył mężczyzn z owczarkiem – chodzili po Ahrenshoop od domu do domu i pukali do drzwi.

Czyli jednak fałszywy alarm, przynajmniej tym razem. Ci goście rzeczywiście byli ze schroniska. To jednak nie oznaczało, że bank nie wszczął alarmu.

Bodo zatrzymał się na chwilę, wrzucił do puszek kwestujących dziesięć euro i pojechał dalej w kierunku Wieck.

Bodo uwielbiał siedzieć w kuchni Adamskich, w której zazwyczaj tak smakowicie pachniało. Wprawdzie zapach ciasta, wanilii i cukru nie wzbudzał w nim żadnych wspomnień, bo ani jego rodzice, ani Nelli, ani on sam nigdy nie próbowali niczego upiec, lecz mimo to aromat ten działał na niego uspokajająco i dawał mu poczucie bezpieczeństwa – jakby w tej kuchni nie mogło mu się przytrafić nic złego. Matczyzna postać Marlene tak doskonale pasowała do tego miejsca, że bez niej ten cudowny obraz nie byłby pełny.

– Upiekłam ją specjalnie dla pana Töllera, w podzięce za to, że był tak skory do współpracy – powiedziała pani Adamski, spoglądając ze smutkiem na babkę drożdżową. – Ale chyba na nią nie zasłużył.

– Niestety – odrzekł Bodo i ukroił sobie spory kawałek. Wgryzł się w niego nieco zbyt łapczywie, ale czuł, że właśnie tego mu teraz trzeba.

– Może się po prostu pomylił? – Marlene jak zwykle szukała jakiegoś wyjaśnienia.

– Pomylił? On z nas zwyczajnie zakpił, oszukał nas, i to nie pierwszy raz. Zapomniałaś już, dlaczego w ogóle trafił do tej piwnicy?

– Widocznie taka już jego natura – westchnęła Marlene.

– Daj spokój. Nie rozmawiamy o chłopcu, który przerobił stopień z matmy i dał do podpisania matce, tylko o wyrafinowanym oszucie i kłamcy. A to, że sam się za takiego uważa, tylko pogarsza sprawę. Gdyby chociaż w głębi ducha się tego wstydził, ale nie, on jest jak handlarz używanymi samochodami. Zamalowuje pędzelkiem rdzę i jeszcze

bezczelnie twierdzi, że prawo mu na to pozwala. Nie myśli o tym, że być może doprowadzi do bankructwa samotną matkę, która się nie zna na samochodach...

– Wiem, co chcesz powiedzieć – przerwała mu Marlene płaczącym głosem. – Ja też go nie cierpię. Najchętniej wzięłabym tort śmietanowy i rozsmarowała mu go na twarzy.

Bodo uśmiechnął się rozbawiony.

– Twoje okrucieństwo przekracza wszelkie granice.

– Są takie dni, że mi go naprawdę szkoda. Ty nie schodzisz do tej piwnicy, Bodo, a ja muszę to robić codziennie. Muszę patrzeć, jak powoli marnieje, wachać ten smród. Powinien się wykapać, umyć zęby... Ale Gerd mówi, żebym mu nic nie dawała, że to zbyt niebezpieczne.

– Chętnie bym ci pomógł, ale prawie cały swój czas poświęcam na to, żeby załatwiać jego interesy i korespondencję. Romy nie może ci jakoś ulżyć?

– Ach, to biedne dziecko, coś takiego byłoby ponad jej siły. Ona nawet robiąc kanapkę, potrafi pomylić majonez z musztardą. Gramy w papier, nożyce, kamień i zawsze jej daję wygrać, żeby nie musiała tam schodzić. Gerd ma na głowie piekarnię, Daniel bibliotekę, a Giovanni się do tego nie zniży. Każdego wieczora serwuje sto pizz, a tutaj nawet nie kiwnie palcem.

Bodo pogładził dłoń Marlene. Doskonale ją rozumiał. On nie byłby w stanie robić tego co ona. I to dzień w dzień. Mordowała się, podczas gdy on sobie siedział wygodnie za biurkiem Töllera i czuł się jak ryba w wodzie. Kupno i sprzedaż, zonglowanie akcjami i obligacjami, a nawet samo wcielanie się w kogoś innego, sprawiało mu mnóstwo frajdy. Do tej pory całkiem nieźle już się rozeznał w świecie finansów. Co prawda było kilku klientów, którzy się dziwili, że nie mogą złapać Alwina Töllera telefonicznie, ale dzięki historyjce o podróży do Azji jak do tej pory nikt nie nabrał podejrzeń. Bodo był zbyt sprytny, by do tego dopuścić.

Wiedział, że kiedy on się tak świetnie bawi, Marlene musi dźwigać wiadro z nieczystościami, lecz z drugiej strony tłumaczył sobie, że oboje pracują, by osiągnąć ten sam cel, i gdyby go w końcu osiągnęli, opuściliby dom Töllera z nie mniejszą radością niż Marlene piwnicę.

A teraz... W głębi duszy czuł już nadciągającą pustkę, która wypełni go, gdy jego nadzieje legną w gruzach. Na razie udawało mu się jeszcze trzymać ją z dala od siebie, lecz ona już wyciągała ku niemu swe macki. Jeśli pieniądze przepadną, straci Nelli po raz drugi, tym razem już ostatecznie. A kiedy Nelli stanie się przeszłością, co mu wówczas zostanie?

Zastanawiał się, czy może jednak nie powinien sięgnąć do kont inwestorów. Przelałby tylko po kilkaset euro, od kilkudziesięciu najbogatszych. To by z pewnością wystarczyło. Klienci Töllera mieli tyle pieniędzy, że nawet by nie zauważyli straty – w przeciwieństwie do Daniela, któremu groziła utrata domu, Gerda i Marlene, którzy stracili marzenia, Romy z jej zaskórniakami i jego samego, pogrążonego w bezbrzeżnym smutku.

Co zatem go powstrzymywało? Może to, że mimo wszystko większość ludzi uznałaby taki czyn za niemoralny? Ale z drugiej strony moralność i uczciwość mają to do siebie, że są w cenie, gdy wszystko się świetnie układa, a interesy kwitną. Kiedy szczęście się odwraca, moralność często umiera pierwsza.

Nagle Bodo uzmysłowił sobie, że cała ta sprawa stała się dla niego zaczynem

wewnętrznego konfliktu, tyle że do tej pory nie chciał się do tego przyznać.

– Musimy powiedzieć pozostałym – wymamrotał tonem człowieka, który widzi nadciągającą klęskę.

Marlene sięgnęła po telefon, lecz wybierając numer, jeszcze się zawahała.

– Naprawdę już po wszystkim? Jesteś pewien? Może jednak da się jeszcze coś zrobić?

W jej głosie Bodo usłyszał ten sam strach, który wypełniał jego duszę – strach przed fiaskiem ich przedsięwzięcia i zarazem przed jego kontynuacją. Ponieważ Bodo po raz pierwszy poczuł, że cokolwiek jeszcze się stanie, będzie już tylko gorzej.

Daniel odebrał telefon od Marlene w chwili, gdy przygotowywał listę polecanych w lipcu książek dla dzieci. Kiedy się rozłączył, wyglądał, jakby dowiedział się o jakimś strasznym wypadku, toteż dwie jego podwładne natychmiast spytały, czy coś się stało. Daniel odparł, że jego matka doznała zawału i jest w szpitalu, po czym wśród wypowiedzianych zewsząd wyrazów współczucia wyszedł z biblioteki.

Ręce drżały mu tak bardzo, że nie był w stanie odpalić samochodu. Najpierw kluczyk wypadł mu z dłoni, potem nie mógł nim trafić w stacyjkę, a na koniec nie był w stanie skoordynować sprzęgła i gazu. Kilka razy zgąsł mu silnik, kilka razy szarpnął autem niczym początkujący kierowca wyjeżdżający z ciasnego miejsca parkingowego. Mimo to ani razu nie zaklął. Zupełnie też się nie przejął zdziwionymi spojrzeniami przechodniów.

Po kilku minutach nieco się opanował i w miarę pewnie wjechał na drogę prowadzącą na Darss. Mimo to od czasu do czasu samochodem zarzucało w lewo bądź w prawo, ponieważ Daniel raz po raz zdejmował okulary, by otrzeć płynące mu z oczu łzy. A może dlatego, że widok przesłaniały mu pracujące niepotrzebnie wycieraczki. Kiedy dotarł do Wieck, gumy zupełnie się zużyły i pióra skrzybiały niemiłosiernie na szybie.

Daniel wszedł do domu Adamskich i przez chwilę w milczeniu siedział z Marlene i Bodem w kuchni. Gerd miał wkrótce się zjawić, a Romy była już w drodze po Giovanniego. Czekali na nich, by wspólnie omówić sytuację.

Tylko co tu było do omawiania? Zegar tykał, nie tylko w przerośni. Wskazówka ściennego zegara odmierzała sekundy, podczas gdy w banku teczka Trebuthów wędrowała z biurka na biurko, czekając, aż jakiś bankier o surowym spojrzeniu obojętną dłonią przypieczętuje los Daniela i jego rodziny. Jeśli nie dzisiaj, to jutro, pojutrze, w następnym tygodniu...

W gruncie rzeczy sytuacja Daniela Trebutha w ciągu ostatnich dni nie uległa zmianie – a jednak w porównaniu z poprzednim dniem zmieniła się diametralnie. O ile bowiem jeszcze niedawno bibliotekarz wierzył, że cel jest w zasięgu ręki, o tyle teraz czuł się tak, jakby ktoś ukradł mu zwycięski los, zanim zdążył zrealizować wygraną.

– Dokąd idziesz? – spytała Marlene.

Dopiero słysząc jej głos, Daniel zauważył, że wyszedł z kuchni.

– Na dół, do tego złodzieja. Muszę mu spojrzeć w oczy.

– Daj spokój, to nic nie da.

Krocząc po stromych, zdałoby się niekończących się schodach, Daniel zanurzył się

w ciemność. Z początku zza jego pleców wpadało jeszcze słabe światło, a jego cień podążał przed nim niczym wierny sługa. Stopniowo jednak cień ów tracił kontury, aż w końcu całkiem znikł w mroku. Daniel szedł po omacku, dotykając dłonią ściany. Z każdym kolejnym krokiem czuł w gardle coraz większe dławienie.

Nie zorientował się, że dotarł do końca schodów, i potknąwszy się, upadł na kolana. Jęknął. Ból sprawił, że jego zmysły się wyostriły. Nie odczuwał już fizycznego bólu, bo czymże jest lekkie stłuczenie w porównaniu z dużo większym cierpieniem, które przepelnia głowę i ściska za serce?

Włączył światło, by włożyć kaptur i resztę stroju. Pierwszy raz był w piwnicy Adamskich sam. Może dlatego zauważył to wszystko, czego wcześniej nie dostrzegał – mnóstwo różnokolorowych dżemów i galaretek oraz butelki likieru z wielkimi etykietami, na których ktoś pięknym, krągłym pismem wykaligrafował: „Czarny bez”, „Rokitnik”, „Jeżyna”. Obok stały skrzynie z jabłkami i ziemniakami, od których bił ziemisty zapach, stare donice, parę butelek sherry i chianti, stół warsztatowy i stara chłodziarka, z której dobywało się nerwowe mruczenie na znak, że jej agregat niezmordowanie pracuje.

Kiedy Daniel dotknął klamki, zawahał się. Przez te kilka chwil jego dłoń zaciskała się na metalowej gałce, a on czuł, jak jej chłód obejmuje jego palce i przesuwają się w stronę nadgarstka. Chociaż fizycznie było to niemożliwe, miał wrażenie, że ten chłód stopniowo przenika całe jego ciało. W końcu ze skrzypnięciem otworzył drzwi i wszedł do środka.

Widząc Töllera, pomyślał, że ten przypomina owe stworzenia – nie tak znów rzadkie w przyrodzie – które posiadają instynktowną zdolność dostosowywania się do otoczenia: twarz więźnia zrobiła się blada i mdła jak nikłe światło energooszczędnej żarówki, a on sam upodobił się do gołych ścian. Jego garnitur, koszula i krawat leżały zmięte na materacu, on zaś z podkulonymi nogami siedział w samej bieliźnie z zarzuconym na ramiona kocem i oparty o ścianę spoglądał na poły lękliwie, na poły skruszony w oczy Daniela, które świdrowały go z wyciętych w kapturze otworów. Töller wiedział już, że jego kłamstwo wyszło na jaw.

– Nie mogłem inaczej – powiedział.

Oczywiście, że mogłeś, pomyślał Daniel. Większość ludzi na miejscu Töllera oddałaby dużą część majątku, by jak najszybciej odzyskać wolność. Cóż to jest trzysta tysięcy euro, kiedy ma się trzy miliony, a może i więcej? Dlaczego więc tego nie zrobił? Może dlatego, że do wyłudzonych pieniędzy ma się inny stosunek niż do uczciwie zarobionych? Może potrzebował tych pieniędzy, by zagłuszyć wyrzuty sumienia symbolami swojego statusu: kubańskimi cygarami i starymi winami? A może była to logiczna konsekwencja jego skrajnego egoizmu, który przejawiał się w tym, że pomnażał swoje bogactwo kosztem innych ludzi? A może dlatego, że tak było łatwiej? Może dla takiego oszusta nie do zniesienia byłaby świadomość, że został obrobiony przez cwańszych od niego?

Tak czy siak, nie docenili Töllera. Siedział przykuty do ściany, półnagi, z czerwonawymi krostami na ciele, żółtą plamą na białych slipach, w przykrótkim podkoszulku i ze zbyt długimi paznokciami u stóp, a mimo to zdołał ich wszystkich wystrychnąć na dudka. Wszystkich: mięśniaka, mądralę i hakera. Nawet Daniela. Nawet w tak beznadziejnym położeniu, mimo bólu, jaki mu zadał Giovanni, miał w sobie tyle bezczelności, by okłamać porwawczy.

Może nawet się z nich ukradkiem naśmiewa? Może już niedługo, pękając z dumy, będzie opowiadał podobnym sobie cwaniakom o tym, co zrobił?

Daniel pomyślał o swoich dzieciach – o wesołej Felicii, która we własnoręcznie haftowanych skarpetkach tańczyła dla taty, i o pewnym sobie, wysportowanym Christopherze. Czy pewnego dnia zaczną nim gardzić? Syn jako nieudolnym bankrutem, a córka jako skazanym przestępcą? Daniel chciał za wszelką cenę zachować swój dom i swoją rodzinę. Za wszelką cenę, tylko jeszcze nie wiedział jak.

Töller najwyraźniej zauważył, że z ukrytych pod kapturem oczu płyną łzy.

– Zróbcie coś dla siebie – powiedział. – Uwolnijcie mnie, a obiecuję, że...

Daniel nie był w stanie dłużej nad sobą panować i z całej siły kopnął Töllera w prawy piszczel. Przerażliwy krzyk odbił się od ścian i dźgnął w ucho bibliotekarza niczym ostry odłamek. Echo tego, co zrobił, sprawiło, że aż się wzdrygnął.

Töller złapał się za nogę i z bólu zwinął się na gołej podłodze. Koc zsunął mu się z ramion. Szloch nagiego mężczyzny był jak jedno wielkie błaganie o odrobinę współczucia. Przebiegły finansista naraz stał się zwykłym, podatnym na ból człowiekiem.

Daniel, zdumiony swoim nagłym wybuchem, cofnął się aż do drzwi i z zakłopotaniem spojrział na efekt tego, co zrobił. Potem zgasił światło i jeszcze przez kilka chwil nasłuchiwał, po czym w końcu wyszedł z prowizorycznej celi.

Zdejmując kaptur i wspinając się po schodach w kierunku światła, zauważył w sobie niespodziewaną zmianę. Na pozór był tym samym człowiekiem – kochał swoją rodzinę, uwielbiał pracę w bibliotece, pasjami pochłaniał książki, lubił angielskie seriale kryminalne, Steviego Wondera i skecze Loriota... A mimo to czuł, że w ciągu ostatniej godziny coś się zmieniło. Ta godzina była jak zagięta kartka w książce. Zagięcie nie sprawia, że zapisana w niej historia się zmienia, ale kartka, na której ją zapisano, już nie jest taka jak przedtem.

Daniel człapał na górę niczym starzec, a gdy wreszcie dotarł już niemal do szczytu schodów, zawahał się i z tym większą determinacją zawrócił.

Wrzesień

Wiadomość o zabójstwie Gerda Adamskiego była dla Iny szokiem. Nie dlatego, że go specjalnie lubiła, ale dlatego, że jego śmierć musiała być strasznym ciosem dla Marlene. Najpierw jej próba samobójcza, a teraz jeszcze to. Piekarz został uderzony w głowę, kamieniem lub innym ciężkim, tęnym przedmiotem przed własnym domem.

Terapeutka przez chwilę zastanawiała się, czy powinna zadzwonić do Marlene. A może lepiej od razu iść na policję? Nie mogła zataić tego, co widziała, zwłaszcza że w tej sprawie nie obowiązywała jej tajemnica zawodowa. Jej pacjentem był Christopher Trebuth, nie jego ojciec.

– Nie możesz powiedzieć psiarni o Chrisie – stwierdziła stanowczo Stefanie, gdy Ina poruszyła ten temat przy śniadaniu. – To nie był on.

– Tak ci powiedział?

– Pomyliłam się. A ty widziałas tylko kogoś na rowerze.

– Stefanie.

– Chcesz go rzucić na pożarcie psom? Tylko dlatego, że kiepsko widzę?

– Twój ojciec jest optykiem i twierdzi, że masz świetny wzrok.

– Powiedziałam ci, że się pomyliłam. Rozumiesz?

Ina zadzwoniła do pani Adamski i nagrała jej wiadomość na pocztce głosowej – ni to kondolencje, ni to prośbę, by oddzwoniła. Za dwa dni i tak miały się spotkać, więc Ina zaproponowała, że jeśli Marlene sobie życzy, mogą przesunąć sesję na jakiś wcześniejszy albo późniejszy termin. „Tak czy inaczej, proszę do mnie zadzwonić”, zakończyła terapeutka.

Oczywiście czuła się dość nieswojo, bo było jasne, że poprzedniego dnia pani Adamski widziała ją przed swoim domem, a mimo to jej nie otworzyła. A przecież ktoś musiał wpuścić Daniela Trebutha do środka.

Rozmyślając o tym wszystkim, Ina ostatecznie utwierdziła się w przekonaniu, że to całe zdarzenie musi się jakoś łączyć z tragiczną śmiercią Gerda Adamskiego. W tej sytuacji nie pozostało jej nic innego, jak pojechać komisariatu policji w Ribnitz-Damgarten, aczkolwiek uczyniła to bardzo niechętnie. Wiedziała, że będzie musiała wyjaśnić, dlaczego śledziła Daniela Trebutha. A to, że będzie musiała się tłumaczyć nadkomisarzowi Wittemu, nie ułatwiało sprawy.

– Ach, pani Bartholdy – powiedział policjant i zaprosił ją gestem do swego gabinetu.

W oczach Iny od pierwszego momentu wydawał się mieszanką Bogarta i Marlowa, a teraz potwierdził to wrażenie, gdyż zamiast podać gościowi dłoń na powitanie, wsunął ją do kieszeni spodni. – Co słychać u Bronny'ego? Wrócił do zdrowia?

– Tak... Chyba tak.

– Już się państwo nie spotykają?

– Nie... Rozstaliśmy się.

– Cóż – westchnął nadkomisarz. – Prawdę mówiąc, wasza znajomość trochę mnie dziwiła, zresztą nie tylko mnie. No wie pani... Bronny... gustuje raczej w nieco innych kobietach.

Chociaż jej relacja z Bobbym nie powinna była obchodzić Wittego, Ina odparła:

– Chciał pan powiedzieć: młodszych?

Policjant najwyraźniej zauważył, że rozmowa zmierza w niebezpieczną stronę, i w ostatniej chwili skierował ją na właściwy tor.

– Przypomniała sobie pani coś w związku z pożarem?

– Nie, właściwie nie. Chociaż... widziałam czarnego fiata. Wczoraj, w garażu państwa Adamskich w Wieck.

– Ma pani na myśli *tych* Adamskich?

Ina kiwnęła głową.

– Znam Marlene Adamski. – Ze względu na tajemnicę zawodową terapeutka nie wspomniała, w jakich okolicznościach się poznały ani jaki charakter ma ta znajomość. Wyjaśniając nadkomisarzowi, co ją sprowadziło do domu miejscowego piekarza, wpatrywała się w brwi swego rozmówcy, które co kilka sekund unosiły się i opadały.

Opowieść Iny kończyła się na sekundę przed tym, gdy na scenie pojawiali się Stefanie i Christopher. Psycholożka nie była pewna, czy to rzeczywiście Christophera widziała na skraju lasu, a gdyby Stefanie skłamała, aby chronić chłopaka, mogłoby się to skończyć oskarżeniem o składanie fałszywych zeznań.

Witte przez chwilę analizował to, co usłyszał.

– Czyli zobaczyła pani w garażu czarny samochód, który wcześniej panią śledził... albo i nie śledził, bo nie jest pani tego w stu procentach pewna... Droga pani Bartholdy, prędzej dostanę nakaz przeszukania w związku z niewłaściwym parkowaniem niż na podstawie pani zeznań.

Ina zignorowała sarkazm policjanta.

– Po tym, co wczoraj widziałam, doszłam do wniosku, że Gerd Adamski śledził mnie, ponieważ nie zgadzał się na to, by jego żona odbywała u mnie terapię.

– Ciekawe – odrzekł nadkomisarz. – Czy podejrzewała pani to już wcześniej? A jeśli tak, to dlaczego mi pani o tym nie wspomniała?

Palce Wittego śmigały z nieprawdopodobną prędkością po klawiaturze, jakby chciały się nacieszyć chwilą wolności, gdy wreszcie wypuścił je z klatki swoich wypchanych kieszeni.

– Ani Gerd Adamski, ani jego żona, ani Daniel Trebuth nie posiadają czarnego fiata. Więc do kogo on należy i kto nim wczoraj odjechał? Jeśli znajdziemy właściciela, być może znajdziemy też sprawcę, to jest podpalacza i zabójcę. Bardzo dziękuję, pani Bartholdy. Chociaż... możliwe, że gdyby przyjechała pani wcześniej, nie dopuściłaby pani

do popełnienia przestępstwa.

– Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem – odrzekła spokojnie Ina. – Jeśli Gerd Adamski faktycznie mnie śledził i chciał żywcem spalić, to kto go zabił? Dla mnie to nie brzmi logicznie.

– Może to pani go zamordowała, w obronie własnej – zażartował Witte. – Ale dość tych podchodów, pani Bartholdy. Proponuję, żebyśmy przestali się bawić w pannę Marple, co pani na to?

Kiedy Ina wychodziła z komisariatu, jej komórka piknęła, informując, że przeszedł esemes.

Dzisiaj o szóstej wieczorem będę na przystani w Wieck. Byłoby miło, gdybyś wpadła. Chciałbym Ci coś powiedzieć i pokazać. O ile mnie nie znieawdziłaś...

Bobby

Czternaście miesięcy wcześniej

Na zewnątrz tętniło życie, podczas gdy w domu wszystko obumierało. W ukochanym ogrodzie Marlene dojrzewały czereśnie, hortensje pyszniły się swymi kwiatami, w powietrzu bzycały pszczoły. Za dnia jaskółki rysowały na niebie kunsztowne linie, w nocy zaś cykady śpiewały swą miłosną pieśń. A wszystko to przy odwiecznym, kojącym akompaniamencie szumiących fal pobliskiego morza. W takich chwilach Marlene ogarniało czasem poczucie, że świat jest w rzeczywistości piękniejszym i lepszym miejscem, dziełem dobrego Boga. Niestety uczucie to rzadko trwało dłużej niż kilka minut.

W domu panował przyjemny chłód, lecz mimo to pani Adamski go unikała, gdyż czuła, że dzieje się w nim coś złego. Nie potrafiła jednak ubrać tego wrażenia w słowa i ze wszystkich sił starała się wymazać obrazy, które podsuwała jej wyobraźnia.

Zaledwie trzy dni wcześniej wszystko wskazywało na to, że już po sprawie – co prawda ich plan spalił na panewce, ale przynajmniej mieli to już za sobą. Jednak jej współnicy nie porzucili nadziei, że uda im się wycisnąć z Töllera prawdziwe hasło i doprowadzić to do szczęśliwego końca. Najbardziej zdeterminowani wydawali się Daniel i Giovanni, kickbokser i bibliotekarz. Co wieczór między piątą a szóstą schodzili do piwnicy, a kiedy pół godziny później wracali na górę, Włoch bez słowa wychodził z domu, Daniel zaś przez kilka minut starannie mył ręce.

Przez trzy dni Marlene nic nie mówiła. Chociaż Giovanni i Gerd polecieli jej, by karmiła Alwina Töllera wyłącznie chlebem i wodą, ilekroć zostawała w domu sama, zanosila więźniowi a to kawałek pieczeni z chrupiącą skórką, a to sznycel wiedeński, a to gęstą zupę z soczewicy. Do tego obowiązkowo sałatę, marchewkę albo rzodkiewki i jabłko.

Czwartego wieczora nie wytrzymała. Zaczekała, aż Giovanni odjedzie, i przydybała Daniela, gdy wychodził z łazienki dla gości. Jego dłonie pachniały mydłem lawendowym i miodową emulsją.

– Chodź, usiądziemy na tarasie – powiedziała, częstując bibliotekarza obowiązkową filiżanką kawy.

– Ale tylko na chwilę, bo nie mam za wiele czasu. Chcemy wyjść z Jette i dziećmi coś zjeść. A przy okazji, pokazywałem ci już zdjęcie mojej rodziny? – Daniel sięgnął do kieszonki na piersi i wyjął z niej trzy fotografie. – To jest Jette, to Christopher, a to Felicia.

Podając Marlene zdjęcia, każdemu się przez chwilę przyglądał, przy czym na ostatnie patrzył kilka sekund dłużej niż na pozostałe. Jego córeczka pokazywała wciągniętą na rączkę skarpetkę, na której własnoręcznie wyhaftowała oczy, usta i nos.

– Śliczna – szepnęła Marlene.

– Prawda? – Oczy Daniela aż się iskrzyły, gdy chował fotografie z powrotem do kieszonki. Przez cienką tkaninę koszuli prześwitywała paczka papierosów i zapalniczka.

– Ty palisz? Myślałam, że twoja żona nie toleruje papierosów.

– Bo nie toleruje – odpowiedział krótko bibliotekarz, a jego oczy znów zabłyśły, tym

razem jednak inaczej niż przedtem. – Marlene, mam mało czasu.

– Rozumiem. Więc... Chciałabym, żebyś mnie dobrze zrozumiał, Danielu, dlatego wolałam z tobą porozmawiać na osobności. Chodzi o pana Töllera.

– Nie nazywaj go tak. To nie jest żaden pan.

– Jak chcesz. Tak czy siak ten człowiek od dziesięciu dni siedzi w piwnicy. Nie możemy go dłużej tam trzymać. W końcu ktoś się zorientuje, że coś jest nie tak.

– Nie martw się, Bodo się wszystkim zajął. Wysłał Töllera na spontaniczny urlop i umieścił na jego stronie na Facebooku kilka zdjęć. Oczywiście korzystał z kafejek internetowych w Rostocku i Wismarze. Mamy jeszcze kilka dni.

– A jeśli nie? Nie mam ochoty spędzić reszty życia w więzieniu. Nikt z nas nie chce tam trafić. Dość już przez tego człowieka straciliśmy. Chcesz, żebyśmy stracili wszystko?

– Nie ma żadnego śladu, który naprowadziłby policję na nasz trop. Töller nic nie widział, tylko tę pustą piwnicę.

– Kłopot w tym, że ja już tego dłużej nie zniosę. Dlaczego nie chcecie mnie zrozumieć? Już–nie–mo–gę!

– Jeszcze tylko dwa, trzy dni, w końcu pęknie i poda nam właściwe hasło.

– Już mi to mówiliście trzy dni temu. Boże, my zamieniamy jego życie w piekło.

– Owszem, bo jeśli tego nie zrobimy, piekło pochłonie nas – przyznał otwarcie Daniel, wstając z krzesła. – A teraz wybacź, Jette na pewno już się niecierpliwi. A jeśli chodzi o twoje problemy, lepiej porozmawiaj z Gerdem, dobrze? Na razie, do jutra.

Marlene przez chwilę siedziała jeszcze na tarasie pogrążona w zgryzocie. Najwyraźniej ona jedna przeczuwała, że ta cała historia nie skończy się dobrze, bo już teraz fatalnie odbija się na nich samych... Tyle że z jednej strony nie umiała tego przeczucia sprecyzować, a z drugiej nie było ono aż tak silne, żeby o nim mówić pozostałym. Nie chciała być kimś, kto po raz drugi odbierze im marzenia.

Zadzwonił zegar piekarnika. Kolacja Töllera była gotowa. Tym razem Marlene przygotowała wegetariańskie lazanie. Trochę ekstrawagancko, ale przecież człowiek nie może się żywić wyłącznie mięsem... Nałożyła na tekturowy talerzyk podwójną porcję i zaniósła ją na dół wraz z wielką plastikową butelką wody.

Kiedy w prowizorycznej celi nadepnęła na niedopałek, mocno się wystraszyła – zupełnie jakby natrafiła na żmiję. A potem zobaczyła drugi, trzeci... i w końcu dostrzegła na ramieniu Töllera ślady oparzeń. Zrobiło jej się tak niedobrze, że prawie zwymiotowała na tacę.

– Pani jest tu jedynym człowiekiem, który nie ma serca z kamienia – załkał cicho więzień. – Czuję to. Pani jest kobietą, prawda? Proszę, musi mi pani pomóc.

Oczywiście nie odpowiedziała i natychmiast wyszła, lecz jego słowa towarzyszyły jej na każdym kroku – w ogrodzie, kuchni, pod prysznicem...

Gerd wrócił do domu o ósmej. Ostatnio spędzał dużo czasu w swojej ulubionej knajpie, a dużo czasu oznaczało dużo piwa. Wracał tak podpity, że ledwie był w stanie coś bełkotać, a rzucane przezeń oklepane frazesy działały Marlene na nerwy. „Będzie dobrze”, „Damy radę”, „Musi być dobrze”, „Za rok będziemy się z tego śmiać”. Marlene nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby kiedykolwiek mogła ze śmiechem wspominać tę historię. A to, że Gerd całkowicie oddał inicjatywę Giovanniemu i Danielowi, uznawała za przejaw

tchórzostwa. Zresztą co on takiego zrobił oprócz tego, że raczył ich tymi swoimi mądrościami? W oczach Marlene przypominał jednego z tych ustawionych wśród kwiatów ogrodowych krasnali – z wielkim brzuszyskiem, wąsiskami i rumianymi polikami. Karłów wyprostowanych dumnie, jakby mieli po dwa metry wzrostu.

– Jutro – powiedziała ni z tego, ni z owego, podając mężowi ziemniaki ze śledziem.

– Co?

– Macie dwadzieścia cztery godziny. Jeśli jutro do wieczora Töller nie zdradzi wam hasła, ja rezygnuję.

Gerdowi dosłownie opadła szczęka.

– Marlene, z czegoś takiego nie można się tak po prostu wycofać. To... nie możesz wysiąść z jadącego pociągu, rozumiesz?

– W takim razie muszę zaciągnąć hamulec.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. Jesteśmy tak blisko celu. Poza tym nie siedzimy w tym pociągu sami.

– Przestań mi chrzanić o jakimś pociągu!

Gerd, który nigdy nie widział żony w takim stanie, był wyraźnie zaskoczony jej wybuchem.

– Pozostali na to nie pójda – ostrzegł ją.

– I co zrobisz? Zamkną mnie razem z Töllerem?

– Nie mów bzdur.

– Ja już zdecydowałam. Dwadzieścia cztery godziny. I ani minuty dłużej.

Pani Adamski włączyła gramofon i nastawiła płytę Harry’ego Belafonte – tak głośno, by uniemożliwić mężowi dalszą dyskusję.

Po minucie piekarz ściszył muzykę.

– Cały dom aż dudni. Jeśli Töller to usłyszy... To by mogło naprowadzić policję na nasz trop.

– Niby jak? Aresztują wszystkich posiadaczy płyt Harry’ego Belafonte? – odparła zjadliwie Marlene i z powrotem pogłośniła gramofon.

Godzinę później zjawili się Romy i jej włoski przyjaciel. O tej porze zwykle nie przyjeżdżali, ale nie wyjaśnili powodów niespodziewanej wizyty. Po kilku sekundach Marlene domyśliła się, co za chwilę nastąpi i jak się okazało, przecucie jej nie myliło. Po zdawkowym powitaniu Romy spytała ją, czy mogłyby porozmawiać na osobności, w kuchni.

Ze wszystkich uczestników spisku Romy miała największe szanse przekonać Marlene, by wycofała swe ultimatum. Rozumiał to nawet Gerd. Dziewczyna potrafiła poruszyć w jego żonie strunę, której on od dawna już nie potrafił znaleźć. Romy potrzebowała Marlene. Gerd co prawda też jej potrzebował, ale w innym sensie – po pierwsze jako gospodyni dbającej o dom i te wszystkie sprawy, które mężczyźni przychodzą z trudem, a po drugie... Po drugie nie znosił samotności i potrzebował kogoś, do kogo można otworzyć usta. Romy zaś potrzebowała Marlene, bo doskonale wiedziała, że nikt oprócz

pani Adamski jej nie kocha i nie pragnie jej dobra, nawet Giovanni.

A ponieważ żadne uzależnienie nie jest jednostronne, nawet jeśli na pierwszy rzut oka tak by się mogło wydawać, Marlene również potrzebowała Romy – jako kogoś, kim mogła się opiekować. I to dawało tej słabej, skromnej dziewczynie ogromną władzę, z której zresztą nigdy nie korzystała. A teraz niespodziewanie postanowiła ją spożytkować.

– Posłuchaj, Marlene. Przecież to, czy ktoś siedzi w piwnicy trzy dni czy trzynaście, nie ma tak naprawdę większego znaczenia. Porwanie to porwanie. Chcesz odzyskać pieniądze, prawda? Chciałaś przecież zobaczyć Chiński Mur. Jak to zrobisz bez kasy?

Romy bez pytania wzięła sobie z lodówki butelkę piwa – kolejna niespodzianka.

– Piłaś już dzisiaj? – spytała pani Adamski, marszcząc czoło.

– Szampana. Ale nie masz zmrożonego, prawda?

– Nie widzę powodów do świętowania. Co prawda mija równe dziesięć dni, odkąd pan Töller siedzi w piwnicy, ale to chyba nie jest dobra okazja.

– Daj spokój, Marlene, przecież nie jest mu tam tak źle.

– Żartujesz, prawda? Przecież tam śmierdzi jak w małpiarni.

– To kup odświeżacz powietrza – odparła Romy i nienaturalnie zarżała.

– Ile wypiłaś tego szampana, co?

– Dwa czy trzy.

– Kieliszki czy butelki?

– Małe butelki.

– Piccolo?

– Nie, Czerwonego Kapturka.

Marlene głęboko westchnęła. Z Romy było coś nie tak. Nawet jak na nią była wyjątkowo ociężała umysłowo. Poza tym dziwnie krzywo opierała się o kuchenny stół i miała przekrwione oczy.

– Romy, proszę cię, bądź ze mną szczerą. Wzięłaś coś jeszcze?

– No... Giovanni dał mi taką pigułkę...

– Co takiego?

– Pigułkę szczęścia.

– Godzina szczęścia i całe życie nieszczęścia – westchnęła Marlene.

– Giovanni mówił, że działa cztery godziny – wybełkotała dziewczyna, trzymając się kurczowo stojącej na blacie butelki i próbując zachować równowagę.

Marlene z furią wypadła z kuchni.

– Co ty sobie właściwie myślisz, co? Wciążasz dziecko w takie bagno? – wrzasnęła na Giovanniego, który właśnie oglądał z Gerdem transmisję jakiegoś meczu. – Dał jej narkotyki – wyjaśniła, spoglądając na męża.

– *Santa Madonna!* To tylko odrobina ekstazy, od tego się nie umiera – rzucił w odpowiedzi Włoch.

– Wielkie dzięki. Jeśli miałam jeszcze jakieś wątpliwości, czy zakończyć tę całą aferę, to właśnie je rozwiązałeś. To koniec, mam tego wszystkiego dosyć!

– Dobra, dobra, w porządku. Od tej pory nie musisz się nim zajmować – odrzekł pojednawczo Giovanni. – Romy będzie mu nosić jedzenie i wynosić gówna.

– Och, jakiś ty łaskawy – parsknęła Marlene. – A może ty będziesz te gówna wynosił,

co?

– To zajęcie dla kobiet.

– Aha, w takim razie zadaniem mężczyzn jest zdobycie hasła! – wrzasnęła pani Adamski. – Więc gdzie ono jest, co? Co ci dało to twoje kung-fu? Nic, zero. Wciskać narkotyki niewinnym dzieciom, to potrafisz. I jeszcze przewracać oczami, chwalić się bicipsem i pokazywać sztuczki z łańcuszkiem. Ale jeśli trzeba naprawdę coś zrobić, to...

– *Va a cagare!*³ – ryknął Włoch i rzucił poduszkami z sofy w stronę komody, strącając z niej figurki z rżniętego kryształu. Szklane zwierzątka roztrzaskały się na podłodze.

– Spokojnie – wtrącił się lekko wystraszony Gerd.

Marlene również przez chwilę się obawiała, że Giovanni może się na nią rzucić, ten jednak ruszył w kierunku regału i gwałtownie zaczął otwierać kolejne drzwiczki.

– Gdzie to masz?

– Hej, uspokój się.

– Ja wam pokażę. Wam i temu pieprzonemu palantowi w piwnicy.

– Nie musisz nam niczego udowadniać. Marlene tylko tak mówiła. Prawda, Marlene?

– Czego on szuka? – spytała pani Adamski.

– Mówiłeś, że tutaj jest! – wrzasnął Włoch do piekarza.

– Nie rób głupstw, Giovanni.

Gerd nieśmiało próbował odciągnąć zdenerwowanego mężczyznę od szafy, lecz ten gwałtownie go odepchnął.

– Nie dotykaj mnie! O, tutaj jesteś! – Sięgnął na dolną półkę i wyciągnął stare parabellum Gerda. Amunicja leżała obok broni.

– O mój Boże! – krzyknęła pani Adamski, gdy do niej dotarło, co tu się dzieje. – Giovanni, proszę cię...

– Zostaw mnie!

Włoch minął Gerda i jego żonę i wychodząc z salonu, omal nie stratował Romy, która z bezmyślnym uśmiechem na twarzy stała w progu.

– Co się dzieje? Co to takiego?

– *Va a cagare.*

Marlene z trudem nadążała za Giovannim, który zbiegając do piwnicy, zeskakiwał po trzy schodki naraz. Mimo to próbowała go uspokoić. Kiedy dotarła na dół, Włoch zdążył już włożyć na głowę kaptur i zdecydowanym krokiem wszedł do pomieszczenia, w którym przetrzymywali więźnia.

Töller był kompletnie zaskoczony niespodziewanym atakiem. Prawdopodobnie spał, dlatego nawet nie zdążył usiąść.

Giovanni klęknął obok niego, wcisnął mu lufę pistoletu w usta i nie używając modulatora głosu, wrzasnął tak głośno, że Marlene aż rozbolały uszy:

– Podasz mi to pieprzone hasło. To twoja ostatnia szansa. Liczę do trzech.

Marlene wstrzymała oddech.

– Raz... Dwa... Trzy...

Wrzesień

Ina miała wrażenie, jakby się zanurzyła w obraz Caspara Davida Friedricha. Przystań w Wieck ciągnęła się na tle rozkołysanego morza trzciny i pomarszczonej laguny, a wszystko spowite było w świetle zniżającego się wrześniowego słońca. Po wodzie sunęło jeszcze kilka żaglówek, lecz życie na przystani powoli już zamierało. Zacumowane łódki kołysały się leniwie na boki i tylko ich łopoczące na wietrze proporczyki wprowadzały pewne ożywienie. Na pomostach było już pusto, więc Ina powinna była dość szybko znaleźć Bobby'ego, lecz dostrzegła go dopiero po dłuższej chwili. Siedział z wyciągniętymi nogami na rozkładanym krzeselku, głowę miał odchyloną do tyłu, a jego twarz zakrywał słomkowy kapelusz.

Buty Iny stukały na deskach tak głośno, że zauważył ją już z daleka i zamachał na powitanie. W przeciwieństwie do niego Ina była daleka od bez troski, lecz mimo to nawet przez chwilę nie miała wątpliwości, czy dobrze zrobiła, przyjmując jego zaproszenie. Woląла wiedzieć, na czym stoi, zwłaszcza po niepewności, która dręczyła ją przez ostatnie dni.

Kiedy była kilka kroków od Bobby'ego, ten wyciągnął rękę i wskazał coś ponad jej głowę.

– Dzień dobry. Widziałeś chmury na północy? Jutro nas czeka okropna pogoda i to będzie koniec lata. Trzeba korzystać z ostatniego pięknego dnia.

Mówiąc to, Bobby wskazał swoje szorty i białe stopy. Ina nie była pewna, czy na jego miejscu zaczęłaby rozmowę od wzmianki na temat pogody.

– Widzisz tę żagłówek na końcu pomostu? Od dzisiaj należy do mnie.

Łódź była ciemnobrązowa, miała mniej więcej dziesięć metrów długości i trzy metry szerokości, sterówkę i dwa maszty – duży i mały.

– Dąb – wyjaśnił Bobby. – Rok budowy mniej więcej tysiąc dziewięćsetny, ale świetnie zachowana, ożaglowanie kecza, do tego diesel.

– Tak, bardzo ładna – odpowiedziała zdawkowo Ina, wciąż czekając na to, by Bobby przeszedł do rzeczy. W rzeczywistości łódka zrobiła na niej większe wrażenie, niż była to skłonna okazać. Jacht bardzo jej się podobał i wyobraziła sobie, jak pływa nim po lagunie.

– Dokładnie dwadzieścia dziewięć tysięcy dziewięćset euro. Właściciel żądał kilka tysięcy więcej, ale udało mi się trochę wytargować. Koniec września to nie jest najlepszy czas na sprzedaż łodzi. Równie dobrze możesz w listopadzie sprzedawać parasole przeciwsłoneczne.

– Bobby, chciałabym...

– Siedzę tu pół dnia i patrzę. – Bobby ani myślał dopuścić Inę do głosu. – Rozumiesz? Po prostu siedzę, patrzę i nie mogę od niej oderwać wzroku. Aż prawie się boję zachodu

słońca, bo stracę ją z oczu i będę musiał sobie jakoś inaczej uświadomić, że ją naprawdę kupiłem.

– Niech zgadnę: zadzwoniłeś do mnie, żebym przywiozła latarkę i ci poświeciła.

– Ściągnij tę płachtę.

– Słucham? Jaką znów płachtę?

– Tam, na dziobie.

Terapeutka westchnęła.

– Bobby, co to wszystko ma znaczyć?

– Możesz to dla mnie zrobić?

Ina nie była w nastroju do takiego przekomarzania. Pytania, które chciała zadać, dosłownie wypalały dziury w jej klatce piersiowej, dlatego w końcu dla świętego spokoju ściągnęła okrywające dziób płótno.

Pod spodem na brązowej burcie widniał wykonany wielkimi kształtnymi literami napis: *Ina*.

Z niedowierzaniem wpatrywała się w wymalowane na deskach litery. Nie, to nie było złudzenie! Mimo to przez kilka sekund nie docierało do niej, że to jej imię. A gdy to do niej wreszcie dotarło, miała nieomal ochotę spytać, jak się tam znalazło.

Bobby stanął tuż obok niej i nie dotykając jej, rzekł:

– Włożyłem w ten napis całe serce. A teraz chciałbym ci powiedzieć tylko trzy słowa: Przepraszam. I: Kocham cię.

Ina nie była w stanie wykrztusić słowa. Patrzyła tylko na Bobby'ego, potem na napis, znów na Bobby'ego, i znowu na swoje imię. Powinna była zapytać, dlaczego tak nagle zmienił zdanie, co się właściwie stało. Czy naprawdę myśli, że wystarczy, gdy ją przywoła z powrotem z pustyni, na którą sam ją wypędził, i niespodziewanie uczyni ją matką chrzestną swej łodzi, a ona mu wybaczy i o wszystkim zapomni. Powinna była robić mu wyrzuty, kręcić nosem.

Lecz nie wypowiedziała ani słowa, tylko bez namysłu wskoczyła na pokład. A dokładniej: uczyniły to jej nogi, bo stało się to bez udziału głowy. Czują się, jakby ktoś zdjął z niej ołowianą kamizelkę – miała ochotę skakać z radości, wzbić się w niebo, wypłynąć w morze, poczuć we włosach wiatr.

Z uśmiechem muskała dłonią lakierowane drewno. Chciałaby wszystkiego dotknąć, uderzyć w dzwon, przytulić policzek do żagla – i wszystko to na oczach Bobby'ego. Nagle znów stała się piękną kobietą, poczuła się kochana. Ktoś nadał łodzi jej imię!

– Wypłyniemy, proszę – powiedziała tonem dziecka, które nie może się nacieszyć wspaniałym prezentem.

– Teraz?

– Oczywiście. Tylko na chwilę.

Bobby zsunął kapelusz z czoła i ściągnął sceptycznie brwi.

– Na chwilę? To nie jest rower wodny, trzeba tu wszystko przygotować.

– Daj spokój. Słońce zajdzie dopiero za kilka godzin.

– Hmm... – Na twarzy Bobby'ego pojawiło się zakłopotanie. – Prawdę mówiąc... jest pewien problem... Nie mogę tą żaglówką pływać, przynajmniej na razie.

– Słucham?

– No dobra, powiem wprost: nie mam patentu. Ale...

Ina wybuchła gwałtownym śmiechem, który jeszcze się wzmógł, gdy Bobby dokończył:

– Ale w ciągu miesiąca go zdobędę... Najpóźniej do marca. Naprawdę, ja... zawsze wszystko robię nie po kolei. Najpierw kupuję łódź, a dopiero potem... Tak samo niedawno wpuściłem do swojego życia pewną kobietę, a dopiero później zacząłem się zastanawiać, czy jestem... na to gotowy.

Ina przestała się śmiać i uszczęśliwiona spojrzała w oczy Bobby'ego.

– I to był powód? Lęk przed związkiem? Tylko tyle?

– Wiem, to głupie, ale taki po prostu jestem.

– I Stefanie nie miała z tym nic wspólnego?

– Nic a nic. Naprawdę ją polubiłem.

Ina się uśmiechnęła.

– Polubiłeś? To znaczy, że chyba naprawdę jesteś trochę szurnięty.

Bobby skinął głową.

– Mieszuge.

– Z kuku na muniu.

– Po prostu wariat.

Wybuchli śmiechem, po czym Bobby wskoczył na pokład i wpadł w otwarte ramiona swej ukochanej.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że Marlene Adamski jest typową wdową, która właśnie straciła męża: była ubrana na czarno, na jej twarzy malował się wielki smutek i każdego, kto przychodził złożyć jej kondolencje, częstowała kawą i ciastem. Ina, która zjawiała się tu trochę prywatnie, a trochę jako terapeutka, i również została zaproszona na poczęstunek, w ciągu pół godziny cztery razy słyszała to samo pytanie zadane przez czwórkę gości, mianowicie: Co teraz będzie z piekarnią? Kiedy Marlene odpowiadała, że ją zamknie, na ich obliczach pojawiał się żal jeszcze większy niż na obliczu wdowy.

– Mam prośbę: mogłaby mnie pani stąd zabrać? – poprosiła Marlene, gdy zostały z Iną na chwilę same. – Dziękuję, że znalazła pani dla mnie czas, ale proszę doliczyć go do rachunku.

– Tym się proszę nie martwić.

Ina zawiozła panią Adamski na klif w Ahrenshoop, w jedno z jej ulubionych miejsc na półwyspie. Niskie chmury sunęły nad bezkresnym morzem, a młode jaskółki wprawiały się w sztuce latania. Wiatr targał ostatnimi kwiatami dzikiej róży i rozwiewał długie włosy Iny, podczas gdy utrwalona sprayem fryzura Marlene bez trudu opierała się bryzie.

Stojąc twarzą w kierunku morza, pani Adamski zaczęła się zwierzać.

– Kiedy wychodziłam za Gerda, miałam przed oczami romantyczny obraz naszej przyszłości: dwa łabędzie płynące obok siebie po wodzie. Potwornie kiczowate, wiem, jak z piosenki Roya Blacka, ale tak było. Cieszyłam się na myśl o tym, że kiedyś będziemy sobie tak bliscy. No wie pani, dwoje emerytów na ławeczce w parku.

Przez chwilę milczały, po trosze czekając, aż minie je para spacerowiczów, po trosze zaś dlatego, że Marlene trudno było wypowiedzieć następne zdanie.

– Niestety nigdy nam się to nie udało. Co prawda mieliśmy dom i piekarnię, kilkoro wspólnych przyjaciół, wiedliśmy sielskie życie... Ale nasza bliskość nie była taka jak u łabędzi, raczej pasowaliśmy do siebie jak dwa koła zębate. Pasowaliśmy do siebie idealnie, ale nie było między nami ciepła. Nie wiem, jak to opisać. Gerd miał swoje wady, jak każdy. Od czasu do czasu wypił w knajpie parę kieliszków za dużo, miał o sobie wysokie mniemanie i w głębi ducha uważał, że w naszym małżeństwie to on jest szefem, ale tak naprawdę nigdy mi to nie przeszkadzało. Nie był złym człowiekiem. Był sumiennym piekarzem, wiernym mężem i godnym zaufania mężczyzną. Ale jeśli mam być szczerą, przez większość czasu byłam z nim tylko dlatego, że nie chciałam być sama.

– Wielu z nas łatwiej jest trwać w stanie, który nie jest do końca satysfakcjonujący, niż szukać czegoś nowego, wyprawić się w nieznanne. Rutyna, w której pani żyła, dawała pani oparcie i poczucie bezpieczeństwa.

– Aż do tamtego dnia, w zeszłym roku. Stałam w salonie i patrzyłam, jak Gerd drzemie. Jego wielki brzuch unosił się, gdy nabierał powietrza, a usta drżały, gdy je wydychał. Gazeta centymetr po centymetrze zsuwała mu się z piersi. I nagle poczułam się tak, jakbym stała na łodzi, która pomału się oddala od brzegu. Zaczęłam jakby powoli dryfować, po cichu płynęłam z prądem, podczas gdy Gerd został na lądzie. Tego dnia o mały włos go nie opuściłam. Ale jak wspomniałam, byłam na to zbyt tchórzliwa.

– Jest pani dla siebie za bardzo surowa. Kiedy po tylu latach opuszczamy męża czy partnera, szybko zaczynamy myśleć, że przekreślamy cały ten wspólny czas. Tak jakby to nie było nic warte, puste. Kto byłby w stanie ot tak przekreślić czterdzieści lat swego życia?

– Tak, ma pani rację – odrzekła z namysłem Marlene i znów zamilkła na kilka minut. Ina cierpliwie czekała. Starła się słuchać i nie zadawać pytań wykraczających poza wybrany przez panią Adamski temat – wszystko to miało budować jej zaufanie. Właśnie dlatego podczas ostatnich sesji nie poruszała właściwego powodu, dla którego Marlene rozpoczęła terapię – to jest podjętej przez nią próby odebrania sobie życia. W takich sytuacjach zwykle czekała, aż pacjent sam dotrze do jądra problemu.

Teraz jednak psycholożka odniosła wrażenie, że ta chwila właśnie nadeszła.

– Być może nie potrafiła sobie pani wyobrazić dalszego życia, ani bez męża, ani z nim. Taki dylemat ludzie często noszą w sobie całymi latami. W końcu przestają realizować własne potrzeby i ogarnia ich duchowy i emocjonalny bezwład, który może się przejawiać na dwa sposoby: albo apatycznie siedzą w swoich czterech ścianach, albo angażują się w tysiące akcji i powoli rozpuszczają się w otaczającym ich świecie jak tabletki w szklance wody.

– Ja chyba jestem taką tabletką – powiedziała Marlene z uśmiechem, lecz Ina sceptycznie przyjęła tę odpowiedź. Wciąż miała mnóstwo pytań: Czyżby społeczne zaangażowanie pani Adamski było w gruncie rzeczy jedynie formą kompensacji bezdzietności i braku szczęścia, którego nie znajdowała w małżeństwie? Czy te wszystkie dobre uczynki i cała ta aktywność miały zapełnić jej puste serce? Co było ową szpilką, która przekłuła bańkę, w której żyła Marlene, sprawiając, że jedynym wyjściem wydało jej

się samobójstwo? Terapeutka uzmysłowiła sobie, że być może wpłynęły na to jeszcze inne czynniki, których do tej pory nie odkryła. Dlatego postanowiła lekko przycisnąć pacjentkę.

– Jest ktoś, o kim pani do tej pory nie wspomniała: Romy Haase.

Spokojna, refleksyjna i melancholijna Marlene w jednej chwili zniknęła. Pacjentka impulsywnie odwróciła się w stronę Iny, jedwabny szal owinięty wokół szyi Marlene gwałtownie załopotał.

– Romy nie ma z tym nic wspólnego.

– Powie mi pani, co się stało?

– Nie. Nie chcę o tym rozmawiać.

– O czym nie chce pani rozmawiać?

– Już mówiłam: Romy nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

– Z tym wszystkim?

Marlene nie odpowiedziała.

– Traktowała ją pani jak córkę, prawda? A ona po prostu odeszła. Tak było? Z młodym Włochem. Niech pani tak na mnie nie patrzy. Sama poznała mnie pani z pastorem i sędzę, że chciała pani, bym z nim porozmawiała.

– Popeliłam błąd.

– Ale to, co powiedziałam o Romy, to prawda, tak czy nie?

– Niech mnie pani odwiezie do domu.

– Jest pani na mnie zła?

Pani Adamski potrząsnęła głową.

– Nie jestem zła. I chcę, byśmy się nadal spotykały, tylko... Na dziś mam już dosyć.

Marlene kolejny raz nagle przerwała obiecującą rozmowę i kolejny raz pozostawiła Inę z niedobrym przeczuciem, że jej pacjentka ukrywa coś istotnego. Jednak w tej chwili najważniejszy był stan emocjonalny pani Adamski, dlatego podczas krótkiej podróży do Wieck terapeutka próbowała ją uspokoić. I dlatego wróciła do pierwotnego tematu ich rozmowy.

– Jak sobie pani radzi z tym, że pani mąż został zabity? Czy to dla pani dodatkowe obciążenie?

Marlene obserwowała przez boczną szybę krajobraz, który powoli rozmywał się w deszczu.

– Właściwie... nie. Liczy się to, że nie żyje – odparła, a gdy spostrzegła, że jej słowa można zrozumieć opacznie, przeraziła się i zaraz dodała: – Ja go nie zabiłam, jeśli o to pani pyta. Byłam w domu i słuchałam płyty Harry'ego Belafonte, dość głośno. Jego muzyka sprawia, że zaczynam marzyć. W sumie to upiorne: marzyłam o rajskim atolu z palmami i bielusińskim piaskiem, gdy ledwie parę metrów dalej zabójca uderzył mojego męża.

Już drugi raz w ciągu kilku dni zdarzyło się, że w rozmowie z Iną ktoś poczuł się w obowiązku zapewnić o swej niewinności. To spostrzeżenie zaś nasunęło pytanie, które terapeutka postanowiła niezwłocznie zadać:

– Skąd właściwie zna pani Daniela Trebutha?

Marlene przez kilka sekund milczała, po czym w końcu odrzekła:

– Mieliśmy... Uczestniczyliśmy w pewnym procesie. Parę lat temu. A pani?

Psycholożka była trochę zirytowana tą grą w kotka i myszkę. Marlene mogła ukrywać

przed nią swoje tajemnice, ale dlaczego zachowywała się tak, jakby Ina kilka dni wcześniej nie stanęła pod jej domem i nie zadzwoniła do drzwi zaraz po tym, gdy wszedł przez nie Daniel Trebuth? Przecież to śmieszne.

Ale proszę bardzo, jeśli chciała się tak bawić, terapeutka była gotowa przyjąć wyzwanie...

– Przecież pani wie – odparła. – A przy okazji: w pani garażu stoi śliczne coupé. Zawsze marzyłam o takim wozie. Jeśli będzie go pani chciała kiedyś sprzedać...

Minutę później Ina wysadziła Marlene niemal dokładnie w tym miejscu, gdzie zginął Gerd Adamski. Policyjne taśmy wciąż jeszcze łopotały na wietrze.

Czternaście miesięcy wcześniej

Bodo zaparkował tuż przed drzwiami Adamskich i w świetnym humorze wyskoczył z wozu. W jednej ręce miał butelkę szampana, a w drugiej białą różę. Specjalnie kupił ją dla Marlene, ponieważ chciał znów zobaczyć na jej twarzy uśmiech, choćby przez chwilę. Na widok smutnych i nieszczęśliwych ludzi ścisnęło mu się serce, dlatego postanowił zrobić wszystko, by jej oblicze znów się rozpuściło. Z doświadczenia wiedział, że w przypadku starszych pań najlepiej sprawdza się jakiś drobiazg, który świadczy o tym, że o nich pamiętamy, na przykład kwiaty. Z mężczyznami było dużo trudniej. Oni często niewłaściwie odczytywali otwartość i szczerą, w związku z czym już raz kiedyś rozeszła się plotka, że Bodo jest „trochę inny”. Co prawda niespecjalnie mu to przeszkadzało, ale od tej pory zachowywał większy dystans w kontaktach z osobami tej samej płci. Po prostu stawiał im piwo, co w sumie przynosiło ten sam efekt: lubili go. A Bodo lubił być lubiany.

Nacisnął dzwonek, odgrywając kilka taktów z „Eine kleine Nachtmusik” Mozarta. Ding – ding, ding – ding, ding, ding, ding, ding.

– Co się wygłupiasz? – warknął Gerd. – Udało się?

– Dzień dobry, Gerdzie. Mnie też miło cię widzieć – odparł Bodo. – Mogę wejść?

– Po to chyba przyjechałeś, nie? Po co ci ta róża?

– Nie obawiaj się, to nie dla ciebie. Mam dwie dobre wieści. Którą chcesz usłyszeć najpierw?

– He?

Bodo westchnął. Z Gerdem nie dało się pożartować, w każdym razie nie w wyrafinowany sposób. Z tego co Bodo zdążył zaobserwować podczas odpustów strażackich, piekarz miał raczej rubaszne poczucie humoru – lubił pieprzne kawały i dowcipy o Żydach.

Daniel i Romy wyszli z kuchni. Na widok Boda bibliotekarz natychmiast krzyknął:

– Masz pieniądze?

– Naprawdę, co to za obyczaje... No dobra. Oto pierwsza dobra wiadomość: hasło, które wycisnęliście z Töllera, było prawidłowe. Dzięki niemu uzyskałem dostęp do konta na wyspie i złożyłem zlecenie przelewu. Nie było żadnego hasła alarmowego.

– Czyli to całe przedstawienie z policją i tak dalej... było bez sensu? A trzęsłeś się nad tym jak nad jakimś jajkiem.

– Akurat ty jako piekarz powinieneś wiedzieć, że z jajkami należy się obchodzić ostrożnie.

– Nie potrzebuję twoich rad.

– Och, to znaczy, że wreszcie mamy coś wspólnego. Podpisuję się pod tym zdaniem obiema rękami.

– Możemy wrócić do tematu? – wtrącił się Daniel poirytowanym tonem. – Masz

pieniądze?

– Będą pojutrze. Muszę je wypłacić z bankomatu, a jest dzienny limit.

– Ile jest na tym koncie? – spytał Gerd.

– Sto tysięcy.

– Sto tysięcy... – Gerd przełknął ślinę, a jego twarz zrobiła się purpurowa. – Sto tysięcy euro? To za mało. Ja sam potrzebuję dwieście.

– Tylko spokojnie. Po pierwsze, mówimy o funtach, a funt jest droższy od euro. Po drugie, i to jest druga dobra wiadomość, zanim podałem fałszywe hasło, zrobiłem dla klientów Töllera kilka inwestycji.

– Nie chrzań, tylko mów, o co chodzi – przerwał mu Gerd.

– Do dzisiaj te papiery zarobiły jakieś dwadzieścia sześć tysięcy euro. Sprzedałem je, a nadwyżkę przelałem na prywatne konto Töllera i wypłaciłem z bankomatu. Dla każdego z was mam kopertę z pieniędzmi. Najwyraźniej mam smykałkę do finansów. Aż sam się zdziwiłem, ale wygląda na to, że gdybym miał trochę więcej czasu, zarobiłbym całą sumę.

– Cmoknij mnie w... sam wiesz, w co – prychnął Gerd z wyraźnym zadowoleniem. – Cieszę się, że przemyślałeś sprawę i zmieniłeś zdanie co do pieniędzy klientów Töllera. Te wszystkie ceregiele z uczciwością...

– Mylisz się. Te, jak to nazwałeś, ceregiele dotyczyły pieniędzy włożonych przez inwestorów. I wcale ich nie ruszyłem. Zabrałem to, co sam zarobiłem. Myślę, że te pieniądze możemy z czystym sumieniem zainkasować, bo gdyby nie ja, wcale by ich nie było.

– Dwadzieścia sześć tysięcy – mruknął Daniel i obliczył na palcach swoją działkę. – Czyli dla mnie będzie trochę ponad siedem tysięcy.

– I dwa razy tyle dla mnie – powiedział Gerd, zacierając ręce. – Odłóż wreszcie tę cholerną różę i dawaj kasę.

Bodo wziął łodygę w zęby i wyciągnął z plecaka koperty.

– Zanim wam rozdaję pieniądze, muszę niestety powiedzieć, że popełniliście błąd w rachunkach – wymamrotał.

– Co? Jak to? – zdziwił się Gerd.

Bodo wyjął różę z ust i odrzekł:

– Moim zdaniem to niesprawiedliwe, żeby każdy dostał kwotę proporcjonalną do poniesionej straty. Wszyscy podjęliśmy to samo ryzyko i jeśli nas zgarną, dostaniemy taki sam wyrok.

– Już o tym rozmawialiśmy – przypomniał Gerd.

– Ale nie osiągnęliśmy porozumienia. Nawet nie dałeś mi dojść do słowa. W każdej z tych kopert jest około sześciu tysięcy pięciuset euro. Dla Romy, Daniela, dla mnie oraz dla ciebie i dla Marlene. Proszę bardzo.

– Nie ma mowy! – wrzasnął piekarz. – Chcę dostać swoje czternaście tysięcy. Nie możesz bez przerwy zmieniać reguł.

– Nie przypominam sobie, żebym w tej kwestii przystał na jakieś reguły – odrzekł spokojnie Bodo.

– Bo zakładaliśmy, że dostaniemy wszystkie pieniądze za jednym zamachem. I już dawno byśmy je mieli, gdyby...

– ...nie te ceregiele, wiem – dokończył Bodo, wciąż emanując anielskim spokojem.

Spór toczył się wyłącznie między nim a Gerdem. Daniel i Romy nie protestowali. Przeciwnie – Daniel rozerwał swoją kopertę jak ćpun torebkę z dragami i licząc zawartość, bez przerwy mamrotał:

– Dzięki Bogu, dzięki Bogu...

Romy również się ucieszyła.

– Zajebicie. W takim razie ja już mam prawie wszystko, nie?

– Co to znaczy „mam wszystko”? – wrzasnął na nią Gerd. – Musimy razem dokończyć to, co zaczęliśmy. Dopóki wszyscy nie zostaną spłaceni.

– Och, jaka cudowna miłość i zgoda zapanowała w naszej rodzinie – skomentował ironicznie Bodo. – Myślę, że to odpowiedni moment, by otworzyć szampana.

– Cholera – rzucił Daniel, zerkając na zegarek. – Bawcie się beze mnie. Będę się musiał tłumaczyć Jette, gdzie tyle byłem, a czeka mnie jeszcze droga przez las do domu.

– Mogę cię podrzucić do Prerow – zaoferowała się Romy.

Chociaż nikt z obecnych nie miał zaufania do umiejętności Romy, która zdała egzamin na prawo jazdy dopiero za trzecim razem (tak samo zresztą jak egzamin zawodowy), Daniel chcąc nie chcąc przyjął jej ofertę i oboje w szampańskich nastrojach wyszli z domu.

– No, to będziemy musieli wypić butelkę we dwóch – powiedział Bodo, chociaż uważał, że częstowanie Gerda szampanem jest zwykłym marnotrawstwem. – À propos, gdzie jest Marlene?

– Poszła się położyć. Nie czuje się dobrze. Nerwy.

– Szkoda. Tak się cieszyłem, że przekażę jej dobre wieści. Może powinniśmy poczęstować kieliszeczką Töllera, co o tym myślisz?

– Co takiego? – wykrzyknął z oburzeniem Gerd. – Odbiło ci?

– Spokojnie, żartowałem. A tak w ogóle, co z nim? – spytał Bodo, gdyż od czasu porwania, czyli od blisko dwóch tygodni, nie zaglądał do piwnicy. Gdyby nie to, że chodziło o pieniądze Nelli, można by wręcz powiedzieć, że traktował tę całą sprawę w kategoriach sportowych. Polubił ten dreszczyk emocji, kiedy w imieniu porwanego doradcy inwestycyjnego odpowiadał na maile i zonglował akcjami. To, że musieli uwięzić Töllera, było tylko czymś w rodzaju drobnego faulu, którego Bodo wolałby uniknąć, ale niestety nie istniał inny sposób na to, by wyjść z tej potyczki zwycięsko. Na szczęście ta gra miała wkrótce dobiec końca.

– A co ma być? – odparł Gerd zniecierpliwionym tonem i zaczął liczyć pięćseteurowe banknoty. – Bez zmian.

Następnego ranka Daniel zabrał kopertę z pieniędzmi i pojechał do banku, by spłacić zaległe raty. W ostatnich tygodniach bank stał się w jego oczach wrogiem, żarłocznym monstrum, które chce go pożreć. Teraz jednak, kiedy młody bankowiec z równiutkim przedziałkiem i w taliowanym garniturze zaczął liczyć przyniesioną przez bibliotekarza gotówkę, niedawny potwór na powrót stał się życzliwym przyjacielem, bez którego nie mogliby z Jette spełnić marzenia o własnym domu.

– Znakomicie. Za chwilę zaksięgujemy całą kwotę.

Daniel uśmiechnął się z ulgą.

– Dziękuję. Rozumiem, że to ułatwia sprawę.

Krótkie, ledwie słyszalne chrząknięcie jego rozmówcy należało najwyraźniej rozumieć jako dyplomatyczne „nie”.

– Panie Trebuth, niestety muszę panu przypomnieć o pozostałych zaległościach.

– Słucham?

Bankowiec pochylił się w stronę swego klienta i dyskretnie ścisząc głos, powiedział:

– Ma pan jeszcze do spłacenia pięćdziesiąt dwa tysiące euro.

– Jakie znowu pięćdziesiąt dwa tysiące, do jasnej cholery?

Stojąca na stoliku drukarka aż podskoczyła, w związku z czym kierownik filii grzecznie poprosił Daniela, by zachował spokój.

Do tej pory Daniel nigdy nie przeklinał, lecz w ostatnim czasie w jego zachowaniu dało się zauważyć pewien rys nerwowości i zniecierpliwienia. Tak jakby na zewnątrz żył w beztroskim świecie, w którym miał żonę, dzieci, dom i książki, w środku zaś dosłownie kipiał. Te dwa światy w przedziwny sposób się przenikały. U Adamskich czule opowiadał o swojej rodzinie, pokazywał zdjęcia, gładząc twarze swych bliskich, podczas gdy w bibliotece zaczął surowo egzekwować kary za spóźniony zwrot książek, również wobec biedniejszych czytelników, którym do tej pory często okazywał wyrozumiałość.

Chociaż fala chłodnego powietrza z wentylatora trafiała bibliotekarza prosto w twarz, na jego czole pojawiły się krople potu. Przez minutę, potwornie długą minutę, kurczowo trzymał się myśli, że zaszło jakieś nieporozumienie, a zarazem był świadom, że bankowcy bardzo rzadko się mylą, zwłaszcza w przypadku tak znacznych kwot.

Czyżby bank zerwał umowę kredytową? Raczej nie, bo mieli jeszcze z Jette do spłacenia dużo więcej. Więc może chodziło o karne odsetki? Ale żeby narosło ich aż tyle w tak krótkim czasie?

– Proszę, oto kopie dokumentów. Pana żona w ostatnich latach zaciągnęła kilka kredytów, jak sądzę w związku ze sklepem.

– Słucham? Dali państwo kredyt mojej żonie bez mojej wiedzy?

– Ponieważ było odpowiednie zabezpieczenie, a państwo są sprawdzonymi klientami, zaakceptowaliśmy wniosek. Tymczasem jednak...

– Zabezpieczenie? Ma pan ma myśli...

– Dom.

– Przecież właśnie wpłaciłem pieniądze.

– Spłacił pan zaległe raty, co jest bardzo chwalebne, jednak wobec całej kwoty zaległości to tylko kropla w morzu. Mają państwo do spłacenia pięćdziesiąt dwa tysiące euro. Wielokrotnie informowaliśmy o tym pańską żonę. Do tego dochodzą zaległe raty za ostatnie miesiące, co podkopało nasze zaufanie co do państwa wypłacalności. Dlatego bardzo mi przykro, ale oczekujemy, że do końca miesiąca wpłacą państwo sześćdziesiąt tysięcy euro.

Daniel czuł się, jakby powoli zapadał się w trzęsawisko. Niestety nic nie mógł na to poradzić. Cokolwiek by zrobił, bagno wciągało go coraz głębiej i głębiej. Nie miał odwagi otwarcie porozmawiać z Jette o niespłaconych kredytach. Domyślał się, że wzięła je w tajemnicy przed nim, by uniknąć dyskusji o swoim ukochanym, lecz kompletnie nieopłacalnym sklepiku. Z drugiej strony wiedział, że bank wkrótce – być może w ciągu najbliższych dni – zagrozi zajęciem domu, a wtedy Jette będzie musiała wyznać swój sekret i uznać swą klęskę. Oczywiście zakładała, że Daniel sięgnie po swoje dziewięćdziesiąt tysięcy i załatwi tę sprawę. Kiedy Jette się dowie, że pieniądze zniknęły, będzie chciała wiedzieć, jak do tego doszło i kto za to odpowiada, a gdy Töller odzyska wolność i media zaczną trąbić o porwaniu, z łatwością połączy fakty.

Wtajemniczenie jej było jednak zbyt ryzykowne. Jette to nie Giovanni, jej nie dałoby się ot tak, ni z tego, ni z owego wciągnąć w przestępstwo.

Jedno było dla Daniela absolutnie jasne: musiał wydusić z Töllera więcej pieniędzy, niż to wynikało z wyliczeń. Tylko w ten sposób mógł uratować dom i swoją rodzinę. Tylko jak to zrobić? Bodo był piekielnie uczciwy, Gerd pilnował wszystkiego jak pies ogrodnika, a teraz jeszcze wmieszał się w to wszystko Giovanni.

Mimo to Daniel wiedział, że musi coś zrobić. Myślał o swoich dzieciach – i tylko o nich. Inaczej nie umiał. To było niezależne od jego woli – tak jak bicie serca, któremu nie możemy rozkazać, by się zatrzymało.

Nie chciał wchodzić do tej piwnicy. Z początku jeszcze się ze sobą zmagał, nienawidził siebie, nienawidził Töllera, nienawidził pieniędzy. Ale to się zmieniło. Zaszedł tak daleko, że po prostu musiał to doprowadzić do końca. Z prawnego punktu widzenia wina istnieje tylko wtedy, gdy zostanie odkryta, a poczucie winy pojawia się tylko w przypadku klęski. Mówi się, że cel uświęca środki, ale w rzeczywistości uświęca je sukces. I to nie on, Daniel, tak zdecydował, tylko społeczeństwo, w którym przyszło mu żyć.

Pierwsze promienie słońca przebijały się przez woal chmur, rzucając na lagunę słabą poświatę. Ponieważ były wakacje, sunąca po wodzie chmara łodzi rozrywała delikatną poranną mgłę, która powoli się podnosiła i znikła w ciepłe wstającego letniego dnia. W ciągu godziny ostry kontur brzegu się rozmył i ład zniknął w rozproszonym świetle. Na niebie sunęły kolejne formacje wodnego ptactwa.

Marlene przycupnęła w małej zatoczce na piasku, otoczona trawami i wyschłymi wodorostami. Chociaż siedziała w słońcu, marzła, jakby jakaś ciemna chmura rzuciła na nią złowrogi cień.

Kiedy myślała o swoim życiu, nasuwało jej się porównanie do śmigieł wiatraka, które niezmordowanie się kręcą na wietrze. Raz po raz też nawiedzało ją jakieś marzenie, które nie pozwalało jej znaleźć wewnętrznego spokoju: najpierw o wolności i niezależności, potem o dobrym mężu, dzieciach, sklepie, domu z ogrodem... Większą część tych marzeń udało jej się zrealizować, a w pewnym sensie – nawet wszystkie, bo Romy była dla niej jak własne dziecko. Większość ludzi uznałaby zapewne, że te wszystkie lata złożyły się na monotonię życia, ale Marlene potrzebowała tej codziennej rutyny. Potrzebowała być

w ciągłym ruchu, a jednocześnie mieć pewien stały punkt odniesienia – chodzić do piekarni, witać klientów, ucinać sobie pogawędkę, pakować ciasto. A potem, wieczorem wychodzić z Gerdem na spacer nad wodę. Codziennie to samo, tyle że w różnych wariantach. Ogólnie rzecz biorąc, nie mogła narzekać na swoje życie.

Z wyjątkiem ostatniego okresu. Wiedziała, że jej marzenie o beztrudnej, pełnej atrakcji emeryturze nigdy się już nie ziści – i nie zmienią tego ochłapy, które im rzucał Bodo. Wprost przeciwnie.

Te pieniądze nie zwracały Marlene marzeń, tylko oznaczały ich ostateczny kres. Odkąd pan Töller roztrwoniał jej majątek, żyła nadzieją, że go kiedyś odzyska, i chociaż nie była z tego dumna, zrealizowała ten plan. Lecz właśnie w chwili owego triumfu niespodziewanie wszystkie jej nadzieje zamieniły się w kłamstwo. Odkąd sukcesywnie, dzień po dniu zaczęły do niej spływać pieniądze, wiedziała, że nigdy nie będzie w stanie ich wydać. Ilekroć próbowała zaplanować jakąś cudowną atrakcję, na przykład przejażdżkę wenecką gondolą, uświadamiała sobie, w jakich okolicznościach odzyskała to swoje marzenie. I na czyje towarzystwo będzie w tej gondoli skazana.

Kiedy wróciła do domu, Gerd siedział na zacienionym tarasie i jadł śniadanie. Dzień zaczął się cudownie: zapachem świeżych bułeczek i dżemu, oszałamiającymi kolorami lawendy i powojnika, ciszą... Róże od Boda stały na środku stołu. Za każdym razem gdy przynosił pieniądze, wręczał Marlene różę. W tej chwili w wazonie były już trzy.

– Żalił się, że znów cię nie zastał – powiedział Gerd sarkastycznym tonem. – Gdybyś była trzydzieści lat młodsza, zrzuciłbym go ze schodów, ale... Przy okazji, miałem już dzwonić na policję i zgłosić twoje zaginięcie. Proszę cię, następnym razem przed wyjściem powiedz mi, gdzie się wybierasz.

Fakt, że Marlene nie odpowiedziała, był jej mężowi wyraźnie nie w smak. Gerd mógł się z nią kłócić, ale nie znosił, kiedy go ignorowała. Nie był stworzony do samotności, więc w takich chwilach dreptał za żoną jak wierny piesek. Najgorzej było w wakacje, kiedy piekarnia była zamknięta. Wtedy zupełnie nie wiedział, co ze sobą począć.

Dziwne, a zarazem straszne, pomyślała Marlene. Wszystko jest jak zawsze. A przecież więzimy w piwnicy człowieka.

Gerd z dumą przeliczył na oczach żony wielkie banknoty.

– W sumie mamy dziewięćdziesiąt tysięcy. To prawie połowa. Co ty na to?

Marlene patrzyła tępo na pieniądze. Alkohol, który wypija poprzedniego wieczora, sprawił, że bolała ją głowa.

– Daniel – odezwała się wreszcie.

– Co z nim?

– Zjawia się co rano, schodzi do piwnicy i zostaje tam na pół godziny sam na sam z panem Töllerem. Po co to robi? Przecież dostaliśmy to, czego chcieliśmy. Kiedy Giovanni włożył panu Töllerowi w usta lufę pistoletu, myślałam, że to koniec, że wszyscy jesteśmy mordercami – zakończyła z wyrzutem.

– Ale wszystko się dobrze skończyło.

– Dobrze... – powtórzyła pani Adamski. – Więc po co Daniel to robi?

– Nie mam pojęcia. Niepotrzebnie sobie tym zaprzątasz głowę. Zobacz, dzięki tym pieniądzom stać nas na dziesięć rejsów. No dobrze, powiedzmy pięć, bo weźmiemy luksusową kabinę, prawda? Dokąd chcesz popłynąć? Do Rio? Na Antarktydę? A może masz ochotę na wycieczkę po Adriatyku? Chcę też sobie kupić szybki wóz, taki jak ma Giovanni. Tyle że niekoniecznie fiata.

– Jak długo jeszcze? – spytała Marlene.

Stwierdziwszy, że jego żona nie jest zainteresowana pieniędzmi, Gerd zebrał banknoty na kupkę.

– Trzy, cztery dni. Bodo ma wszystko pod kontrolą. Załatwia interesy jak prawdziwy spec. Następnym razem zapytamy jego, w co zainwestować nasze pieniądze. No dobrze, już dobrze, nie patrz tak na mnie. Żartowałem. Koniec z inwestycjami. Poza tym i tak ustaliliśmy, że kiedy skończymy i uwolnimy Töllera, zrywamy ze sobą wszelkie kontakty. Oprócz Romy, ma się rozumieć.

– I Giovanniego – dodała z gniewem Marlene. – Cholerny diler.

– Ciii, mów ciszej. Jest w środku. Pilnuje, żeby Romy nie zrobiła żadnego głupstwa, podając Töllerowi jedzenie.

Pani Adamski z ciężkim sercem przekazała swe obowiązki Romy. Giovanni rozkazał swojej dziewczynie, by się tym zajęła, a Marlene nie miała już siły mu się sprzeciwić. W głębi ducha była mu nawet wdzięczna, że nie musi już schodzić do piwnicy.

– Ile mu dasz? – spytała Marlene. – Tylko się nie wypieraj. Poznałam się na tym osiłku i wiem, że nie zadowolili się tymi żalonymi pięcioma tysiącami od Romy.

Najwyraźniej przejrzała Gerda, gdyż ten odłożył bułeczkę z podwójną porcją wędliny.

– Dziesięć procent. Ale wierz mi, opłacało się. Gdyby nie on...

– Przecież to były tortury! – wykrzyknęła Marlene.

– Ciii – syknął piekarz, po czym walnął pięścią w stół. – Naprawdę, Marlene, powoli zaczynasz mi działać na nerwy. Najpierw Bodo zaczyna wariować, a teraz ty. Myśleliście, że to będzie spacer?

– Tak, tak myślałam – odpadła dobitnie pani Adamski. – I ty też tak myślałeś. Jesteś piekarzem, znasz się tylko na pieczeniu chleba. Nie masz zielonego pojęcia o inwestycjach finansowych, komputerach ani porwaniach. Przez pół dnia zachowujesz się tak, jakbyś był najcwańszym facetem na świecie, a przez drugie pół, jakbyś nie wiedział, że w naszej piwnicy wegetuje porwany człowiek. Wiesz wszystko i o niczym nie masz pojęcia. Z nas wszystkich ty jesteś najbardziej godny pożałowania.

Kiedy inni ludzie rzucali Gerdowi w twarz nawet coś dużo mniej obraźliwego, ten chętnie wszczynał z nimi kłótnię i już wiele razy tracił przyjaciół – tylko dlatego, że nie potrafił ustąpić. Kiedy jednak wyrzuty czyniła mu Marlene, był bezradny i natychmiast się wycofywał. Czasem w takich sytuacjach zagłębiał się w jakimś brukowcu, a czasem oglądał transmisję sportową – tak czy siak kilka godzin później zachowywał się tak, jakby nie było żadnej kłótni.

I podobnie postąpił tym razem. Wstał od stołu i sięgnął po filiżankę z kawą.

Sekundę później upuścił ją na podłogę, a jego spojrzenie powędrowało ponad głową Marlene na obrzeża ogrodu.

Pani Adamski odwróciła się i zobaczyła, że za rogiem domu, pośród powoju stoi jakaś kobieta, na wpół ukryta za rynną. Kiedy się zorientowała, że ją zauważono, rzuciła się do ucieczki.

– Cholera! – zaklął Gerd. – Kto to był?

– Myślę... – Marlene poczuła, jak zaciska jej się gardło na widok kobiety, którą widziała na zdjęciach pokazywanych przez Daniela Trebutha. – Myślę, że to Jette, żona Daniela.

– Cholera! Jak ona tutaj trafiła?

Piekarz rzucił się w pościg za uciekiniarką, lecz wiek i potężny brzuch sprawiły, że nie miał szans dogonić młodej, szczupłej kobiety.

– Giovanni! – wrzasnął.

– Giovanni, Giovanni! – zawtórowała mu żona.

Włoch właśnie wyszedł z Romy z piwnicy.

– Tam, na dworze – wydyszała Marlene. – Żona Daniela.

Giovanni rzucił to, co miał w rękach, i zanim pani Adamski zdążyła pomyśleć *Boże, co ja narobiłam?*, już był przed domem.

Po chwili Marlene usłyszała wołanie o pomoc, które zaraz zlało się z krzykami Gerda i Giovanniego.

A potem umilkło.

Wrzesień

Kiedy Ina zadzwoniła do poradni rodzinnej, by się dowiedzieć, czy Daniel Trebuth spełnił jej polecenie, przekazano jej dwie wiadomości: dobrą i złą. Dobra była taka, że ojciec Christophera zgodnie z jej poleceniem zjawił się z dziećmi w poradni. Niestety, i to była ta zła wiadomość, w czasie wizyty między Danielem a Christopherem doszło do jakiegoś nieprzyjemnego incydentu. Oczywiście Inie nie zdradzono szczegółów, gdyż rozmowy w poradni były objęte tajemnicą, lecz kiedy dwa dni później miała dyżur w klinice, odwiedzili ją Stefanie i Christopher.

– Chcę cię o coś spytać – powiedziała Stefanie, odciągając matkę na bok. – Ale musisz mi obiecać, że się nie wściekniesz.

Nie trzeba być psychologiem, by wiedzieć, że kiedy rozmowa zaczyna się w taki sposób, zwykle nie zwiastuje to niczego dobrego.

– Obiecuję – westchnęła terapeutka.

– Czy Chris może u nas zamieszkać? W pokoju gościnnym, tylko na parę dni, przynajmniej na razie.

– Teraz rozumiem, dlaczego wymogłaś na mnie tę obietnicę.

– Mamo...

– Prawdę mówiąc, nie wiem nawet, od jakiego argumentu zacząć, więc zacznę od pierwszego z brzegu. Weź pod uwagę, kochanie, że nie mogę przyjąć pod swój dach własnego pacjenta.

– W takim razie pójdzie do innego psychologa.

– Nawet gdyby to było takie łatwe, to pokój gościnny zajmujesz ty, a na pewno nie pozwolę wam spać w jednym łóżku.

– No to przez jakiś czas będę spała u ciebie. Przecież chciałaś, żebyśmy się do siebie zbliżyły.

– Owszem, skarbie, ale nie w takim sensie. Poza tym musiałyby się na to zgodzić ojciec Christophera.

– Ten facet jest koszmarny. Chris nie chce już mieć z nim nic wspólnego, i ja to doskonale rozumiem. Och, sorry, przecież nawet nie mogę z tobą o tym rozmawiać.

– I wcale tego nie oczekuję. – Ina spojrzała na zegarek. – Za pół godziny kończę. Potem chciałabym zaprosić Christophera do kawiarni. Samego.

Ina poszła z chłopakiem do kawiarni za rogiem. Stoły i krzesła były z metalu, pobodnie jak lampki sufitowe, których żółtawe światło padało na zielone ściany. Terapeutka tak

naprawdę nie lubiła tego lokalu i panującego w nim chłodu, ale ulewny deszcz sprawił, że jeśli nie chciała kompletnie przemoknąć, nie miała wielkiego wyboru.

Usiedli w kącie, gdzie spotykały się dwie przeszklone ściany, tak że otaczały ich strumienie wody spływającej po szybach. Szum deszczu i stukanie kropeł spadających na chodnik tworzyły w zatłoczonej kawiarni intymną atmosferę, tak że nawet nie ścisząc głosów, mogli rozmawiać bez obaw, że usłyszą ich goście siedzący przy sąsiednich stolikach.

Christopher spoglądał ponuro, lecz Ina nie brała tego do siebie, tylko składała na karb ogromnego ciężaru, jaki spoczywał na sercu chłopaka. Ciężaru, który go przytłaczał, ale którego nie był w stanie się pozbyć, gdyż to również wiązałoby się w udręką.

Kiedy tylko podano im napoje, psycholożka spytała:

– No i?

Christopher nie odpowiedział od razu. Aby wypowiedzieć to, co zamierzał, musiał przezwyciężyć wewnętrzny opór, ale kiedy już zebrał się na odwagę, wyrzucił z siebie słowa niczym z pistoletu maszynowego.

– Tata kogoś ma. Od dawna oszukiwał mamę. Wiem, bo widziałem go z tą kobietą.

Ina była zaskoczona. Spodziewała się wszystkiego, ale nie tego. A przecież nie byłoby w tym niczego nadzwyczajnego. Podczas sesji terapeutycznych często dowiadywała się dużo gorszych rzeczy, a czasem poznawała najbardziej mroczne tajemnice, przy których skok w bok wydawał się czymś zupełnie banalnym. Jej zdumienie wynikało raczej z faktu, że tej zdrady miałby się dopuścić Daniel Trebuth. Ina nie sądziła, by był do tego zdolny. Owszem, wiedziała, że facet jest niezrównoważony, znerwicowany i humorzasty, ale – choć było to tylko jej subiektywne spojrzenie – w żadnym wypadku nie pasował jej do obrazu gościa, który skacze z kwiatka na kwiatek.

– To właśnie mu zarzuciłeś w poradni?

– Zaczął opowiadać, jak bardzo tęskni za mamą. Obłudnik. Przecież widzę, że tak naprawdę cieszy się, że odeszła.

– Zaprzeczył?

Christopher skinął głową.

– Powiedziałeś mu, że go widziałeś z tamtą kobietą?

– Nie.

– A po sesji?

– Też nie. Wypytywałem mnie, zaczęliśmy się kłócić, ale nic mu nie powiedziałem.

– Dlaczego?

– Bo... bo... to bez znaczenia.

– Rozumiem. I nie masz żadnych wątpliwości?

– Przecież mówię: widziałem ich. Jego i tamtą kobietę.

– Opowiedz mi o tym.

Od tej chwili Christopher zaczął wyraźnie unikać spojrzenia Iny – tak jak wtedy, gdy go spytała, dlaczego zarzucając ojcu zdradę, nie uzasadnił swoich oskarżeń.

Christopher kręcił w dłoniach swoją szklanką w lewo i w prawo, wpatrując się w jej zawartość.

– Za pierwszym razem to był przypadek. Jeździłem rowerem po lesie, niedaleko

miejsca, gdzie ostatnio spacerowaliśmy. To dość odludna okolica i zwykle się tam nie zapuszczam, ale tamtego dnia przed tym domem parkował świetny samochód. Podjechałem bliżej i... Zacząłem się skradać dokoła tego wozu i wtedy nagle mój rower runął i zarysował lakier. Kilka sekund później otworzyły się drzwi domu i pomyślałem: *Cholera, zaraz mnie zobaczą*. Zabrałem więc rower i schowałem się za samochodem. Liczyłem, że uda mi się jakoś niepostrzeżenie zwiać, ale kiedy tak kucąłem, zobaczyłem, jak mój ojciec wychodzi z jakąś laską z tego domu i wsiada do okropnego małego autka. Musiało należeć do niej. Śmiali się i tak dalej. No dobra, nie obściskiwali się, ale... Kiedy wieczorem zapytałem go, jak mu się biegalo, bezczelnie mi odpowiedział, że zrobił dłuższą trasę niż zwykle. Cholerny kłamca. Następnym razem już go śledziłem. I znów wszedł do tego samego domu. To przecież jasne, co tam robił. Inaczej dlaczego miałby kłamać, co?

Ina z uwagą słuchała opowieści Christophera.

– Jak wyglądała ta kobieta, z którą widziałeś ojca? Ile mogła mieć lat?

– No ja wiem? Najwyżej dwadzieścia pięć. Niewysoka, jakieś metr sześćdziesiąt. Chuda, kręcone włosy, czarne, ale z liliowym kosmykiem z przodu. Niezbyt ładna.

Kiedy chłopak wspomniał o liliowym kosmyku, Inie stanęło przed oczami zdjęcie, które widziała w piekarni. Opis pasował idealnie do Romy Haase – ostatniej osoby, która przyszłaby psycholożce do głowy, gdyby miała wskazać ewentualną kochankę Daniela Trebutha. Poza tym z opowieści koleżanki Romy wynikało, że dziewczyna była związana z jakimś młodym Włochem. Mimo to Ina nie mogła całkowicie wykluczyć tego, że bibliotekarz i młoda ekspedientka mieli romans. Tylko dlaczego spotykali się akurat w domu Adamskich?

Na to pytanie nie знаła odpowiedzi. Za to nagle spadły jej łuski z oczu i domyśliła się, co było dalej.

– Powiedziałaś o tym swojej mamie, prawda? – spytała.

Fakt, że Christopher znów zatopił spojrzenie w szklance, stanowił wystarczające potwierdzenie i w głowie Iny wyświetlił się następujący film: Jette Trebuth dowiaduje się od syna, że jej mąż spotyka się z inną kobietą. Prosi Christophera, by jej powiedział, a może nawet pokazał, gdzie stoi dom, o którym mówił, i idzie tam, by się przekonać na własne oczy. Od tego momentu Christopher może tylko spekulować, co stało się później.

Pewne było jedno: jego matka zniknęła. Odeszła, bo nie trzymała języka za zębami, tak mu się przynajmniej zdawało. Powiązał jej zniknięcie ze swoim odkryciem, podejrzeniem, niedyskrecją – i to nim potwornie wstrząsnęło. Dodatkowo przytłacza go fakt, że policja nie potrafi wyjaśnić tej sprawy. Co więcej: nie ma żadnego tropu. Czy jego matka dowiedziała się czegoś, co ją zszokowało? Czy przydarzyło jej się coś złego po drodze? Czy ktoś na nią czatował w lesie? A może w tamtym domu? Utrata najbliższej i najdroższej osoby była dla chłopaka wystarczającym ciosem, dlatego – co zrozumiałe – ze wszystkich sił wypiera myśl, że mógłby się do tego przyczynić. Nie chce się do tego przyznać – ani przed sobą, ani przed nikim innym. Pragnienie rozwiązania zagadki niknie w gęstej chmurze strachu, że do śmierci będzie musiał żyć z tym wypalonym sobie własnoręcznie duchowym piętnem.

Możliwe, że Christopher nigdy by o tym nie opowiedział – albo wspomniałby o tym dopiero dużo później. Że musiałyby dźwigać ten ciężar aż do starości, może nawet do

śmierci. Bo z każdym kolejnym dniem, z każdym kolejnym rokiem mur, za który wypychał wyparte wspomnienia, stawałby się coraz grubszy i stabilniejszy. Jego relacje z ojcem stałyby się katastrofalne, i nawet sam nie byłby w stanie powiedzieć dlaczego. Tylko jeden drobiazg uchronił go przed wiecznym milczeniem: obłudny – zdaniem Christophera – żal jego ojca. W oczach chłopaka był on niczym szyderstwo, profanacja pamięci matki. I to sprawiło, że eksplodował.

– Poszedłem z nią przez las i pokazałem, gdzie go widziałem – wymamrotał do szklanki. – Kiwnęła głową i poszła.

Wypił duszkiem całą lemoniadę, jakby chciał cofnąć i utopić w sobie wypowiedziane słowa.

– Często śledziłeś ojca?

– Kilka razy, żeby się upewnić. Ale kiedy mama... tamtego dnia, kiedy zniknęła, ojca tam nie było. Był w innym domu, w Ahrenshoop. Pojechałem za nim motorowerem, dostałem go na piętnaste urodziny. Rzadko nim jeździłem, ale tamtego dnia ojciec zachowywał się tak dziwnie, że pomyślałem... Nieważne... Pojechał do Ahrenshoop z jakimś młodym facetem, wyglądał na Włocha, Hiszpana, może Turka. Coś w tym kierunku. Weszli do domu nad urwiskiem. Byli w środku kwadrans. Kiedy wyszli i odjechali, spojrzałem na tabliczkę przy dzwonku. Tiller czy jakoś tak. Nie, zaraz. Töller, Alwin Töller. Pomyślałem, że to dziwaczne imię, ale też spadł mi kamień z serca, że męskie, a nie kobiece. – Christopher klika razy nerwowo przygładził dłońmi niesforne włosy. – Myśli pani, że ona tam była? W tym drugim domu?

– Niestety nie wiem, ale policja się tego dowie. Jedziemy na komisariat.

– Musimy?

– Cieszę się, że byłeś ze mną szczery. I dlatego proszę, żebyś ze mną pojechał. Bo chociaż czujesz się teraz okropnie, zapewniam cię, że szczerłość daje siłę.

Czternaście miesięcy wcześniej

– Danielu, musisz... musisz natychmiast przyjechać. Chodzi o twoją żonę.

Ciężki i chrapliwy jak przy zapaleniu oskrzeli oddech Gerda dobywał się ze słuchawki staromodnego telefonu ustawionego na bibliotecznym biurku.

– O moją żonę? – Musiało minąć kilka sekund, by do Daniela dotarło to, co właśnie usłyszał. – Nie rozumiem.

– Jest tutaj, u nas w domu.

Gdyby Danielowi powiedziano, że Jette siedzi w kapsule kosmicznej i jest w drodze na orbitę, nie byłby chyba bardziej zaskoczony.

– Tak, ale... Jak? Skąd? Co ona tam robi?

– Siedzimy na kanapie i wymieniamy się przepisami na świąteczne wypieki. Człowieku, nie chrzań, tylko przyjeżdżaj. I to migiem. Jesteś tu potrzebny.

Gerd odłożył słuchawkę, zanim Daniel zdążył cokolwiek odpowiedzieć. Na szczęście biblioteka była od kwadransa zamknięta i pracownicy rozeszli się już do domów.

Przez całą drogę do domu piekarza Daniel zadawał sobie to samo pytanie: Jak, na Boga, Jette dowiedziała się o Adamskich? I co tam się właściwie stało?

Kilka razy próbował z komórki dodzwonić się do Gerda, by dowiedzieć się czegoś więcej, ale nikt nie odbierał. Na każdym skrzyżowaniu Daniel niecierpliwie czekał na zmianę świateł. Na domiar złego zatrzymała go jeszcze policja i dostał mandat za używanie telefonu komórkowego podczas jazdy. *To nie może być prawda, to jakiś koszmarny film*, powtarzał sobie w myślach. Chociaż się spieszył – a może właśnie dlatego – grzecznie i bez słowa sprzeciwu wysłuchał pouczeń policjanta, przyznał się do wykroczenia i opłacił mandat gotówką. W duchu jednak zaciskał pięści i miał ochotę rąbnąć gliniarza między oczy i wcisnąć gaz do dechy.

Wyjątkowo zajechał aż pod sam dom Adamskich, a kiedy tylko nacisnął dzwonek, drzwi się otworzyły i stanął w nich Gerd.

– Stary, ile można czekać! Jechałeś na hulajnodze? – warknął piekarz. Jego twarz wyglądała tak, jakby przez dziesięć minut tkwił w uścisku zapaśnika. – Twoja żona nagle zjawiała się w naszym ogrodzie. Nic więcej nie wiem. A potem...

– A potem co? – spytał Daniel, gdy Gerd zamilkł.

– No...

– Gdzie ona jest?

– Na dole.

– Gdzie na dole?

– W piwnicy.

– Z Töllerem? – wykrzyknął Daniel.

– Zwariowałeś? Jasne, że nie. W innym pomieszczeniu.

– Zamknięta?

– A jak myślisz? Ona o wszystkim wie. A jeśli nie o wszystkim, to wystarczająco dużo. Nie mieliśmy wyboru.

– Jacy: my?

Odpowiedź na to pytanie stała się zbędna, gdy z piwnicy wyszli Romy i Giovanni, a za nimi blada jak ściana Marlene.

– Może mi ktoś powiedzieć, co tu się dzieje? – wrzasnął niecierpliwie Daniel. Porywacze od dawna nie bawili się w grzeczne powitania. W ich relacjach nie było miejsca na konwenanse, milczenie, wahanie. Cienka skorupka cywilizacji pękła i cofnęli się o kilka tysięcy lat – jak pasażerowie tonącego okrętu.

– Usłyszała, o czym rozmawiamy z Marlene. Co mieliśmy zrobić? Krzyknąłem „Stój!”, ale biegła dalej. A my za nią. Dopędziliśmy ją w mgnieniu oka.

– Ja ją dopędziłem w mgnieniu oka – poprawił piekarza Giovanni. – To ja ją złapałem i zamknąłem w piwnicy. I to mnie podrapała. – Włoch pokazał szramy na swoim przedramieniu niczym wojenne blizny.

– No nie, obezwładniliśmy ją razem – zaproponował Gerd.

– *Va a cagare!* – prychnął Giovanni. – Przytrzymałeś mi drzwi, nic więcej. Ale to cię będzie kosztować, staruszku. Od tej pory Romy i ja, to znaczy ja, dostajemy połowę tego co ty. Jasne?

Daniel nie mógł dłużej słuchać tej paplaniny.

– Do diabła, mam gdzieś, który z was zamknął Jette w piwnicy. Jak ona się czuje?

– Wpadła w furję – odpowiedział Giovanni. – Trzasnąłem ją raz i się uspokoiła.

– Co... zrobiłeś?!

– Trzasnąłem ją – powtórzył Włoch. – Z liścia. Nie będę się boksował z kobietą. Trochę pocięło jej z nosa, *dio mio*, od tego się nie umiera.

– Czy ty jesteś kompletnie popieprzony? Uderzyłeś moją żonę? – wrzasnął Daniel.

W tym samym momencie Giovanni chwycił bibliotekarza za koszulę i przyparł go do ściany. Obrazek przedstawiający pokrytą stokrotkami łąkę spadł na podłogę. Twarz Włocha znalazła się tak blisko twarzy Daniela, że ich wargi niemal się stykały, a świdrujące czarne oczy Giovanniego w całości wypełniły pole widzenia bibliotekarza.

– Posłuchaj mnie, gryzipiórku. Nie pozwolę, żeby ta głupia cipa zepsuła mi taki interes. Myślisz, że mam ochotę zapieprzać na budowie? Co? Za chwilę cię puszczę, a ty zejdziesz na dół i przekonasz ją, żeby trzymała głowę na kłódce, i to raz na zawsze. Zrozumiałeś? I jeszcze jedno. Skoro już sobie tak gawędzimy... nigdy więcej tak do mnie nie mów, jasne? Bo jeśli myślisz, że właśnie zobaczyłeś moją mroczną stronę, to jesteś w błędzie. Na skali od jednego do dziesięciu to jest siódemka. Może tam na dole, w piwnicy, myślisz sobie, że jesteś silny, kiedy przypalasz bezbronno człowieka, ale tak naprawdę jesteś zerem. I to ty jesteś popieprzony.

W przeciwieństwie do gróźb wypowiedzianych przez Gerda słowa Giovanniego Daniel potraktował poważnie, ponieważ towarzyszyła im determinacja i fizyczna siła. Jeśli nawet piekarz kiedykolwiek miał w ich grupie jakąś władzę, to już dawno stracił ją na rzecz włoskiego osiłka i wszyscy to akceptowali – wszyscy z wyjątkiem Boda, ale on generalnie nie za bardzo się orientował, co się tu dzieje.

Zgodnie z zapowiedzią Giovanni puścił Daniela. W trakcie szarpaniny oderwał mu

guzik i wyciągnął koszulę ze spodni, a teraz niedbale wcisnął mu ją za pasek. Potem pchnął bibliotekarza w stronę drzwi do piwnicy.

Gerd wcisnął Danielowi do ręki klucz i wyjaśnił, gdzie znajdzie Jette, po czym bibliotekarz, wciąż pod wrażeniem grózb Giovanniego, lekko się zataczając, zszedł do piwnicy.

– Misiu!

Jette kuciała w kącie zupełnie pustego pomieszczenia. Miała zapłakaną twarz i włosy sterczące na boki, jakby poraził ją prąd. Kiedy zobaczyła Daniela, podniosła głowę i odezwała się do niego jednym ze swoich ulubionych zdrobnień, ten w jednej chwili zapomniał o wszelkich pretensjach – o długi, wegańską dietę, deficytowy sklep. Wszystko zniknęło. Nawet zdrobnienie, które kiedyś z trudem znosił, nagle stało mu się bliskie i drogie.

– Misiu!

Jette wstała i padła w jego ramiona. Kiedy ostatnio zrobiła coś podobnego? Wbrew temu, co sugerowałyby upodobanie do dzieciennych zdrobnień, była silną osobowością, nieskorą do okazywania słabości. Właśnie dlatego nic mu nie powiedziała o niespłaconych kredytach. Miała naturę analityczną, lubiła planować i podejmowała samodzielne decyzje, z których bardzo rzadko potwornie niechętnie się wycofywała. Wszyscy, którzy ją znali, zgodnie twierdzili, że Jette nad wszystkim doskonale panuje.

Teraz jednak, w chwili gdy padła Danielowi w ramiona, cała była przepełniona strachem.

O nic nie zapytała.

– Proszę, zabierz mnie stąd – poprosiła tylko. – Jak najszybciej.

– To niemożliwe. Na górze stoi Giovanni. Nie wypuści nas.

– Strasznie mnie ścisnął – poskarżyła się Jette i odsłoniła szczupłe ramię, gdzie na mlecznej skórze zaczynały się już tworzyć brzydkie, sinożółte plamy.

Daniel pocałował jedno ze wskazanych przez nią miejsc.

– Nic ci nie będzie. Musisz tylko współpracować.

Trzymając żonę w ramionach, Daniel opowiedział jej całą historię, od początku. Sam był zdumiony, jak logicznie to wszystko brzmiało. Przed porwaniem długo się wahał i z wielkim trudem oswoił się z tą myślą. Dopiero sukces, to znaczy zdobyte pieniądze, utwierdził go w przekonaniu, że postąpił słusznie. Dlatego teraz opowieść o przestępstwie popełnionym przez zwykłego bibliotekarza przeszła mu przez usta tak lekko, że kończąc ją, był przekonany, że nie mógł postąpić inaczej i że cały świat przyzna mu rację.

Gdy skończył, Jette długo milczała. Kiedy patrzyła na niego swoimi wielkimi, uważnymi oczami, zrozumiał, że znowu zaczęła trzeźwo myśleć. Wróciła dawna Jette analityczka, tyle że teraz chciała to przed nim ukryć.

– Och, Misiu – powiedziała wreszcie. – Gdybyś mi o tym powiedział wcześniej...

Jette nagle odniosła wrażenie, że jej słowa brzmią zbyt ostro. Kobieta, która do tej pory bez owijania w bawełnę wyrażała swoją opinię, nagle zaczęła się zachowywać jak ktoś, kto

próbuję wytłumaczyć niesfornemu dziecku, że zrobiło głupstwo, ale stara się przy tym za mocno go nie zrugać.

– Razem znaleźlibyśmy jakieś rozwiązanie. Ale jeszcze nic się nie stało, prawda? Wszystko da się jeszcze odkręcić. Działałeś w dobrej wierze. Zrobiłeś to dla nas. Nie każdy tak by potrafił. Znajdziemy sposób, żeby się z tego wyplątać. Ale najpierw... musimy się jakoś stąd wydostać.

Daniel czytał w myślach Jette jak w otwartej księdze. To oczywiste, że przede wszystkim chciała się wydostać z piwnicy. Kto na jej miejscu by nie chciał? A kiedy się znajdzie na wolności, natychmiast pójdzie na policję. Została weganką z powodów etycznych, aby – jak to zawsze podkreślała – wyrazić swój sprzeciw wobec rzezi dokonywanej na zwierzętach. Czy zatem pogodziłaby się z przestępstwem dokonany na człowieku? Daniel znał swoją żonę, dlatego byłaby bardziej wiarygodna, gdyby okazała zdumienie, zaczęła mu czynić wyrzuty i dopiero po tej całej tyradzie okazała odrobinę zrozumienia i zapewniła, że wspólnie znajdą jakieś wyjście.

– Porozmawiam z nimi – powiedział Daniel i delikatnie uwolnił się z objęć Jette, lecz ona znów się w niego wczepiła.

– Myślisz, że cię posłuchają?

– Mam nadzieję.

– Jestem twoją żoną. Oni... nic mi nie zrobią, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Misiu, nikomu o tym nie powiem. Obiecuję.

– Wiem.

– Nie odchodź, Misiu.

– Przecież muszę z nimi porozmawiać, prawda?

– Ale ja... – Chciała powiedzieć, że się boi, ale nawet w takim położeniu to słowo nie chciało jej przejść przez gardło, dlatego szepnęła: – tak bardzo cię kocham.

– Ja też cię kocham.

Odpowiedź Daniela zabrzmiała chyba szalenie zdawkowo, bo Jette nie pozwoliła mu odejść.

– Pomyśl o dzieciach, Misiu.

– Cały czas o nich myślę – odparł Daniel zirytowany lekko tym, że Jette uznała za konieczne mu o nich przypomnieć. Tak jakby nie pamiętał, że ma syna i córkę.

Odwrócił się i wlepił wzrok w zamek. Za ledwie kilka centymetrów od niego, między kciukiem a palcem wskazującym bibliotekarza drżał podłużny kawałek metalu. Drżał tak bardzo, jakby działały nań przeciwstawne pola magnetyczne. Daniel pomyślał, że nigdy nie zdoła trafić nim w otwór zamka.

Zamknąć własną żonę – do czego to go doprowadzi? Kim się wówczas stanie? Po minucie podjął w końcu decyzję: *Nie, to nie wchodzi w rachubę. Nikt nie może tego ode mnie zażądać.*

W chwili kiedy miał się odwrócić, gałka obróciła się powoli wokół swej osi niczym wskazówka sekundowa zegara. Niepozorny ruch, który niósł ze sobą ogromne skutki. Drzwi uchyliły się leciutko i pojawiła się wąska szpara, nie szersza niż średnica ołówka. A potem drzwi w ułamku sekundy otworzyły się na oścież.

– Misiu – jęknęła Jette, chwytając się za serce. – Przestraszyłeś mnie. Ja... ja...

Bez słowa chwycił za gałkę i zamknął za sobą drzwi. Klucz w jego dłoni już nie drżał i gdy go przekręcił, rozległo się ciche kliknięcie.

Zastanawiał się, co powiedzieć Giovanniemu. Miał dwie możliwości: albo powtórzyć obietnicę Jette, że będzie milczeć, albo podzielić się swoim wrażeniem, że ich wyda policji. Nie mógł wydać własnej żony na pastwę temu bezmózgiemu kretynowi. Z drugiej strony jednak wiedział, że jeśli pozwoli jej odejść, za kilka godzin wszyscy wylądują za kratkami, i to na bardzo długo. A będzie to znaczyć, że jego życie w pewnym sensie dobiegnie końca. Czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy swoje dzieci? Zapewne nie.

– I? – spytał Giovanni, zanim jeszcze Daniel wszedł schodami na górę.

– Ona... – Bibliotekarz zamierzał powiedzieć Włochowi prawdę, lecz nie był w stanie tego uczynić. Nie potrafił wydać tego wyroku, nawet jeśli oznaczało to, że wyrok zostanie wydany na niego. – Nie chce w tym aktywnie uczestniczyć, ale rozumie, dlaczego to zrobiliśmy. Dlaczego ja to zrobiłem. Nie wyda nas.

– Jesteś pewien?

– Znam Jette. Nie pozwoli, żeby ojciec jej dzieci trafił do więzienia – skłamał Daniel.

Giovanni z opuszczoną głową zaczął chodzić w kółko, stukając palcami w dolną wargę.

– No to co? – spytał bibliotekarz lekko zniecierpliwionym tonem. – Mogę ją wypuścić?

– Jeszcze się zastanawiam – odparł Włoch.

– A nad czym się tutaj zastanawiać? Jette...

– Zamknij się. Powiedziałem, że muszę pomyśleć.

Daniel, Romy i Gerd przez chwilę patrzyli w milczeniu, jak Giovanni zatacza kolejne kółka.

– Nie. To zbyt ryzykowne – powiedział nagle Włoch. – Powiedziałyby wszystko, żeby stamtąd wyjść. I zanim się zaczniesz wydierać – dodał, patrząc na Daniela – przypomnij sobie, co ci mówiłem.

Daniel nie miał zamiaru protestować. W pewnym sensie nawet się ucieszył, że Giovanni podjął taką decyzję, choć jeszcze przed chwilą starał się go przekonać do czego innego. Czuł przytłaczający ciężar, a zarazem ulgę.

– Muszę coś powiedzieć dzieciom – zauważył tylko. – Kiedy Jette nie wróci do domu, będą pytać, co się stało.

– No to coś wymyśl.

– Niby co? Że ich matka bez słowa wyjechała na urlop? Kto mi w to uwierzy? Nie musisz jej przecieżyć... – Daniel urwał, bo ścisnęło mu się gardło i głos odmówił mu posłuszeństwa.

– Nic jej nie zrobię – powiedział Giovanni. – Naprawdę myślisz, że mógłbym skrzywdzić kobietę? Mogę jej sprzedać liścia, ale nic więcej. Uderzyłem ją tylko raz, prawda, Romy? Nic więcej. Nie biję kobiet.

Marlene, wciąż blada jak ściana, powiedziała:

– Nie możemy jej bez końca więzić. Porozmawiam z nią, wszystko jej wytłumaczę, a potem... Jestem pewna, że będzie milczeć, pod warunkiem że natychmiast uwolnimy pana Töllera.

– Nie zgadzam się – zaproponował jej mąż. – Musi być jakieś inne rozwiązanie.

Daniel w jednej chwili znienawidził Gerda, gdyż ten powiedział to, o czym bibliotekarz nawet nie odważyłby się pomyśleć. Ale... czy Gerd miał na myśli właśnie *to*? Daniel nie był w stanie odpowiedzieć sobie na to pytanie, ponieważ już dawno przekroczyli granice tego, co akceptowalne w normalnym życiu.

– Nie skrzywdzę kobiety – powtórzył Giovanni. Odepchnął energicznie Romy, która próbowała się do niego przytulić, i znów zaczął krążyć, wlepiając wzrok w podłogę, stukając palcem i ogólnie sprawiając wrażenie niezbyt rozgarniętego. Po minucie zatrzymał się i spojrzał na Gerda. – Co powiedziałaś?

– Nic – odparł niepewnie piekarz. Nic nie mówiłem.

– *Va a cagare!* Co powiedziałaś minutę temu.

– Ach, o to ci chodzi. Że musi być jakieś inne wyjście.

– Nie, jeszcze wcześniej. Że nie możemy jej więzić bez końca.

Gerd zamyślił się i odrzekł:

– To powiedziała Marlene.

Giovanni z trzaskiem wyłamywał sobie palce – jeden po drugim, powoli, bez końca, tak że Daniel przez chwilę miał wrażenie, jakby Włoch miał nie dwie, lecz cztery dłonie. W końcu kickbokser kiwnął głową, lecz nikt z obecnych, nawet Marlene, która najwyraźniej podsunęła mu rozwiązanie, wciąż nie miał pojęcia, na czym miałyby ono polegać.

Romy leżała z zamkniętymi oczami na leżaku w ogrodzie Marlene. Miała na sobie jedynie żółte bikini, i powoli, nie odrywając ust od kieliszka, sączyła szampana. Wyglądała jak spragnione niemowlę wczepione w matczyną pierś. Stojąca w zasięgu ręki butelka Asti Spumante była w dwóch trzecich opróżniona.

Dziewczyna w pierwszej chwili nie spostrzegła Marlene, gdy ta usiadła obok niej na drugim leżaku. Marlene nie zamierzała rugać swej ulubienicy za picie alkoholu w biały dzień. Nadużywanie wina czy szampana było co prawda najwolniejszą i najbardziej niepozorną formą autodestrukcji, ale też stanowiło znakomitą metodę radzenia sobie ze stresem, a w ich grupie każdy musiał znaleźć własny sposób na oswojenie się z koszmarem.

W tej chwili w piwnicy siedziało dwoje ludzi, przy czym najgorsze było to, że – w przeciwieństwie do Töllera – nie mogli tak po prostu wypuścić Jette. Marlene robiła sobie straszne wyrzuty, że przyczyniła się do tego, iż Giovanni postanowił uwięzić tę biedną kobietę. Ale w tamtym momencie... W stresie nie wiedziała za bardzo, co mówi, i zaraz tego pożałowała. Ale gdyby taka sytuacja się powtórzyła – czy zrobiłaby to samo? Czy to nie byłaby fałszywy żal, na który mogła sobie pozwolić tylko dlatego, że wciąż była na wolności?

Adamscy mieli nowych lokatorów nie tylko w piwnicy, ale również na piętrze, gdyż Romy i Giovanni postanowili zamieszkać w pokoju gościnnym, dopóki... No cóż, trudno powiedzieć, jak długo.

– Wiesz może, co Giovanni zamierza?

Romy usiadła, ziewnęła, po czym wstała i wczepiła się w Marlene niczym małpka.

– Hej, nie słyszałam, jak przyszłaś. Lepiej się czujesz? Wyglądałaś jak upiór.

– Tak, już mi lepiej.

– Witaj wśród żywych.

Pijany anioł wita mnie w piekle, pomyślała Marlene.

– Dziękuję, kochanie. Ale powiedz... co planuje twój wspaniały chłopak? Obiecał, że jej nie tknie, więc mam nadzieję, że wpadł na jakiś rozsądny pomysł.

– On mi nie mówi o takich rzeczach.

– Naprawdę? Wygląda mi na takiego, który jest trochę na bakier z prawem.

– W tej chwili nie. Miał jakieś przejścia z policją, ale wtedy go jeszcze nie znałam.

– Niech zgadnę: narkotyki?

Romy wzruszyła ramionami.

– Zdjęłam pranie i schowałam do szafek. Mam nadzieję, że poukładałam wszystko, gdzie trzeba. Wiesz, że masz mole? Zawiesiłam pułapkę i już jedenaście się złapało. Parę jeszcze się ruszało, ale je utłukłam. Trochę też posprzątałam.

Marlene przez chwilę patrzyła na dziewczynę z cichym smutkiem, który pasował do aktualnej pory roku, gdy wszystko robiło się ciężkie, ale zarazem miękkie. Kiedy Romy odchyliła głowę, by dopić resztkę szampana, kropelka potu stoczyła się po jej szyi, zniknęła w wycięciu bikini, wyłoniła się poniżej i potoczyła dalej, aż zniknęła w zagłębieniu pępka.

– Przypomniałam sobie, że muszę się zabrać do gotowania – powiedziała dziewczyna. – Ty zostań i odpocznij. Popatrz sobie na pszczołki.

Pszczołki. Pani Adamski aż pozazdrościła Romy tej umysłowej ociążałości. To wielki dar, kiedy człowiek umie zagłuszyć sumienie butelką Asti Spumante.

Kiedy Marlene została w ogrodzie sama, wyjęła z kieszeni komórkę i wybrała 110. Po chwili rozległ się męski głos:

– Policja, słucham.

Marlene popatrzyła na ogród i nagle dotarło do niej, że już nigdy go nie zobaczy. Nie będzie się w nim cieszyć początkiem jesieni, nie poczuje w powietrzu kwaskowatego zapachu opadłych owoców i nie zobaczy ciągnących nad nim bocianów. Nigdy więcej nie popatrzy na sikorki, wczepione zimą w kulki karmy, ani na przebijające się przez warstwę śniegu krokusy. Już nigdy nie ustawi w salonie świeżo zerwanych pachnących irysów czy frezji.

Za kwadrans policyjne radiowozy zajadą na sygnale przed dom, funkcjonariusze wpadną do środka i wszystkich aresztują, łącznie z Romy. Wyprowadzą biedne dziecko w kajdankach – i to ona, Marlene, będzie za to odpowiedzialna.

– Policja. Proszę mówić.

Marlene nacisnęła czerwony klawisz.

Niedawno Gerd powiedział, że siedzą w pędzącym pociągu. Teraz jego żona

zrozumiała, że jeśli skład się wykolei, ucierpi nie tylko ona. Ucierpią wszyscy.

Marlene przygotowała na kolację garnek spaghetti napoli, ratatouille, bulion warzywny, knedle i tuzin muffinek. Zupełnie jakby spodziewała się tabunu gości. Romy bez pytania pozwoliła się wypędzić z kuchni i poszła do salonu, gdzie otworzyła drugą butelkę Asti Spumante i sięgnąwszy po pilota, zaczęła przeskakiwać między dwiema różnymi telenowelami.

Kiedy Marlene skończyła i ustawiła wszystko na ogromnej tacy, wzięła klucze do piwnicy, wrzuciła je do kieszeni fartucha i zeszła na dół. Podeszła do drzwi, które znajdowały się nieomal naprzeciwko celi Töllera, otworzyła je i weszła do środka.

Jette Trebuth stała bez ruchu pośrodku pomieszczenia niczym nowoczesna rzeźba: wielkie kolorowe coś na tle gołych ścian. Przez kilka sekund kobiety w milczeniu patrzyły sobie w oczy.

– Kim pani jest? – spytała w końcu żona Daniela.

– Nazywam się Marlene Adamski. To mój dom.

– Skądś panią znam.

– Mamy piekarnię w Prerow, ale pani nie jest moją klientką, może dlatego, że nie sprzedajemy z mężem produktów ekologicznych. Czasami wykupujemy reklamy z naszym zdjęciem.

Przez chwilę znów patrzyły na siebie w milczeniu, mierzyły się wzrokiem, po czym Marlene powiedziała:

– Przyniosłam pani coś do jedzenia. Nie wiem, co pani lubi, więc... Wszystko jest wegetariańskie... to znaczy... wegańskie.

Nagle pani Adamski pomyślała, że to jakiś absurd, zły sen. Przed chwilą miała dłonie w cieście, a teraz te same dłonie ściskają klucz do więzienia. To jakiś teatr absurdu!

– Proszę, może pani wyjść – usłyszała nagle swój własny głos. Nie znalazła w sobie tyle siły, by zgłosić się na policję, ale miała jej dość, by stać w miejscu. – Drzwi są otwarte. Proszę wyjść i zrobić to, co uważa pani za konieczne.

W pierwszej chwili Jette Trebuth nawet nie drgnęła – zupełnie jakby była głucha i nie usłyszała tego, co powiedziała Marlene. Dopiero po kilku sekundach przesunęła jedną stopę do przodu. A potem drugą. Jak zbity pies ostrożnie zmierzała w stronę Marlene, a gdy ją minęła, przyspieszyła i w drzwiach odwróciła się jeszcze w stronę swej wybawczyni, jakby się chciała upewnić, czy to nie jest jakiś koszmarny żart. A potem ruszyła biegiem na górę.

Marlene ciężko wypuściła powietrze.

Udało się! To koniec. A zarazem początek innych tortur: aresztowania, procesu, więzienia. A potem... Cóż, tak daleko jej wyobraźnia nie sięgała.

W tym momencie znalazła się jakby w oku cyklonu – stary koszmarny zostawiła za sobą, nowy dopiero ją czekał. Za chwilę uwolni Töllera, a potem wszystko będzie kwestią kilku minut, może godziny. Policji powie, że to Romy namówiła ją do uwolnienia Töllera i Jette, dzięki czemu mała zostanie potraktowana przez sąd łagodniej. Przy dobrym sprawowaniu –

a w przypadku Romy trudno sobie wyobrazić inną możliwość – za dwa, trzy, może cztery lata wyjdzie na wolność. Nic więcej Marlene nie mogła zrobić dla tej biednej dziewczyny, która przecież miała przed sobą całe życie.

Właśnie miała wyjść z piwnicy, gdy usłyszała na górze krzyk, potem głośny rumor, a w końcu upiorną ciszę.

Wrzesień

Kiedy Christopher na prośbę Iny opuścił gabinet nadkomisarza Wittego, w pomieszczeniu na kilka sekund zaległa cisza. Gdy chłopak raz jeszcze opowiadał to, co powiedział terapeutce w kawiarni, Wittemu towarzyszyło dwóch innych komisarzy. Jeden z nich co chwila zerkał na zegarek, drugi natomiast trzymał długopis między palcami i od czasu do czasu wkładał go sobie w usta – zupełnie, jakby zaciągał się papierosem.

Witte odepchnął się swoją długą nogą, zakręcił dwa kółka na obrotowym fotelu i w końcu przerwał milczenie.

– Cóż, to oczywiście bardzo interesująca wiadomość. Jeśli Daniel Trebuth miał kochankę, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej.

– Prawdę mówiąc, nie wierzę, żeby miał romans – zastrzegła Ina. – Myślę, że wiem, kim była kobieta, o której mówił Christopher. Nazywa się Romy Haase i pracowała w piekarni Adamskich w Prerow. Chociaż osobiście jej nie znam, wydaje mi się, że nie pasowałaby do Daniela Trebutha. Poza tym była związana z innym mężczyzną.

– Policja zawsze jest wdzięczna za rady, pani Bartholdy, ale wnioski proszę zostawić nam.

Słyszając sarkazm w głosie nadkomisarza, terapeutka przypomniała sobie jego propozycję, by przestała się bawić w pannę Marple. Z drugiej strony powinien był jej i Christopherowi okazać wdzięczność za nowe informacje i ani myślała dać się tak łatwo zbyć. Tym bardziej że nie interesowała się tą sprawą z czystej ciekawości, tylko ze względu na swoich pacjentów – Marlene i Christophera.

– Powiedział pan przed chwilą, że to zmienia postać rzeczy. Mogę zapytać, w jakim kierunku zmierzało śledztwo do tej pory?

– Niestety. Podobnie jak panią, obowiązuje nas tajemnica – odparł krótko Witte.

Ina postanowiła strzelić w ciemno. W drodze z kawiarni, w której Christopher jej się zwierzył, sprawdziła w smartfonie kilka rzeczy.

– Czy pana dotychczasowe śledztwo w sprawie pani Trebuth miało przypadkiem coś wspólnego z Alwinem Töllerem?

Kiedy wypowiedziała to nazwisko, dostrzegła wśród policjantów pewne poruszenie. Jeden z nich wyjął ołówek z ust, drugi zapomniał na chwilę o swoim zegarku, a Witte zamarł na fotelu.

– Skąd pani o tym wie?

– Przykro mi, nadkomisarzu, tajemnica zawodowa. Ale natrafiłam w Internecie na kilka starych artykułów o zaginięciu doradcy inwestycyjnego Alwina Töllera. Zaginął tak jak matka Christophera. Zastanawiam się, czy to możliwe, że te sprawy się jakoś łączą.

Policjanci spojrzeli po sobie.

– Daj spokój – powiedział w końcu ten z ołówkiem w ustach, zwracając się do swojego szefa. – Większość i tak można przeczytać w gazetach.

Witte przewrócił oczami.

– Dobra, niech stracę. Założmy, że tych dwoje się znało.

– Jette Trebuth i ten Töller? Sądzi pan...

– Owszem, tak właśnie sędzę. Moim zdaniem znali się, i to bardzo dobrze. Przeciwno Alwinowi Töllerowi toczy się śledztwo w sprawie oszustwa i niezapłaconych podatków. Poza tym jest jeszcze kilka innych poszlak wskazujących na to, że wyjechał za granicę. Przede wszystkim przed zniknięciem wyczyścił swoje konta, a jego mercedesa znaleziono przed dworcem kolejowym w Rostocku. Stamtąd mógł pojechać wszędzie. Sprawdziliśmy listy pasażerów wylatujących z niemieckich lotnisk, ale nie znaleźliśmy jego nazwiska. Mógł jednak równie dobrze wylecieć z Warszawy, Zurychu czy Pragi. O ile w ogóle postanowił lecieć. Dziwne tylko, że zniknął jego kot. Kto ucieka za granicę z kotem? Przy wyjeździe za ocean trzeba wypełnić mnóstwo papierów, a tym samym pozostawić za sobą wiele śladów. Jeszcze ciekawsze jest to, że przed zniknięciem zablokował karty kredytowe. Nie rozumiem, dlaczego to zrobił. To wszystko nie trzyma się kupy, ale to jedyny trop, jaki mamy. A przynajmniej mieliśmy do dzisiaj.

Terapeutka na chwilę się zamyśliła.

– No dobrze, ale jak pan wpadł na to, że ten Töller i Jette Trebuth się znali?

– Jej mąż procesował się z Töllerem. Jakiś czas temu, ale to zawsze jakieś powiązanie. Poza tym Jette Trebuth zaciągnęła spore kredyty, które prędzej czy później doprowadziłyby do bankructwa jej sklepu.

– Niech zgadnę: państwo Adamski również procesowali się z Töllerem.

– Tak, ale skąd...

– Marlene.

– Aha. I teraz jeszcze wyjeżdża pani z tą Romy Haase. To się robi naprawdę zagmatwane.

Ina wyjątkowo zgodziła się z nadkomisarzem. Jej również ta cała historia przypominała rozbabrany plac budowy, na którym nie wiadomo, co do czego pasuje i jak będzie wyglądał ostateczny efekt. Obiektywnie rzecz biorąc, mieli jedynie zaginionych ludzi, którzy mogli mieć coś wspólnego z zabójstwem Gerda Adamskiego – albo i nie.

– Kiedy Alwin Töller zniknął? – spytała Ina.

– Oficjalnie dopiero w połowie sierpnia, bo nie mogliśmy znaleźć nikogo, kto miałby prawo złożyć oficjalne zawiadomienie. Töller nie miał krewnych, ale jego sprzątaczką, niejaką Egzonjeta... Egzonjeta jakoś tam, nie jestem w stanie wymówić nazwiska, dwudziestego szóstego lipca powiedziała nam, że coś się nie zgadza.

– Jette Trebuth zniknęła wcześniej, prawda?

– Tak, kilka dni wcześniej.

– Niech mi pan powie... czy Romy Haase też przypadkiem nie zniknęła? – dążyła Ina.

– Nie, w ciągu ostatnich dwóch lat zgłoszono czternaście przypadków zaginięć, wszystkie znam. Romy Haase nie ma na liście.

– A jej chłopak? Giovanni? Niestety nie znam nazwiska.

– Żadnego Giovanniego też tam nie ma. – Witte westchnął poirytowany. – Proszę posłuchać, pani Bartholdy. Nie jesteśmy dyletantami. Oczywiście braliśmy pod uwagę możliwość, że Jette Trebuth i Alwin Töller padli ofiarami przestępstwa. Robimy to w przypadku każdej zaginionej osoby. Jeśli chodzi o panią Trebuth, to przeczesałiśmy nawet las, w którym widziano ją po raz ostatni, oraz wybrzeże nieopodal. I nic. Nie znaleźliśmy zwłok. Może Töller ją porwał, a może przekonał, by uciekła razem z nim. Sam jestem ojcem. Wiem, że żaden rodzic nie zostawi ot tak swoich dzieci. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, ale mam na biurku jeszcze dwanaście innych zaginięć, którymi też się muszę zajmować. Do tego ten samochód na dworcu, śledztwo przeciwko Töllerowi i długi pani Trebuth. Oboje byli w tarapatkach. Z naszego punktu widzenia to wygląda na wspólną ucieczkę.

Ina kiwnęła głową. Najwyraźniej w życiu żony Daniela i uznanego doradcy inwestycyjnego nie wszystko toczyło się jak należy.

Witte z pewnością powiedział jej więcej, niż mógł. Dlatego chociaż przekazała mu już interesujące informacje, postanowiła mu wyświadczyć jeszcze jedną przysługę, trochę w rewanżu za jego szczerość, a trochę dlatego, że ludzi łatwiej zdobywa się życzliwością niż surowością.

– Czy rozważał pan przeprowadzenie przeszukania w domu Daniela Trebutha? – spytała.

– Proszę wybaczyć, ale to nie pani sprawa – odparł nadkomisarz.

– Uzyskanie nakazu na pewno nie byłoby łatwe. Fakt, że Daniel Trebuth był widziany w jednym samochodzie z inną kobietą, raczej nie przekona sędziego.

– Bardzo dziękuję, pani Bartholdy. Bez pani pewnie bym na to nie wpadł. A teraz wybaczy pani, mamy mnóstwo pracy.

– Jeśli mogę coś panu poradzić, nadkomisarzu... – powiedziała Ina z szelmowskim uśmiechem. – Proszę jeszcze raz porozmawiać z Christopherem. Być może nazwisko Alwina Töllera nie jest mu całkiem obce. Może sędzia przychyli się do pańskiego wniosku, kiedy usłyszy, że Daniel Trebuth był w domu Töllera dwa dni przed jego zniknięciem.

Biorąc pod uwagę obowiązującą ją tajemnicę zawodową, Ina poruszała się po cienkim lodzie, ale w ostatnim czasie powoli zaczęła się już do tego przyzwyczajać.

Kiedy policjanci skończyli ponownie przesłuchiwać Christophera, Ina ruszyła do domu. Stefanie siedziała ze swoim chłopakiem pod rączkę na tylnej kanapie, a jej matka zastanawiała się, jak wybrnąć z tej sytuacji. Dom chłopaka mogła wkrótce przeszukać policja – o czym mu oczywiście nie powiedziała – lecz mimo to nie mogła go przyjąć pod swój dach. Po prostu nie mogła.

– Zadzwoń do twojego ojca i zapytam, czy ma coś przeciwko temu, żebyś dzień, dwa...

– Super! Zostanie u nas? – wykrzyknęła z zachwytem Stefanie.

– Nie, to niemożliwe. Ale możecie spać u Bobby’ego. Jedno w pokoju gościnnym, drugie na sofie.

– Znowu jesteście razem?

– Tak. I jutro wprowadza się do domu. Dopóki nie skończy się remont, właściciel oddał mu do dyspozycji letni domek. A przy okazji... byłoby miło, gdybyście mu trochę pomogli, żeby nie musiał wszystkiego sam dźwigać. Ja niestety mam jutro cały dzień zajęty.

– Jasne, nie ma sprawy – powiedział Christopher. – Wolałbym tyrać w obozie pracy niż wrócić do ojca. Za dwa tygodnie skończę szesnaście lat i będę mógł złożyć wniosek o wcześniejsze uznanie za pełnoletniego. Potem poszukam sobie mieszkania i szkoły.

– Super! – znów wykrzyknęła Stefanie, prawdopodobnie już sobie wyobrażając, jak się do niego wprowadza.

W ciągu kilku dni ta dwójka mocno się zżyła. Ina uznała, że Christopher ma dobry wpływ na jej córkę, zwłaszcza po tym, jak wyperswadował jej praktyki w zoo i przekonał ją, by wróciła do szkoły. Aczkolwiek trzeba zauważyć, że na jej decyzję mogło też wpłynąć i to, że ogród zoologiczny w Rostocku nie szukał aktualnie opiekunów dla małp, tylko dla gadów. A legwany i grzechotniki nie za bardzo się nadają do przytulania.

Po wyznaniu, które Christopher poczynił w kawiarni, Ina chciała go jeszcze o coś zapytać, ale wypadło jej z głowy o co. Była potwornie znużona. W jej głowie kotłowało się tyle myśli, że szare komórki nie były w stanie ich przerobić. Co miało oznaczać to dziwne spojrzenie policjanta? Czy zamierzają przeszukać również dom Adamskich? Co Marlene wiedziała na temat śmierci swojego męża? Czy Gerd miał jakiś związek ze zniknięciem matki Christophera? Gdzie się podziała Romy Haase i jaką odgrywała rolę w tej całej historii? Jak mała Felicia poradzi sobie ze zmianami, które zapewne nastąpią w życiu jej rodziny? Czy to, co jest między Stefanie a Christopherem, nie dzieje się aby za szybko?

Matczyne troski mieszały się z palącym pytaniem terapeutki, kobiecą ciekawością i – niestety – psychicznym wycieńczeniem. Myślenie o przemocy i śmierci było szalenie wyczerpujące, a ponadto Ina czuła się trochę nieswojo, podejrzewając swoich pacjentów i ich krewnych o jakieś konszachty. Mimo to nie mogła zapomnieć, że w tej sprawie jedna osoba została zabita, a dwie zaginęły. Przynajmniej, bo jeśli doliczyć nagłe zniknięcie Romy Haase, to nawet trzy.

Kiedy zatrzymała się przed domkiem Bobby'ego i wysiedli z auta, zadzwoniła do Daniela Trebutha.

– Czy miałby pan coś przeciwko temu, gdyby pański syn spędził kilka dni w domu mojego przyjaciela? W oddzielnym pokoju, ma się rozumieć.

– Nie. To znaczy... W porządku. W tej chwili tak nawet będzie lepiej. Rozumiem, że Chris opowiedział pani o naszej kłótni. Poza tym tutaj też nie do końca... Jeśli chce, może zostać nawet dłużej.

Ina nie miała wątpliwości, że Daniel Trebuth był poirytowany i zaniepokojony, choć z pewnością nie jej prośbą. W tle słychać było kobiece i męskie głosy oraz dźwięk przesuwanych i otwieranych mebli.

Najwyraźniej przeszukanie trwało w najlepsze.

Ina nie zapytała o nic, tylko zaproponowała, że zabierze Felicię i zawiezie ją do brata.

– To by była dla pańskiej córki mała przygoda – próbowała przekonać Daniela. – Dzieci w wieku Felicii zwykle lubią wycieczki w nieznaną, a przy Christopherze będzie się

czuła bezpieczna.

– Nie dzisiaj, pani Bartholdy. Dziękuję za propozycję, ale... Nie, córka zostanie ze mną. Proszę zrozumieć, nie mogę teraz być sam – powiedział Daniel Trebuth, po czym się rozłączył.

Ina miała związane ręce. Biedna mała Felicia. Policjanci przeszukają też jej rzeczy. I rzeczy jej brata. Dla małej dziewczynki nie było to nic przyjemnego. Również Christopher zrobił się milczący, gdy terapeutka powiedziała mu, co się dzieje w jego domu. Możliwe, że dopiero teraz uświadomił sobie, że jego ojciec jest bardziej bezpośrednio zamieszany w zaginięcie jego matki.

Następnego dnia Ina miała calusieńki dzień zajęty. Pomiędzy sesjami próbowała się skontaktować z Wittem, ale nadkomisarz albo faktycznie był bardzo zapracowany, albo kazał ją spławić. Nie oczekiwała od niego szczegółowego raportu z przeszukania, ale miała nadzieję, że przynajmniej się dowie, jak poszło. W końcu miała spory udział w tym, że policja natrafiła na nowy trop.

Stefanie zadzwoniła pod jakimś pretekstem do biblioteki miejskiej i dowiedziała się, że ojciec Christophera jak zwykle zjawiał się w pracy.

– Nie powinnaś się do tego mieszać – skarciła ją Ina telefonicznie.

– Nie sądzisz, że już dawno jestem w to zamieszana?

– Owszem, ale to nie twoja sprawa.

– Wyluzuj.

– Słucham?

– Daj spokój. Chcę pomóc Chrisowi w trudnym momencie i nie możesz mi tego zabronić.

– Wcale nie zamierzam. Chcę tylko, żebyście zostali u Bobby’ego, wtedy wszystko się ułoży. Jak przeprowadzka? Poradzicie sobie?

– Nie, jeśli będziesz tu co godzinę wydzwaniać.

Podczas przerwy obiadowej Ina próbowała dodzwonić się do Marlene, by się dowiedzieć, czy wszystko u niej w porządku, i wy badać, czy policja przeszukała również jej dom. Głos pani Adamski brzmiał zupełnie zwyczajnie. Jak na gust Iny – aż zbyt spokojnie. Terapeutka szybko jednak uznała, że przesadza, doszukując się we wszystkim drugiego dna. Zupełnie jak stereotypowy psycholog.

Po południu zadzwonił pastor z kościoła w Prerow. W końcu udało mu się ustalić, że dwie Syryjki, którymi Marlene opiekowała się rok wcześniej, zostały przeniesione w okolice Schwerina. Mieszkają w ośrodku dla uchodźców, a nawet znalazły jakąś pracę. To zaś mogło oznaczać, że nauczyły się czegoś języka niemieckiego. Pastor odszukał nawet jakieś ich zdjęcie z Marlene i wysłał je Inie mailem.

Terapeutka uznała, że wypad do stolicy landu nie zajmie jej wiele czasu. Wciąż pamiętała, jak Marlene niedawno w rozmowie z pastorem niemal palcem wskazała swej terapeutce na te dwie Syryjki, po czym dosłownie uciekła. W normalnych okolicznościach Inie nawet by nie przyszło do głowy urządzić taką gonitwę po całym landzie. Nie miała aż tyle czasu, a powodzenie całego przedsięwzięcia wydawało się w najlepszym razie wątpliwe. Nawet nie wiedziała, o co miałyby te kobiety pytać.

Ale to nie były normalne okoliczności. Tragiczna śmierć Gerda Adamskiego i jej ewentualny związek ze zniknięciem Jette Trebuth, a do tego relacja łącząca Stefanie z Christopherem sprawiały, że była to wyjątkowa sprawa. Jak to powiedziała Stefanie? Już dawno jest w to zamieszana. Gdyby Ina chciała się teraz wycofać, musiałaby to zrobić natychmiast i całkowicie, co choćby ze względu na Stefanie było niemożliwe. Afnan i Chadisza były przysłowiową brzytwą i Ina musiała się jej chwycić, gdyż w otwartej rozmowie z Marlene nie posuwała się nawet o krok naprzód.

Dlatego skończyła pracę nieco wcześniej i wyruszyła do Schwerinu. W drodze zadzwoniła do Bobby'ego.

– Co u was? Wszystko w porządku?

– Jak najbardziej. Pomijając to, że kiedy widzę Stefanie i Christophera, jeszcze bardziej za tobą tęsknię.

Ina parsknęła śmiechem.

– Bo?

– Bo się bez przerwy obściskują. Nawet z kartonami na rękach prawie nie odrywają od siebie ust. Strasznie im zazdroszczę.

Nawet ta krótka rozmowa z Bobbym sprawiła, że Ina poczuła się dużo lepiej, a kiedy sobie przypomniała, jak strasznie jeszcze kilka dni temu cierpiała z powodu zerwania, po plecach przeszedł jej lodowaty dreszcz.

Na szczęście wszystko się dobrze skończyło, a ona – jak to się mówi – potraktowała to jako życiowe doświadczenie. Aczkolwiek nie miała ochoty przeżyć tego raz jeszcze.

Ośrodek dla uchodźców okazał się niezbyt ładnym, ale czystym blokiem mieszkalnym usytuowanym na przedmieściach Schwerinu. Był tu ktoś w rodzaju konsjerża – sprzątaczką z pomarszczoną twarzą, która stanęła w otwartych drzwiach, trzymając w ręku berło w postaci mopa.

– Przepraszam, chciałabym porozmawiać z Afnan i Chadiszą Kodmani.

– Afgankami?

– Syryjkami?

– W burkach?

– W chuście i kaftanie, tak mi się zdaje.

– Pierwsze piętro. Ale są w pracy. Przynajmniej młodsza. Czy starsza jest w domu, nie wiem, musi pani sprawdzić. Ale ona i tak nie mówi po niemiecku. Zna pani ich język?

– Niestety nie.

Ina postanowiła, że mimo wszystko zajrzy do przyjaciółek Marlene. W pokoju

faktycznie była tylko Chadisza, matka Afnan. Na szczęście kobieta kompensowała kiepską niemczyznę serdecznością i gościnnością i kiedy terapeutka przekazała jej pozdrowienia od pastora, a potem wypowiedziała imię Marlene, Syryjka zaopatrzyła Inę w słodką herbatę i kawałek jeszcze słodsze go keksa, po czym zaprowadziła ją do wyłożonego orientalnymi chustami i dywanami pokoju, który służył jako salon, a zarazem sypialnia. Pozostałe pokoje zajmowały inne uciekinierki z Bliskiego Wschodu.

Chadisza, niemal bez przerwy się uśmiechając, przez następne pół godziny raz po raz zapewniała Inę, że Afnan powinna wkrótce wrócić. Psycholożka chętnie zamieniłaby z kobietą kilka słów, zwłaszcza że od pastora wiedziała, iż pięćdziesięcioletnia Syryjka straciła w czasie wojny trzech synów i córkę. Prawdopodobnie właśnie dlatego przedwcześnie się postarzała i w oczach Iny wyglądała raczej na siedemdziesięciolatkę. Sugerowały to pewna ociężałość ruchowa kobiety oraz fakt, że się szybko męczyła.

Afnan nie kazała na siebie długo czekać. Miała dwadzieścia dwa lata i uczyła się zawodu – miała zostać opiekunką chorych. Odkąd zamieszkała w Schwerinie, czyli w ciągu zaledwie roku, zrobiła ogromne postępy.

– Dziś mówię już całkiem dobrze – odrzekła skromnie, gdy Ina pochwaliła jej znajomość języka. – Ale przede mną jeszcze długa droga. Kiedy podejść do egzaminu, chcę mówić lepiej niż dobrze. Ale i tak jest lepiej niż rok temu. Wtedy prawie nie mówiłam. Ale Marlene i tak przychodziła. Wymieniałyśmy przepisy na ciasta i Marlene piła z nami herbatę. Nie było okazji się pożegnać. Wszystko tak szybko.

Chadisza, matka Afnan, ze smutkiem skinęła głową.

– Tak szybko – powtórzyła Afnan i dołała Inie herbaty. – Proszę przekazać Marlene nasze „dziękuję”.

– Oczywiście – obiecała gorliwie psycholożka, choć sama jeszcze nie wiedziała, czy powie pacjentce o tej wizycie. Decyzja zależała od tego, czego się dowie. – Marlene przeżywała ostatnio trudny czas. Miała problemy, a teraz jeszcze umarł jej mąż. Został... został niestety zamordowany.

Afnan przetłumaczyła słowa terapeutki na arabski, na co Chadisza coś odpowiedziała i kobiety wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

– Jest pani przyjaciółką Marlene?

– Tak. Bardzo ją lubię. Dużo rozmawiamy, ale czuję, że ukrywa przede mną coś ważnego. Chciałaby mi o tym opowiedzieć, ale coś jej na to nie pozwala. Wie pani, sądzę, że Marlene w głębi duszy chciała, żebym tu przyjechała. Jeśli więc coś panie wiedzą, proszę mi powiedzieć.

Afnan znowu przetłumaczyła. Między kobietami doszło do wymiany zdań, której, jak to bywa na Bliskim Wschodzie, towarzyszyła żywa gestykulacja. Chadisza protestowała przeciw temu, co Afnan chciała uczynić, ale bez zgody matki nie miała odwagi. Dyskusja trwała kilka minut, aż w końcu Chadisza najwyraźniej udzieliła – aczkolwiek z wielkim oporem – swego błogosławieństwa.

– Jak powiedziałam, mój niemiecki rok temu był niezbyt dobry – powiedziała Afnan. – Dlatego nie rozumiałam wszystkiego, co Marlene nam opowiadała. Dopiero później, po wielu tygodniach, lepiej ją rozumiałam.

Czternaście miesięcy wcześniej

Pierwszy raz od dnia porwania Marlene znów poszła do kościoła. Dwa tygodnie wcześniej powiedziała, że jest przeziębiona i nie będzie przychodzić na najbliższe próby chóru. Na nabożeństwa i tak uczęszczała rzadko. Nie przepadała za kazaniem, za to lubiła siedzieć sama w pustym kościele – najbardziej w słoneczne dni, kiedy całe prezbiterium tonęło w jasnym świetle. Wtedy najlepiej jej się medytowało.

To właśnie tutaj przed dwudziestu laty pierwszy raz spotkała swojego Anioła Stróża. Chociaż... to nie do końca trafne określenie, gdyż nie było to, ma się rozumieć, takie zwykłe spotkanie. Raczej poczuła czyjaś obecność i nagle zapragnęła powiedzieć „dziękuję”. „Dziękuję za zdrowie, życie bez wielkich stresów i wielkich zgryzot, za dobrego męża, życie w stosunkowo zasobnym, wolnym od wojny kraju”.

Wystarczyło przecież włączyć wiadomości, by się przekonać, ile jest na świecie cierpienia. Ileż to godzin spędziła w tym kościele, zatopiona w owym poczuciu nieomal niebiańskiego ukojenia. Światło i cisza były jej radością i pocieszeniem.

Marlene nie była osobą wierzącą – w każdym razie nie wierzyła w sposób naiwny. Wiedziała, że ów głos Boga czy anioła jest koniec końców echem jej własnej duszy, odebranego wychowania, przesądów, własnych upodobań i wstrętów, książek, które przeczytała, i filmów, które obejrzała. Jednym słowem – echem wszystkich jej nadziei i rozczarowań. Jej Anioł Stróż nie miał widzialnej postaci, nie fruwał wokół niej i nie osłaniał swymi skrzydłami przed rzuconym kamieniem, zatrutym jedzeniem czy pijanym kierowcą. Był raczej czymś w rodzaju energii, duchowego stróża, nad-ja.

I właśnie dlatego to, co się stało tego dnia, było tak straszne. Marlene nie czuła dosłownie nic. Światło i cień, słońce i chmury zmieniały się nad ołtarzem niczym powolne, nieregularne bicie serca, lecz nie było w tym życia, obecności, poruszenia. Niebo umilkło. Po tygodniach, które Marlene spędziła, błąkając się po bezdrożach, trafiła w to mroczne, opuszczone miejsce. Była sama.

Cicho zaintonowała jeden z chorałów Bacha: „Anioły! Ze mną pozostawajcie! Weźcie pod rękę mnie z każdej strony”.

Na próżno. To, co się stało, i to, co jeszcze miało się zdarzyć, było straszne. Kompletnie ją zdruzgotało.

Gdybyż była katoliczką! Mogłaby wówczas pójść do spowiedzi. Albo wpatrywać się w papieża na ekranie telewizora, licząc na odpust.

Lecz wszystkie te drogi były przed nią zamknięte. Dla protestantów, póki chodzą po tym łez padole, nie ma boskiego przebaczenia. Tak przynajmniej ona to rozumiała.

Czy w jej oczach widać było ciężącą na niej winę? Czy można ją było wyczuć w jej głosie, dostrzec w drżących dłoniach?

Afnan i Chadisza, które odwiedziła po wyjściu z kościoła, sprawiały wrażenie, jakby niczego nie zauważyły. I tak zamierzała do nich wpaść, tak jak to miała w zwyczaju

w ostatnich miesiącach, ale tego dnia nie potrafiła się pozbyć myśli, że przyjaźń i pomoc okazywana tym kobietom stanowi jakby ciężar położony na drugiej szalce wagi, która groziła przechyleniem się na niekorzyść Marlene.

Spotkanie trwało nieco dłużej niż zwykle, tak że w pewnym momencie skończyła się słodzona herbata i zgasły uśmiechy. Marlene miała ochotę zwymiotować, ale powstrzymywała ją przed tym jakaś siła. Na kilka sekund zapanowało milczenie i ustał wszelki ruch – zupełnie jak na obrazie.

– W piwnicy mojego domu jest uwięziony człowiek – wyrwało się nagle z ust Marlene.

Syryjki spojrzały na nią bezradnie. Marlene od miesiący bezskutecznie próbowała zorganizować dla nich jakiś kurs językowy, toteż nie rozumiały po niemiecku ani słowa.

– Człowiek – powtórzyła młodsza z nich i zachichotała. Jej matka poprawiła sobie chustę na głowie.

– To nie jest normalne. Nie myślcie sobie, że tutaj mamy takie zwyczaje czy coś w tym stylu. Porwanie jest sprzeczne z prawem. Ale co zrobić, kiedy prawo zostawia cię na lodzie? Czy wtedy jeszcze obowiązuje? Czy można się opierać na złamanym kijku? Nie. Wyrzuca się go i struga nowy. Gdyby kilka lat temu ktoś mi powiedział, że będę więźnicą w piwnicy człowieka... – Marlene zaśmiała się nerwowo, ale zaraz się opanowała. – Chcę tylko odzyskać to, co do mnie należy. To, co mi zabrał. Nie mogłam spać, jeść, przestałam się cieszyć pracą, myślałam o tym sto, tysiąc razy na dzień. Nie mogłam tak dalej żyć. Ten człowiek, Töller, jest jak wilk. Nawet gorzej: jak hiena. Ścigał mnie aż do ostatku sił. Mało tego, miałam wrażenie, że się ze mnie śmieje. Dlatego podniosłam na niego rękę. Rozumiecie? Zrobiłam to w obronie własnej.

Syryjki zaczęły między sobą szeptać. Czuły, że zdarzyła się jakaś tragedia, ponieważ rozpacz jest językiem zrozumiałym na całym świecie.

– Ale wszystko wymknęło się spod kontroli. Nie zauważyłam tego w porę, a teraz... Cokolwiek zrobię, nawet jeśli nie robię nic, ktoś przez to cierpi.

Marlene nie spodziewała się ze strony swoich syryjskich przyjaciółek żadnej reakcji. Zwierzyła im się tylko dlatego, że czuła, iż musi to wypowiedzieć na głos. Sama nie wiedziała, co niby miało to dać. Wcale nie poczuła się lepiej. Przecież Afnan i Chadisza nawet nie rozumiały, o czym mówiła. Mimo to czuła potrzebę wyrazić swój żal na oczach tych niewinnych dusz, kobiet, które same mnóstwo wycierpiały i wiele miały do wybaczenia.

– Ostatnio ktoś mi powiedział, że musimy zamienić życie tego człowieka w piekło, bo inaczej to piekło pochłonie nas. I teraz nas właśnie pochłonęło. Bo to jest piekło, prawda? Miejsce, skąd nie ma ucieczki, w którym każde drzwi prowadzą tylko jeszcze głębiej w mrok.

Wrzesień

B było długo po północy, kiedy Ina wróciła do domu. Na autostradzie natrafiła na korek spowodowany przez wypadek. Po wielu godzinach mozolnej jazdy minęła wreszcie tuzin włączonych policyjnych kogutów. Dużą część tego czasu spędziła na rozmyślaniach. Myślała o tym, jak krótkie jest życie i jak niespodziewanie może się skończyć. O tym, jak zawile są jego ścieżki i jak wiele przynosi niespodzianek, i dobrych, i złych. Dobra to na przykład ta, że Stefanie od niedawna próbowała nawiązać z nią bliższą więź i że znów są z Bobbym razem. A zła – że Marlene prawdopodobnie uwikłała się w wyjątkowo nieprzyjemną aferę.

Ina próbowała uporządkować to, co opowiedziały jej Afnan i Chadisza, i zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Afnan wiedziała jedynie, że jakiś mężczyzna był przetrzymywany w domu państwa Adamskich, a i to uświadomiła sobie dopiero dużo później, kiedy nauczyła się trochę niemieckiego i przeanalizowała zapamiętane fragmenty tamtego monologu Marlene.

Co w tym wypadku znaczy słowo „przetrzymywany”? Jak długo i w jakim sensie? I jak się to wszystko skończyło?

Na żadne z tych pytań Ina nie знаła odpowiedzi. Ale uzyskała potwierdzenie – i to dość dobitne – tego, że mniej więcej rok wcześniej Marlene była straszliwie udręczona i odczuwała ogromne wyrzuty sumienia.

Na jedno pytanie wszelako psycholożka musiała sobie odpowiedzieć – mianowicie: co zrobić z tą szczątkową wiedzą, którą uzyskała od Syryjek? A dokładniej: czy ma przekazać te informacje policji, czy też zachować je na razie dla siebie? Z jednej strony chodziło o jej pacjentkę, w związku z czym Inę obowiązywała tajemnica. W tym wypadku regulacja o zwolnieniu z tajemnicy nie miała zastosowania, gdyż dotyczyła wyłącznie zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa, a nie jakichś niejasnych wydarzeń z odległej przeszłości. Z drugiej strony terapeutka uzyskała te informacje nie od Marlene, tylko od osoby, która nie była jej pacjentką, więc formalnie nie obowiązywała jej tajemnica.

Takie to są skutki, kiedy się człowiek za bardzo angażuje. Wynikają z tego same kłopoty.

Ina ostatekiem sił weszła do swojego pustego mieszkania i rzuciła się na puste łóżko. Kiedy jednak zdjęła buty i zaczęła rozpinąć bluzkę, nagle zatęskniła za ludźmi, których kochała, a którzy o tej porze już dawno spali. Ubrała się zatem i wyruszyła do Zingst, do domu Bobby’ego. I nie przeszkadzało jej nawet, że będzie spać pod jednym dachem ze swoim pacjentem.

Dopiero w ogrodzie nowego domu Bobby’ego – który skądinąd wyglądał identycznie jak stary – uświadomiła sobie, że nie ma do niego kluczy, a nie chciała nikogo budzić. Na

szczęście zauważyła słabą poświatę lampy w oknie salonu. Zerknęła do środka i zobaczyła Christophera, który siedział na przekształconej w prowizoryczne łóżko sofie i nad czymś dumał.

Zapukała leciutko w szybę i chłopak otworzył jej drzwi.

– Wszystko w porządku? – spytała szeptem.

– Jako tako.

Bobby zdążył wypakować niewiele swoich rzeczy, toteż w maleńkim, mierzącym ledwie cztery metry kwadratowe salonie piętrzyły się kartony. Było ciasno i pachniało wilgotną tekturą. Mimo to Christopher uszanował wolę Iny i nie wśliznął się potajemnie do pokoju Stefanie.

Chłopak usiadł z powrotem na sofie i pociągnął łyk piwa z butelki, którą nerwowo obracał w dłoniach.

– Bezalkoholowe – uprzedził ewentualne pytanie terapeutki. – Bobby mi postawił.

– W porządku.

– Pani przyjaciel to świetny facet. Specjalnie pojechał kupić moją ulubioną pizzę. Zastanawiam się, czy mógłby mnie adoptować. – Christopher zaśmiał się nerwowo i zdjął z fotela ułożone na nim ubrania, by Ina miała gdzie usiąść.

– Powiesz mi, co się dzieje? – spytała Ina. – Widzę, że coś jest nie tak. Chodzi o twojego ojca?

Chłopak kiwnął głową.

– Przesłuchała go policja. Wie pani, wtedy też wypytywali ojca, tak jak mnie, naszych sąsiadów i w ogóle wszystkich, którzy mieli jakiś związek z moją mamą. Ale teraz to było zdaje się prawdziwe przesłuchanie. A to zupełnie co innego. Oni naprawdę sądzą, że mój ojciec... – Christopher pociągnął następny łyk. – Cholera.

– Gdzie on teraz jest? – spytała Ina.

– Wrócił do domu. Od razu do mnie zadzwonił. Powiedział, żebym się nie martwił. On naprawdę ma nie po kolei w głowie.

– Policjanci by go nie wypuścili, gdyby mieli dowody jego winy. A skoro policja tak uważa, to i my powinniśmy, rozumiesz?

– I tak uważam, że to kompletny nieudacznik.

– Jeśli chcesz zranić i upokorzyć ojca, to jesteś na najlepszej drodze. Myślę, że niewiele jest gorszych rzeczy, jakie można powiedzieć rodzicom.

– Ale to prawda. Wszystko diabli wzięli. Naszą rodzinę, nawet dom, bo niedługo nas z niego wyrzucą. Jak pani by nazwała kogoś takiego? Przecież to niedołęga, kompletne zero.

Christopher przez czternaście miesięcy wyobrażał sobie, że jego matka żyje. Gdzieś daleko, może na końcu świata, ale żyje. A teraz w każdej chwili mogło się okazać, że została zamordowana, a zabójcą jest jego ojciec. Niespełna szesnastoletni chłopak mógł w jednej chwili stracić oboje rodziców, ich miłość, dom, zaufanie do ludzi, niemalże wszystko, co daje oparcie w życiu.

– Ile wydałeś na ścianę z luksferów? – spytała Ina.

– A jaki to ma związek?

– Ile?

– No... Nie wiem... Może osiemset, dziewięćset euro?
– A ile czasu poświęciłeś na jej zbudowanie?
– Mnóstwo.
– Ile dostajesz kieszonkowego?
– Czterdzieści euro tygodniowo.
– Czyli wydałeś na to kilkumiesięczne kieszonkowe i poświęciłeś mnóstwo czasu. Twój ojciec zrobił dokładnie to samo. Dla rodziny. Bezinteresownie.
– Jasne, bezinteresownie. Ten dom to było *jego* marzenie.
– Takie jak twoje o ścianie z podświetlonych luksferów. Być może twój ojciec był nieco lekkomyślny, ale jeśli nawet tak było, to nie robił tego tylko dla siebie. Na ile go zdążyłam poznać, wydaje mi się, że robiąc to, myślał przede wszystkim o was.
– I zawałił na całej linii. Mimo wszystko pozostanę przy swojej opinii: to nieudacznik.
– Załóżmy, że Stefanie zacznie studia i przerwie je, bo nie będzie sobie radzić. Czy wtedy też będzie nieudacznikiem? Powiesz tak o niej?
– Na pewno nie – zaprotestował gwałtownie chłopak. – To nie to samo.
– Oczywiście, że nie. Ale takie jest życie. Czasem musisz porównywać jabłka z gruszkami. Nic nie jest dokładnie takie samo. Każda sytuacja, każde wyzwanie jest inne. Jesteś młody i wydaje ci się, że wiesz, co życie ma dla ciebie w zanadrzu. A ja ci powiem: możesz się spodziewać wszystkiego, a na koniec i tak się zdziwić.
Chłopak nagle zmarkotniał i terapeutka uznała, że lepiej nie kontynuować tego tematu.
– Gdzie jest Felicia? – spytała.
– U dziadków. Ale jutro wraca do *niego*. Co za bagno.
– Nie można twojemu ojcu odebrać córki, zanim...
– Pani mogłaby to zrobić – przerwał psycholożce Christopher. Chłopak na moment zapłonął gniewem, ale szybko się opanował. – Przepraszam, ja... To okropne, że mogę złożyć wniosek o wcześniejsze uznanie mnie za pełnoletniego i zacząć żyć na własny rachunek, ale Felicia jest jeszcze mała. Czuję się totalnym tchórzem, że ją zostawiam. Rozumie pani?
– Gdybym nie rozumiała, nie rozmawiałabym z tobą.
Mimo emocjonalnej chwiejności Christophera, która w tej sytuacji była zupełnie zrozumiała, Ina z każdym dniem coraz bardziej go lubiła. Chłopak był jeszcze bardzo młody, trochę przedwcześnie dojrzały, odrobinę nieokrzesany, ale bardzo dzielny. Teraz jednak, straciwszy zaufanie do ojca, umyślił sobie, że opuści rodzinny dom. Powstrzymywała go przed tym jedynie mała, bezradna siostrzyczka. Jeśli ta doświadczona przez los rodzina miała przetrwać, Ina nie mogła dopuścić, by Christopher utwierdził się w swojej nieufności i zrealizował swój zamiar.
– Proponuję, żebyś szczerze porozmawiał z ojcem. Skontaktuję was z mediatorem, bo sama nie czuję się na siłach podjąć tego zadania. Nie jestem bezstronna.
Położyła rękę na jego dłoni i się uśmiechnęła.
– Myślę, że świetnie sobie pani z tym wszystkim radzi – powiedział Christopher łagodnym, niemal czułym głosem. – No wie pani, że Stefanie i ze mną, i z tym całym kryzysem. Nigdy pani tego nie powiedziałem, ale miała pani na mnie świetny wpływ. Jest pani taka spokojna. Nic nie może wyprowadzić pani z równowagi. Nad wszystkim pani

panuje.

Ina parsknęła śmiechem.

– Uznam to za komplement. Ale zaczekaj, skoro jesteście ze Stefanie parą i będziemy się teraz częściej widywać prywatnie, szybko zmienisz zdanie na mój temat. Ja nad wszystkim panuję! Porozmawiaj z Bobbym albo ze Stefanie. Oni mogą ci opowiedzieć kilka ciekawych historii.

– Ze Steffi już o tym rozmawiałem. Najpierw się śmiała, tak jak pani, ale potem przyznała mi rację. Ostatnio patrzy na panią zupełnie inaczej. Myślę, że jest z pani nawet dumna. Ja na jej miejscu też bym był.

Serce Iny zabiło szybciej.

– Muszę przyznać, że potrafisz opowiadać wspaniałe historie na dobranoc. Od razu mi lepiej.

Pożegnali się i Ina na palcach wymknęła się z salonu. Kiedy stanęła przed drzwiami sypialni Bobby'ego i położyła rękę na klamce, coś sobie przypomniała i wróciła.

– Zupełnie zapomniałam. Kiedy siedzieliśmy w kawiarni i opowiadałeś o swoim ojcu i tej młodej kobiecie, chciałam cię o coś zapytać. Chodzi o ten samochód, który wtedy widziałeś przed domem, w którym był twój ojciec. Powiedziałeś, że to było jakieś wyjątkowe auto.

– Dziwne, że właśnie teraz pani o to pyta. Dzisiaj znów je widziałem, i to tutaj, kilkaset metrów stąd. Musi należeć do kogoś z mieszkańców.

Ina się wzdrygnęła. Czyżby znów ktoś chciał ich spalić?

– Czy to był czarny fiat coupé? Kiedy go widziałeś i gdzie?

– Stał tam przez cały czas. Ale to nie jest coupé, tylko garbus cabrio.

Czternaście miesięcy wcześniej

Giovanni wrzucił piątkę i jego fiat coupé przyspieszył do stu kilometrów na godzinę – na wąskiej drodze.

– Stary, nie sądziłem, że zrobimy to razem. Nie myślałem, że dasz radę.

Przez kilka minut milczeli, ale teraz, zbliżając się do celu, nawet wyluzowany Włoch stał się nerwowy. Wypluł gumę do żucia, wyłączył Erosa Ramazottiego i zrobił się gadatliwy.

W przeciwieństwie do Daniela.

– Taaa – bąknął bibliotekarz.

On też się nie spodziewał, że może siedzieć z kimś takim jak Giovanni w sportowym wozie i działać z nim ramię w ramię. Jego opinia na temat Włocha nie uległa zmianie – wciąż miał o nim złe zdanie, ale teraz wszystkie swoje nadzieje pokładał w tym wytatuowanym kickbokserze ze złotym łańcuchem na szyi. Jakaś część jego duszy wciąż się przed tym wzdragala, lecz odkąd dokonali tego żalostnego porwania, miał wrażenie, że mieszka w nim inny człowiek, zrodzony ze strachu i bezsilności, wykarmiony nowymi możliwościami, które pojawiły się, gdy uwięzili Töllera i gdy zniknęły kolejne tabu. Nie potrafiłby powiedzieć, czy lubi tego drugiego Daniela. Był mu obcy niczym przyrodni brat, którego spotykamy raz pierwszy i dowiadujemy się, że jest wolnym ptakiem przemierzającym świat, podczas gdy my wiemy nudne życie. Takiego brata się podziwia, ale też czuje się wobec niego strach.

Ten drugi Daniel nie mógł wybaczyć Jette popełnionego przez nią błędu.

– Stary, jeśli chodzi o twoją żonę... – odezwał się znowu Giovanni.

– Nie chcę nic wiedzieć – przerwał mu bibliotekarz i z trudem, acz skutecznie powstrzymał napływające do oczu łzy. Rano mu się to nie udało, bo strasznie zatęsknił za rozkosznym ziewaniem Jette, jej przytuleniem i przeciąganiem w łóżku. Uwielbiał patrzeć, kiedy to robiła. O dziwno brakowało mu nawet tych okropnych zdrobnień, tych wszystkich misiaczków, zajączków i reszty zoo. Felicia spytała go smutno, dlaczego mama nie wróciła do domu, a on ze łzami w oczach skłamał, że niedługo wróci.

A jednak to, co czuł, miało więcej wspólnego ze smutkiem niż z żalobą. Bez trudu potrafił uchwycić tę subtelną różnicę. Spoglądał na swoje dotychczasowe życie z melancholią, tak jak się patrzy na pozostałości niespełnionego marzenia, ale też widział w nim materiał, z którego można zbudować nowe życie. Ten cios mógł scalić ich rodzinę. No i wciąż mieli dom...

– Kiedy pójdziesz na policję? – spytał Giovanni.

– Dzisiaj po południu zgłoszę zaginięcie.

– Ej, ale wszystko w porządku, tak? To znaczy... mniej więcej? Nie dasz ciała?

– Nie, w porządku.

– Kiepsko wyszło, ale przynajmniej... Sprawa się rozwiązała, nie?

– Tak.

– I naprawdę nie masz nic przeciwko... mojemu planowi? No wiesz...

– Nie.

– Jesteś w porządku. Nawet nie sądziłem... Ale Bodowi ani słowa. Gerd mówi, że to przewrażliwiony świętoszek.

– Nic mu nie powiem.

– *Va bene*. Dzisiaj widzimy się po raz ostatni. A jakby co...

– ...to się nie znamy. – Ta część planu najbardziej przypadła Danielowi do gustu. Postanowił, że całkowicie wymaże z pamięci ostatnie dwa tygodnie.

Wysiadł z wozu tam, gdzie się wszystko zaczęło. Pogoda, zapachy, szum morza i lekki wiatr przypomniały mu tamten poranek, kiedy napadli na Töllera. Jak zwykle zaparkowali kawałek od jego domu i najpierw dyskretnie rozejrzeli się po okolicy. Dopiero potem podeszli do drzwi.

Bodo zobaczył, jak nadchodzą, i wpuścił ich do środka.

– Co jest? – spytał. – Dlaczego chcieliście się spotkać właśnie tutaj?

– Nie ma czasu na wyjaśnienia – odparł Giovanni. – Musimy to skończyć, i to natychmiast. Ale najpierw chcemy dostać kasę.

– Co się stało?

– Powiedziałem: nie mamy czasu. Ile masz forsy?

– Czternaście tysięcy.

Giovanni pokręcił głową.

– Za mało. Oprócz ciebie i Romy nikt nie dostał pełnej sumy. Zgadza się, Danielu?

– Mnie brakuje osiemdziesiąt tysięcy.

– Hej, moment! – krzyknął Bodo. – Straciłeś dziewięćdziesiąt tysięcy, a dostałeś już pięćdziesiąt.

– Sytuacja się zmieniła. Potrzebuję więcej.

– Właśnie – poparł bibliotekarza Giovanni. – Ja też.

Zanim Bodo zdążył zaprotestować, Włoch przystawił mu pistolet do skroni.

– Przelejesz dwieście tysięcy z kont inwestorów na prywatne konto Töllera. Koniec dyskusji. Zrobisz to albo naciśniesz spust, przysięgam.

Bodo nie był w stanie się ruszyć.

– Ale...

– Koniec dyskusji – powtórzył Giovanni.

Tym razem jego głos był tak lodowaty, że Daniel, również z obawy o Boda, zaczął się w duchu modlić, żeby informatyk zrobił to, co mu każą. Minęło kilka sekund, nim Bodo odpowiedział, lecz bibliotekarz miał wrażenie, że upłynęły minuty.

– W porządku, powiem wam, jak to działa, ale musicie to zrobić sami. To... proponuję kompromis.

Giovanni przewrócił oczami.

– Cholera, ale z ciebie uparty osioł. Co ci to da?

– Przeciwno... przeciwko Tölleroowi toczy się dochodzenie w sprawie oszustwa i unikania podatków. W skrzynce był list...

Giovanni nieco mocniej przycisnął lufę do skroni Boda i ten darował sobie szczegóły.

– Chodzi o to... Wzięliśmy wszystkie prywatne pieniądze Töllera i jeśli teraz splądrujemy konta inwestorów, ci ludzie stracą swoje oszczędności i...

– Znowu zaczynasz?

– Nie mogę. Po prostu nie mogę tego zrobić.

– Gerd ma rację, jesteś mięczakiem. Ale nieważne... Załatwmy to w końcu.

Giovanni oddał pistolet Danielowi i usiadł przy komputerze.

– *Va bene*. Co teraz?

Daniel nie był w wojsku i pierwszy raz w życiu trzymał w ręku pistolet. Zastanawiał się, czy w razie potrzeby będzie w stanie nacisnąć spust. Uznał, że prawdopodobnie tak. W ostatnich tygodniach przekroczył wiele granic i z każdą kolejną przychodziło mu to łatwiej.

Bodo udzielił Giovanniemu stosownych wskazówek i Włoch zabrał się do pracy. Cała procedura trwała dłużej, niż się spodziewali, ponieważ Bodo się uparł, żeby nie zabierać wszystkich pieniędzy z konta jednego inwestora, tylko z kilku po trochu. Po trzydziestu minutach dwieście tysięcy euro w końcu trafiło na prywatne konto Töllera, z którego mogli je wypłacić.

– Karty – zażądał Giovanni i Bodo mu je podał. – PIN-y?

– Masz tutaj. – Informatyk wskazał karteczkę z cyframi.

Giovanni sprawiedliwie podzielił cztery karty kredytowe między siebie i Daniela, po czym powiedział:

– Teraz wychodzimy. A ty usuń wszystkie ślady i też znikaj. Od tej pory się nie kontaktujemy. Jasne? Pamiętaj: wszyscy jedziemy na tym samym wózku.

Po tych słowach Giovanni wyszedł z domu i Daniel został z Bodem sam na sam. Bibliotekarz czuł się podle pod ciężarem spojrzenia współnika. Miał już na końcu języka całą serię wyjaśnień i usprawiedliwień, ale nawet jego nie były one w stanie przekonać. W tym momencie zrozumiał, że nie ma w nim żadnego drugiego ja. To była tylko żałosna próba zrzucenia z siebie winy. Próbował wmówić samemu sobie, że jest niewinny. Ale bez powodzenia.

Zaczęły mu drżeć ręce, więc odłożył pistolet na biurko.

– Przepraszam – powiedział, wychodząc.

– Ja też – odrzekł Bodo i wetknął pistolet za pasek spodni.

Marlene siedziała z Gerdem i Romy przy stole w salonie, przy którym przez dwa lata odbywali narady. Przy tym owalnym blacie omawiali każdy kolejny krok – każdy kolejny pozew, apelację, zmianę adwokata, w końcu porwanie. Marlene miała wrażenie, że od tamtych wczesnowiosennych dni, kiedy pomysł uwięzienia Töllera przybrał realny kształt, minęły wieki. A przecież zaledwie kilka dni wcześniej podniosła rękę, również przy tym stole, na którym stały te same naczynia. Chciałaby odzyskać nerwowość, która towarzyszyła jej tamtego czerwcowego dnia, gdyż była ona oznaką niewinności.

Tym razem grali w karty, w doppelkopfa. Zachowywali się jak mafiosi, którzy w niedzielę byli przykładnymi katolikami, a w dni powszednie mordercami. Ale co mieli

robić? Starali się wieść zwyczajne życie, a przynajmniej udawać, że wszystko jest normalnie. Przecież nie można przez dwanaście godzin na dzień chodzić po domu, rwąc włosy z głowy, a w nocy padać na podłogę jak wyczerpana ćma. Jakoś trzeba było zabić czas.

– No dobrze, zabiorę się do gotowania.

– Co? Już?

– Dla pana Töllera. Dziś wieczorem go wypuszczamy. Chcę, żeby na koniec dostał coś dobrego do jedzenia.

– Naprawdę, Marlene – westchnął Gerd. – Myślisz, że dzięki temu zachowa miłe wspomnienia z pobytu w naszej piwnicy?

Marlene bez słowa poszła do kuchni i zabrała się do pracy. Przygotowała sałatkę z rukoli z pomidorami koktajlowymi i parmezanem, do tego pulpety rybne w sosie musztardowym z piure ziemniaczanym i warzywami, a na deser lody waniliowe z gorącymi malinami. Jak zwykle umieściła wszystko na wielkiej tacy i ostrożnie zeszła z nią schodami do piwnicy. Tam włożyła kaptur i strój maskujący i otworzyła drzwi.

Zanim zdążyła zapalić światło, coś twardego uderzyło ją w głowę. Zatoczyła się i upadła. Zrobiło jej się ciemno przed oczami i z trudem chwytiała powietrze. Kiedy zdjęła kaptur, leżała w ciepłej kałuży sosu musztardowego, który kleił jej się do dłoni. Ponieważ jej oczy zasnuła mgła, w pierwszej chwili przeraziła się, widząc jakiś czarny kształt, który ciężko zaległ na jej nogach. Z krzykiem zerwała się z miejsca i ów kształt z brzękiem zsunął się na podłogę. Nie ruszał się.

Dopiero teraz poczuła ból – niczym drugie uderzenie. A zaraz potem usłyszała krzyki, dziwnie zniekształcone, jak echo. Przypominały raczej odgłosy zwierząt niż ludzi.

Jeszcze nigdy nie czuła takiego bólu. Skryła twarz w dłoniach, jakby bała się, że odpadnie jej głowa. Na ustach czuła smak lodów waniliowych, a oczy piekły ją od sosu musztardowego.

Krzyki były coraz bliżej. Ogromne kolorowe kłębowisko sunęło ku Marlene. Dopiero kiedy ta masa znalazła się tuż przed nią, dostrzegła szczegóły. Giovanni trzymał Töllera pewnym, bezlitosnym chwytem, a po bokach ubezpieczali go Daniel i Gerd.

– Wszystko w porządku? – spytał ją Gerd.

Kiwnęła głową. Ból pulsował w jej głowie. Powoli odzyskiwała jasność myśli i ostrość widzenia. Po kilku minutach poczuła się dość silna, by zrobić krok, potem drugi, trzeci... Oparła się o futrynę celi. Töller leżał, skamłając, na podłodze. Był związany niczym zmarły marynarz gotowy do morskiego pogrzebu. Obok leżały odłamki betonu, w którym osadzono łańcuch.

Pierwsi wyszli Daniel i Gerd – zupełnie wyczerpani. Giovanni wydawał się mniej zmęczony, jakby właśnie skończył rozgrzewkę. Bezceremonialnie odsunął Marlene na bok, rzucił jakieś włoskie przekleństwo i z wściekłością trzasnął drzwiami, które aż się odbiły od futryny.

Dopiero w tym momencie, rzuciwszy okiem do środka, Marlene zauważyła, że cela wygląda trochę inaczej, ale w szoku nie była w stanie powiedzieć, co się zmieniło.

Druga, równie gwałtowna próba zamknięcia drzwi, zakończyła się sukcesem.

Kiedy huk ucichł, Gerd głęboko westchnął.

– Nie rozumiem, jak mu się udało wyrwać ten łańcuch. Staralem się...

– *Va a cagare!* – wrzasnął Giovanni. – Jakie to ma znaczenie? On nas widział! Nie mieliśmy kapturów. Cholera, on nas widział!

Wrzesień

Chociaż Ina była śmiertelnie zmęczona, pół nocy przeleżała z otwartymi oczami, jak to jej się często zdarzało w ostatnim czasie. Kiedy wreszcie zasnęła, zaraz się obudziła, tak jakby jej wystraszony wewnętrzny stróż włączył alarm. Od czasu do czasu dłoń Bobby’ego gładziła jej włosy i kładła się na jej brzuchu, lecz ten czuły dotyk, który jeszcze wczoraj ją uspokajał, teraz wywoływał w niej zupełnie inne uczucie – niepewność.

Czy to przypadek, że w tym samym czasie poznała Bobby’ego, Marlene i Daniela Trebutha? Troje ludzi, których ścieżki w dziwny sposób krzyżowały się w domu piekarzy?

Co łączyło Bobby’ego z Gerdem i Marlene? Może było jakieś zupełnie banalne wyjaśnienie? Jako programista pracował jako wolny strzelec, więc może przygotowywał stronę internetową piekarni?

A może wyjaśnienie nie było wcale takie banalne?

Kiedy Daniel Trebuth i Romy Haase wyszli z domu Adamskich, Christopher ukrył się za kabrioletem Bobby’ego. To by znaczyło, że Bobby był w tym momencie w środku, a zatem znał jego mieszkańców oraz ich gości.

Zważywszy na to, co mówiły Afnan i Chadisa... Kiedy Ina się nad tym dokładniej zastanowiła, doszła do wniosku, że niewiele wie o Bobbym. Ponieważ stracił wielu przyjaciół – ponoć przez nią – z nikim o nim nie rozmawiała. Niemal cały czas spędzali tylko we dwoje. Z drugiej strony – Bobby był cudownym, dobrym człowiekiem. Hamował przed każdą żabą, prznosił przez drogę jaszczurki, chętnie wszystkim wyświadczał przysługi i zanim poznał Inę, należał do kilkudziesięciu organizacji. Wiedziała, że ma chorą matkę, którą odwiedza trzy razy w tygodniu. No i spełniał każde życzenie Iny, zanim zdążyła je wypowiedzieć. Nie tylko dbał o nią, ale też dawał jej poczucie, że jest dla niego najważniejsza na świecie.

Czy mogła wątpić w kogoś takiego? Czy miała pozwolić, by jakiś drobiazg zniszczył ich związek? Bobby był z pewnością najuczciwszym i najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała.

Z tą myślą zamknęła oczy i zasnęła u jego boku.

Obudziła się o siódmej. Wczesna pora i widok szarego, deszczowego dnia za oknem sprawiły, że nagle poczuła się kompletnie bezradna. Ostatni raz czuła się tak przed dwudziestu laty, czekając na wynik egzaminu. Jak słusznie zauważył nadkomisarz Witte, nie znała się za bardzo na kryminalistyce, dlatego logicznym rozwiązaniem byłoby pójście

na policję – tyle że teraz nie chodziło już o jej pacjenta. Chodziło o najważniejszego – obok Stefanie – człowieka w jej życiu.

– Co ci jest? – spytał Bobby.

Przeciągnęła się nago w łóżku i ziewnęła. Natychmiast odzyskała humor. Cieszyła się, że Bobby jest częścią jej życia, a na jego widok krew pieniała się w jej żyłach jak szampan. Czuła, że jest jej tak niewiarygodnie bliski. Były jednak takie chwile – i to od początku ich znajomości – kiedy wyczuwała w nim jakąś dziwną obcość, jakby miał drugie oblicze, którego nie znała. Zawsze składała to na karb swojej profesji. Pogromcy duchów wszędzie widzą duchy, wyznawcy teorii spiskowych wężą spiski, a psychologowie w każdym człowieku doszukują się tajemnic i drugiej twarzy.

Jednak tego ranka poczuła to wyjątkowo silnie, a fakt, że tak bardzo kochała Bobby'ego, dodatkowo komplikował sprawę.

– Trochę boli mnie głowa – odparła Ina wymijająco.

– Poza tym wszystko w porządku?

– Oczywiście – skłamała. Zastanawiała się, czy nie wspomnieć o Marlene i nie sprawdzić, jak Bobby zareaguje.

– To świetnie. W takim razie możemy później gdzieś pojechać. Na przykład obejrzeć przelot ptaków, to wspaniały widok. Miliony żurawi i gęsi. W zeszłym roku przegapiliśmy to z powodu pracy i myślałem, że teraz to nadrobimy.

– Prawdę mówiąc... Mam jeszcze parę spraw w gabinecie.

– W sobotę? Zawsze miałaś wolne.

– Niestety nie tym razem. Ty pewnie też masz sporo do zrobienia. Musisz to wszystko jakoś ogarnąć. Zaraz wyjeżdżam.

– Przed śniadaniem?

– Kupię sobie coś w Prerow. W piekarni Adamskich. – Wypowiedziawszy to nazwisko, Ina uważnie spojrzała na Bobby'ego, ale nie dostrzegła na jego twarzy żadnego poruszenia.

– Niedawno została zamknięta.

– Naprawdę? Skąd wiesz?

– Po pierwsze, półwysep to mały skrawek ziemi i wieści się szybko roznoszą, a po drugie, we wszystkich gazetach pisali, że piekarz został zamordowany. Idę pod prysznic. Naprawdę już wyjeżdżasz?

– Tak.

– W takim razie do zobaczenia.

Kiedy Bobby poszedł wziąć prysznic, Ina zachowała się jak typowa bohaterka tanich kryminałów – przeszukała jego rzeczy. Jak to się mówi: okazja czyni złodzieja. Ina odrzuciła skrupuły i powzięte kilka minut wcześniej postanowienie i zdecydowała się upewnić.

Kiedyś najwięcej można się było dowiedzieć o człowieku, przeszukując jego portfel, ale dziś najważniejsze rzeczy można znaleźć w smartfonie. Ina знаła PIN, więc bez trudu otworzyła spis kontaktów. Sprawdziła pod A jak Adamski, H jak Haase oraz T jak Trebuth i Töller.

Nic. Żadnych numerów. I żadnych włosko brzmiących imion czy nazwisk.

Oczywiście do ulgi, którą poczuła, natychmiast dołączyły wyrzuty sumienia, ale właściwie była zadowolona, że to zrobiła i rozwiązała swoje obawy. Wiedziała, że dzięki temu łatwiej jej będzie wykonać następny krok, czyli zadzwonić na policję. Zanim wyszła z domu – tylnymi drzwiami, aby nie budzić Christophera – zajrzała na chwilę do pokoju Stefanie. Jej córka spała jak suseł. Nic dziwnego – jeszcze nigdy nie pomagała przy przeprowadzce i dźwiganie paczek najwyraźniej wyczerpało jej siły.

Kiedy tylko Ina wyszła z domu, wybrała numer nadkomisarza.

– Nadkomisarz Witte? Mówi Ina Bartholdy. Dobrze, że pana złapałam. Wczoraj dowiedziałam się czegoś, co może pana zainteresować. Chodzi o sprawę Gerda Adamskiego. Otóż pewna kobieta powiedziała mi, że Marlene Adamski rok temu opowiedziała dziwną historię. Można powiedzieć, że to było coś w rodzaju spowiedzi.

Rozmawiając z policjantem, szukała w torebce kluczyków do samochodu, ale nie mogła ich znaleźć.

– Chętnie panu wszystko opowiem. Mam wpaść na komisariat? W porządku, już jadę. – Rozłączyła się i odwróciła od samochodu. – Gdzie ja mam te kluczyki?

Ledwie wypowiedziała te słowa, zamarła. Bobby stał przed nią mokrusieńki i w samych bokserkach. Uśmiechnął się, a kiedy ją pocałował, coś zabrzęczało przy jej lewym uchu. Kluczyki. Trzymał je kciukiem i palcem wskazującym, lekko potrząsając.

– Bez nich nigdzie nie pojedziesz. Leżały obok umywalki.

Po spotkaniu z Wittem udała się do Heiligendamm. Tam, w połowie drogi między Darss a Wismarem, w domu opieki mieszkała ponoć matka Bobby’ego. Okazało się, że w mieście jest tylko jeden taki ośrodek, zresztą – jak się wnet przekonała – szalenie ekskluzywny. Ina zaparkowała przed przypominającym zamek budynkiem i przyglądając mu się, stwierdziła, że skoro Bobby mieszka sam w maleńkim bungalowie, za który po znajomości płaci czterysta euro miesięcznie, raczej nie byłoby go stać na umieszczenie swojej matki w tak drogiej placówce.

Czyli co: skłamał? Może popełniłam błąd, nie mówiąc Wittemu, że Christopher widział przed domem Adamskich jasnoniebieskiego garbusa cabrio?, zastanawiała się Ina. Dlaczego to przemilczała? Dlatego że ufała Bobby’emu? A może bała się, że... Że co?

Dlaczego nie zareagował na nazwisko Adamskich? Mógł przecież powiedzieć: „Wiesz, znałem tego faceta, który został zamordowany. Robiłem dla niego stronę internetową”. Albo coś w tym stylu. A może był tam tylko przypadkiem? Chciał się przespacerować brzegiem laguny? W jego komórce nie znalazła żadnych śladów wskazujących na to, że znał bliżej Adamskich. Ina od samego rana próbowała uwolnić się od tych wszystkich podejrzeń, ale równie dobrze mogłaby rozpedzać burzowe chmury suszarką. Czuła się jak zdrajca, a zarazem nie potrafiła żyć w tej niepewności.

Ze ściśniętym żołądkiem weszła do wytwornego holu domu opieki, który różnił się od foyer czterogwiazdkowego hotelu jedynie widokiem ubranych na biało pielęgniarek i pielęgniarzy. Krocząc po grubym welurowym dywanie, Ina podeszła do recepcji.

– Dzień dobry, szukam pani Bronny, mieszka u państwa.

Trzycentymetrowej długości, biało-czerwone jak polska flaga lakierowane paznokcie młodej recepcjonistki zaczęły stukać w klawiaturę.

– Bronny. B-R-O-N-N-Y, tak? Nie, ta pani z pewnością u nas nie mieszka, inaczej byłaby w systemie.

– Czy w Heiligendamm są podobne placówki?

– Nie, jest tylko nasz dom.

Jeśli Bobby wbrew temu, co twierdzi, nie odwiedza trzy razy w tygodniu swej matki, to co w tym czasie robi? Gdyby chodził na ryby, nie musiałby kłamać.

W jednej chwili najbliższa Inie osoba stała się jej zupełnie obca. A więc jednak miał drugie, złowrogie oblicze. Nagle przyłapała go na kłamstwie, które wprawiło ją w gniew, ale które zarazem mogła mu rzucić w twarz, żądając wyjaśnień.

Zaraz jednak wszystkie te szczegóły stały się zupełnie nieważne. Przestało jej zależeć na prawdzie. Zrozumiała bowiem, że już nigdy mu nie zaufa. A kiedy sobie to uświadomiła, jej mały świat rozpadł się na kawałki. Nie tylko ten obecny, ale i przyszły – w zależności od tego, czego jeszcze się dowie.

Następny krok wydawał się oczywisty. W końcu była odpowiedzialna nie tylko za siebie, ale też za Stefanie i Christophera, którzy obecnie mieszkali u Bobby'ego. Przede wszystkim musiała ich sprowadzić do domu.

– Przecież Bobby ma na nazwisko Bronny – powiedziała druga recepcjonistka, która przysłuchiwała się rozmowie swej koleżanki z Iną. Była platynową blondynką i również zadała sobie mnóstwo trudu, tworząc na swych paznokciach prawdziwe dzieła sztuki. – Pyta pani o matkę Bobby'ego, prawda?

– Eee... tak.

– Nazywa się Karlmann, Regine Karlmann. Zdaje się, że wyszła ponownie za mąż.

– Aha.

– Chciałaby pani odwiedzić panią Karlmann? Zadzwoń na górę.

– Pokój sto szesnaście – odezwała się recepcjonista z polską flagą na paznokciach. – Przepraszam, zapomniałam, że Bobby ma tak na nazwisko. Dla nas to po prostu Bobby.

– Ach tak...

Ina była tak zaskoczona niespodziewanym obrotem spraw, że nie potrafiła wykrztusić słowa. Wcale nie chciała odwiedzić pani Karlmann. Przed chwilą podejrzewała Bobby'ego o Bóg wie co, a teraz posypała głowę popiołem. Poza tym trochę ją dziwiło, że młode recepcjonistki zwracają się do Bobby'ego tak jak ona. Przecież powiedział jej, że mówili tak na niego wyłącznie dawni przyjaciele, jak Witte, podczas gdy ludzie, wobec których chciał zachować dystans, znali go jako Boda. Nazywanie go Bobbym było swoistym przywilejem.

– Ma pani szczęście, pani Karlmann właśnie skończyła zabiegi – powiedziała recepcjonistka ze słuchawką telefoniczną w dłoni. – Kogo mam zaanonsować?

– Ina Bartholdy – odpowiedziała terapeutka trochę nieobecna duchem. – Jestem partnerką Bobby'ego.

I znów poczuła na sobie te osobliwe spojrzenia, przez ułamek sekundy, ale to wystarczyło, by się poczuć jak dziwadło, ktoś, dla kogo absolutnie nie ma miejsca u boku Bobby'ego.

Podawała swoje nazwisko, więc było za późno, by się wycofać. Bobby prędeż czy później i tak by się dowiedział, że tutaj była, toteż uznała, że lepiej będzie, jeśli sama mu o tym powie. Poza tym miała okazję poznać jego matkę.

Regine Karlmann była dość otyłą, niezbyt ruchliwą kobietą o pocziwej, choć znużonej twarzy. Fryzjerka właśnie zrobiła jej trwałą ondulację i w ogromnej śnieżnobiałej fryzurze, różowej sukni i z mruczącym białym kotem na kolanach pani Karlmann wyglądała trochę jak Barbara Cartland u schyłku życia. I faktycznie – na mahoniowym stoliku leżała książka, która mogła wyjść spod ręki tej słynnej autorki romansów.

– Nelli – odezwała się matka Bobby’ego, kiedy Ina podeszła do niej z wyciągniętą ręką. – Ach Nelli, jak cudownie znowu cię widzieć.

Kiedy Ina kilka godzin później zamierzała skrócić w drogę prowadzącą do domu Marlene, natrafiła na jadący w przeciwną stronę sznur samochodów – cywilnych i policyjnych radiowozów, również na sygnale.auta ruszyły w kierunku Prerow i zniknęły równie szybko, jak się pojawiły. W jednym z nich Ina zauważyła Wittego, ale było ich zbyt wiele, by mogła dostrzec, czy policjanci zabrali Marlene.

Chociaż to jej odkrycia doprowadziły do przeszukania, terapeutka miała nadzieję, że ta coraz bardziej tajemnicza i mroczna historia znajdzie jakieś proste wyjaśnienie i okaże się, że to wszystko, co wydawało się takie straszne, było tylko wytworem jej wyobraźni.

Tak jak w przypadku matki Bobby’ego. Tu też Ina wyobrażała sobie niestworzone rzeczy, a nawet uznała, że jej związek może się rozpaść – a na koniec się okazało, że Bobby mówił prawdę. Pani Karlmann nie tylko istniała, ale też odwiedzała ją trzy razy w tygodniu. I cierpiała niestety na głęboką demencję – tak jak mówił. Ina przez chwilę próbowała wyjaśnić starszej pani, że nie jest Nelli, ale w końcu się poddała i wcieliła w postać dawnej przyjaciółki Bobby’ego. Do tej pory nie miała pojęcia o istnieniu Nelli, gdyż Bobby nigdy nie wspominał o swej długoletniej przyjaciółce. Kiedy jednak Regine Karlmann wspomniała o jej – to jest Nelli – chorobie, terapeutka złożyła wszystko w całość. Rak trzustki, nieuleczalny. Ina znała Bobby’ego na tyle dobrze, by wiedzieć, że cierpiał nie mniej niż Nelli.

To też wyjaśniało owe momenty obcości, których Ina do tej pory nie potrafiła wyjaśnić – na przykład kiedy Bobby w trakcie wesołej rozmowy nagle na dwie minuty milkł, albo kiedy spoglądał na nią z bólem w oczach. Z pewnością często myślał o Nelli i czasem czuł wyrzuty, że oto wiedzie szczęśliwe życie z kobietą, którą kocha. Inną kobietą. Prawdopodobnie nigdy nie krzywdził Nelli i nigdy by jej nie opuścił – dopiero śmierć wyrwała ją z jego ramion. Był z Iną tylko dlatego, że nie było Nelli. Takie myśli były zupełnie naturalne i nie sprawiały Inie bólu. Ale dręczyły i raniły tego, kogo nawiedzały – Bobby’ego.

Bobby był na wskroś dobrym człowiekiem. Wytrwał przy Nelli, kiedy najbardziej go potrzebowała, a teraz trwał przy swej matce. Pani Karlmann opowiedziała Inie, że rok temu przywiózł jej kota – najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostała. Fakt, że taki człowiek, w dodatku jej przyjaciel, znalazł się – choćby na chwilę - w miejscu, gdzie

doszło do zbrodni, nie dawał terapeutce spokoju.

Dlatego postanowiła mu wszystko opowiedzieć. Liczyła, że Bobby zareaguje tak, jak to zwykle czynił – serdecznym śmiechem, czułym słowem i jakimś szalonym pomysłem.

Policja najwyraźniej nie aresztowała Marlene, bo idąc w kierunku drzwi domu, Ina usłyszała dobiegające z ogrodu głosy. W otwartym garażu znowu stał czarny fiat coupé.

– Niczego nie znaleźli – powiedziała pani Adamski na widok Iny.

Większość ludzi po przeszukaniu wypowiedziałyby to zdanie z ulgą lub dumą. Większość, ale nie Marlene. Słowa te brzmiały w jej ustach zupełnie neutralnie, może nawet z lekką nutą zawodu.

Młoda kobieta, z którą Marlene siedziała na zadaszonym tarasie, to musiała być Romy Haase. Liliowe pasemka między czarnymi włosami nie zdarzają się często, a Ina wciąż miała przed oczami zdjęcie, które widziała w piekarni. Romy przez wiele dni była dla psycholożki niczym fantom, a teraz ścisnęła jej dłoń.

– Cieszę się, że mogę panią poznać.

– Hmmm, no... tak – bąknęła Romy z taką miną, jakby zabłądziła w lesie. Na stoliku stał ogromny tort szwarcwaldzki z wiśniami, którego wspaniały wygląd szpecił nieco angielski napis: „Happy Birthday Malene”.

– Och, ma pani urodziny. Wszystkiego najlepszego – powiedziała Ina.

– Dopiero pojutrze – westchnęła jubilatka. – Romy coś się pomyliło.

Trzy błędy ortograficzne i pomyłone daty. Ale tort przyniosła ze szczerego serca – i to było najważniejsze, bo przecież Romy nie wypisywała w urzędzie metryk, tylko piekła urodzinowe torty.

– Pójdę na górę – powiedziała dziewczyna do Marlene.

– Och, proszę zostać – poprosiła Ina. – Wiele o pani słyszałam i byłoby mi naprawdę miło z panią pogawędzić. Mieszka pani tutaj?

Romy zamyśliła się tak, że aż jej wystąpiła żyłka na skroni.

– No... mam pokój na górze. Ale mam też swoje stare mieszkanie ze świetną lodówką.

– Ze świetną lodówką? Wspaniale. Pani przyjaciel również tu mieszka?

– Przyjaciel? – Dziewczyna była zdezorientowana.

– Giovanni.

– Ach, Giovanni – powtórzyła odruchowo Romy i spojrzała na Marlene. – On... nie ma go.

Machnęła ręką, jakby Włoch zwyczajnie się rozpląnął w powietrzu.

– Giovanni... i dalej?

– Caffi... Nie, Caffarelli.

– Proszę dać temu biednemu dziecku spokój – wtrąciła się Marlene.

– Nie chcę jej zrobić nic złego.

– Jest pani moją lekarką i musi pani robić to, co mówię.

– Jestem pani psychoterapeutką i stosownie do tego się zachowuję.

Romy weszła do domu, Ina zaś, nie czekając na zaproszenie, przysunęła sobie krzesło i usiadła. Powietrze było świeże i wilgotne od mżawki, która niczym delikatny, niesiony wiatrem woal osadzała się na skórze. W dali dało się słyszeć krzyk gęsi lecących nad laguną.

– Proszę przyjąć pozdrowienia do Afnan i Chadiszy – powiedziała psycholożka. Matowa twarz Marlene na chwilę się rozjaśniła.

– Znalazła je pani?

– I odwiedziłam, w Schwerinie. Afnan uczy się zawodu, chce zostać pielęgniarką.

– Och, to dobrze. – Marlene westchnęła tak głęboko, jakby właśnie się dowiedziała, że u jej wnuczki wszystko w porządku.

– Nie wygląda pani na zaskoczoną faktem, że je odwiedziłam, tylko tym, że je znalazłam. Opowie mi pani o przeszukaniu?

– Po co? Mój mąż został zamordowany, to chyba zupełnie normalne.

– Nie wydaje mi się. Ciężą na pani konkretne podejrzenia. Do tego Afnan opowiedziała mi pewną zwiariowaną historię.

Ina streściła to, co usłyszała w Schwerinie, starając się, by jej relacja brzmiała zupełnie normalnie. Chociaż do normalności było jej bardzo daleko.

Marlene przez cały czas obracała w dłoniach filiżankę z kawą.

– Afnan musiała mnie źle zrozumieć. Nie znała niemieckiego.

– Z pewnością. Może nie mówiła pani o człowieku, tylko jakimś zwierzaku. – Ina musiała się bardzo starać, by jej słowa nie brzmiały szyderczo. – I może nie chodziło o przetrzymywanie, tylko przemywanie. Tak, na pewno chodziło o przemywanie jakiegoś zwierzaka. Niech pani da spokój, Marlene, i powie to, co chciała wyznać już podczas naszej pierwszej rozmowy, a co nie chciało przejść pani przez usta.

– Proszę wyjść.

– Ostatnio często słyszę od pani to zdanie. Ale potem zawsze chce pani znowu się spotkać.

– To się może zmienić.

– Dlaczego ostatnio nie chciała pani ze mną rozmawiać o Romy? Dziewczyna ma tutaj pokój, lubi ją pani. Nie rozumiem, po co ta tajemnica.

– Pani nic nie rozumie.

– Dziwi się pani? Przypomina mi pani tonącego, który wzywa pomocy, a gdy ktoś pod pływa go ratować, daje mu fangę w nos. To szalenie męczące.

– Tak jak pani wizyta.

Ina zrozumiała, że tego dnia niczego więcej nie wskóra, i postanowiła nie naciskać na Marlene. Spytała tylko, czy przed wyjściem może skorzystać z łazienki, po czym weszła do domu i wśliznęła się na górę. Drzwi do pokoju Romy były szeroko otwarte. Już kilka tygodni wcześniej, podczas pierwszej wizyty u Marlene, gdy schodziła z Gerdem do salonu, Ina zauważyła, że meble w tym pokoju różnią się od wystroju całego domu. Były mniej rustykalne, bardziej skandynawskie.

Jeden rzut oka wystarczył psycholożce, by się upewnić, że miała rację. Na kolumnach głośnikowych stały kwiaty doniczkowe, a na ścianie wisiał poster męskiej obsady jednego z niemieckich seriali. Romy leżała na łóżku i przeglądała magazyn dla kobiet.

– Rzucił panią? – spytała Ina.

Dziewczyna po dłuższej chwili kiwnęła głową.

– Tak. I wszystko zabrał.

– Wszystko? Czyli co?

– Wszystko. Oprócz samochodu – powtórzyła mechanicznie Romy i znów zagłębiła się w lekturę, nie zwracając uwagi na Inę, która przez chwilę się w nią wpatrywała. A potem, jakby sama do siebie, szepnęła: – Odszedł. I wszystko zabrał.

– Przykro mi – powiedziała psycholożka i zamknęła po cichu drzwi.

Po powrocie do Zingst Ina uświadomiła sobie, że garbus cabrio stojący w ulewnym deszczu to bardzo smutny widok. Żaden samochód nie powinien być tak błękitny, by przypominać o minionym lecie. Ale jeśli w środku siedzi człowiek, którego kochamy, deszcz i wiatr stają się mało ważne.

Bobby nie od razu ją zauważył. Siedział zupełnie bez ruchu. Kiedy patrzyła przez przednią szybę na jego rozmytą postać, jej serce ze szczęścia miało ochotę wyskoczyć z piersi. To wszystko było takie zwariowane – mimo wszelkich wątpliwości kochała tego mężczyznę tak jak przedtem. Sceptycyzm, romantyczna miłość i erotyczny pociąg mieszkwały w jej sercu, ze zmiennym szczęściem walcząc o pierwsze miejsce.

W końcu zapukała w boczną szybę, a on natychmiast otworzył drzwi, wysiadł i ujął jej twarz w dłoń. Jeśli do tej pory miała jeszcze jakieś wątpliwości, czy Bobby jest właściwym mężczyzną, to w tej chwili rozwiązał je pocałunkami.

– Co tutaj robisz? – spytała.

– Ach, tak mnie naszło. Wcześniej byłem na łodzi.

– Chyba nie pracowałeś na niej w taką ulewę?

– Tylko trochę poleżałem w kabinie.

– Boże, ona jest taka malutka, że chyba tylko pigmej mógłby w niej spać.

– Mówiłem ci... tak mnie naszło.

Był trochę inny, zamyślony, wręcz melancholijny. Do tego nastroju pasowała muzyka, która dobiegała z auta – smutna aria z „Traviaty”.

Czyżby nadszedł właściwy moment? Wyrzucić to wreszcie z siebie, zachęcała się Ina w duchu.

– Miałyś coś przeciwko temu, żebyśmy kontynuowali rozmowę gdzieś, gdzie woda nie będzie mi ściekać po karku? – spytała.

– Wsiądźmy do środka.

Ina przeszła na drugą stronę wozu, usiadła w fotelu i zamknęła drzwi. Nawet podczas jazdy ze złożonym dachem nie lubiła wnętrza tego skądinąd cudownego auta, ale kiedy deszcz bębnił w rozłożony dach, w środku było głośno i przeraźliwie wilgotno. Ubranie lepiło jej się do ciała. Czuła się okropnie, ale mogło to po części mieć związek z tym, co jej leżało na sercu.

– Muszę ci coś powiedzieć, byłam dzisiaj...

– To ja muszę ci coś powiedzieć – przerwał jej Bobby ponurym głosem. – Stało się coś bardzo złego.

Czternaście miesięcy wcześniej

– Karta została zatrzymana. Proszę się skontaktować z działem obsługi klienta Państwa banku.

W chwili gdy spojrzenie Daniela padło na wyświetloną na ekranie bankomatu informację, jego trzewia przeszył przeraźliwy ból, jakby ktoś trafił go karabinową kulą. Bibliotekarz skulił się, kucnął, oparł czoło o klawiaturę i trwał w tej pozycji przez dobrą minutę. Zebrał się na odwagę i raz jeszcze podniósł głowę, jakby liczył na jakiś cud, i wlepił palące spojrzenie w ekran. Komunikat zniknął i pojawił się ekran powitalny z prośbą o włożenie karty do czytnika. No tak! Przecież miał jeszcze jedną kartę Töllera!

Co mogło się stać? Dlaczego bankomat zatrzymał pierwszą kartę? Czyja to była sprawka? Boda? Giovanniego? Może policji? Daniel nie był pewien, czy powinien od razu spróbować wypłacić pieniądze drugą kartą. Może lepiej poczekać?

– Długo jeszcze panu zajmie? – spytała stojąca za nim kobieta.

– Proszę mi dać spokój.

Znajoma? Nie. Słaby berliński akcent wskazywał na to, że albo jest turystką, albo – co wydawało się bardziej prawdopodobne – jedną z tych paniuś na emeryturze, które raczą się „świeżym powietrzem” w swoim wakacyjnym domu nad morzem. Zapewne właścicielka willi nad Wannsee, męża notariusza i całej zgrai potwornie wyperfumowanych psiapsiółek.

Jego wzrok prześliznął się po torebce Bvlgari i wielkim czerwonym pierścieniu wartym pewnie tyle, co roczne raty za dom. Przez sekundę wahał się, czy nie zgruchotać jej czaszki i nie uciec z pierścionkiem. Ale to była tylko fantazja, jeden z tych szalonych pomysłów, o których wiadomo, że nigdy ich nie zrealizujemy. Nawet gdyby nie znajdowali się w tak uczęszczanym i strzeżonym przez kamery miejscu i gdyby nie było oczywiste, że w ciągu godziny napastnik zostałby aresztowany. Daniel nie był typem człowieka gotowego roztrzaskać kobiecie czaszkę. Aż dziw, że w ogóle, nawet przez chwilę, wyobrażał sobie taką koszmarną scenę.

Dużo dłużej rozbrzmiewała w nim echem myśl, a właściwie poczucie, że świat jest niesprawiedliwy. Tej kobiecie, która zapewne większość czasu spędzała na kupowaniu drogich, markowych rzeczy i siorbaniu ostryg, najwyraźniej niczego nie brakowało, podczas gdy on urabiał sobie ręce po łokcie i nic z tego nie ma. Przeciwnie – stoi na krawędzi bankructwa. Dlaczego? Dlaczego niektórym ludziom dane jest żyć w luksusach, a jemu nic się nie udaje?

Rodzice nigdy nie wspierali jego miłości do literatury. Chciał studiować, ale był najmłodszym z trojga rodzeństwa i dla niego zwyczajnie zabrakło pieniędzy. Jego starszemu bratu rodzice „pożyczyli” na studia ekonomiczne czterdzieści tysięcy, których im de facto nigdy nie zwrócił. Z kolei jego siostra dzięki wsparciu mamy i taty zrealizowała swoje marzenie o własnej kawiarence.

A potem jeszcze on, Töller. Oszust. I państwo, które zostawiło Daniela na lodzie.

I bank, który bezlitośnie ukarał go za coś, czego nie zrobił.

I w końcu Jette. Moda ekologiczna, na litość boską, lepiej by zrobiła, gdyby zamiast tego bioszajsu sprzedawała torebki Bvlgari. To jej wina. To ona, ze swoimi kompleksami, swoim perfekcjonizmem i czystym sumieniem zepchnęła całą rodzinę w przepaść.

Wyjął z kieszonki na piersi drugą kartę. Mastercard, platynowa. To oznaczało dostęp do dziesiątek, setek tysięcy euro. Oznaczało bogactwo i finansową bez troskę.

Ratunek.

Daniel przez kilka sekund intensywnie przyglądał się kawałkowi plastiku, po czym wsunął go do maszyny.

Bankomat zafurkotał, zapiszczał, znów zafurkotał.

– Karta została zatrzymana. Proszę się skontaktować z działem obsługi klienta Państwa banku.

Daniel zgiął się, jakby otrzymał potężny cios w żołądek, jego głowa uderzyła w klawiaturę.

Bodo... To za to przepraszał, zanim się pożegnali. Cholerna świnia! Żaloszny skurwieli i jego pieprzone sumienie... Do diabła z nim, do diabła ze wszystkimi, którzy...

– Potrzebuje pan pomocy? Mam wezwać lekarza? – spytała kobieta.

Odwrócił się gwałtownie, spojrzał na nią wielkimi przekrwionymi oczami i wycelował palec wskazujący w czubek jej nosa.

– Powiedziałem, żeby pani...

Urwał w pół słowa i rzucił się biegiem do samochodu. Kiedy usiadł za kierownicą, ogarnęło go śmiertelne znużenie i zaraz zasnął. Gdy się obudził, było już ciemno.

W domu czekali na niego teściowie. Od czasu zniknięcia Jette mieszkali w pokoju gościnnym i pozostawali w stałym kontakcie z miejscową policją. Tego wieczora zameldowali, że kilka małych grup poszukiwawczych bezskutecznie przeczesało okolicę. W poszukiwaniu zaangażowało się wiele organizacji i stowarzyszeń. Rodzice Jette byli tak przybici, że nie dostrzegali – mającego inne źródło – przynębenia swojego zięcia.

Christopher zamknął się w swoim pokoju i chociaż Daniel wiele razy go prosił, by otworzył drzwi, chłopak był głuchy na jego słowa. Nie dopuszczał do siebie ojca również w sensie psychicznym, tak że Daniel w ostatnim czasie w ogóle nie miał dostępu do syna. Christopher prawie się nie odzywał i całymi dniami siedział zamyślony, wpatrując się w jakiś punkt. Ten letarg był dla Daniela zwiastunem tego, co czeka jego samego. Bo co innego mu pozostało?

Kiedy tylko wszedł do pokoju Felicii, ta wczepiła się w niego niczym w boję ratunkową.

– Przywiozłeś mamę?

– Nie, maleńka, niestety nie.

Aż nie do wiary, że jeszcze kilka tygodni temu tak bardzo kochał Jette. Z tej miłości nic nie zostało, nawet iskierka. Daniel zastanawiał się, co go w ogóle łączyło z tą kobietą, która namówiła go do mnóstwa rzeczy budzących w nim wstręt. Jej śmierć dotknęła go wyłącznie przez wzgląd na dzieci. Ich cierpienie rozrywało mu serce. Ale nie miał czasu na to, by się zanadto rozczulać. Za bardzo był zaprzątnięty materialną przyszlnością rodziny.

Powtarzał sobie, że musi walczyć, nie może się poddać. Że jest to winien swym bliskim.

– Wszystko będzie dobrze – szepnął do ucha córeczce, gładząc ją po główce. – Obiecuję, kochanie, wszystko będzie dobrze.

Wrzesień

Wdrodze do Prerow Ina i Bobby zamienili zaledwie kilka słów. Wieść o kolejnym morderstwie była dla psycholożki jak wybuch bomby. Już nagła śmierć Gerda Adamskiego ją zszokowała, ale to, co się wydarzyło teraz, miało zupełnie inny kaliber. Bo dotykało ją osobiście.

Wiedziała tylko, że Daniel Trebuth został zastrzelony, ale to wystarczyło. Trafił ją grom z jasnego nieba.

Zabity był ojcem Christophera, chłopaka Stefanie. Nawet zbrodnia dokonana w dalszej okolicy stanowi dla ludzi wstrząs i wywołuje poczucie zagrożenia, ale gdy zdarza się tuż obok, po sąsiedzku, we własnej rodzinie czy wśród przyjaciół, dochodzi do wstrząsu egzystencjalnego. Ina poważnie rozważała, czy nie odesłać Stefanie do jej ojca, przynajmniej do czasu, kiedy wszystko się uspokoi.

Ale co zrobić z Christopherem i małą Felicią? Tych dwoje de facto było pełnymi sierotami, chociaż los ich matki nie został jeszcze wyjaśniony.

– Odwiedziłam twoją matkę – powiedziała Ina, gdy dotarli do Prerow. Wypowiedziała to zdanie bez zastanowienia, może po to, by przerwać ciszę i rozwiać ponury nastrój. – Przepraszam, że cię nie uprzedziłam. Teraz rozumiem, dlaczego nic nie powiedziałaś.

Bobby miał problem ze zmianą biegów, który rozwiązał w nietypowy dla siebie sposób – siłowo. Garbus szarpnął jak spięty ostrogami koń, ale po chwili się uspokoił.

– Domyślam się, że Nelli była...

– ...najważniejszym człowiekiem w moim życiu – dokończył Bobby ze łzami w oczach. – Oprócz mojej matki. Zawsze mogłem na nią liczyć, zawsze mnie wspierała. Dlatego chcę, żeby było jej jak najlepiej, nawet jeśli...

Urwał, ale po chwili ponowił próbę.

– Nawet jeśli niewiele rozumie. Miejsce w tym domu kosztuje mnóstwo pieniędzy, lecz na szczęście nieźle zarabiam. Ale nie chcę o tym teraz rozmawiać.

– Jesteś na mnie zły?

– Nie, nie jestem. Nie chciałem tylko, żebyś... dowiedziała się o Nelli w taki sposób. Kiedyś sam bym ci o niej powiedział. Nie kiedyś, tylko niebawem.

Bobby zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt metrów od domu Trebuthów, w pobliżu rozciągniętej przez policję taśmy ogradzającej miejsce przestępstwa. Na ulicy zebrał się już spory tłum gapiów.

– Och, na pewno znasz drogę do domu Daniela Trebutha – stwierdziła Ina.

Bobby spojrział na nią zdziwiony.

– Przywiozłem Christophera i Stefanie. Dzwonił jego dziadek.

– Ach, rzeczywiście. Zaczekasz na mnie? Mogę wezwać taksówkę, jeśli...

– Zaczekam – odpowiedział krótko.

Ina, ponaglona jego spojrzeniem, wyszła na deszcz i już miała zatrzaskać drzwi, gdy usłyszała, że Bobby coś do niej mówi. Nachyliła się.

– Moja łódź, *Ina*... Do tej pory zawsze sobie wyobrażałem, że nazwę ją *Nelli*.

Po trwających jakiś czas słownych przepychankach ze stróżami prawa Ina została wpuszczona na miejsce zbrodni. Na parterze panował jeszcze spory ruch, chociaż zwłoki zostały znalezione już cztery godziny wcześniej, mniej więcej w tym czasie, gdy Ina była z wizytą u Marlene. Martwe ciało Daniela Trebuttha zostało już wprawdzie zabrane, ale na wyłożonej jasnymi płytkami podłodze salonu wciąż widać było dużą, nieforemną kałużę krwi, która rozlała się niczym gęsty strumień lawy.

Strzał w brzuch – wyjaśnił nadkomisarz Witte, jak zwykle wciskając dłonie w kieszenie spodni. – Kula uszkodziła śledzionę i inne organy. Zgon nastąpił w ciągu kilku sekund. Przyjechała pani z powodu dzieci?

– Przede wszystkim – odpowiedziała Ina.

– Są na górze, tam kryminaliści już skończyli. Przede wszystkim, czyli również z innego powodu?

– Kto go znalazł?

– Droga pani Bartholdy. Wprawdzie w ostatnim czasie widujemy się tak często, że w pewnym sensie należy pani do rodziny, ale proszę zrozumieć, że nie omawiam z krewnymi prowadzonych śledztw.

– Niechże pan nie będzie takim służbistą. Dałam panu pewną wskazówkę, więc niech teraz pan da wskazówkę mnie.

– Nie jesteśmy na targu, łaskawa pani. Zresztą przeszukania, które przeprowadziliśmy dzięki pani wskazówkom, absolutnie niczego nie wniosły. Proszę tego nie brać za krytykę, po prostu stwierdzam fakt.

– Strasznie się pan stara przekonać mnie, że jest pan potworem – odparła psycholożka arcygrzecznym tonem. – Gdzie takich rzeczy uczą? W szkole policyjnej? Musiał pan być prymusem. A może wybrał pan ten fach ze względu na swe naturalne predyspozycje?

– Tylko bez pochlebstw, proszę. Jestem na służbie, a komplementy szybko mi uderzają do głowy.

– Mówi pan jak Kojak. Robi pan to nieświadomie czy to efekt wieloletnich ćwiczeń?

– Zapewne są mężczyźni, którzy uwielbiają prowadzić z psycholożkami takie pogawędki. Na przykład Bobby... Ja nie należę do tej grupy, więc źle pani trafiła. Proszę iść na górę i zająć się swymi pacjentami, a śledztwo zostawić mnie.

Ina zrewidowała swoją opinię na temat Wittego. Wbrew temu, co sądziła na początku, nadkomisarz nie był typem człowieka, który określa się mianem „twardy na wierzchu, miękki w środku”. Nie był Humphreym Bogartem ani Philippem Marlowe’em, gdyż pod jego twardą skorupą znajdowała się jeszcze twardsza i bardziej szorstka warstwa, a dopiero potem pełne goryczy wnętrze. Podjęta przez terapeutkę próba zyskania sympatii policjanta spaliła na panewce, gdyż ziarno padające na zeszlą glebę nie ma szans zakiełkować.

Kiedy już Ina zamierzała wyjść z salonu, zauważyła na stole otwarty list. Oczywiście nie dotknęła go, ale przecież spojrzenie nie zacierá śladów.

Pismo z wielkiego niemieckiego banku zajmowało cztery strony, ale wystarczyło przeczytać nagłówek: „Przymusowa licytacja”. Termin wypadał za dwa tygodnie.

Czy pismo z banku mogło mieć coś wspólnego z tym morderstwem? Mogło – gdyby Daniel Trebuth popełnił samobójstwo. Tyle że Ina nie zauważyła broni, z której miałyby się zastrzelić – nie było nawet jej obrysu na podłodze. Poza tym nikt nie zabija się strzałem w brzuch.

Na najwyższym stopniu schodów stał starszy mężczyzna, który przedstawił się Inie jako teść Daniela. Okazało się, że to on znalazł zwłoki, gdy odwiózł do domu Felicię. Ponieważ przesłuchanie Daniela mocno się przedłużyło, dziewczynka spędziła noc u dziadków.

– Ina Bartholdy. Jestem matką Stefanie.

– Dzieci są w pokoju Christophera. Zrobiłem dla nich, co w mojej mocy, ale muszę na chwilę wyjść.

– Oczywiście. Zaraz do nich pójde. Proszę tylko odpowiedzieć mi na jedno pytanie: czy wiedział pan, że ten dom ma zostać zlicytowany?

– Już pytała mnie o to policja. Nie, nie miałem pojęcia. Daniel nigdy nawet słowem nie wspomniał o tym, że ma kłopoty finansowe. Z drugiej strony, i tak nie moglibyśmy mu pomóc. Nasze emerytury, moja i mojej żony, wystarczają na życie, a u jego rodziców, o ile mi wiadomo, sprawy wyglądają podobnie.

– O co jeszcze pytali pana policjanci?

– Czy wiem coś o starym parabellum. Mój zięć najwyraźniej został zabity z takiej właśnie broni. Ale nie potrafiłem pomóc śledczym. Oczywiście chcieli też wiedzieć, gdzie byłem w czasie, kiedy najprawdopodobniej dokonano zabójstwa, czyli wczoraj w nocy około dwudziestej trzeciej. To po prostu straszne. Muszę zadzwonić do żony, bo jeszcze o niczym nie wie. Mój Boże, najpierw Jette, a teraz... To jakieś przekleństwo.

Dla teścia Daniela Trebutha tego już było za wiele i wyszedł z domu zaczerpnąć świeżego powietrza.

Tymczasem Ina stanęła przed drzwiami pokoju Christophera i zanim weszła, wzięła głęboki oddech.

Felicia leżała na brzuchu na podłodze z główką między ramionami i przeraźliwie płakała. Jej brat siedział obok niej na podłodze. Jego łzy płynęły po policzkach bezgłośnie. Ina była bardzo poruszona tym, jak chłopak pociesza siostrzyczkę, gładząc ją po główce i drugą dłonią ocierając sobie policzki. Jego głowa spoczywała na ramieniu Stefanie. Cała trójka przedstawiała sobą obraz pełen tragizmu, ale i pocieszenia. Pokój był spowity cudownym, niemal magicznym światłem sączącym się zza ściany wzniesionej z kolorowych luksferów.

Terapeutka zamknęła wychodzące na ulicę okno i głosy policjantów i dziennikarzy w jednej chwili umilkły, a gdy opuściła jaskrawożółte żaluzje, z sufitu znikły kolorowe rozblýski rzucane przez światła karetki i radiowozów.

– Mogę się do was dosięć? – spytała.

Stefanie wyciągnęła do niej rękę.

– Czy tata naprawdę nie żyje? – Mała Felicia podniosła na chwilę zapłakaną buzię i spojrzała na Inę z nadzieją, iż ta powie, że zaszło okropne nieporozumienie.

Przez moment psycholożka była dla tej maleńkiej dziewczynki aniołem, którzy może wszystko naprawić.

– Tak – odpowiedziała Ina. – Niestety nie żyje.

Mała znów zaniósła się płaczem, a terapeutka dotknęła lekko jej ramienia, by pokazać, że jej bardzo współczuje. Nie ma chyba bardziej tragicznej sytuacji niż ta, gdy musimy przekazać dzieciom wieść, że ich rodzice nie żyją, i towarzyszyć im w tej pierwszej fazie bólu. Takie łzy żadnego serca nie pozostawia obojętnym. Ina dosłownie czuła ból tych dzieci. Przez lata nauczyła się zachowywać profesjonalnie i nie angażować się osobiście w problemy pacjentów, ale tego dnia przychodziło jej to z wyjątkowym trudem.

Kiedy godzinę później wychodziła z domu, deszcz już nie padał. Sprzed chaty Trebuthów stopniowo znikwały kolejne radiowozy i nieoznakowane samochody policji oraz ciekawscy. W końcu zostało już tylko kilku funkcjonariuszy i gapiów. Złożono pierwsze kwiaty, zapalono pierwsze znicze. Przed najbliższym skrzyżowaniem wciąż parkował niebieski garbus kabriolet. Bobby czekał za kierownicą.

– Gdzie Stefanie? – spytał, kiedy Ina usiadła na fotelu pasażera.

– Chce zostać u Christopfera. To wszystko wstrząsnęło nią prawie tak samo jak nim. Prawdę mówiąc... jestem dumna z tej jej miłości i przywiązania. Mam naprawdę cudowną córkę.

Bobby przez chwilę patrzył na Inę w milczeniu, a ona świadomie nie przerywała ciszy.

– Co teraz? – zapytał w końcu jak ktoś, kto nie ma odwagi wyznać ukochanej, co do niej czuje.

– Właśnie. Co teraz? – westchnęła Ina. – Jestem głodna i mam ochotę pójść do konkretnej restauracji. Co powiesz na włoskie jedzenie?

Lokal o nazwie „Il Gattopardo” nie był usytuowany zbyt szczęśliwie. To, co gdzie indziej mogło być zaletą – wejście wprost z głównej ulicy – na Darss stanowiło wadę. Większość turystów ceniła sobie możliwość podziwiania przy posiłku cudownych widoków – na morze, lagunę, las, wydmy, trzciny czy zabytkowy rynek. Niestety z najlepszego stolika w „Lamparcie” widać było jedynie nudną ulicę z pojemnikami na segregowane odpady. I na nic się tutaj zdały wspaniałe panoramiczne okna.

Wystrój składał się z lakierowanych krzeseł z jasnego drewna z pastelowymi obiciami i około piętnastu stolików – bez obrusów. Tylko niewielki bar prezentował się dziwnie stylowo i elegancko. Wisiały nad nim zdjęcia przedstawiające sceny z ekranizacji słynnego „Lamparta” Giuseppe Tomasiego di Lampedusa – z Burtem Lancasterem, Claudią Cardinale i Alainem Delonem. To wyjaśniało nazwę lokalu. Prawdę mówiąc, Ina

spodziewała się, że podobne zdjęcia będą zdobić cały lokal, a nie tylko bar.

Terapeutka miała wrażenie, jakby za urządzenie „Lamparta” odpowiadały dwie różne osoby. O ile bowiem menu było zalaminowane w lekko porysowane plastikowe koszulki, o tyle kieliszki i sztuczki były bardzo gustowne.

– Poproszę niegazowaną wodę, kieliszek prosecco oraz caprese – powiedziała Ina, gdy młoda, niezbyt miła kelnerka zjawiała się przy ich stoliku, by przyjąć zamówienie.

– A ja wezmę małego pilznera i sicilianę.

Kiedy dziewczyna odeszła, terapeutka rzekła:

– Zamówiłeś jedyne danie, które ma związek z Sycylią. Poza tym w karcie jest to, co wszędzie: pizza, pasta, tiramisu...

– Nie przyszliśmy tutaj jeść, prawda? – odparł Bobby z lekką irytacją.

– Nie. Tutaj pracował Giovanni. Giovanni Caffarelli. Miał związek z pewną historią, nad którą właśnie pracuję.

– Historią, nad którą właśnie pracujesz – powtórzył Bobby szyderczo. – Co to ma być, Ino? Dlaczego to robisz?

– Raczej dla kogo. Właściwe pytanie brzmi: „dla kogo to robisz”. Odpowiedź jest prosta: dla mojej pacjentki, Marlene Adamski. Jeśli się nie dowiem, co takiego się stało, że jej życie zamieniło się w piekło, ona zrobi to znowu. Znowu skoczy z balkonu. Albo się rzuci pod kombajn. Albo się utopi w lagunie. A ja nie będę na to bezczynnie patrzeć. Wzięłam za nią odpowiedzialność, a ona jak dotąd nie zrezygnowała z terapii. Nie bez powodu. Jestem absolutnie przekonana, że natrafię na coś strasznego. Ale to moja praca, Bobby. Ludzie nie idą do psychoterapeuty, ponieważ wiodą szczęśliwe, spełnione, pogodne życie, tylko dlatego, że w ich życiu pełno jest śmieci, których sami nie są w stanie się pozbyć. Przecież nie idzie się do dermatologa, by się pochwalić bielutką, kąpaną w oślim mleku skórą, tylko...

– Zrozumiałem, nie jestem głupi – przerwał jej Bobby, gdy kelnerka przyniosła napoje.

Czekali w milczeniu, aż dziewczyna rozstawi na stoliku piwo, wodę i wino, choć ich spojrzenia – nerwowe Bobby’ego i zrelaksowane Iny – raz po raz się krzyżowały.

– Przepraszam – przywołała Ina kelnerkę, gdy ta się odwróciła i zamierzała odejść. – Chciałabym porozmawiać z Giovannim. Czy on tu jeszcze pracuje?

Młoda Włoszka spojrzała na klientkę z wyraźną nieufnością.

– Już nie. Zrezygnował jakiś czas temu. A o co chodzi?

– Chciałabym z nim porozmawiać.

– O czym?

– O nim – powiedziała Ina, łagodząc swój upór uśmiechem. Po prostu o nim.

I tak już surowe oblicze kelnerki jeszcze bardziej stężało.

– Nie ma go – odparła i sobie poszła.

Prośba Iny najwyraźniej wywołała poruszenie w dość pustej restauracji. Włoszka przez chwilę naradzała się za barem z inną kelnerką – sądząc z wyglądu: swoją rówieśnicą – która zaraz zniknęła w kuchni. Po kilku sekundach w okienku do wydawania potraw pojawiła się śniada twarz mężczyzny, a potem druga, dosyć podobna do pierwszej. Cztery pary oczu wpatrywały się w ciekawską klientkę.

– Super – skomentował to Bobby. – Wygląda na to, że wsadziłaś kij w gniazdo os.

– Byłeś tu kiedyś?

– Nie. Dlaczego przez cały dzień wypytujesz, czy gdzieś byłem?

– Z różnych powodów. Akurat teraz zapytałam, bo byłoby chyba lepiej, gdybyś znał przynajmniej jednego z tych dwóch kucharzy, którzy idą do naszego stolika.

– Niestety muszę cię rozczarować. W życiu ich nie widziałem.

Włosi stanęli przy stoliku w takich pozach, jakby chcieli przeprosić klienta, który poskarżył się na jakość swego spaghetti. Starszy – mniej więcej trzydziestopięcioletni – miał twarde rysy twarzy, głębokie zmarszczki ciągnące się od nasady nosa do ust oraz między oczami i wyhodowany na pizzy i makaronie brzuch. Jego młodszy o jakieś siedem, osiem lat brat był szczupły, miał wyraźnie łagodniejsze rysy i oszłamiająco ciemne, błyszczące oczy, tak zachwycające Europejki z północy kontynentu.

Prym w tym tandemie wiódł bez wątpienia starszy z braci – młodszy, zgodnie z dworskim protokołem, stał krok za nim, podczas gdy kobietom przypadła w udziale rola stojących w tle obserwatorek.

– Dlaczego interesuje się pani naszym kuzynem? Coś przeszkrobał? Kim pani w ogóle jest?

Ina podała Włochowi swoją wizytówkę, ten jednak nawet na nią nie spojrział.

– Giovanni mógłby mi pomóc wyjaśnić kilka spraw. Chodzi o jedną z moich pacjentek. Niestety nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Czy to ma jakiś związek z tą całą Romy?

– Och, pan zna Romy Haase?

– Byli tu dwa czy trzy razy. Dawno temu. Giovanni z nią zerwał. Robi, co chce.

Ina uniosła brwi.

– Ale jego samochód wciąż stoi u Romy.

– Fiat? Możliwe. Miała go pilnować, dopóki Giovanni nie wróci. Tak podejrzewam. Jego samochód to nie moja sprawa. A pani? Dlaczego się interesuje tym fiatem?

– Gdzie znajde Giovannięgo?

– Może tu, może tam, skąd mam wiedzieć? Jeśli nie chce, by go znaleziono, to jego sprawa.

– Dlaczego nie chce, by go znaleziono?

– Mówiłem: to jego sprawa. Niech pani lepiej nie wypytuje o Giovannięgo. A teraz proszę wyjść.

Młodszy z kucharzy wyjął z dłoni brata wizytówkę i zaczął z nim dyskutować, niestety po włosku. Pojedyncze słowa i wyrażenia, takie jak „*terapeuta*” czy „*non agente di polizia*”, pozwoliły Inie wyciągnąć pewne wnioski odnośnie do przebiegu dyskusji. Z jej klimatu wynikało, że bracia zapewne nie po raz pierwszy mieli rozbieżne zdania. W pewnym momencie starszy obrzucił młodszego wiązką przekleństw i z typową dla Włochów gestykulacją opuścił salę.

Młodszy z kucharzy przez kilka sekund stał niepewny przy stoliku, spoglądając to na Inę, to na Bobby’ego.

– Gratuluję – powiedziała psycholożka. – Wygrał pan.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Tylko dlatego, że Umberto martwi się tak samo jak ja. Tyle że w przeciwieństwie do

mnie surowo przestrzega starych włoskich zasad, dlatego...

Włoch usiadł obok Bobby'ego, naprzeciwko Iny.

– Jestem Alessandro. Giovanni jest synem siostry naszej matki. Kiedy byliśmy mali, często się razem bawiliśmy. Jesteśmy w tym samym wieku i wychowywaliśmy się w małej wiosce w Hesji. Takie coś bardzo mocno łączy ludzi. Prawdę mówiąc, był dla mnie jak brat. Niestety muszę powiedzieć, że zawsze miał talent do pakowania się w kłopoty. A rok temu wpakował się w naprawdę poważne tarapaty.

– Może mi pan powiedzieć coś więcej? – spytała Ina.

– Proszę najpierw odpowiedzieć na jedno pytanie: jest pani terapeutką Romy?

– Nie. Ale nie mogę panu zdradzić nazwiska mojej pacjentki. Obowiązuje mnie tajemnica. Mogę tylko powiedzieć, że Romy jest z nią jakoś związana.

– Spytałem, bo ta Romy jest trochę... No wie pani. Poznałem ją w zeszłym roku, latem. Wydawała mi się niezbyt rozgarnięta. Kiedy Giovanni zniknął, spotkałem ją przypadkiem podczas joggingu, nad laguną. Była... Kurde, była jakaś dziwna, jakby na haju. Głowy za to nie dam, ale myślę, że ona ma coś wspólnego ze zniknięciem naszego kuzyna.

– Mówi pan, że Giovanni zniknął. Dokąd wyjechał?

Alessandro przez chwilę obracał między dłońmi solniczkę, jakby był to kawałek gliny.

– Z początku myślałem, że chce sobie zrobić dłuższy urlop, we Włoszech. Rozumie pani... – Kucharz spojrział na Inę porozumiewawczo.

– Nie bardzo – odpowiedziała psycholożka, gdy Bobby wzruszeniem ramion zasygnalizował jej, że też nie rozumie, co Włoch ma na myśli.

– Dłuższy urlop we Włoszech... Włosi mieszkający na emigracji mówią tak, kiedy ktoś musi na jakiś czas zniknąć. Rozumie pani?

– Rozumiem.

– *Va bene*. Parę dni wcześniej opowiadał mi o jakimś świetnym interesie. Miał zarobić kupę forsy. Powiedziałem mu, żeby nie robił głupot, ale mówiłem mu to pewnie z dziesięć razy na rok i niewiele to dawało. Giovanni ciągle kręcił jakieś interesy na boku. Drobne oszustwa, narkotyki... Nie pytałem dokładnie. To nie mój świat. Mam restaurację i tym żyję.

Ruchem głowy zaproponował, by się przenieśli do baru, który najwyraźniej był jego dziełem, tak jak nazwa lokalu. Banalną resztę urządził jego starszy brat Umberto.

– Kiedy ostatni raz miał pan jakieś wieści od Giovanniego? – spytała Ina.

– Właśnie tamtego dnia. Kiedy mu powiedziałem, żeby nie robił głupot.

– Czyli ponad rok temu – bąknęła terapeutka ze zdumieniem.

Alessandro ze smutkiem skinął głową.

– I do tej pory nic pan nie zrobił?

– Rodzina postanowiła milczeć.

– Ale dlaczego, na litość boską? Minął rok, bez żadnej wiadomości, bez znaku życia...

– Panie nic nie zrozumie – odparł Alessandro. – Mój kuzyn zrobił to już dwa razy, za każdym razem na jakiś czas zniknął i nie dawał znaku życia. Przecież powiedziałem, że był w coś zamieszany. Praca u nas była pierwszą normalną pracą w jego życiu, nie licząc paru dorywczych zajęć. Mieszkał u mnie i mojej żony, miał duży pokój. Przez osiem miesięcy

wszystko szło dobrze, a potem... – Alessandro energicznie odstawił solniczkę na miejsce. – Włoskie rodziny trzymają się razem, bardziej niż niemieckie. Rodzina jest święta, rozumie pani? Kiedy już nie można na nikogo liczyć, rodzice, rodzeństwo, dzieci i kuzyni wciąż trzymają się razem. Tak żyjemy. Ma to swoje zalety, ale też kilka wad. Kiedy ktoś z rodziny znika, wpada w kłopoty, nie idzie się na policję. Czekamy, co się wydarzy.

Słowa Alessandra wprowadziły Inę w przygnębienie. Oto od pół wieku w jej okolicy żyją ludzie z sąsiedniego nieomal kraju – niektórzy w trzecim pokoleniu – a ona praktycznie nic o nich nie wie. Zna ich fantastyczną kuchnię i wspaniałe wina, widuje gładko zaczesane, napomadowane włosy, słyszy ich miłosne piosenki, odwiedza ich wspaniałe stare miasta, żartuje z ich niepunktualności, może nawet uczy się trochę ich melodyjnego języka – którego zresztą im zazdrościła – a mimo to zupełnie nie zna ich duszy. Tak jak oni nie rozumieją niemieckiej duszy. Z pewnością ani Alessandro, ani jego brat, ani zapewne nikt z ich wielkiej rodziny nie miał nic wspólnego z machlojkami Giovanniego, a mimo to obowiązywała prosta zasada: krewnych się nie wydaje.

– Oczywiście pytaliśmy tu i ówdzie – kontynuował Alessandro. – Uruchomiliśmy wszystkie kontakty, nawet te, które zostały nam jeszcze na Sycylii. Wszystko na nic. Obdzwoniliśmy mnóstwo jego przyjaciół, znajomych ze szkoły. Żeby ukryć jego zniknięcie, opłacaliśmy jego rachunki, a nawet złożyliśmy za niego zeznanie podatkowe.

– A mimo to teraz mówi pan to obcej osobie.

Kucharz wstał i ze smutkiem zwiesił głowę.

– Tak – westchnął. – I to wcale nie dlatego, że znam się jakoś wyjątkowo na ludziach i wierzę, że go pani nie wyda. Doskonale wiem, że jeśli tylko nadarzy się taka okazja, zrobi to pani. Dla siebie albo dla swojej pacjentki.

Ina w napięciu wpatrywała się we Włocha.

– Więc dlaczego? Dlaczego chce mi pan pomóc znaleźć Giovanniego?

– Bo nie jestem taki jak mój brat i moja lojalność ma pewne granice. Do tej pory Giovanni nie zniknął na tak długo. Jestem prawie pewien, że albo został zamordowany, a wtedy musimy urządzić mu godny, katolicki pogrzeb...

Włoch podniósł oczy na brata, który stał za barem i ze skrzywioną miną obserwował, jak Alessandro oczernia krewniaka.

– Albo? – spytała Ina.

– Albo sam został mordercą.

Kolejny raz tego dnia Ina i Bobby siedzieli w samochodzie z wyłączonym silnikiem i milczeli. Psycholożka wcześniej miała pewną teorię – która wciąż mogła się okazać prawdziwa – ale doszła do niej nowa, dużo straszliwsza. Nie miała odwagi spojrzeć na Bobby'ego, a on najwyraźniej nie potrafił patrzeć na nią. Milczenie było jak dzieląca ich przepaść. W końcu stało się nie do zniesienia.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedział w końcu Bobby.

– Miałam nadzieję, że to powiesz.

– Zaczekaj.

Włączył silnik i bez słowa wyjaśnienia ruszył. Ina o nic nie pytała.

Samotne molo w Kühlungsborn wbijało się w chłostane wiatrem morze. W ten okropny ostatni dzień września turyści woleli się zaszyć w kawiarniach okolicznych hoteli, skąd rozkoszując się smakiem kawy i ciastek, obserwowali przez panoramiczne okna nielicznych odważnych, którzy wybrawszy się na spacer, stawiali czoła niepogodzie. Niebiańskie śluzy były zamknięte, lecz niskie ciemne chmury sprawiły, że zmrok zapadł wcześniej i o szesnastej promenada nagle się wyludniła.

Bodo i Ina, ubrani w kurtki i mocne buty, stawiali czoła dzikim żywiołom, które władały mołem. Samotny wędkarz na platformie wieńczącej pomost dzielnie opierał się pryskającej mu w twarz morskiej pianie.

– Połamania kija – krzyknął do niego Bobby.

– Ach, to ty. Dawno się nie pokazywałeś. Dzięki.

– Masz coś w wiaderku?

– Tylko dwa lipienie. Będziesz na festynie strażackim?

– Zobaczę.

Mężczyźni pożegnali się machnięciem ręki i Bobby oparł się o balustradę, spoglądając na północ, na otwarte morze.

Ina chętnie darowałaby sobie to zimno i wiatr, ale Bobby'emu zależało na tym, by rozmowa odbyła się właśnie tutaj. W przeciwieństwie do Iny najwyraźniej w ogóle mu nie przeszkadzało, że morze raz po raz pluje im w twarz pianą. Psycholożka czuła, jak za jego czołem formują się myśli i gromadzą słowa. Właśnie to intuicyjne porozumienie, które wykształcili w swym związku, sprawiało, że Bobby był jej tak drogi. Miała wrażenie, że jej przyjaciel zawsze wie, czego jej potrzeba – i sama też potrafiła wyczuć, czego potrzeba jemu. Dlatego w głębi duszy czuła, że coś się między nimi zmieniło. Przez cały dzień podświadomie wiedziała, że w końcu będą musieli szczerze porozmawiać. Co więcej – miała nadzieję, że do tej rozmowy dojdzie.

Cierpliwie czekała. Od czasu do czasu zerkała kątem oka na profil Bobby'ego i rozwiane na wietrze włosy. Miała ochotę wczepić się w nie czule palcami. Upłynęła minuta. Wiatr dął im w twarz, chmury nad ich głowami pędziły po niebie, a mewy śmigały tuż nad wzburzonymi falami.

W hałasie wywołanym przez żywioły głos Bobby'ego był ledwie słyszalny.

– Dlaczego ludziom tak zależy na tym, żeby znaleźć w życiu jakiś sens?

Ina przez lata praktyki terapeutycznej przyzwyczała się do nagłych zmian tematu. Pytała na przykład kobietę w średnim wieku o jej małżeństwo, a słyszała opowieść o chorobach skóry, wafelkach z dżemem truskawkowym, wstręcie do kaktusów albo kucyku o imieniu Pony. W końcu jednak to wszystko układało się w całość i nabierało sensu.

Dlatego świadomie nie odpowiedziała na pytanie Bobby'ego, które najwyraźniej stanowiło wstęp do dłuższej wypowiedzi. Nie chciała mu przerywać.

Bobby zaś mamrotał, przyduszany przez wiatr:

– Chodzi mi o to, że większość ludzi nie radzi sobie, kiedy nie widzi w życiu jakiegoś sensu. Wierzą w Boga, płodzą dzieci, budują dom, robią tysiące zdjęć, otwierają biznes...

– Sens daje oparcie. Czy to coś złego?

– Nie, w żadnym razie. Tylko że to iluzja. Dzieci i wnuki umierają, drzewa i mury nie mają pamięci ani nie umieją mówić, a wszystkie książki kiedyś się rozpadną. Nelli była dla mnie całym światem i kiedy umarła, chciałem w jakiś sposób przedłużyć jej życie. Próbowałem tę odrobinę, która po niej została, ocalić na przyszłość.

Potaął dłońmi twarz, zwłaszcza oczy, zapewne nie tylko po to, by otrzeć drobiny morskiej piany.

– To był błąd – powiedział tak dobitnie, jakby wydawał wyrok.

Ina westchnęła.

– Nie bądź dla siebie taki surowy. To zupełnie normalne, że...

– Nie, Ino – przerwał jej. – W tym nie było nic normalnego. Wybrałem niebezpieczną ścieżkę. W głębi duszy przez cały czas miałem świadomość, że popełniam błąd. Mimo to nie mogłem się zatrzymać. Przeciwnie, szedłem coraz dalej i coraz szybciej. Idiotyczne, prawda? A jeśli coś jest idiotyczne, to z pewnością jest na to jakieś określenie, prawda?

– Nie mówimy tu o żałobie ani jachcie, prawda?

– Prawda – odrzekł i spojrzał na Inę wyczekująco.

– Dysonans poznawczy – powiedziała.

– Dysonans poznawczy – powtórzył. – Brzmi świetnie.

– W języku naukowym wszystko brzmi świetnie. Mówiąc w dużym uproszczeniu, chodzi o stan pewnego napięcia, które powstaje, kiedy człowiek, że tak powiem, chce siedzieć jednocześnie na dwóch krzesłach, a te krzesła się rozjeżdżają. Aby zniwelować to napięcie, człowiek decyduje się na jedno z nich, a potem stara się wytrwać w tej decyzji.

– To ma być w uproszczeniu?

Uśmiechnęła się.

– Weźmy taki przykład: Kiedy ktoś podjął decyzję, która później okazuje się błędna, czuje pokusę, by temu zaprzeczać i twierdzić, że wybrał właściwie. Ta pokusa jest wyjątkowo silna, kiedy ktoś wskutek naszej decyzji ucierpiał. To zaś może prowadzić do takiego paradoksu, że nie tylko akceptujemy ten błąd, ale go nawet powielamy. Wszystko po to, by mu zaprzeczyć. Niektórzy ludzie zmieniają nawet swoje dotychczasowe przekonania, byle tylko nie przyznać się do porażki.

– Aha. – Bobby wyraźnie był pod wrażeniem.

– Jak się zapewne domyślasz, jako psycholog nie mogę nazwać takiego zachowania idiotycznym, tylko ludzkim. Nie są od niego wolne ani jednostki, ani zbiorowości ludzkie. Wiele państw wywoływało wojny, które szybko okazywały się moralną katastrofą i zmierzały ku militarnej klęsce, ale ponieważ pochłonęły życie tysięcy żołnierzy, toczono je dalej. I tak z początkowych tysięcy ofiar robiły się dziesiątki czy setki tysięcy, a przekonania moralne rozsypywały się niczym domek z kart. Niektórych konfliktów, poczynając od zatargów sąsiedzkich, aż po waśnie polityczne, nie sposób zakończyć, ponieważ w grę wchodzi dysonans poznawczy.

– W takim razie jestem w dobrym towarzystwie. Jest na to jakieś lekarstwo?

– Już je znalazłeś: uznanie prawdy. Uświadomiłeś sobie ten dysonans i możesz podejmować kolejne decyzje świadomie, zamiast dalej działać bezwolnie jak trybik wielkiej maszyny. Zdolność do uznania własnego błędu to akt prawdziwej dojrzałości.

Tylko że w naszym społeczeństwie takie przyznanie się często jest traktowane jako przejaw słabości, a co za tym idzie, karane. Tymczasem tak naprawdę powinno być nagradzane.

– Czy ktoś ci już kiedyś powiedział, że czasami mówisz jak stary mędrzec?

Uśmiechnęła się.

– Owszem, wiele razy.

Niestety krótki żartobliwy przerywnik nie zdołał zachęcić Bobby'ego do zwierzeń. Ina widziała, że jej przyjaciela coś strasznie męczy, dlatego uznała, że nadeszła pora, by zagrać w otwarte karty.

– Dlaczego w taki dzień jak dzisiaj stoimy na tym okropnym moło i dyskutujemy o dysonansie poznawczym? Możesz mi to wyjaśnić?

Bobby wytrzymał jej spojrzenie.

– Mogę.

Ina uwielbiała takie momenty. I zarazem potwornie się bała, że pewnego dnia przestaną jej się podobać. Może już jutro. Wolałaby porozmawiać z Bobbym o czymś innym – o pogodzie, wędkowaniu, o tym, że zawsze lubiła mola, o czymkolwiek.

Odwróciła oczy, gdy na nią spojrzął, i spostrzegła, że zostali sami. Wędkarz zniknął. Mgła spowiła srebrnym woalem moło oraz hotele na brzegu. Pojedynczy spacerowicze na promenadzie zamienili się w upiorne, zgarbione stwory.

– Kocham cię, ale... – zaczął Bobby.

W tym momencie Ina uświadomiła sobie, że to będzie coś na kształt pożegnania, swoiste rozstanie – i poczuła ścisk w gardle. Szybowali, niesieni prądem powietrza, oddaleni od siebie zaledwie o krok, na wyciągnięcie rąk. Ich dłonie pozostały wciśnięte w kieszenie kurtek, stopy się nie poruszyły.

– Żałuję, że nie spotkaliśmy się osiemnaście miesięcy temu.

– Dlaczego?

– Bo udałoby się uniknąć tego wszystkiego, co się stało. I tego, co jeszcze musi się stać.

– A co musi się stać? Chcesz mi coś powiedzieć, dlatego tu jesteśmy, prawda? Chodzi o te zabójstwa? Gerda Adamskiego, Daniela Trebutha... Znałeś ich, prawda? I Romy Haase? Co się stało z żoną Daniela? I człowiekiem o nazwisku Töller? Alwin Töller? No powiedzże coś! Do diabła, dlaczego tego po prostu nie powiesz? Dlaczego nie porozmawiamy otwarcie, tu i teraz?

Ina wpadła w prawdziwy słowotok. Nie miała pojęcia, dlaczego rzuca mu w twarz takie oskarżenia, i to właśnie w tym momencie. Może dlatego, że dopiero teraz znalazła w sobie odwagę do konfrontacji – nie z Bobbym, tylko z ową mieszkającą w niej zalęknioną kobietą, która chciała zachować to, co kocha.

Bobby zwrócił się w jej stronę i wpatrywał się w nią oczami, w których się zakochała, a które nagle zdały się należeć do zupełnie innego człowieka.

O mój Boże, pomyślała. To prawda.

Zbrodnia leżała przed nią, rozłożona niczym patchworkowy koc uszyty ze zdjęć – mężczyzna w piwnicy, piekarz obsadzający w ścianie łańcuch, haker, który czyści konta, zrozpaczony bibliotekarz i mnóstwo marzeń, ulotnych niczym bańki mydlane, marzeń o domu, lodowce i rejsach.

Fala rozbiła się o słupy mola, wystrzeliła w górę niczym gejzer i opadła na Bobby’ego i Inę.

Bobby skończył swoją opowieść, otoczył przyjaciółkę ramieniem i przez kilka sekund stopniowo ścisnął ją coraz bardziej. Nagle oderwał się od Iny, zacisnął dłonie na balustradzie i wychyliwszy się za nią całym tułowiem, wlepił wzrok w rozszalałą, spienioną, stalowoszarą kipieli.

Delikatny, ledwie wyczuwalny strach, który od dłuższej chwili towarzyszył Inie, w jednej chwili przybrał na sile. Miała wrażenie, że widzi na jego skroniach tętniące żyły. Słona woda zalewała im twarze i skapywała z włosów.

Chwyciła go.

Przez minutę, dwie, przez wieczność stali blisko siebie niczym figura z brązu. Z daleka musieli wyglądać jak rzeźba. Fale przelewały się nad nimi, przynosząc ulewny deszcz, ocean szalał – i tylko oni trwali nieporuszeni. Tym, co ich łączyło, była głęboka miłość, ta sama, która elektryzowała Inę od pierwszego spotkania i o której oboje wiedzieli, że jest szalenie krucha. Ale wiązało ich również zupełnie inne, niemal przeciwstawne uczucie – groza.

– Gdybyś mnie dzisiaj spytała, jak się w to uwikłałem, nie umiałbym odpowiedzieć. Wtedy wydawało mi się, że to porwanie to moja ostatnia szansa, i nie wydawało mi się czymś złym. Dopiero później zrozumiałem, ale już było za późno.

Rozdzielili się powoli, kompletnie wyczerpani. Wiatr wiał im prosto w twarz. Ina przez chwilę miała ochotę spisać spowiedź Bobby’ego na kartce, a potem podrzeć ją na drobne kawałki i rzucić na pożarcie żywiołom, tak aby zatoneła w morskiej otchłani albo rozpadła się pośród trzciny i kwiatowych rabat. Może jakieś dziecko zebrałoby kilka skrawków, jakaś kaczką na lagunie sprawdziłaby, czy paperek dryfujący po wodzie nie nadaje się do jedzenia, uliczni sprzątacze zamiełliby jej resztki i razem z niedopałkami i kartonami po pizzy wrzucili do pojemnika na śmieci.

Przez moment chciała zachować to wyznanie dla siebie. Być może właśnie w takiej chwili rok wcześniej zrodził się ów nieszczęsny pomysł porwania – najpierw jako ulotna myśl, którą łatwo uznać za przejaw szaleństwa. Potem jednak myśl ta wróciła – i znowu, i znowu, aż zamieniła się w isierkę nadziei. Przecież istotą pokusy jest właśnie to, że atakuje ludzi w najsłabszym punkcie.

Słabym punktem Iny była miłość do Bobby’ego. Ale nie tylko. Powoli zaczynała rozumieć rozmiary tej zbrodni, która wprawdzie zaczęła się czternaście miesięcy wcześniej, ale wciąż nie dobiegła końca.

– Co się stało z Alwinem Töllerem? – spytała.

Bobby bezradnie pokręcił głową.

– Nie wiem. Zgodnie z umową przestałem się kontaktować z Marlene i Gerdem. Nie chciałem mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Chciałem o wszystkim zapomnieć. Dlatego najpierw wyjechałem na urlop, a potem pogrążyłem się w pracy. Prawdę mówiąc,

nie miałem pojęcia, co się dzieje. Nie czytałem gazet, nie spotykałem się z przyjaciółmi. Ubiegłoroczny zlot oldtimerów był moim pierwszym wyjściem od wielu miesięcy. Tam się poznaliśmy. Dzięki tobie znalazłem odskocznię i z biegiem czasu prawie zupełnie wyparłem z pamięci to, co się stało w domu Adamskich. Jednak od czasu do czasu wspomnienia mnie dopadały i ciągnęły mnie na dno.

– Nie wiedziałeś, że Alwin Töller nie wrócił do domu?

– Nie. Dowiedziałem się dopiero od ciebie i teraz mam jeszcze większe wyrzuty sumienia. Kto mógłby...? I dlaczego? Nic z tego nie rozumiem.

– Wiedziałeś o żonie Daniela?

– Też nie. Nigdy jej nie widziałem i nikt mi o niczym nie powiedział. Nie zorientowałem się nawet wtedy, kiedy przywiozłaś do mnie Christophera. Stefanie przedstawiła mi go tylko z imienia. Dopiero dzisiaj rano dotarło do mnie, kim jest ten chłopak, kiedy się okazało, że jego ojciec nie żyje. Tego, że pacjentką, o której mi opowiadałaś, jest Marlene, też domyśliłem się bardzo późno, bo nie podałaś jej nazwiska. Ale muszę przyznać, że te wszystkie powiązania... Trudno uwierzyć, że to przypadek.

– Bo w sumie to nie jest przypadek – odrzekła Ina. – Na wyspie nie ma innego psychoterapeuty. Prawdopodobieństwo, że Christopher i Marlene wylądują w moim gabinecie, było dosyć wysokie. Ale wracając do Töllera... Naprawdę chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie miałeś żadnych wątpliwości? Naprawdę wierzyłeś, że po tym wszystkim puścisz go wolno? Prawdę mówiąc, trudno mi w to uwierzyć.

Bobby rozczesał palcami swe długie włosy.

– Okej, przyznaję. Zastanawiałem się kiedyś, czy... Ale nigdy tego nie sprawdziłem. Nie chciałem wiedzieć, rozumiesz? To by niczego nie zmieniło, a tylko bym się jeszcze bardziej załamał.

– Chcesz powiedzieć, że w najgorszym wypadku kryłeś morderców? To potworne.

– Doprawdy? Jak myślisz, kto by się zaopiekował moją matką, gdybym wylądował w więzieniu, co? – odparł zapalczywie Bodo. – Ma malutką emeryturę, gdyby nie ja, wyrzuciliby ją z tamtego domu. Nie mówiąc o skandalu. Jest wprawdzie otepiała, ale zdarzają jej się przebłyski. Ja... – Bodo się uspokoił i dokończył zdanie już ciszej. – Podarowałem jej kota Töllera. U mojej matki ma lepiej niż u tego bydlaka. Ale przysięgam: nie zabrałem go dlatego, że wiedziałem, że jego pan już nie wróci.

Czy życie jednego człowieka może usprawiedliwiać krycie zabójców innego człowieka? Ina postanowiła, że powstrzyma się od ocen moralnych, przynajmniej na razie. Były ważniejsze sprawy.

– Jest jeszcze coś, czego nie rozumiem. Mówisz, że pozostali zmusili cię do tego, żebyś ukradł pieniądze inwestorów.

– Bo tak było.

– A Daniel i Giovanni wyszli z kartami kredytowymi, żeby wyczyścić konta Töllera.

– Tak jest.

– W takim razie dlaczego dom Trebuthów ma zostać zlicytowany? Daniel musiał mieć dość pieniędzy, żeby go uratować.

– No tak, to moja wina. Kiedy tylko Giovanni i Daniel wyszli, natychmiast zablokowałem wszystkie karty. Nie wypłacili ani centa. Nie mogłem pozwolić, żeby

ucierpieli niewinni ludzie.

Wiatr szarpał ich kurtami i włosami, więc odwrócili się tyłem do morza. Kiedy tak stali blisko siebie, pogrążeni w rozmowie, postronny obserwator mógłby pomyśleć, że omawiają codzienne sprawy, na przykład jakiś większy zakup. A najbardziej zabawne, że z powodu wiatru i głośnego przyboju musieli do siebie krzyczeć, a zarazem mieli pewność, że nikt ich nie podsłucha.

– Czyli wystawiłeś współników do wiatru. To było dość ryzykowne. Mogli ci złożyć niespodziewaną wizytę w domu.

– Oczywiście, zdawałem sobie z tego sprawę, dlatego zaraz wyjechałem na urlop. Z drugiej strony, co mogliby zyskać? Po zablokowaniu kart nie było żadnej możliwości dobrać się do pieniędzy. Ja też nic nie mogłem zrobić, i dobrze o tym wiedzieli. Poza tym musieli uważać, żeby nikt nie puścił farby, bo inaczej wszyscy trafilibyśmy za kratki. Zastraszanie mnie było zbyt ryzykowne. Czułem się dosyć bezpiecznie, dopóki...

Ina kiwnęła głową. Bobby uznał, że to jego wina. W końcu nie co dzień człowiek pada ofiarą podpalenia. Dlatego Bobby doszedł do wniosku, że miało ono związek z tamtą zbrodnią, chociaż minął od niej już ponad rok. W gruncie rzeczy to wyjaśnienie miało sens.

– Dlatego postanowiłeś się ze mną rozstać.

Bobby kiwnął głową i odgarnął mokry kosmyk z policzka.

– Tak. To był jedyny powód. Było mi ciężko, ale musiałem to zrobić. Przeze mnie omal nie zginęłyście, ty i Stefanie. Nie mogłem ci powiedzieć prawdy.

Ina się odsunęła i zamyślona zrobiła kilka kroków w tę i z powrotem.

– Rozumiem – powiedziała w końcu ze smutkiem. – Ale to też oznacza, że wróciłeś do mnie, kiedy tylko zyskałeś pewność, że niebezpieczeństwo minęło. Zadzwoiłeś tego dnia, kiedy zabito Gerda Adamskiego. Ściągnąłeś mnie na przystań i pokazałeś jacht.... To znaczy, że twoim zdaniem podpalaczem był mąż Marlene.

– Tak... Nie... No... – jękał się Bobby.

– Wybacz, ale to siłą rzeczy nasuwa podejrzenie, że to ty go zabiłeś – krzyknęła Ina pod wiatr i pod ciężarem tego strasznego podejrzenia odwróciła się do Bobby'ego plecami i drobnymi, szybkimi krokami ruszyła w kierunku brzegu. Czyżby powodował ją strach? Czy może raczej nie mogła dłużej znieść bliskości Bobby'ego? Czuła, jakby uniosła ją fala i oderwała od niego, od wszelkiej pewności i wszystkich nadziei.

Bobby dogonił Inę i chwycił za rękaw jej kurtki.

– Stój, to nie było tak! – krzyknął. – No zatrzymaj się wreszcie! Nie odchodź, nie zostawiaj mnie... proszę. Tak, wiedziałem, że to on. Ale dopiero kiedy odebrałem ten telefon.

– Od kogo?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Bobby, gwałtownie gestykułując. – To było tego ranka, kiedy... kiedy w gazecie napisali, że Gerd nie żyje. Głos w słuchawce brzmiał jakoś dziwnie, jakby został zniekształcony. Nawet nie wiem, czy to był mężczyzna, czy raczej kobieta. Powiedział tylko: Niebezpieczeństwo minęło. Już nic ci nie grozi. Coś w tym stylu. Potem się rozłączył.

Ina sama nie wiedziała, czy da mu wiarę.

– Mogłeś to po prostu zmyślić.

– A skąd mogłem wiedzieć, kto podłożył ogień? Równie dobrze to mógł być Giovanni. To by nawet było bardziej logiczne, bo to przecież jego oszukałem. Chyba nie myślisz, że ciągnę losy i zabijam ludzi na chybił trafił, bo wydaje mi się, że mogą mi zrobić coś złego? Uważasz, że jestem aż takim wariatem? A może twoim zdaniem jestem jakimś psychopata?

Z pozoru mogło się wydawać, że Bobby podał dobry argument. Trudno chronić pieniądze inwestorów, wystawiając do wiatru wspólników, a z drugiej strony rozbijać głowy ludziom. To kompletnie bez sensu.

Tylko czy w tej dziwnej historii w ogóle cokolwiek ma sens? Bibliotekarz, który wypożycza książki dla dzieci, i żona piekarza, która od lat znajduje szczęście w wyrobie tortów, porywają człowieka. I jeszcze Bobby...

– Przysięgam, że mówię prawdę – zaklinał się Bobby. – Ktoś do mnie naprawdę zadzwonił. Nie mam nic wspólnego ze śmiercią Gerda i Daniela.

Ina głęboko westchnęła.

– No dobrze. A co się stało z pistoletem, którym cię sterroryzowali?

– Nie rozumiem.

– Możliwe, że Daniela zastrzelono z tej broni. Co się z nią stało? Zabrał ją, wychodząc z domu?

Bobby na moment się zawahał.

– Nie. Zostawił ją na biurku.

– Co z nią zrobiłeś?

– Wrzuciłem do laguny.

W milczeniu wrócili do samochodu. Ina próbowała uporządkować targające nią uczucia, a zarazem starała się nie oceniać Bobby'ego. Ani jedno, ani drugie nie przychodziło jej łatwo. Gdyby Bobby molestował dziecko albo zgwałcił kobietę, zerwałaby z nim w jednej chwili – i uczyniłaby to, kierując się nie tylko rozumem, ale i sercem. Ale w tej sytuacji rozum podpowiadał jej co innego niż serce. Bobby porwał człowieka – ale jego motywy były absolutnie zrozumiałe. Okradł człowieka – ale tylko po to, by odzyskać coś, co w jego mniemaniu zostało mu bezprawnie zabrane. Był przestępcą, ale zarazem mężczyzną, którego Ina wciąż kochała. I nie umiała przestać.

Po tym, jak Witte opowiedział jej o Alwinie Töllerze, sprawdziła doradcę inwestycyjnego w Internecie. Okazało się, że parę lat wcześniej był uwikłany w kilka procesów. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę fakt, że wielu ciułaczy w trakcie kryzysu finansowego wskutek bankructwa banków straciło oszczędności całego życia.

Postronnemu obserwatorowi łatwo sympatyzować z procesującymi się inwestorami, którzy stracili ogromne kwoty – a niektórzy wręcz wszystko. Dużo trudniej znaleźć zrozumienie dla bogatego doradcy inwestycyjnego pokroju Töllera. Na szczęście wymiar sprawiedliwości działa na innej zasadzie. Nie staje automatycznie po stronie Dawida i nie patrzy podejrzliwie na Goliata. Dawid nie musi mieć zawsze racji tylko dlatego, że jest mniejszy, a Goliat być winny, bo jest tym większym. Z tego co Ina wyczytała w Internecie, wynikało, że Töller w swoich prospektach i innych materiałach reklamowych dokładnie

wyjaśniał, czym są certyfikaty – mianowicie udziałem w spółce. Oczywiście nie ostrzegał wielkimi literami: UWAGA, MOGĄ PAŃSTWO STRACIĆ WSZYSTKIE PIENIĄDZE! Mimo to sądy wszystkich instancji uznały, że nie miał takiego obowiązku, tak jak producent wind nie musi w każdej kabinie wieszać tabliczki z informacją, że podczas trzęsienia ziemi winda może się zerwać.

Prasa – lokalne gazety i kilka tytułów meklemburskich – sekowała Töllera, a większość pytanym o zdanie przechodniów uważała wydawane w jego sprawie wyroki za niesprawiedliwe. Iny zupełnie to nie dziwiło. Wzrost płac jest sprawiedliwy, spadek nie. Kiedy kursy akcji rosną, świat jest piękny, a kiedy spadają na dno, winni są źli spekulanci, zwłaszcza jeśli wychodzą z kryzysu bez szwanku. Wielu ludzi uważa się za świadomych uczestników jakiegoś przedsięwzięcia tylko wtedy, gdy wszystko idzie dobrze. Kiedy sprawa bierze w łeb, twierdzą, że zostali oszukani. To mechanizm stary jak świat. Jest głęboko zakorzeniony w ludzkiej psychice i w tym sensie z psychologicznego punktu widzenia wydaje się absolutnie zrozumiały.

Ale nic więcej.

– Co zrobisz? – spytał Bobby.

– Wiesz, co muszę zrobić – odparła Ina. – Inaczej nie jeździłbyś w taką okropną pogodę swoim ukochanym autkiem. Chciałeś ostatni raz usiąść za jego kierownicą, nim na dłuższy czas się z nim pożegnasz. Wiedziałaś o tym, kiedy postanowiłeś opowiedzieć mi o tym porwaniu.

– Nie mogłem tego dłużej w sobie tłamsić. Nie po tym, co się stało w ostatnich dniach. Gdybym to przed tobą zataił, czułbym się jak ostatni kłamca.

Przez całą drogę lewa ręka Iny spoczywała na jego udzie. W pewnym momencie nawiedziła ją dziwna myśl, że najchętniej zostałaaby u boku Bobby'ego w tym chłostanym przez burzę autku. Mijałoby niekończące się falujące łąki i gaje, słuchając Pucciniego i obserwując ruch wycieraczek – byle tylko nigdy nie dotrzeć do celu. Tak trudno jej było na myśl o tym, co musi zrobić.

– Chciałabym teraz pojechać do Marlene. I chciałabym, żebyś mi towarzyszył podczas tej rozmowy – powiedziała.

Wrzesień

O zmierzchu chmury się rozstały i na srebrzystym niebie ukazały się niezliczone klucze żurawi lecące ponad laguną. Powietrze wibrowało od ich nawoływań, a tworzone przez nie formacje i gracia ich ruchów były tak cudowne, że Inie zaszkliły się oczy. Po drugiej stronie laguny, której wody lśniły w wieczornym świetle niczym stopiony ołów, ptaki lądowały na opustoszałych polach, by zaczerpnąć sił przed dalszą drogą na południe, w którą miały wyruszyć następnego dnia rano. *Rano*, pomyślała Ina. *Rano* wszystko się zmieni. Kiedy żurawie wzbiją się w niebo, jej życie nie będzie już takie samo. Ona sama też się zmieni.

Oderwała wzrok od laguny i spojrzała na powoli niknącą w ciemności piękną chatkę Marlene. Żyrandole w salonie rzuciły żółtawe światło na troje ludzi, którzy siedzieli wokół stolika kawowego i rozmawiali. Cudowny obrazek. Lecz pozory mylą. W rzeczywistości był to ostatni akt ich dramatu. Ich, to znaczy Marlene, Romy i Bobby'ego.

Psycholożka powoli ruszyła w kierunku domu i weszła do salonu, który opuściła kilka minut wcześniej, aby Bobby mógł sam powiedzieć swym dawnym współpracownikom, że łącząca ich tajemnica wyszła na jaw. Ina czuła się trochę surrealistycznie, dołączając do grupy porywaczy, zwłaszcza że żadne z nich nie wyglądało na przestępcę. Bobby po wejściu do domu zdjął buty, więc wpatrywał się teraz bez przerwy w swoje czarne skarpety. Romy siedziała zupełnie nieobecna w ogromnym fotelu. Oparcie znajdowało się na wysokości jej głowy i można było odnieść wrażenie, że monstrualny mebel pożera drobną młodą kobietę. Romy obgryzała resztki swoich paznokci i chyba nie rozumiała, co się właściwie dzieje. Za to Marlene najwyraźniej bardziej martwiła się tym, by nie wyjść na niegościnną, niż perspektywą aresztowania.

– Niestety mam tylko wodę mineralną – wyjaśniła, spoglądając ze smutkiem na pusty stolik. – Nie mam nawet soku. Może ktoś ma ochotę na kawę? Zostało też trochę tortu szwarcwaldzkiego. Chociaż chyba trochę za późno na ciasto, prawda?

Ina wciąż musiała sobie w duchu przypominać, że ma do czynienia z czymś więcej niż tylko porwaniem – aczkolwiek i to było poważnym przestępstwem.

– Przyjechaliśmy z Bobbym z dwóch powodów – przeszła do rzeczy. – Po pierwsze – spojrzała na Marlene – chciałam skorzystać z okazji i porozmawiać z panią w znanym pani otoczeniu. Po drugie, kiedy już wszystko omówimy, chciałabym pojechać z panią i z Romy na policję, by mogły panie złożyć zeznania.

Pani Adamski przesunęła misę ze sztucznymi owocami odrobinę w prawo, tak aby stała dokładnie pośrodku stolika.

– Marlene? – odezwała się Ina po kilku sekundach milczenia.

– Tak... Słyszałam – odparła Marlene z lekką irytacją. – Tylko że... to takie dziwne.

Inaczej wyobrażałam sobie tę chwilę. Myślałam, że kiedy to się skończy, poczuję ulgę. Przez rok czekałam na ten dzień, gdy wszystko wyjdzie na jaw. A teraz... teraz nie czuję zupełnie nic. Tylko wielką pustkę. Dzień, w którym to się zaczęło, jest tak odległy, jak dzień, kiedy poszłam do szkoły. Już go nie pamiętam. Wszystko się rozmyło. Kiedy to się właściwie zaczęło? Trudno powiedzieć. Tego dnia, kiedy Gerd zainwestował nasze pieniądze u pana Töllera? Kiedy ten bank z Hongkongu splajtował? Kiedy sąd wydał ostateczny wyrok? A może dopiero wtedy, gdy zebraliśmy się przy tym stole, pięć zdesperowanych osób, gotowych zrobić wszystko, by odzyskać swoje pieniądze?

Ina stanęła obok Marlene.

– Naprawdę chodziło o pieniądze? Myślę, że o nie najmniej. Wokół tego stołu zebrały się najprostsze i najpiękniejsze nadzieje, miłość do zmarłej i chęć naprawy rozpadającego się małżeństwa, strach przed finansową degradacją i zwykła chciwość, bezmyślność i tęsknota. Mimo to aż do dnia, w którym Jette Trebuth postanowiła sprawdzić podejrzenia swojego syna i przyszła do tego domu, doskonale współpracowaliście. Doskonale wiedzieliście, co robią pozostali.

Marlene kiwnęła głową.

– Potem to się zmieniło.

– Pod wpływem dramatycznych zdarzeń wasza grupa się rozpadła i niektórzy zaczęli ukrywać pewne sprawy przed pozostałymi. Na przykład uwięzienie Jette Trebuth. To nie było trudne, bo gdy osiągnęliście cel, a przynajmniej tak wam się wydawało, zgodnie z planem zerwaliście wszelkie kontakty. Wtedy Giovanni i Daniel jeszcze raz odwiedzili Bobby'ego i za pomocą broni zmusili go, by napełnił ich kiesy pieniędzmi Bogu ducha winnych inwestorów.

Ina zauważyła, że krzyki żurawi ustały. Zrobiło się ciemno i słychać było już tylko cichy szum kropli deszczu. Na kilka sekund zapadła taka cisza, że każde słowo byłoby grzechem.

– Ale Bobby ich przechytrył. Niestety to, co niektórzy uznaliby za przyzwoity, odważny, może nawet szlachetny czyn, wywołało lawinę zdarzeń, które czternaście miesięcy później zakończyły się katastrofą. Mimo ograbienia kont Töllera sytuacja finansowa Daniela Trebutha bardzo się pogorszyła. Daniel nie miał pieniędzy, by uratować swój dom, a kiedy to do niego ostatecznie dotarło, wpadł w szal i zdemolował swój salon. Następnego dnia widziałam, jak tu przyjechał. Pierwszy raz dostrzegłam powiązanie między panią a Trebuthami, tylko nie wiedziałam jeszcze, na czym ono polega. Teraz rozumiem, że Daniel Trebuth uznał, iż pani jest jego ostatnią deską ratunku, i próbował wydusić z pani stosowną sumę. Mam rację, Marlene?

Pani Adamski usiadła z powrotem na sofie, a kiedy się odezwała, jej głos brzmiał zupełnie spokojnie.

– Dla mnie pieniądze nic nie znaczą. Już nie. Były dla mnie jak prezent, z którym nie wiadomo co zrobić i który człowiek gdzieś wtyka, by nie musiał na niego patrzeć. W chwili gdy Giovanni włożył panu Töllerowi w usta lufę pistoletu, by wycisnąć z niego hasło, zrozumiałam, że nigdy nie będę mogła wydać tych pieniędzy. W każdym razie nie na siebie. Chciałam założyć konto dla Romy, żeby co miesiąc mogła wypłacać pewną sumkę, również po mojej śmierci. Dlatego odmówiłam Danielowi, ale on się z tym nie

chciał pogodzić.

– Powiedział, że wróci później i porozmawia z pani mężem?

– Tak. – Marlene kiwnęła głową. – Czekał przed domem, aż Gerd wróci z knajpy. Ale Gerd nie dał mu dojść do słowa. Nie oddałby tych pieniędzy, choćby ze względu na zasady, bo dla niego zasady były niczym sztandar, które się niesie przed sobą z dumą. Przychodząc tutaj, Daniel złamał umowę. Mieliśmy się więcej nie spotykać. Myślę, że Gerd nawet odepchnął Daniela.

– To znaczy, że obserwowała pani ich kłótnię?

– Przez okno. Daniel w gniewie sięgnął po kamień i... i... wtedy Gerd upadł.

– I nic pani nie zrobiła? Nie wezwała pani pomocy?

– Nie. Spojrzeliśmy sobie z Danielem w oczy, a potem on poszedł do domu, a ja włączyłam płytę Harry'ego Belafonte. Ten człowiek na dworze już dawno nie był moim mężem. Dla mnie Gerd umarł rok temu. Poza tym...

Marlene spoglądała przez chwilę to na Inę, to na Bobby'ego.

Ina kiwnęła głową.

– Pani mąż był podpalaczem, tak? Podejrzewałam to od chwili, gdy zobaczyłam w pani garażu czarne coupé. Kto mógł jeździć takim sportowym wozem? Pani, Marlene? A może Romy, która kilka razy oblała egzamin na prawo jazdy? Raczej nie. Więc albo Giovanni, który jest właścicielem wozu, albo pani mąż. Użył fiata, bo wiedziałam, że jeździ audi.

Marlene westchnęła.

– Bał się, że prędzej czy później o wszystkim pani powiem. Przez cały czas próbował mnie przekonać, żebym zrezygnowała z terapii. Ale nie miał już na mnie wpływu i w końcu to zauważył. Między nami pojawiła się przepaść. A kiedy się jeszcze dowiedział, że pani odwiedza Boda, spanikował. Nie mogłam go powstrzymać. Powiedział mi o podpaleniu dopiero po fakcie. Kiedy zagroziłam, że pójde na policję, obiecał mi, że więcej tego nie zrobi. Nie chciałam, żeby pani albo Bodowi stało się coś złego.

Pani Adamski zacięła się, więc Ina spytała:

– To pani zadzwoniła do Boda po śmierci męża?

– Tak, z budki telefonicznej. Użyłam modulatora głosu. Giovanni przywiózł go rok temu. Bodo to porządny chłopak. Chciałam go uspokoić i w pewien sposób przeprosić za to, co zrobił Gerd. Ale wolałam, żeby nie wiedział, że to ja, bo musiałabym mu wtedy wyjaśnić parę spraw, o których lepiej, żeby nie wiedział. Lepiej dla niego samego.

Spojrzenie Iny spoczęło na chwilę na jej ukochanym, po czym przesunęło się na Marlene i dalej – na Romy, która bez słowa siedziała jak mumia w fotelu, zupełnie jakby to wszystko jej nie dotyczyło. Terapeutka powoli podeszła do drzwi tarasowych, w których odbijała się jej twarz.

Niechętnie to przed sobą przyznała, ale nie była już taka pewna, czy chce, żeby Bobby i Marlene zgłosili się na policję. Straciłaby wówczas miłość i ważną część swojego życia. W imię czego? Bobby od dawna żałował tego, co zrobił, ale jego aresztowanie i wyrok nie przywrócą umarłych do życia. Poza tym przy okazji ucierpiałyby jego stara, chora na demencję matka, dla której syn był ostatnią radością.

Tysiąc myśli fruwało w głowie Iny niczym maleńkie zatrute strzały. Terapeutka przyłapała się nagle na tym, że bagatelizuje przestępstwo, a nawet częściowo je usprawiedliwia. Ze względu na Bobby'ego. I ze względu na Marlene. Była gotowa do tej góry win, które porywacze dźwigali od dnia, w którym napadli na Alwina Töllera, dołożyć jeszcze odrobinę swojej winy i w ten sposób stanąć w jednym szeregu z przestępcami.

Musiała się przemóc, by myśleć też o tym, co się działo od tamtego czasu z porywaczami – i dlaczego. Wszyscy znaleźli się na dnie, każde na swój sposób. Serdeczna i dobra Marlene załamała się pod brzemieniem winy. Głupiutka Romy znalazła się na krawędzi otępienia. Intelktualista Daniel zamienił się w wypełniony nienawiścią kłębek lęków. I wreszcie piekarz Gerd, który przez całe życie ciężko harował, przeistoczył się w podpalacza. Z nich wszystkich najlepiej przetrwał ten rok Bobby, może dlatego, że zamknął uszy i oczy na prawdę – a przynajmniej część prawdy dotyczącą zdarzeń, w których bezpośrednio nie uczestniczył.

– Cóż, Marlene – powiedziała Ina, siadając obok wdowy na oparciu fotela. – W ostatnich tygodniach dawała mi pani raz po raz subtelne wskazówki, by mnie naprowadzić na odpowiedni trop. Nie chcę się nad tym rozwodzić, gdyż jest to objęte tajemnicą...

Marlene chwyciła dłoń Iny i na chwilę przyłożyła ją do swego policzka.

– Już dobrze – powiedziała głosem, który brzmiał tak lekko, jakby należał do innej kobiety. – Może pani mówić otwarcie, o wszystkim, co pani ode mnie usłyszała. Już nie trzeba niczego ukrywać.

Terapeutka i jej pacjentka wymieniły długie spojrzenia.

– Najpierw Afnan i Chadisza – zaczęła Ina. – Potem opowieść o utraconych marzeniach, o opuszczeniu przez Anioła Stróża, w końcu pani zainteresowanie katolicyzmem w powiązaniu z próbą samobójczą. Wszystko to doprowadziło mnie do kwestii poczucia winy. Jak na ironię to właśnie Bobby podsunął mi tę myśl, nie wiedząc, że chodzi o panią. Zważywszy na to, że sam doskonale wiedział, jaką udręką jest poczucie winy, jego odkrycie, że może chodzić o spowiedź, nie jest już tak zaskakujące. Pani sumienie, Marlene, domagało się wybaczenia, ulgi, szukało jakiegoś wyjścia, a ostatecznie doprowadziło do myśli o samobójstwie. Ale była w pani jeszcze inna siła, która kazała pani strzec Romy, jedynego człowieka, którego pani kocha.

Marlene nachyliła się i pogładziła przedramię siedzącej w sąsiednim fotelu młodej kobiety, lecz ta nawet tego nie zauważyła.

– Ta sama siła – podjęła terapeutka – była w pani również czternaście miesięcy temu. Przez cały czas zastanawiałam się, co pani uważa za swoją największą winę. Oczywiście, uczestniczyła pani w porwaniu. Ale jeśli dobrze zrozumiałam to, co mówił Bobby, była pani czymś w rodzaju dobrego ducha tej grupy przestępczej, choć brzmi to w tym kontekście jak herezja. Dlatego uważam, że musiało się stać coś bardzo złego, coś, w czym bezpośrednio uczestniczyła Romy. A kiedy widzę, w jakim Romy jest stanie... – Ina

zrobiła pauzę, po czym dodała: – Nie rozmawialiśmy jeszcze o tym, co się stało z Jette Trebuth i Alwinem Töllerem. Bobby nic o tym nie wie.

– Nie – odpowiedziała Marlene. – Na szczęście dla niego.

Czternaście miesięcy wcześniej

S tali we trójkę u szczytu schodów i spoglądali w dół. Dwadzieścia stopni niżej leżało martwe ciało Jette Trebuth – z szeroko otwartymi oczami, z członkami ułożonymi tak jak w momencie śmierci. Przez kilka minut żadne z nich nie wypowiedziało ani słowa. Przez kilka minut? Nie. Marlene tak się chyba tylko zdawało. Bo to, co powiedział Gerd, nie pasowało do tak długiego milczenia.

– Dziewczyno, coś ty najlepszego zrobiła?

Mówił do Romy.

Do morderczyni.

– Sama nie wiem – odpowiedziała dziewczyna. – Oglądałam swój ulubiony serial, a kiedy się skończył, chciałam pójść do kuchni. Wtedy zobaczyłam, że drzwi do piwnicy są uchylone, no to je otworzyłam. O tak, widzisz? Po prostu je otworzyłam.

– Wiem, jak się otwiera drzwi – warknął Gerd. – I co dalej?

– I wtedy: tadam!

– Co: tadam? – wrzasnął piekarz.

– No, po prostu. Nagle stanęła przede mną. Ja prawie nic nie zrobiłam. Tylko ją lekko pchnęłam. Ze strachu. W aflekie.

– Aflekie – poprawił ją Gerd. – Ech, dziewczyno, dziewczyno, dziewczyno.

Marlene miała wrażenie, jakby tych dwoje rozmawiało w piekarni o stłuczonych paterze do tortu. A przecież tam na dole leżała kobieta. I zostanie tam już na zawsze, wyryta w pamięci Marlene, jak wiekiowy pomnik zbrodni.

– Co teraz? – spytała Romy.

Marlene zadawała sobie to samo pytanie od chwili, gdy dowiedziała się, że zabójcą jest jej ulubienica, i przewyciężyła pierwszy szok. A to rzeczywiście trwało kilka minut.

– Ech, dziewczyno, naprawdę, jesteś gwoździem do mojej trumny – powiedział Gerd.

Po tych słowach Romy wybuchła płaczem, więc Marlene wzięła ją w ramiona.

– Daj już spokój. Nie widzisz, że jest przerażona? – rzuciła w stronę męża.

– Bywałem już dla niej dużo bardziej surowy, na przykład kiedy sknociła marcepanowe kulki. A teraz zafundowała nam zwłoki. Chyba wolno mi powiedzieć, że jest cholerną idiotką, co?! – wrzasnął piekarz.

W jednym Gerd miał rację: ulubienica Marlene była od tej pory morderczynią, przynajmniej w pewnym sensie. Wszyscy w pewnym sensie byli mordercami. Również Marlene przyłożyła do tego rękę, co dodatkowo pogarszało i tak dramatyczną sytuację.

– Musimy powiedzieć Danielowi – uświadomiła sobie. – Mój Boże, biednie dzieci.

Również z oczu Marlene popłynęły strumienie łez.

Gerd nie poddał się rozpacz.

– Wasze zawołanie nic nie da. Romy, wypij parę kieliszków czegoś mocniejszego. Weź sobie z lodówki. A my – piekarz spojrzał na żonę – musimy porozmawiać.

Łagodnie acz stanowczo ujął Marlene za rękę i zaprowadził ją do salonu. Kobieta za bardzo się nie opierała. Piekarz podszedł do regału, otworzył mały barek i wyjął z niego butelkę własnej roboty likieru jeżynowego. Napełnił kieliszek, wcisnął go w dłoń Marlene i zaczął, aż ta opróżni go jednym haustem.

– No, a teraz posłuchaj. To, co zrobiła twoja ulubienica, podpada co najmniej pod nieumyślne spowodowanie śmierci. A my dopuszczamy się pomocnictwa. Jesteśmy starzy i raczej nie wyjdziemy już z paki, a Romy będzie miała złamane życie. Chyba tego nie chcesz, prawda?

Marlene pokręciła głową i opróżniła drugi kieliszek. Pałący alkohol spłynął jej do gardła.

– No właśnie – kontynuował Gerd. – To nie ja wypuściłem żonę Daniela z piwnicy. Dlatego nie mam jej na sumieniu. To wyście ją załatwiły, na spótkę. Ty i Romy, a właściwie bardziej ty. Ale co się stało, to się nie odstanie, nie ma o czym gadać. Jedno jest pewne: kończymy i wypuszczamy Töllera. Jak tylko policja znajdzie ciało żony Daniela, wezmą go dokładniej pod lupę, jeśli go dorwą, wpadniemy razem z nim. Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że się nie załamie.

Marlene wypila trzeci kieliszek i Gerd odstawił butelkę do barku.

– Dlatego nie potrzebujemy tu w tej chwili Daniela. Bodo też będzie odstawiał cyrki. Nie myślałem, że z niego taka miękka cipa. Z Giovannim też nigdy nic nie wiadomo. Facet ma brzydki zwyczaj się szarogęścić. O Romy możemy zapomnieć, jest za słaba i za głupia. Ale jakoś to ciało musi zniknąć z piwnicy. Kiedy się ściemni, wywieziemy je.

Kiedy Gerd spojrzał Marlene w oczy, ta nagle poczuła większe przerażenie niż wtedy, gdy patrzyła na ciało żony Daniela.

– O nie. Nie. Nie. Nie. Nie mogę. Ja...

– Weź się z łaski swojej w garść. Chryste Panie.

Do tej pory Gerd nigdy tak do niej nie mówił. Być może była to jego zemsta za pogardę, która mu w ostatnim czasie okazywała. Kiedyś z pewnością by odmówiła, ale nic już nie było takie jak kiedyś. Mimo to myśl, że miałyby wywieźć gdzieś ciało, w dodatku kobiety, z którą dopiero co rozmawiała...

– Źle się czuję – powiedziała.

– A myślisz, że ja tryskam humorem? Trzeba było pomyśleć wcześniej.

To było jak najokropniejszy koszmar – tyle że działo się naprawdę.

Marlene na wpół świadoma poczłapała za mężem do piwnicy i stanęła nad zwłokami Jette. To była najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek musiała zrobić. Złapała nogi zabitej, podczas gdy Gerd chwycił za ramiona i stopień po stopniu zaczęli wnosić zwłoki na górę. Marlene się pociła, likier palił ją w piersi, a wąskie, strome schody zdawały się nie mieć końca. Miała ochotę wymiotować, by się uwolnić od mdłości, ale nie była w stanie. Kilka razy musieli zrobić przerwę – siadała wtedy na minutę u stóp martwego ciała, a jej wzrok nieodmiennie padał na drobne, obute w sandały stopy. Były to ekologiczne sandały w całości, łącznie z podeszwą, splecione z roślinnych włókien. Na małej etykiecie widniał napis: „100% eichhornia”.

Może Jette Trebuth żyłaby jeszcze, gdyby nosiła zwykłe buty na gumowej podeszwie, a nie te dziwadła sandały, w których nie da się szybko biegać, pomyślała Marlene.

Wiedziała jednak, że ta cyniczna myśl to próba zrzucenia winy za tę tragedię na ofiarę i jej sposób życia.

A może wcale nie jestem niczemu winna i to wszystko jest wynikiem nieszczęśliwego splotu wypadków? Marlene słyszała gdzieś to określenie i pomyślała, że pasuje do tego, co się stało. Romy z całą pewnością nie chciała zabić Jette. Marlene też tego nie chciała. Nikt tego nie chciał.

Ile czasu potrzebowali, żeby pokonać pięć schodków? Marlene straciła poczucie czasu. Nawet nie do końca się zorientowała, kiedy w końcu dotarli do celu. Dopiero w łazience, gdy zanurzyła twarz w zimnej wodzie, odzyskała trzeźwość myśli. Wybuchła płaczem i zaczęła ocierać płynące jej z oczu łzy, jakby w ten sposób mogła zetrzeć z siebie to przerażenie. I faktycznie – to pozwoliło jej przynajmniej po części pojąć, co tu się właśnie stało.

O Boże!

Dokąd to wszystko ich doprowadziło? Jak to się stało, że od punktu w którym złożyli podpis na umowie inwestycyjnej, dotarli do punktu, w którym zostali zabójcami?

Wyszła z łazienki dopiero, gdy usłyszała na zewnątrz jakieś hałasy. Przyjechał Giovanni, wezwany telefonicznie przez Romy, co Gerdowi było wyraźnie nie w smak.

Jette Trebuth leżała z wykręconymi rękoma na najwyższym stopniu schodów. Pani Adamski rzuciła okiem na zwłoki i natychmiast zrobiło jej się niedobrze, dlatego była wdzięczna Romy, że zadzwoniła po swojego chłopaka. Marlene nie potrafiła sobie wyobrazić, że miałyby zapakować martwe ciało do bagażnika, a potem ruszyć w ciemnościach i wyładować je gdzieś w okolicznym lesie. Dzięki Romy mogli się tym zająć Gerd i Giovanni.

– Ona naprawdę nie żyje? – spytał Włoch, sprawdzając w różnych miejscach puls. – Faktycznie, martwa – stwierdził po krótkiej chwili. – Pewnie złamała kark.

Giovanni przeżegnał się, ucałował zawieszony na złotym łańcuszku mały krzyżyk i ukląkł przy zwłokach.

Marlene myślała, że chłopak chce zmówić modlitwę, i skarciła się za to, że sama o tym nie pomyślała. Ale ku jej zdziwieniu Giovanni wsunął obie ręce pod ciało zabitej, po czym energicznie pchnął je, tak że z hukiem spadło na dół.

Wrzesień

Marlene opuściła lewą rękę. Ruch ten można by złożyć na karb zmęczenia, gdyby nie wyprostowany palec wskazujący.

Kiedy Bobby zrozumiał, co ten gest oznacza, wydał z siebie okrzyk rozpaczy, zerwał się z miejsca i zbiegł do piwnicy. Pomieszczenie było ciasne i zagracone różnymi rupieciami. Skąpe żółtawe światło rozlewało się nad skrzynkami ziemniaków, piecem i wielkim regałem, który Bobby przewrócił z wściekłością. Rozległ się potężny huk. Kiedy Ina i Marlene dotarły na dół, kilka kupek marmolady i strumyków likieru wypełniało piwnicę słodko-owocowym zapachem lata, a Bobby stał przed ścianą i krzycząc, walił gołymi pięściami w mur – w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się korytarz wiodący do bunkra.

– O mój Boże! – jęknęła Ina i zwracając się do Marlene, dodała: – Pochowaliście Jette w piwnicy.

– Położyliśmy ją w jednym z wielu pomieszczeń tego bunkra. To był pomysł Giovanniego, ale Gerd uznał, że to świetne rozwiązanie, bo dzięki temu mieliśmy pewność, że nikt nie znajdzie ciała. Nawet Daniel się zgodził. – Głos Marlene wciąż brzmiał spokojnie, jakby mówiła o dostawie ziemniaków. – Alwin Töller też leży gdzieś za tą ścianą – dodała. – Kiedy zobaczył nasze twarze, nie mogliśmy go wypuścić. Oczywiście nic mu nie zrobiliśmy. To znaczy... nie bezpośrednio.

– Nie rozumiem – bąknęła Ina.

– Po prostu go zamurowaliśmy. To też był pomysł Giovanniego.

Bobby odwrócił się od ściany, w którą uderzył co najmniej sto razy. Spojrzenie, które utkwiał w Marlene, było pełne odrazy, ale też niedowierzania, że brał w tym udział. Nie musiał nic mówić, obie kobiety doskonale rozumiały, co dzieje się w jego głowie. Zabić człowieka z zimną krwią i to w tak okrutny sposób było czynem tak strasznym, że trudno sobie wyobrazić coś bardziej potwornego.

Marlene, Romy i Gerd przez ponad rok mieszkali nad cmentarzem, na którym pochowano bestialsko zamordowanych ludzi. Jedli w tym domu, spali, oglądali telewizję, prowadzili zwykłe, codzienne rozmowy, podczas gdy pod ich stopami Alwin Töller powoli umierał z pragnienia i głodu.

– Co prawda... – Ina z trudem wypowiadała słowa. – Co prawda brałam pod uwagę taką możliwość, że zaginieni zostali tutaj... Ale to, co pani opowiedziała... jest dla mnie... zaskakujące.

Ina ledwie panowała nad emocjami. Marlene była jej pacjentką, a terapeuta ma wobec pacjentów pewne zobowiązania. Nie mogła rozmawiać z tą kobietą jak z pierwszą lepszą osobą. Nie mogła jej pokazać, co sądzi o jej bezlitosnym okrucieństwie.

– Pogrzebaliście go żywcem? – jęknęła. – Jak...

Mało brakowało, a zapytałaby, jak Marlene mogła to wytrzymać. Odpowiedź wydawała się oczywista: nie wytrzymała. Powoli szła na dno, zamieniła się w ludzki wrak, zżerana przez wyrzuty sumienia i niezdolna stawić im czoła. W chwili słabości próbowała – bez przekonania – odebrać sobie życie. Jakaś część niej szukała wyzwolenia, odkupienia, podczas gdy inna przypominała, że wyjawienie tej zbrodni zniszczy również życie Romy, Bobby’ego oraz Daniela. Była rozdarta między te dwie sprzeczne myśli i dopiero ktoś inny musiał w końcu ujawnić jej tajemnicę.

– Gdzie on jest? – wykrzyknął Bobby. – Gdzie jest ten łajdak, który wpadł na ten chory pomysł? Zabiję drania.

Czternaście miesięcy wcześniej

Marlene wyczerpana opadła na ogrodowe krzesło. Jeszcze nigdy nie czuła się tak zmęczona. Straciła swoje marzenia, niewinność, swojego Anioła Stróża i w pewien sposób również męża. Została jej tylko Romy, przybrana córka, która stała się morderczynią – dla dziesięciu tysięcy euro i włoskiego ogiera. W gruncie rzeczy było to aż banalnie śmieszne. A jednak miało w sobie niszczycielską moc. Nawet nie zauważyli, że w ich życiu rozpanoszyła się przemoc, a kiedy przemoc raz się gdzieś pojawi, nie sposób się jej pozbyć.

To nieuniknione, kiedy się płynie pod prąd: najpierw jakoś idzie, potem trudno się ruszyć z miejsca, członki stają się coraz słabsze, wola w obliczu przeciwności słabnie, aż w końcu człowiek daje za wygraną i nie dociera do brzegu, tonie.

Właśnie pożegnali się z Danielem, który miał lada moment zgłosić zaginięcie swej żony. Od tej pory mieli się już nigdy nie spotkać, bo byłoby to zbyt ryzykowne. Ale spojrzawszy Danielowi w niespokojne oczy, Marlene zrozumiała, jak czarna przyszłość czeka tego mężczyznę. Jeszcze chwytął się ukradzionych kart kredytowych, które oznaczały przyływ gotówki, spłatę zaległych rat, życie w wymarzonym domu. Wiedziała, że Daniel tego wszystkiego nie zapomni. Tak jak ona.

Gerd i Giovanni – tak, im się uda. Właśnie kończyli wspólnie całą operację – murowali ścianę, za którą miała się skryć straszna tajemnica. Byli szalenie praktyczni, nie zastanawiali się nad tym, co robią. Marlene za nic nie chciałyby być takim człowiekiem, aczkolwiek w obecnej sytuacji było to bardzo korzystne. Gerd tak długo kłamał, że w końcu sam zaczął wierzyć we własne kłamstwa. Nieważne, czy popełnił błąd lub był wobec kogoś niesprawiedliwy – zawsze miał rację. Za to Giovanni nie potrzebował kłamstw. Dusił prawdę gołymi rękami i miał święty spokój.

Włoch, jakby przywołany telepatycznie, wyłonił się zza rogu.

– Ależ się spociłem – powiedział, siadając obok niej na tarasie. Miał na sobie jedynie szorty.

Podsunęła mu butelkę wody mineralnej, gazowanej. Wypił za jednym zamachem połowę, a resztę wylał sobie na muskularny tors.

– Dużo zrobiliście? – spytała Marlene.

– Gerd miesza właśnie zaprawę. Potem mu pomogę, ale najpierw chcę wypłacić pieniądze. Gotówka to zawsze gotówka.

– Nie chciałbyś czegoś przedtem zjeść? Zrobiłam ossobucco milanese.

– Umiesz robić ossobucco? O kurde, Marlene, niezły z ciebie numer. Od tygodni gotujesz jak mistrz kuchni, i to dla ludzi, których nie znosisz, dla Töllera, dla mnie... To bardzo miłe. No więc, dobrze, *donna*, spróbuję twojego ossobucco.

Marlene poszła do kuchni, gdzie spędziła cały kwadrans. Kiedy wróciła, środek uspokajający zaczął już działać. Giovanni wyglądał tak, jakby uciął sobie popołudniową

drzemkę. Głowa opadła mu do tyłu, twarz zwróciła się ku niebu. Kąciki ust wyginały się w nieśmiałym uśmiechu, jakby śniło mu się coś miłego. W końcu wydał się Marlene prawie że sympatyczny.

Wyjęła z fartucha sznurek i związała nim ręce i nogi Włocha. Ścierka kuchenna posłużyła za knebel – w razie gdyby Giovanni przedwcześnie się zbudził.

Spokojnie podeszła do drzwi prowadzących do piwnicy i zawołała w dół schodów:

– Gerd, możesz mi tutaj pomóc?

Wrzesień

– Chcesz zabić Giovanniego? – spytała Ina, spoglądając na Bobby’ego. – Myślę, że ktoś cię już ubiegł.

Marlene kiwnęła głową.

– Zamurowaliśmy go, ja i Gerd.

– Padł ofiarą własnego pomysłu.

– Tak... i poniósł karę za to, że miał zły wpływ na Romy. Ten łajdak ją wykorzystał. Na pewno w końcu by ją zostawił, ale najpierw by ją zbałamucił, nafaszerował narkotykami, upokorzył. Był za przystojny dla... mojej Romy. Młody śliczny lowelas, który wyłudził sto tysięcy euro, nie traktuje takiej dziewczyny poważnie. Na pewno od początku chciał tylko zaciągnąć ją parę razy do łóżka i gdyby go nie wtajemniczyła w porwanie, rzuciłby ją jak starą, zużytą ścierkę. Ale wcześniej oskubałby mnie i Gerda jak bożonarodzeniową gęś. Skąd pani wiedziała, że on nie żyje?

Ina się zawahała.

– Nie byłam pewna, ale... Wydało mi się bardzo dziwne, że po wyjeździe do Włoch nie skontaktował się ze swoją rodziną. Wprawdzie jego samochód stał tutaj, ale uznałam, że to mało prawdopodobne, żeby tu mieszkał. W pokoju Romy jest mnóstwo plakatów i kwiatów. Nie wygląda na kryjówkę kogoś takiego jak Giovanni. Czy Romy...? Powiedziała jej pani?

– Nie. Opowiedziałam jej historyjkę, że wyjechał do Włoch i będzie tam szastał pieniędzmi, ale pewnego dnia wróci, żeby zażądać więcej. Nie spodziewałam się jednak, że Romy... Że tak to przeżyje. Całkiem zamknęła się w swoim świecie. Sama pani widzi. Biedna dziewczyna. Co teraz z nią będzie? Mój Boże, gdyby poznała prawdę...

– Nie wydaje mi się, żeby Romy zbyt wiele rozumiała z tego, co tu się dzieje – powiedziała Ina. – Wracajmy na górę.

Kiedy Ina, Bobby i Marlene wrócili z piwnicy do salonu, Romy nadal siedziała w tej samej pozycji na tym samym fotelu – z tą różnicą, że był włączony telewizor. Oglądała „Rolnik szuka żony”. Aby jej nie przeszkadzać, poszli do kuchni. Marlene zmyła naczynia i wyczyściła kuchenkę, której po prostu nie mogła zostawić w takim stanie. Bobby przez cały czas milczał, szukając bliskości Iny, ale było oczywiste, że zbrodnia, która się dokonała w tym domu, do głębi nim wstrząsnęła. Kiedy kuchnia była już czysta, a „Rolnik” dobiegł końca, wyszli we czwórkę z domu i ruszyli do Ribnitz-Damgarten.

Przez całą drogę milczeli. Dopiero kiedy stanęli przed budynkiem komisariatu, Marlene po raz ostatni zwróciła się znużonym głosem do Iny:

– Zastanawiam się tylko, kto zabił biednego Daniela – westchnęła, a kiedy nie doczekała się odpowiedzi, wzięła Romy za rękę i weszły do środka.

Bobby został z Iną przed drzwiami. Spojrzeli sobie w oczy. Nadeszła chwila pożegnania.

– Ty wiesz, prawda? – spytał.

– Wiem – odpowiedziała.

Dzień się jeszcze dla Iny nie skończył. Christopher musiał się dowiedzieć o śmierci swej matki i dla terapeutki było oczywiste, że powinna mu to powiedzieć osobiście. Chłopak w pewnym sensie w ciągu doby stracił oboje rodziców.

Zadzwoiła do jego dziadków i dowiedziała się, że Christopher postanowił zostać w bungalowie Bobby'ego. Ina zastanawiała się, czy powinna przy okazji przekazać wiadomość ojcu Jette, lecz ostatecznie tego nie zrobiła. Takich rzeczy nie mówi się telefonicznie. Poza tym miała ograniczony zasób sił. W ciągu kilku ostatnich godzin straciła Bobby'ego, odkryła potworną zbrodnię i musiała stawić czoła okrutnej prawdzie, a wieczór zapowiadał się równie wyczerpująco. Dlatego podziękowała za informację, rozłączyła się i pojechała na Zingst.

Stefanie ugotowała makaron i próbowała pocieszyć Christophera osobliwą wersją spaghetti marinara, którą upichciła, wykorzystując znalezione puszkę. Aby zrobić Bobby'emu przyjemność – i zająć czymś swoje myśli – Christopher całe popołudnie i wieczór spędził na rozpakowywaniu kartonów i montażu armatury w łazience. Stefanie tymczasem sprzątała, czego efekty były widoczne gołym okiem. Mieszkanie, w którym Bobby miał nigdy nie zamieszkać, było gotowe do zasiedlenia.

Kiedy Ina opowiedziała o tym, co usłyszała z ust Bobby'ego, Stefanie i Christopher byli kompletnie oszołomieni. Najdelikatniej jak to możliwe opowiedziała też o losie Jette, wielokrotnie podkreślając, że Bobby nie miał z tym nic wspólnego. Christopher zrobił się bardzo milczący, a kiedy padł w ramiona Stefanie, Ina nie była w stanie powstrzymać łez.

Zostawiła ich na kilka minut, sama zaś poszła do łazienki i obmyła twarz zimną wodą.

– Naprawdę chcesz to zrobić? – spytała wyczerpaną, potwornie smutną kobietę w lustrze.

– Muszę – zabrzmiała po chwili odpowiedź. – Inaczej tego nie zniosę.

Kiedy Ina wróciła do salonu, Stefanie i Christopher wciąż trwali w uścisku.

W końcu Stefanie podniosła głowę.

– A kto ma na sumieniu ojca Christophera?

Ina stwierdziła, że jej córka czasem potrafi być niedelikatna. Nie robiła tego jednak celowo – po prostu zdarzało jej się powiedzieć coś bez zastanowienia. Zadać takie pytanie w takich okolicznościach z pewnością nie było najsztubtelniejszą formą zaspokojenia swej ciekawości. Mimo to pytanie było uzasadnione.

– Zostawisz nas na momencik samych? – poprosiła Ina.

– Bo?

Psycholożka westchnęła.

– Bo chciałabym zamienić z Christopherem kilka słów w cztery oczy – odparła, po czym spojrzała na chłopaka. – Chodź, przejdziemy się.

– Nie możesz sobie przynajmniej dzisiaj darować tych psychobzdur? – spytała Stefanie oskarżycielskim tonem.

– Nie, skarbie, nie mogę – odrzekła Ina grzecznie, ale stanowczo.

Christopher wyszedł ze spuszczoną głową do ogrodu, terapeutka zaś podążyła za nim. W ciągu dnia chłopak z pomocą Stefanie ustawił tu imponujące figury hinduistycznych bóstw, które w mdłym świetle zewnętrznych lamp robiły niepokojące wrażenie. Ina czuła się obserwowana przez rzeźby – zupełnie jakby ktoś ukryty w krzakach, na przykład Bobby, podsłuchiwał jej rozmowę z pacjentem.

– Prześledziłam drogę, jaką przebyła broń, z której zastrzelono twojego ojca, i natrafiłam na trop jego zabójcy – zaczęła terapeutka. – Od Marlene Adamski, właścicielki domu nad laguną i porywaczki, dowiedziałam się, że jej mąż miał stary pistolet z czasów wojny. Używali go do sterroryzowania Alwina Töllera. Tą samą bronią twój ojciec i jeden z jego wspólników zagrozili Bobby’emu, zmuszając go, by wbrew swej woli ukradł pieniądze z kont inwestorów. Bobby twierdzi, że później wrzucił pistolet do laguny, ale to by był zbyt wielki zbieg okoliczności, gdybyśmy mieli do czynienia z dwoma starymi pistoletami, prawda? Bobby zaserwował mi kiepskie kłamstwo.

– Myśli pani, że to on zastrzelił mojego ojca? – krzyknął Christopher. – To jakaś bzdura. Nie wierzę w to. A pani nie może tego udowodnić.

Ina usiadła na drewnianej ławeczce w cieniu hinduistycznego bóstwa o dwóch twarzach i siedmiorgu rąk i gestem poprosiła Christophera, by zajął miejsce obok niej. Chłopak z oporami usiadł.

– Jeśli założymy, że Bobby nie wyrzucił broni, to znaczy, że przez cały czas był w jej posiadaniu. Miał zatem możliwość zabić twojego ojca. A jeśli chodzi o motyw... Cóż, zawsze się jakiś znajdzie. Może twój ojciec chciał od niego wyciągnąć pieniądze, tak jak wcześniej od państwa Adamskich, a kiedy Bobby odmówił, zagroził, że o wszystkim powie policji?

– Ale Bobby wczoraj był tutaj przez cały wieczór! – znów krzyknął Christopher.

– Sam mi powiedziałeś, że pojechał po pizzę.

Chłopak zerwał się z miejsca.

– Bzdura! Jak pani może tak myśleć o człowieku, którego pani kocha?

Ina pokręciła głową.

– Ja tylko rozważam różne możliwości, tak jak policja. I nie sądzę... to znaczy jestem pewna, że Bobby nie zastrzelił twojego ojca. Ale wie, kto jest zabójcą, i go chroni.

Ina wyciągnęła rękę, zachęcając Christophera, by usiadł z powrotem, ale tym razem chłopak nie przyjął zaproszenia. Przeciwnie – cofnął się o krok, przez co jego twarz zanurzyła się nieco w mroku.

– Chroni ciebie – powiedziała terapeutka.

Christopher rzucił się w stronę bungalowu, z pewnością po to, by powiedzieć Stefanie, o co oskarża go jej matka. W trakcie wszystkich sesji, które odbyli, Ina nigdy nie potraktowała chłopaka ostro, ale tym razem zatrzymała go gwałtownie, stając mu na drodze z rozłożonymi rękami.

– Spędziliśmy ze sobą dużo czasu i rozmawialiśmy o wielu prywatnych sprawach. Nigdy cię o nic nie prosiłam, ale teraz proszę: Nie wciągaj w to Stefanie. Nie rób tego.

Christopher przełknął ślinę, cofnął się i zaczął chodzić w kółko.

– To tylko domysły. Nie może mi pani niczego udowodnić. Niczego.

– Kiedy wczoraj w środku nocy wróciłam ze Schwerinu, wspomniałeś, że twoja rodzina straci dom – powiedziała spokojnie psycholożka. – Skąd o tym wiedziałeś? Twój ojciec trzymał to w tajemnicy, nikomu o tym nie mówił. Ale listonosz przyniósł list z banku z informacją o licytacji. Przyniósł go wczoraj, w dniu śmierci twojego ojca, a zarazem w dniu, w którym pomagałeś Bobby’emu przy przeprowadzce i nie było cię w domu. Gdybyś jednak zobaczył to pismo na stole w jadalni, wiedziałbyś o licytacji. To znaczy, że byłeś w domu, ale potajemnie. Tak, żeby nikt się nie dowiedział.

– To niczego nie dowodzi – odparł Christopher gwałtownie. – Mogłem się dowiedzieć o wszystkim już dawno temu.

– Jeśli tak, to twoje zachowanie było wyjątkowo dziwne – skontrowała Ina. – Sam mi powiedziałeś, że włożyłeś mnóstwo pieniędzy i czasu w tę szklaną ścianę. Skończyłeś ją dopiero niedawno. Jest naprawdę wspaniała, tyle że nie da się jej przewieźć w inne miejsce. Czy zadałbyś sobie tyle trudu, wiedząc, że wkrótce będziesz musiał opuścić ten dom? Nie, mój drogi, aż do wczoraj nie miałeś pojęcia, w jakie tarapaty wpadł twój ojciec.

Chłopak wciąż chodził w kółko, bez przerwy kręcąc głową.

– Nie. – powtarzał. – Nie, nie, nie!

– Podczas przeprowadzki przypadkiem znalazłeś w jednym z kartonów pistolet. Bobby na pewno schował go gdzieś na dnie. Być może przez ten rok całkiem o nim zapomniał. Dla ciebie to musiał być prawdziwy uśmiech losu, kiedy znalazłeś broń.

Christopher w końcu się zatrzymał i potarł dłońmi twarz.

– Praca przy przeprowadzce wszystkich was wyczerpała i po kolacji Bobby i Stefanie poszli spać. Ryzykowałeś, wymykając się z domu, ale z drugiej strony... Nie sądzę, żebyś naprawdę zamierzał zabić ojca. Na ile cię znam, chciałeś do skłonić do mówienia. Wciąż dręczyło cię podejrzenie, że mógł skrzywdzić twoją matkę. Dlatego pojechałeś rowerem do Prerow. Jesteś wysportowany, więc podróż nie trwała długo. Wszedłeś do domu i znalazłeś na stole list z banku. Podejrzewam, że między tobą a ojcem doszło do gwałtownej kłótni, o twoją matkę i o licytację. I wtedy... no cóż...

Ina odetchnęła głęboko.

– Czy ojciec powiedział ci, co się stało z twoją matką? – zadając to pytanie, Ina starała się mówić jak najdelikatniejszym tonem.

Chłopak zacisnął drżące dłonie w pięści i uderzywszy kilka razy w wyimaginowany worek, opadł na ławkę i ukrył twarz w dłoniach.

Psycholożka usiadła obok niego i położyła mu dłoń na głowie.

Christopher zaczął gwałtownie szlochać.

– Gdyby pani tam była, widziałaby pani... On kompletnie oszalał. „No Strzelaj!”, krzyczał. „Strzelaj! Strzelaj! Rozwal mnie! Zasłużyłem na to. No strzelaj! Mam dość. Dłużej nie mogę”. Powiedział, że mama nie żyje, że to jego wina, a potem znowu: „Strzelaj! No, wykończ mnie!”. I nagle...

Chłopak urwał. Mijały sekundy. W końcu padł Inie w objęcia i wczepił się w nią jak tonący w kawałek drewna.

– I nagle padł strzał – szepnął jej do ucha.

Ina już poprzedniej nocy, rozmawiając z Christopherem, zauważyła, że chłopak, mówiąc o ojcu, jest wyjątkowo wzburzony. Wtedy Daniel Trebuth był już martwy, został zastrzelony przez własnego syna. To dlatego Christopher tak oczerniał ojca – chciał w ten sposób zrelatywizować swój czyn. No i był w szoku.

– Gdzie jest broń? – spytała psycholożka.

Christopher się zaśmiał i otarł łzy.

– Tam, gdzie rzekomo ją wrzucił Bobby: w lagunie. Kiedy wróciłem, Bobby nie spał. O nic nie zapytał. Dzisiaj rano chyba się wszystkiego domyślił. Stefanie o niczym nie wie.

Ina kiwnęła głową. Wreszcie jakiś promyk w ten ponury i mroczny dzień.

– I niech tak zostanie – dodał Christopher.

Ina myślała, że się przesłyszała.

– Słucham?

– Ona nie musi o niczym wiedzieć.

– Ale... ty... – jąkała się terapeutka. – Pójdiesz na policję, prawda?

– Oszalała pani? – odparł chłopak obcesowo, lecz szybko zdał sobie sprawę z niestosowności swojego tonu. – Przepraszam, nie to miałem na myśli. Oczywiście, że nie pójdę na policję. Chyba że psiarnia będzie chciała udupić Bobby'ego. W przeciwnym wypadku... Co to da?

Kilka minut wcześniej Ina zaskoczyła Christophera tym, czego się zdołała dowiedzieć, a teraz role się odwróciły i to on wprawił ją w osłupienie.

– Chłopcze, nie możesz żyć z takim brzemieniem.

– Niby dlaczego?

– Twój ojciec się załamał, bo...

– Ja nie jestem taki jak on – przerwał jej Christopher. – Naprawdę, pani Bartholdy, bardzo panią lubię i jestem pani ogromnie wdzięczny za wszystko, co pani dla mnie zrobiła, ale... Przykro mi, nie zamierzam rujnować sobie życia tylko dlatego, że zabiłem mordercę mojej matki, który przypadkiem okazał się moim ojcem. Ani myślę. A panią obowiązuje tajemnica zawodowa.

Ina dosłownie zaniemówiła. Chłopak okazał się bezwzględny, psychopatycznym mordercą.

A najgorsze, że nie mogła go zmusić, by się przyznał, bo faktycznie obowiązywała ją tajemnica. Christopher mówił o zbrodni już dokonanej, nie planowanej, a w takim przypadku terapeutka nie miała prawa złamać tajemnicy.

Oczywiście Ina zebrała pewne poszlaki bez pomocy swego pacjenta, w związku z czym nie obejmuje ich tajemnica, ale to były jedynie poszlaki i jeśli Bobby podtrzymałby swoje zeznanie o tym, że wyrzucił pistolet... Ina nie miała też prawa wspomnieć o rozmowie, którą przeprowadziła z Christopherem poprzedniej nocy.

Potworne.

Miała dwie możliwości. Mogła mimo to wyjawić wszystko, czego się dowiedziała – z wyjątkiem rozmów z pacjentem. To na pewno nie wystarczyłoby do sformułowania aktu oskarżenia, a Stefanie z pewnością dałaby wiarę swemu chłopakowi, co poważnie zaszkodziłoby jej relacjom z matką. Inna możliwość to zachować milczenie. Ale w tym wypadku Ina musiałaby beczynn timer patrzeć, jak Stefanie niczego nieświadoma dzieli życie

z młodocianym zabójcą. Trzeciej możliwości nie było, chyba że złamałaby tajemnicę lekarską, co wiązałoby się z utratą prawa wykonywania zawodu.

– Christopherze, proszę, zastanów się jeszcze.

– Jak powiedziałem, zrobię to tylko, jeśli psiarnia będzie chciała udupić Bobby'ego.

Chłopak wstał.

– Wejdzie pani? Stefanie zrobiła genialne spaghetti.

Wrzesień

Podczas procesu przeciwko członkom grupy porywaczy sąd wymierzył Marlene wieloletnią karę pozbawienia wolności, a Romy nieco niższą, przy czym dziewczyna została umieszczona na oddziale zamkniętym kliniki psychiatrycznej. Na korzyść Bobby'ego przemawiało z jednej strony to, że przyznał się do udziału w przestępstwie, z drugiej zaś jego zachowanie w trakcie porwania. Nie brał udziału ani w dręczeniu Alwina Töllera, ani nie był zamieszany w śmierć Jette Trebuth, Alwina Töllera i Giovanniego Caffarellego. Za pozbawienie wolności skutkujące śmiercią oraz kilka innych przestępstw został skazany na karę czterech lat i trzech miesięcy pozbawienia wolności.

W trakcie procesu Ina unikała kontaktów z Bobbym, a on nie miał odwagi wykonać pierwszego kroku. Przez całą zimę nie wiedzieli, co dalej z nimi będzie. Dopiero po ogłoszeniu wyroku Ina odwiedziła go w więzieniu.

Wraz z trzema innymi kobietami oddała torebkę i telefon komórkowy, po czym zaprowadzono je do pomieszczenia urządzonego tak spartańsko, że w porównaniu z nim mnisza cela wydawała się żywcem wyjęta z czasopisma o urządzaniu wnętrz. Kobiety usiadły przy kwadratowych stołach i ponieważ przez pięć minut nie miały nic do roboty, raz po raz rzucały sobie ukradkowe spojrzenia. Ina miała wrażenie, że jej towarzyszki dokładnie się sobie przyjrzały i stwierdziły, że czwarta z nich – to jest Ina – nie pasuje do tego miejsca. A przecież Ina niczym się od nich nie różniła – również była kochanką przestępcy i musiała podjąć decyzję, czy nadal nią pozostanie. Pozostałe już się zdecydowały. Może dlatego wydawały się takie podobne.

Proces, areszt, a najbardziej świadomość winy i wyrzuty sumienia odcisnęły na Bobbym wyraźne piętno. Kiedy podszedł do Iny, wyglądał na przybitego. Stracił też nieco na wadze. Jego piękne długie włosy zostały ścięte – czy to ze względu na obowiązujące przepisy, czy też dlatego, że sam tego chciał.

Po raz pierwszy od owego popołudnia na molu byli sami, przynajmniej do pewnego stopnia.

– Po co przyjechałaś? – spytał Bobby z nutą współczucia, gdy już się przywitali. – Nie powinnaś się tak dręczyć. Żyjemy teraz w dwóch różnych światach. A może masz do mnie jakieś pytania? Przyszłaś wyjaśnić ostatnie wątpliwości i skończyć ze mną? Oczywiście zrozumieć, jeśli...

– Twoje oszczędności się wyczerpały – przerwała mu Ina. – Większość poszła na adwokata i spłatę poszkodowanych. Twoja matka ma zostać przeniesiona do innej placówki, ale nie pozwolę na to. Mam dość pieniędzy. Odwiedzam ją co tydzień i nawet pamięta już, jak się nazywam. Przynajmniej czasem.

Bobby miał lzy w oczach. Z trudem je powstrzymywał, dlatego zasłaniał twarz dłonią.

– To znaczy... – nie był w stanie dokończyć zdania. To znaczy, że...

– Że jestem teraz dziewczyną gangstera. Tak jak moja córka, tylko że ona nie ma o tym pojęcia.

Bobby spuścił wzrok.

– Przepraszam, ale podtrzymuję swoją decyzję.

– Swoje kłamstwo.

– Nazywaj to, jak chcesz. Nie chcę, żeby chłopak zniszczył sobie życie. Co będzie miał w papierach, kiedy pójdzie na rozmowę o pracę? Oboje wiemy, że zastrzelił ojca w przyływie rozpaczy. Christopher nie jest niebezpieczny, nie zagraża ani Stefanie, ani tobie. A jeśli chodzi o mnie, to prokurator z braku dowodów odstąpił od oskarżenia mnie o zabójstwo.

– Mimo wszystko nie jest to sprawiedliwe. Tak się nie robi.

– Jeśli powiesz Stefanie, coś zrujnujesz: albo jej związek z Christopherem, albo relację tobą. Kto powiedział, że prawda zawsze jest najlepszym rozwiązaniem? Wolter powiedział: Wszystko, co mówisz, winno być prawdą, ale nie wszystko, co jest prawdą, winno być powiedziane.

– Od kiedy ty czytujesz Woltera?

– Wyobraź sobie, że mam tutaj sporo wolnego czasu.

– Doprawdy? Cóż, jeszcze raz się potwierdza to, co ci powiedziałam, kiedy spotkaliśmy się na tamym zlocie oldtimerów: filozof-mechanik.

– Teraz filozof-gangster.

Parsknęli śmiechem i tak długo patrzyli sobie w oczy, aż w końcu zalśniły od łez.

– No, opowiadaj – powiedział Bobby miękkiem jak wosk głosem. – Mów, bo inaczej ja zacznę opowiadać.

Ina uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

– No dobrze. Stefanie od kilku miesięcy uczy się zawodu. Chce być stolarzem. Twierdzi, że praca z drewnem ją uspokaja. Zobaczymy, ile jeszcze wytrzyma. Ja zaczęłam coś nowego. A przy okazji, w ramach autoterapii, zaczęłam spisywać tę całą historię. No wiesz, całą historię. Ale zauważyłam, że jestem fatalną pisarką. Poszukam kogoś, komu to wszystko opowiem, a on to zamieni w książkę. Bo myślę, że ta historia jest warta tego, by ją spisano.

– Jak się ona kończy?

– Jak wszystkie okrutne baśnie. Kiedy wyszedł z więzienia, żyli długo i szczęśliwie.

Epilog

S tałam przed samotną wiejską chatą, która miała już innych właścicieli. W ogródku kwitły narcyzy, irysy i frezje, a wkrótce miały zakwitnąć róże. Niebieskie okiennice kontrastowały z jasnożółtą fasadą domu. Można by rzec: mały raj. Nic nie przypominało o cierpieniu i śmierci. Piekło znajdowało się dosłownie kilka metrów poniżej gruntu.

Oraz w głowach i sercach porywaczy.

Kiedy odwiedziłam Marlene w więzieniu, powiedziała mi:

– Długo nie rozumiałam, dlaczego nie poczułam się ani odrobinę lepiej, kiedy wyznałam prawdę i usłyszałam wyrok. Kiedy w końcu zaczęłam swoją pokutę. Teraz już wiem, że ta historia nigdy się nie skończy. Ani dla mnie, ani dla Boda. Nigdy. Aż do śmierci. Ale wie pani, do dzisiaj jednego nie potrafię pojąć i prawdopodobnie nigdy nie zdołam tego zrozumieć: jak w ogóle do tego doszło?

Miała rację, mówiąc, że ta historia jeszcze się nie skończyła. Może skończy się, kiedy Christopher Trebuth kiedyś, w odległej przyszłości, wyda ostatnie tchnienie? Kto wie, co do tego momentu się jeszcze zdarzy. A może to już inna historia?

W drodze powrotnej przysły mi do głowy słowa pewnego mędrca: „Miarą charakteru człowieka jest to, co byłby gotów uczynić, gdyby był na sto procent pewien, że nikt się o tym nie dowie”.

Ile perfum zostałyby wówczas podrobionych, ile książek skradziono by z półek księgarń, ilu dopuszczono by się oszustw ubezpieczeniowych i podatkowych, ile byłoby intryg, rozbitych małżeństw, sfałszowanych testamentów i splagiatowanych prac dyplomowych? Ilu ludzi zostałyby usuniętych z drogi – rywali o względy ukochanej, kandydatów do objęcia tej samej posady?! Kto z nas byłby w stanie się oprzeć długotrwałej pokusie, mając gwarancję, że występki nie wyjdzie na jaw? Gdzie wytyczylibyśmy sobie granicę? Czy drobna kradzież to nic złego? I kiedy drobna kradzież zamienia się w wielką? Na jaki występki lub jakie przestępstwo jesteśmy skłonni dać sobie przyzwolenie, a na jakie w żadnym wypadku? Czy moglibyśmy mieć pewność, że granice tego, na co sobie pozwalamy i co jest do zaakceptowania, nie będą się stopniowo przesuwac?

Czy znamy siebie samych dość dobrze, by odpowiedzieć na to ostatnie pytanie? Tak mało o sobie wiemy.

Spisując na prośbę Iny Bartholdy tę historię, jednego nauczyłam się z całą pewnością – tego mianowicie, że nawet o sobie samych tak naprawdę niewiele wiemy.

Podziękowania

Dziękuję tym wszystkim, którzy od wielu lat służą mi radami i wsparciem podczas pracy nad kolejnymi książkami: Wiebke Rossie i Angeli Troni oraz całemu zespołowi wydawnictwa Limes, czy to z działu prasowego, czy dystrybucji i marketingu. Wykonujecie wspaniałą pracę. Dziękuję mojej agentce Petrze Hermanns. Oraz Christianowi Iglowi, Stefanowi Holtkötterowi, René Schwarzerowi i Toniemu Richterowi. Szczególne podziękowania składam Bente Laux – już ona wie za co.

¹ Hohe Düne znaczy „wysoka wydma” (przyp. tłum.).

² Przekład za: Armin Teske, Andrzej Teske, *Teksty kantat Jana Sebastiana Bacha w polskim przekładzie*, Lublin 2004.

³ Wł. Idź do diabła.